

Sojusznicy

Alan Dean Foster



calibre 0.7.3

ALAN DEAN FOSTER

SOJUSZNICY

Tytuł oryginału: A call to arms

Cykl: Przekłęci tom 1

Przełożył: Radosław Kot

Data wydania polskiego: 1996

Data wydania oryginalnego: 1991

T M N

Rozdział 01

Decydent spoczywał spokojnie na półkolistym legowisku dowodzenia zawieszonym wysoko nad podłogą, na samym końcu rozbudowanych wysięgników maszyny centrum. Jednym dotknięciem mógł opuścić lub unieść stanowisko, przesunąć je w lewo czy w prawo ku podkomendnym. Równie dobrze mógłby ich wprawdzie kontrolować i wspierać radą za pomocą przypiętych klamrami do głowy łączy komunikacyjnych, jednak rasa Ampliturów nade wszystko przedkładała kontakt osobisty.

Poprawił się na poduszce, obejmując ją wszystkimi czterema krótkimi łapami, co pozwalało na swobodne manewrowanie parą wystających z boków głowy czułek. Każdy wieńczyły cztery chwytne palce. Palce te zginały się i poruszały, jakby w niemym walcu dyrygowały niewidzialną orkiestrą.

Sferyczne, złotem nakrapiane oczy obieżyły rozległe pomieszczenie. Szparki źrenic zwężyły się i rozszerzały szukając miejsc, gdzie być może należałoby interweniować. Czyniąc jakiegokolwiek sugestie, Decydent zawsze starał się dodać delikwentowi odwagi, unikał opryskliwości, która tak często cechowała inne rasy. Surowości nie przejawiał wcale. Niegdyś wadą, Ampliturów było niezdecydowanie, ale to działo się, jeszcze zanim poznali Cel. Zanim osiągnęli dojrzałość.

Trudno uwierzyć, że mogło kiedyś nie być Celu. Decydent znał historię, wiedział jak rzecz wyglądała przed laty, ale nie potrafił ogarnąć tej dawnej epoki wyobraźnią. Jawiła mu się jako fragment dziejów innego zupełnie wszechświata. Świadomość istnienia Celu pozwoliła rasie Ampliturów dorosnąć i odmieniła ją po wsze czasy.

Teraz Cel odmieniał oblicze Galaktyki.

Zanim to nastąpiło, całkiem zadowoleni z przypadającego im losu Ampliturowie rozwijali po prostu swoją skromną cywilizację. Uprawiali sztuki, doskonalili się, radośnie gmatwając rzeczy proste i najbardziej ze wszystkiego pragnęli, aby zostawić ich w spokoju, dać im możliwość trwania przy własnym tempie przemian, szansę bycia sobą i nikim więcej. A potem uświadomili sobie, że istnieje Cel.

Decydent musnął łagodnie kontrolki i sierp legowiska skierował się w lewo i na dół, do stanowiska nawigacji. Jak oni mogli żyć kiedyś, nie znając Celu? Nedorzecznosc!

We wczesnych stadiach ewolucji najważniejszą rolę odgrywały instynkty. Ampliturowie pławili się wówczas w ciepłych wodach ojczystego świata i przebijając słabo rozwiniętymi odnóżami ledwo potrafili wypełznąć na błotniste brzegi zbiorników, gdzie przeszukiwali czułkami obfitujące w jadalne skorupiaki pokłady mułu. Pojawiały się wprawdzie pierwsze przebłyski inteligencji, jednak

istoty te mnożyły się wciąż bezmyślnie, spędzając życie na przetwarzaniu białka roślinnego i zwierzęcych protein. Najważniejsze były dla nich sprawne jelita i odpowiednio ostre zęby.

Owszem, jakaś cywilizacja istniała, świadczyły o tym jasno zapisy historyczne, ruiny, przekazy o dawnych triumfach i wytwory rozwijanej z latami, unikalnej techniki Ampliturów.

Ale wszystko to było niczym: technika, sztuka, nawet życie samo w sobie nie znaczyło nic bez Celu, który nadawał wszelkiej rzeczy treść i formę.

Wystarczyło pomyśleć chwilę aby pojąć, że daje to poczucie siły, pomaga pokonać niezdecydowanie, lęk przed niewiadomym. Decydent był dumny, że może służyć Celowi.

Pomruk silników statku i gwar załogi przelewał się z cicha pod legowiskiem. Technicy pogadywali w mnogości języków na różne tematy, opowiadali sobie nawet dowcipy. Pozbawieni praktycznie poczucia humoru Ampliturowie nie odczuwali potrzeby żartowania, ale dzięki wytrwałości i ciężkiej pracy nad sobą zdołali jednak zrozumieć sens tego zjawiska.

Zresztą to nieistotne. Ważne, że wszyscy służyli Celowi. To pozwalało nazwać ich istotami prawdziwie cywilizowanymi.

Oczywiście zdarzały się gatunki ślepe na prawdę. W opracowaniach historycznych wspomniano o takich wynaturzeniach dość beznamiętnie. Były więc rasy, które nie dawały się ani nawrócić, ani odmienić biologicznie, ani w żaden inny sposób naprowadzić na jedyną słuszną drogę. Rasy wrogie lub szalone. Pozostawało je wyeliminować, aby nie przeszkadzały w krzewieniu prawdy.

To akurat budziło największy żal Amplitura. Nie żeby uważał zgładzenie całej rasy za coś niewłaściwego, on bolał nad zaprzepaszczeniem szansy. Skoro kogoś nieodwołalnie nie ma, nigdy już nie pozna Celu, nie przyłączy się do Wspólnoty. W ciągu ostatniego tysiąca lat dwakroć jedynie trzeba było podejmować podobne kroki. Pamięć o tych katastrofach pobudzała Ampliturów i ich sojuszników do jeszcze większych wysiłków.

Decydent postanowił sobie, że nigdy nie dopuści do takiej porażki. Jego poprzednicy zrobili rzecz konieczną, ale pamięć o ich niepowodzeniu kładła się cieniem na blaskach sukcesów kolejnych decydentów.

Ampliturowie zmienili się jednak przez stulecia, dołączyły do nich nowe rasy pragnące dążyć do wspólnego Celu, powiększyły się zasoby wiedzy, rozwinęła nauka. Przybysze przyczynili się znacznie do owego postępu, wprowadzając nowe sposoby myślenia, nowe spojrzenia na stare problemy, swoje szczególne zdolności oddając w służbę Celowi.

Pod tym względem Ampliturowie nie jawili się ani jako lepsi, ani jako gorsi, bowiem wobec Celu wszyscy byli równi. Owszem, byli odkrywcami Celu, wiedzieli jak wielka ciąży na nich odpowiedzialność. Gdyby pojawiła się jakaś nowa rasa zdolna do przejęcia brzemienia, oddaliby je bez słowa sprzeciwu. Jednak wobec braku kogoś takiego wypełniali swą powinność i nie sarkali.

Decydent wiedział, że przecież ktoś musi tym wszystkim zarządzać.

Inne rasy służyły Celowi wedle swych możliwości. Krygolici byli świetnymi żołnierzami i jeśli nie udawało się uniknąć walki, zawsze dzielnie stawali do boju. Segunianie prezentowali się jako biegli rzemieślnicy. Mrowie T'returi dostarczało wielu rasom żywności. Podobni fizjologicznie do Ampliturów Molitarowie byli istotami silnymi i wyglądali na tyle groźnie, że czasem samo zademonstrowanie tych istot wystarczało dla przekonania opornych bez walki. Przydawali się bardzo i obniżali tym samym koszty, bowiem wojna to zawsze drogie przedsięwzięcie. Ponadto każdy poległy to o jeden umysł mniej w służbie Celu.

Ale nie ma się co martwić, pomyślał Decydent. Wszystko idzie dobrze. Nie tak dawno kolejna inteligentna rasa przyłączyła się do Wspólnoty Celu. Potężnie zbudowane, ale prymitywne istoty. Aszreganie stawili wprawdzie z początku opór, ale wobec wielkiej dysproporcji technologicznej trwał on dość krótko. W chwili nawiązania kontaktu stali na niższym szczeblu rozwoju niż Krygolici, trochę wyżej niż Molitarowie. Równie dobrzy pomocnicy jak wszyscy inni.

W odróżnieniu od pozostałych ras mieli zwyczaj unikać walki, gdy uznawali ją za daremną. Potem okazali nieoczekiwaną dojrzałość, błyskawicznie otwierając się na piękno Celu.

Taki musi być los każdej inteligentnej rasy i nie ma innego wyjścia, pomyślał z przekonaniem Decydent, przesuwając legowisko od centrum nawigacji do wewnętrznego stanowiska inżynierskiego. Widząc nadciągającego dowódcę, załoga żywiej zakrzętała się przy pracy. Miła i właściwa reakcja, prawda?

Dowódca nie uśmiechnął się, bowiem było to niemożliwe z racji specyficznej budowy ust, wszelako złociste i srebrzyste błyski przebiegły po jego cętkowanej, pomarańczowej skórze. Jasne smugi układały się w niepowtarzalny, inny dla każdego Amplitura wzór.

Cała ściana naprzeciwko działu inżynierii była przezroczysta. Uczyniono ją taką z czysto estetycznych względów. Kamery i detektory były o wiele sprawniejsze i sięgały dalej niż jakiegokolwiek oko, jednak ten pokaz możliwości fachowych związanych sojuszem z Ampliturami techników robił należyte wrażenie, był hołdem oddanym ich umiejętnościom. Decydent spojrzał na roje gwiazd, na personel wiodący kruchy statek między tymi gwiazdami i raptownie trącił kontrolki. Legowisko wystrzeliło do góry. Wielu Ampliturów cierpiało na lęk wysokości, ale Decydent dawno już zdusił w sobie ów atawizm. Nie można pozwolić, aby ktoś odpowiedzialny za bezpieczeństwo wielu statków przejawiał aż tak trywialną słabość. Kierowała nim czysta determinacja, ta sama, która wyniosła go na stanowisko dowódcy. Skromna to nagroda za tyle ciężkiej pracy.

Wszystko było sprawą zrozumienia i zaufania technice. Pewność, że legowisko, wysięgniki i zasilanie nie zawiodą, pozwoliła zwalczyć lęk. Decydent wiedział, że nie każdy potrafi pokonać własne słabości. Z góry spojrzał na kręcący się wokół personel.

W sali dowodzenia pracowali ramię przy ramieniu przedstawiciele co najmniej tuzina różnych ras, inni jeszcze pełnili odpowiedzialne funkcje w pozostałych częściach statku. Nikt nie wywyższał się ponad sąsiada. Drobnym Akaryjczyk pomagał masywnemu Molitarowi, pająkowaci Segunianie wdzięcznie usuwali się z drogi płynnemu Aszreganowi, wszyscy zjednoczeni w dążeniu do Celu. Wszyscy, prócz zapewne kilku renegatów, bowiem wśród każdej rasy trafiają się godne pożałowania wyjątki. Załoga tworzyła zwarty zespół, ich myśli i czyny dążyły wspólnie do jednego końca, który

zwieńczy dzieło.

I tym właśnie był Cel, niczym innym. Prosta sprawa, tak prosta, że nawet nieco ograniczeni Yandirpowie potrafili rzecz zrozumieć.

Celem bowiem było zbratanie, całkowita i obejmująca wszelkie dziedziny fizyczna, kulturowa i umysłowa integracja.

Cywilizacja, która osiąga pewien stopień rozwoju technologicznego i społecznego, albo ginie w wyniku autodestrukcji, albo zaczyna staczać się z powrotem w mrok barbarzyństwa i ulega kulturowej degeneracji. Atomowa pożoga lub prymitywna tyrania ucisza nieliczne głosy rozsądku i taka rasa przepada na zawsze dla Celu.

Ampliturowie boleli nad podobnymi wypadkami, a ich sojusznicy dzielili ten smutek. Wraz z każdą ginącą cywilizacją coś szczególnego i unikalnego ubywało z kosmosu, nie mając nawet szansy, by podzielić się bogactwem swego istnienia ze Wspólnotą.

Raz zdarzyło się, że Ampliturowie próbowali uratować pewną szczególnie obiecującą, ale psychopatyczną rasę przed samobójstwem. Niestety, tak silna była ślepa furia tych istot, tak wielka była ich wzajemna nienawiść, że nawet szczególnie utalentowani w prowadzeniu negocjacji Ampliturowie nie zdołali odwrócić kataklizmu. Mimo wszelkich działań, rasa dokonała aktu samozagłady, a przy okazji spustoszyła jeszcze doszczętnie swoją planetę, która teraz nie nadawała się nawet do zamieszkania.

Decydent uniósł przednią połowę swego ciała i rozluźnił osiem zaciśniętych bezwiednie palców. Nie pora na tak ponure myśli. Praca czeka.

Czasem sama logika, samo rozumowe dowodzenie nie wystarczało. Wobec szczególnie nieoświeconych istot trzeba było niekiedy odwoływać się do metod prymitywniejszych, aby uświadomić takiej rasie jej prawdziwe możliwości. Ampliturowie niespecjalnie lubili takie podstępny, ale, z drugiej strony, nie zwykli kiedykolwiek zostawiać żadnej inteligentnej rasy bez pomocy, by zginęła z własnej ręki. Istnieli przecież po to właśnie, aby zapobiegać podobnym katastrofom. Jak długo starczy im sił i środków, postanowili niegdyś, będą dawać szansę rozkwitu każdej napotkanej cywilizacji.

Ampliturowie nie oczekiwali, że spotka ich za te poświęcenia jakakolwiek wdzięczność. Nagrodą miała być świadomość, że ich praca służy realizacji Celu. Samo bycie Ampliturem wiązało się nierozłącznie z gotowością do poświęceń.

Od czasu do czasu niektórzy przedstawiciele innych ras, a nawet pojedynczy Ampliturowie podważali te zasady, pytając: czymże jest Cel? Co przyjdzie nam z jego realizacji? Co potem?

Prosta i nieugięta logika wskazywała jednoznacznie, że zrealizowanie Celu oznaczałoby utratę motywacji działania, osiągnięcie kresu. Ale gdy dokona się już pełne zbratanie, pojawi się z pewnością nowa wartość, coś większego, wyższego, dalszego. Na razie dość jest pracy i wystarczy świadomość, że bierze się udział w czymś słusznym i szlachetnym. Rozum to potężne narzędzie,

Decydent nigdy w to nie wątpił.

Kiedy kres zwieńczy dzieło? W chwili gdy wszystkie istoty inteligentne w Galaktyce poświęcą swe wysiłki dla realizacji Celu, to oczywiste. A jeśli uda się kiedyś pokonać międzygalaktyczne otchłanie, to rzecz rozciągnie się na wszystkie cywilizacje Wszechświata.

Decydent musiał zwykle odsuwać podobne rozważania na drugi plan. I tak miał co robić, tu i teraz. Dowódca winien myśleć o całym statku, pełniąc zaszczytny obowiązek.

Ciężkie ciało osunęło się nieco na kanapie i była to irytująca niewygoda. Niedługo miał nadejść czas reprodukcji, ale rozmnażanie musiało poczekać do chwili, gdy bieżące zadania zostaną wykonane. Kiedyś funkcje biologiczne przebiegały poza kontrolą, hormony robiły co chciały, jednak rasa Ampliturów nauczyła się panować nad systemem endokrynologicznym... Nie tylko zresztą swoim.

Decydent nie mógł pozwolić, aby jego zdolność do podejmowania decyzji została zakłócona przez coś tak trywialnego jak rozmnażanie. Jeden z czuzków odnotował uwagę, aby przeprowadzić konieczne testy. Jakby co, to pigułka załatwi sprawę.

Złociste oczy wpatrzyły się w półkolistą ścianę, za którą pysznił się przestwór Wszechświata. Piękno gwiazd i dalekich światów, mgiełka obłoków... Amplitur aż się cały ozłocił i osrebrzył od tych doznań. Podczas podróży w podprzestrzeni widok rozmywał się, zamiast wielkich gwiazd widać było tylko kolorowe kleksy. Jeszcze piękniejsze. Ale dopiero znajomość Celu ukazywała prawdziwą cudowność Wszechświata.

Decydent nie potrafił odczytać wszystkich tych błysków i smug, do tego służyły nader skomplikowane instrumenty. Niechętnie skierował wzrok z powrotem na pulpit.

Ta wyprawa była dlań szczególnie przykrym obowiązkiem.

Większość nowych ras chętnie akceptowała zasady dążenia do Celu i sam Cel, gorąco i serdecznie przyjmując wysłanników Ampliturów. Czasem bezpośredni kontakt nie był nawet konieczny, bowiem obca cywilizacja sama dochodziła do słusznych wniosków i napotkawszy braci o podobnym sposobie myślenia domagała się tylko szczegółowych instrukcji, jak Cel osiągnąć. Ba, niekiedy trzeba było wręcz powściągać entuzjazm nowych członków Wspólnoty, by swoimi zbyt energicznymi działaniami nie wywarli opacznego wrażenia na kolejnych kandydatach.

Zdarzało się jednak i tak, że potęga rozumu i żelazna logika nie wystarczały. W takich przypadkach urządzano zwykle mały pokaz. Jakieś, powiedzmy, trzydzieści statków wojennych pojawiających się nagle na orbicie opornego świata było wystarczająco mocnym argumentem, aby miejscowe władze zgodziły się na przemiany wiodące ku wyższym stopniom rozwoju społecznego i bogactwu (duchowemu i materialnemu) całej Wspólnoty.

Po środki siłowe sięgano naprawdę rzadko. Niestety, to właśnie była jedna z takich sytuacji. Przykry obowiązek, którego nie można zrzucić całkowicie na ramiona sojuszników. Skoro już rasie Ampliturów przypadł los liderów, pozostawało być konsekwentnym i nie wzdragać się przed

udziałem nawet w takich wyprawach.

Potężny wysięgnik zamruczał i opuścił dowódcę prawie na podłogę. Przechodzący Aszregan, oficer, zagadnięty zamrugął oczami i spojrzął na Decydenta.

– Pozycja statku, inżynierze?

Decydent orientował się w wielu sprawach na bieżąco, ale podwładni powinni sądzić, że dowódca naprawdę ich potrzebuje. To dobrze wpływa na dyscyplinę.

Aszregan odpowiedział. Była to istota o solidnej budowie fizycznej, jednak pozbawiona szczególnej inteligencji czy wyobraźni. Przedstawiciele tej rasy można było przyuczyć do wielu funkcji, które wykonywali zadowalająco, nigdy jednak nie osiągając perfekcji. Najlepiej radzili sobie jako kontrolerzy, dobrze też wpływali na integrację załogi.

Dowódca wysłuchał raportu i podziękował ukłonem, który to gest uchodził między Aszreganami za oznakę szacunku. Odprawił podwładnego, przesyłając mu jednocześnie w myślach wyrazy wdzięczności i pozytywnej oceny wysiłku. To ostatnie także wyróżniało Ampliturów spośród innych ras inteligentnych. Podobnych zdolności nie posiadali nawet przewyższający swoich mentorów intelektualnie Korathowie.

Jedynie Ampliturowie potrafili przekazywać samą tylko siłą umysłu swe życzenia, pragnienia, opisywać czyste piękno Celu. Pozostałe rasy były co najwyżej w różnym stopniu wrażliwe na te przekazy, a jeśli któraś okazywała się zupełnie „głucha”, Ampliturowie odmieniali ją drogą eksperymentów tak, by nowa cecha nie tylko zaistniała, ale w naturalny już sposób przechodziła na potomstwo. Ich inżynieria genetyczna stała na bardzo wysokim poziomie, a żadna z poddanych manipulacji ras nie protestowała. Bo i czemu miałyby to robić, skoro to tylko mocniej wiązało ją z Celem? Co więcej, Ampliturowie nadawali myśli, ale nie potrafili czytać w cudzych umysłach, zatem nie pojawiał się problem naruszania czyjejkolwiek prywatności. W pełni bowiem rozumieli, że każda istota inteligentna pragnie chronić sferę swych intymnych przeżyć.

Mimo sporego wysiłku utalentowanych naukowców nie udało się, jak dotąd, znaleźć sposobu „wszczepiania” innym rasom zdolności projekcyjnych. To była niezmiennie domena (i brzemię) Ampliturów.

Może dlatego właśnie stali się rasą wybraną do tego, aby nieść pochodnię Celu poprzez nurzający się w ignorancji Wszechświat, pomyślał Decydent. Inne ludy otrzymały rozwinięte układy mięśniowe, będący zaś bezkręgowcami Ampliturowie skompensowali swą fizyczną słabość zdolnością projekcji myśli. Dzięki temu mogli teraz przekazywać innym, niżej stojącym cywilizacjom swoje postanie. Nie ma samotności, gdy dąży się do Celu. Wszyscy działają razem, aby go osiągnąć. Może z czasem pojawią się następne istoty o podobnie aktywnych umysłach, może badania naukowców zaowocują wreszcie sukcesem. To byłby wielki dzień.

To zwykłe gdybanie, pomyślał Decydent. I tak jest co robić, i tak jest się z czego cieszyć.

Może nie trzeba będzie użyć broni. Ampliturowie potrafili przekazywać nie tylko rozkazy czy

sugestie dotyczące dobrego samopoczucia, ale także wrażenie niepewności, lęku a nawet bólu. Po to ostatnie sięgali jedynie w ostateczności i tylko wtedy, gdy wymagało tego dobro Celu. Cierpienie, dawkowane odpowiednio władcom odpornej planety, skłaniało ich czasem do uległości. Jeśli to nie pomagało, można było dla przykładu zlikwidować paru osobników. Zawsze to lepsze niż inwazja.

Do tego nie dojdzie, pomyślał z przekonaniem Decydent. Wojna to świadectwo niekompetencji. Żaden rozgarnięty umysł nie zapędzi się w taką pułapkę. Amplitur aż się wzdrygnął.

Czasem dowódca zastanawiał się, jak to jest, kiedy ma się szkielet zamiast systemu wewnętrznych więzadeł i ścięgien. System kostny, choć może przydatny na jakimś etapie ewolucji, był przeżytkiem, czymś niepomiarnie ograniczającym rozwój i zmuszającym obdarzone nim istoty do wkładania olbrzymiego wysiłku w fizyczne przetrwanie, co z kolei upośledzało możliwości umysłu. Prawie wszystkie wyższe formy inteligentnego życia ukształtowały się wśród bezkręgowców. Wyjątki, jak Aszreganie i Krygolici, były naprawdę nieliczne.

Bioinżynierowie Ampliturów zdołali uwolnić pojedynczych Aszregan od szkieletów, wszelako pomysł ten nie znalazł uznania w oczach delikwentów. Zalety funkcjonalne przegrały z walorami czysto estetycznymi. Tak zatem więcej podobnych działań nie podejmowano. Aszreganie i podobne im biologicznie istoty skazane były na dźwiganie zwapnionych wewnętrznych konstrukcji po wsze czasy. Niemniej wobec Celu traktowano ich jak równych, nawet jeśli biologowie uważali takie twory za relikwyt przeszłości. Decydent uważał, że zasługują raczej na podziw, skoro mimo niesprzyjających warunków rozwinęli aż taką inteligencję.

W tym właśnie zawierało się piękno Celu, że nie dopuszczał do dyskryminowania kogokolwiek: Aszreganie w jednym szeregu z Molitarami, Ampliturowie jako mediatorzy pomiędzy nimi.

Dowódca wiedział dobrze, że najważniejsza jest wspólnota myśli, fizyczne zaś różnice schodzą wobec Celu na plan tak odległy, jakby w ogóle ich nie było.

Czekające ich obecnie zadanie napępiało niepokojem rozważającego najgorsze scenariusze Decydenta. Niemniej podjął się sprawy energicznie i z poświęceniem, wszak miało to przyczynić się do realizacji Celu i poznania wielkiej tajemnicy przyszłości.

Zresztą sam fakt prowadzenia wojny ze Sspari nie oznaczał jeszcze, że dowodzący kampanią musi lubić walkę, nawet jeśli do niej właśnie został najlepiej przygotowany.

Działania zbrojne to niewdzięczny interes. Nie dość, że nie mają nic wspólnego z cywilizowanymi obyczajami, to jeszcze pochłaniają gigantyczne ilości materiałów i angażują wielkie siły floty. Nawet zwycięstwo nie przynosi radości, skoro wiąże się z koniecznością uśmiercenia wielu nieprzyjaciół, istot inteligentnych, które na skutek tego nigdy nie poznają Celu. Jediną pociechą mogła być myśl, że ci Sspari, którzy przeżyją, z pewnością przyłączą się do Wspólnoty. Decydent bolał nad mającym polec wrogiem bardziej, niż nad prawdopodobnymi ofiarami po własnej stronie.

Innej drogi jednak nie było. Wyczerpano już wszystkie możliwości negocjacji. Mimo nieprzeciętnej inteligencji i wspaniałych warunków fizycznych, Sspari odznaczali się szczególnym uporem. Na dodatek robili wciąż wiele hałasu o nic, nie chcąc spojrzeć na sprawę z właściwego

dystansu.

Nawet tradycyjny pokaz siły nie przyniósł efektów. Co gorsza, ostrzeżony przeciwnik miał czas na poczynienie stosownych przygotowań. Ampliturowie liczyli się z taką ewentualnością, ale mimo to uznali, że trzeba spróbować. Dążąc do Celu nie można zdawać się jedynie na walkę, trzeba rozmawiać; ostatecznie ich zamiarem nic był podbój, tylko integracja.

W drugiej kolejności podjęto wysiłki, aby podporządkować sobie miejscowy rząd. Do akcji ruszyli przypominający fizycznie tubylców członkowie sojuszu. Proponowanie łapówek i rozgłaszanie pomówień uznawano wprawdzie powszechnie za metody moralnie wątpliwe, jednak w tym wypadku cel uświęcał środki. Wszystko, tylko nie wojna.

Niestety. Rząd Sspari jakoś nie upadł.

Skutkiem był wieloletni konflikt. Sspari bywali w nim górą, jednak mimo ich pełnej determinacji i poświęcenia, połączone siły Wspólnoty ograniczały powoli ojczysty świat dzielnych aż do szaleństwa przeciwników. Raz zdobytych obszarów Ampliturowie bronili nie zważając na koszty, podczas gdy Ssparich można było niekiedy zmusić do rejterady.

Na co liczyli, przeciwstawiając się Celowi? Nie wiadomo. Musieli potykać się z antagonistą, który górował nad nimi moralnie i militarnie, i był na dodatek przeciwnikiem cierpliwym. Zwycięstwo jawiło się jako pewne i pozostawało tylko kwestią czasu.

Decydent nie pojmował, jakim sposobem mogło Ssparim umknąć coś tak oczywistego. Czyżby naprawdę nie rozumieli, że ostateczna integracja, zjednoczenie wszystkich ludów jest nieuniknione? To przeznaczenie wszystkich istot inteligentnych. Prócz tych, które trzeba było zgładzić... Dowódca postanowił sobie, że nie dopuści, aby ten los spotkał także i Ssparich. Gdy wojna dobiegnie końca, minimalna interwencja bioinżynierów uczyni te istoty naprawdę szczęśliwymi.

To straszne, pomyślał, że istoty rozumne muszą zabijać się nawzajem, aby stworzyć coś szlachetnego.

Umieszczony na czole dowódcy, tuż nad oczami, półkolisty monitor przekazywał nieustannie informacje o przygotowaniach do walki. Gdyby jednostka flagowa orbitowała nieco bliżej macierzystego świata Ssparich, można by dostrzec drobne światełka znamionujące obecność okrętów wojennych, przerzucających właśnie z pomocą wahadłowców oddziały na powierzchnie planety. Statki Wspólnoty miały wyjść na bliskim dystansie z podprzestrzeni, nawiązać krótki kontakt bojowy z siłami Ssparich i po kolei zniknąć z pola widzenia.

Walka w podprzestrzeni byłaby oczywistym absurdem. Trudno działać cokolwiek, gdy systemy uzbrojenia i czujniki zawodzą zmylone nadświatelną szybkością celu. Do potyczek dochodziło zatem najczęściej na orbitach spornych światów, gdzie statki wyłaniały się z niebytu w normalną przestrzeń. W razie uszkodzenia można było wtedy próbować ucieczki w podprzestrzeń, przynajmniej jeśli w systemach zostało dość mocy na skok. Taki bój kontaktowy trwał zwykle tylko kilka lub kilkanaście sekund i jego wynik zależał nierzadko od zwykłego przypadku.

Rzeczywiste kampanie toczono na powierzchniach planet, gdzie najcięższe bronie były bezużyteczne, bowiem mogłyby zniszczyć nie tylko przeciwnika, ale i pole bitwy, a nie o to przecież stronom chodziło. Wygrywał zatem ten, kto utrzymał swoje statki w przestrzeni rzeczywistej na tyle długo, aby wysadzić na powierzchnię planety siły wystarczające do jej obrony lub zdobycia. Sspari wiedzieli to równie dobrze. Gdyby Wspólnota opanowała centra przemysłowe i łącznościowe przeciwnika, walka musiałaby się zakończyć. Ciąg dalszy byłby prosty. Ampliturowie wiedzieli z doświadczenia, że kwestię polityki wewnętrznej można będzie potem powierzyć nowym władzom Ssparich, które dadzą sobie radę także z pozostałymi jeszcze po klęsce fanatykami starych porządków.

Trzeba było przyznać, że jak na niepozorną rasę, Sspari bili się dzielnie i dość długo już stawiali opór. Ale wszystko na próżno. Flota Wspólnoty dotarła do macierzystego układu przeciwnika. Sspari próbowali stawić jej czoło w okolicy otoczonego trzema pierścieniami gazowego giganta, ale została odepchnięta w głąb systemu.

Dowódca spojrzął przez przezroczystą ścianę, na coraz bliższą planetę. Piękny świat, zielonobrunatny. Niedługo już obejrzy go dokładnie.

Decydentowi przypadł w udziale zaszczyt poprowadzenia floty do ostatniego, decydującego uderzenia. Boki okryły mu się z wrażenia brudno pomarańczowymi plamami, ale nic dziwnego. Wzbogacenie Wspólnoty o nową rasę zawsze jest momentem podniosłym.

Z początku Sspari okryją się żalobą po poległych, ale Ampliturowie nie zwykli wykorzystywać swoich zwycięstw, nie chcieli okupować zdobytych światów. Nie żądali nigdy żadnych reparacji, nie pragnęli zemsty. Od pierwszej do ostatniej chwili domagali się niezmiennie tego samego: zrozumienia rzeczy podstawowych.

Nastanie pokój i Sspari odkryją niebawem, że życie płynie im tak samo, jak biegło przed wojną. Z jednym wyjątkiem: zamiast marnować czas i siły na budowę potęgi swej własnej rasy, przyłączą się do wielkiego wspólnego dzieła. Bywało, że odmienione i należycie poinformowane społeczeństwo dawało wyraz ogromnej irytacji związanej z poczynaniami poprzedniego reżimu, który okłamując opinię publiczną doprowadził do krwawej, bezsensownej wojny.

Ampliturowie gotowi byli uczynić wszystko, aby zapobiec podobnym wypadkom, mogącym łatwo przerodzić się w gwałtowne zamieszki. Na razie jednak trzeba było wygrać finalną bitwę. Meldunki napływające z wynurzających się na krótkie chwile z podprzestrzeni i statków zwiadowczych pozwalały sądzić, że to już niedługo.

Dowódca ujrzał nagle ze zdumieniem, że na innym ruchomym stanowisku płynie ku niemu dwoje oficerów: Korath Suern i Krygolitka Co'oi.

Co'oi zameldowała przez translator o niespodziewanym ataku ze strony grupy niezidentyfikowanych statków. Decydent nie poddał się panice. Ampliturom obce były podobne emocje.

Komunikator na czole pozwalał na szybkie nawiązanie łączności z innymi Ampliturami, którzy

przebywali na pokładach pozostałych statków floty. Było ich dwunastu i odgrywali w tej kampanii rolę autorytetów moralnych raczej, niż militarnych. Korathowie byli dość biegłymi taktykami, aby samodzielnie uporać się z flotą Ssparich.

Drugim zadaniem Ampliturów było stawienie czoła ewentualnym komplikacjom i to była niewątpliwie taka właśnie sytuacja.

Rozdział 02

Myślałem, że znamy położenie wszystkich ocalałych jednostek bojowych Ssparich?

– Też tak myślałam – odparła Co’oi, nerwowo poruszając antenkami.

– Spokojnie – powiedział Decydent, wzbogacając przekaz impulsem zawierającym myślową sugestię wyciszenia.

Podziałało.

– Wyjaśnij sytuację.

– Atakujące statki różnią się od jednostek Ssparich. – Głos Koratha był prawie niesłyszalny. – Flota została zmuszona do zaniechania planowanej operacji desantowej i zwróciła się ku nowemu przeciwnikowi.

– Siły przeciwnika?

– Brak dokładnych danych. – Krygolitka przerwała na chwilę, by wysłuchać meldunków napływających do jej komunikatora. – Znamy je tylko w przybliżeniu. Duża liczba statków.

– Zdolności bojowe?

– Kilka nowych rodzajów broni, ich analiza jeszcze nie została zakończona. Wybuchające wiązki plazmy. Efektywne i trudne do wymanewrowania.

– Sterowanie za pośrednictwem sztucznej inteligencji?

Krygolitka zawahała się.

– Nie można wykluczyć. Brak pewności.

Dowódca poprawił się na poduszkach i pożałował, że nie ma nóg jak Molitarowie.

– Przejść do defensywy. Odwołać desant, przygotować się do zmiany szyku.

– Czy nie za wcześnie na takie przegrupowanie? – spytał Korath. – Sspari nabiorą pewności siebie. Wolałbym nie dawać im próżnej nadziei na zwycięstwo.

– Nawet nadmiar ostrożności lepszy jest od brawury. Przede wszystkim muszę troszczyć się o nasze załogi. Ilość przejść do podprzestrzeni jest ograniczona, a nie chciałbym zostać przyłapanym w przestrzeni rzeczywistej bez możliwości ucieczki przed przeważającymi siłami przeciwnika. – Decydent poparł te słowa impulsem wymuszającym posłuszeństwo, tak intensywnym, że Korath aż zamrugał. – Jeśli to podstęp Ssparich, to niebawem poznamy tajniki pułapki. Jeśli jednak mamy do czynienia z dwoma odrębnymi akcjami, rozsądek nakazuje zachować ostrożność. Skutkami efektu psychologicznego będziemy martwić się później. Na razie działajmy zgodnie z tym, co widzimy.

Krygolitka podziękowała, machając antenkami, a Korath rozpostarł górne kończyny.

Decydent skierował legowisko w drugi koniec pomieszczenia, do stanowisk bojowych. Sprawy przybierały nieciekawy obrót. Co spowodowało ten niespodziewany atak, kto udzielił wsparcia przegranym? Statki nieznanego typu, nowe rodzaje uzbrojenia... Wszystko wskazywało na przybyszów z odległych okolic, cywilizację inną niż Sspari. Ale przecież Wspólnota zwalcza ich już od ponad stu lat i nigdy w tym czasie nie napotkano żadnych sojuszników przeciwnika.

Dzięki monitorowi Decydent był lepiej zorientowany w przebiegu bitwy niż jego podwładni. Sspari próbowali odgradzić flotę Wspólnoty od swej planety. Aby to osiągnąć, wykonywali krótkie taktyczne skoki w podprzestrzeń. Między nimi plątały się czerwone punkciki oznaczające nieznaną statki. Manewrowały w ten sposób, aby po wyjściu z podprzestrzeni mieć w zasięgu ognia jakąś jednostkę Wspólnoty. Wszystkie strony ponosiły ciężkie straty.

Decydent bolał nad ofiarami. O własne bezpieczeństwo się nie lękał. Żaden Amplitur, który przez całe życie służył Celowi, nie bał się fizycznego unicestwienia, chyba żeby jego destrukcja miała zaszkodzić wspólnej sprawie.

Dowódca podjął stosowne decyzje. Wahanie źle wpłynęłoby na zaniepokojonych oficerów i techników. Równocześnie nawiązał łączność z pozostałymi Ampliturami, przekazując Słuchaczowi i Szybkokroczącemu dowództwo nad obroną formacji.

Bolesny był widok znikających z ekranu punkcików. Jasnozielone kropki przedstawiały statki Wspólnoty, żółte – jednostki Ssparich, intensywnie czerwone – siły obcych. Zgaśnięcie każdego punktu oznaczało trafienie wiązką plazmy albo pociskiem termonuklearnym. Symbolizowało śmierć setek lub tysięcy istnień.

Takie to proste: bezgłośnie gasnące światełka. A przecież w tej właśnie chwili ginęło ich tak wiele... I oddalał się czas realizacji Celu.

Głupie marnotrawienie. Ampliturowie nie cierpieli ani głupoty, ani trwonienia bogactw.

Przez resztę tego dnia i znaczną część następnego, nikt na pokładzie nie miał wiele czasu na sen. Ampliturowie potrzebowali go znacznie mniej niż inne rasy, zatem gdy nadszedł krytyczny moment. Decydent był w pełni przytomny.

Zgodnie z przewidywaniami Sspari uznali w pewnej chwili, że groźba wrogiego desantu została zażegnana, i odwołali jednostki strzegące planety, rzucając je do ataku. W tym samym czasie jeden z

obcych statków wyłonił się z podprzestrzeni w pobliżu jednostki flagowej Wspólnoty. Doszło do krótkiej wymiany ognia, zakończoną ucieczką flagowca z przestrzeni rzeczywistej. Szybko stwierdzono, że mimo licznych uszkodzeń kadłub nie został naruszony.

Korath wiedział jednak, co robi. Oszołomieni chwilowym sukcesem Sspari skupili się na ataku. Statki Wspólnoty wyłoniły się tymczasem po drugiej stronie planety i nim obrońcy połapali się, że to podstęp, siły desantu były już na powierzchni.

Pozostałe statki Ssparich rzuciły się do spóźnionej interwencji, natomiast jednostki obcych zaczęły masowo nurkować w podprzestrzeń. Nowo nabyli sojusznicy pojęli, że bitwa jest już przegrana.

Sspari zostali pokonani. Nawet jeśli przyjdzie jeszcze i ze sto lat wojować na powierzchni planety, to zasadnicza robota została wykonana. Ampliturowie mogli już wracać do domu, zostawiając resztę kampanii Krygolitom i Aszreganom.

Pora zająć się własną reprodukcją, pomyślał Decydent, oraz zidentyfikowaniem tych obcych sił, które omal nie zamieniły triumfu Wspólnoty w porażkę. Kimkolwiek byli, walczyli dobrze. Gdyby przybyli wcześniej, zwycięstwo mogłoby przyspać im właśnie.

Bez głębszych analiz widać było, że reprezentują wysoki poziom rozwoju technicznego. Byli tym bardziej niebezpieczni, że znali się na sztuce wojennej i potrafili zrobić właściwy użytek ze swych zdolności. Większość ras tego nie potrafiła, sama perspektywa walki przyprawiała je o szaleństwo. Ampliturowie musieli wielokrotnie przebudowywać psychikę swoich sojuszników, aby ci mogli w ogóle zacząć posługiwać się bronią. Ciekawe, jakich metod używali tamci? Koniecznie trzeba dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Decydent poczynił stosowne kroki w tym kierunku.

Nie wszyscy przeciwnicy zdołali umknąć. Wśród szczątków i wraków znaleziono dryfujący bezwolnie na orbicie poważnie uszkodzony statek. Zniszczenia ograniczały się jednak tylko do napędu, co należało uznać za wydarzenie niezwykle. Po takiej bitwie przeważnie nie ma rozbitków. Moc stosowanych broni jak i sama próżnia kosmiczna sprawiały, że nawet lekkie uszkodzenie prowadziło zwykle do utraty całej jednostki.

Dowodzony przez Segunianina statek zlokalizował uszkodzoną jednostkę, ale nie udało się jeszcze ustalić, czy pokładowe systemy podtrzymania życia działają. Decydent miał nadzieję, że jednak wytrzymały. Powoli przeholowano zdobycz pod kadłub o wiele większej jednostki flagowej. Obcy statek różnił się znacznie konstrukcją od pojazdów Wspólnoty, jednak można było odszukać pewne funkcjonalne podobieństwa. Napęd był niesprawny, ale nie nosił śladów implozji, co dobrze świadczyło o jego budowniczych.

Widoczne w nie uszkodzonych iluminatorach smugi światła sugerowały, że obce istoty mają podobną percepcję wzrokową. Stwierdzono też, że powietrze na pokładzie zawiera tlen i azot w normalnych proporcjach.

Jednak dla dokładniejszego poznania obcych konieczny był abordaż. Mimo ewentualnego oporu należało zrobić wszystko, aby zdobyć żywe okazy.

Opór i owszem był, ale mizerny. Wystarczyło wprowadzić do systemu wentylacyjnego statku łagodny środek nasenny i w chwili później można było wyciągnąć bezwolnych rozbitków z wraku. Pierwszą niespodzianką był ich wygląd. Pierwszą, ale nie ostatnią.

Trafiono na załogę składającą się z przedstawicieli sześciu różnych ras, co już samo w sobie było niezwykle. Różnice między nimi rzuciły się w oczy nawet laikom, przywykłym przecież do nierzadkich we Wspólnocie anomalii biologicznych w obrębie jednego gatunku.

Mimo takiej różnorodności rasy te najwyraźniej potrafiły ze sobą harmonijnie współpracować.

Było to odkrycie tyleż niepokojące, co obiecujące. Z jednej strony mogło oznaczać, że przeprowadzonej przez Ampliturów Wspólnocie przyjdzie zapewne potykać się z sześcioma nowymi cywilizacjami, z drugiej wszakże dawało szansę zdobycia aż sześciu nowych sojuszników.

Amplitur nie posiadał się ze szczęścia. Po raz pierwszy trafiono na inną, podobną do Wspólnoty federację ras. Oto grupa istot inteligentnych, które mimo odmiennych korzeni nauczyły się współdziałać, chociaż żadna z nich nie znała Celu. Odkrycie o wielkiej wadze.

Nie wszystkie statki obcych zdołano zniszczyć, kilka uciekło, co oznaczało, że wrogowie zostaną ostrzeżeni. Była to niemiła wiadomość, bowiem zawsze lepiej jest działać z zaskoczenia. Jednak Ampliturowie nie zamartwiali się tym przesadnie. Po pierwsze, takie spóźnione żale to tylko niepotrzebna strata energii, po drugie zaś i tak dadzą sobie radę, jak zwykle zresztą.

Wśród jeńców przeważały istoty płucodyszne, jednak byli też przedstawiciele dwóch gatunków oddychających metanem i jeden skrzelodyszny. Obcy nie wyglądali też wcale na zdumionych różnorodnością rasową panującą na pokładzie statku Wspólnoty. Co więcej, uznawali, że ich federacja może spokojnie równać się pod każdym względem ze Wspólnotą. Gdy Ampliturowie to usłyszeli, uradowali się jeszcze bardziej.

Wspomniana federacja zwała się Gromadą albo Splotem. Gdyby tak przyłączyć ją do tworu Ampliturów, potęga Wspólnoty Celu wzrosłaby dwukrotnie.

Odkrycie było tak ważne, że Ampliturowie zorganizowali pospiesznie konferencję na pokładzie jednostki flagowej. Niektórzy oficerowie argumentowali wprawdzie, że lepiej będzie nie gromadzić wszystkich Ampliturów na jednym statku, bo przecież Sspari mogą jeszcze zaatakować, ale samych Ampliturów to nie martwiło. Gdyby nawet zginęli skutkiem desperackiego rajdu wroga, to Molitarowie i Korathowie dadzą tu sobie radę i bez nich. Decydent i jego pobratymcy nie po raz pierwszy pomyśleli z troską, jak mało samodzielności przejawiają niekiedy ich sojusznicy. Czyżby nie pojłowali, że wobec Celu wszyscy są równi?

Pomysł spotkania rzucił Inseminat. Pozostali zgodzili się, że należy jakoś uczcić wspianą wiadomość.

Powitanom na pokładzie towarzyszyły dotknięcia czułkami i tkliwe muśnięcia aparatami gębowymi. Mimo stresujących okoliczności, dwóch Ampliturów bliskich było rozwiązania. Po piętnastomiesięcznej ciąży nabrzmiałe narośle na grzbietach miały pęknąć, uwalniając całkiem

niezdolne jeszcze do samodzielnego życia młode osobniki.

Przez dłuższy czas potomstwo musiało się odżywiać papką wytwarzaną przez organizmy rodziców. Sztukę poruszania się opanowywały dość późno, jednak naukę zaczynały o wiele wcześniej. Obserwowały otoczenie, przyswajały sobie przekazywane telepatycznie przez rodziców informacje.

Wszyscy zgromadzili się w sali rekreacyjnej, opróżnionej na tę okazję z normalnego wyposażenia. Wnętrze nadano taki wystrój, by nie onieśmiało obcych.

Poza Ampliturami stało się jeszcze kilku krygolicznych techników i paru Segunian. Drzwi pilnował pojedynczy, ale za to potężny Molitar.

Dwunastu Ampliturów spoczęło na półkolistych ustawionych leżankach, a przed nimi stanął wysoki i szczupły obcy. Wyraźnie starał się oszczędzać jedną z dwojga nóg, która musiała zostać zraniona. W hierarchii dowódczej floty, która wspomogła Ssparich, lokował się gdzieś pośrodku. Na pewno nie zajmował stanowiska analogicznego do godności Decydenta, ale stał wyżej niż zwykły technik.

Wstępne przesłuchanie ujawniło, że organizacja skupiająca te różnorodne obce istoty zwała się oficjalnie Splotem, a potocznie Gromadą, i była naprawdę potężna, spory czy walki zaś zdarzały się w jej obrębie nader sporadycznie. Można powiedzieć, że były zjawiskiem zanikającym.

Ampliturowie potrafili to zrozumieć. Zjednoczenie pod sztandarem Celu różniło się zasadniczo od niepewnych i chwiejnych sojuszy, dających przede wszystkim militarną siłę. Gdy światy Splotu poznają Cel, na pewno zaprzestaną tych nielicznych (podobno) waśni i dołączą do dojrzałych intelektualnie ras.

Pojmane na pokładzie wraku istoty nie władały szczególnie skomplikowanymi językami, tak więc odpowiednie zaprogramowanie mechanicznego tłumacza nie nastęczało kłopotów. Ampliturowie, rzecz jasna, nie musieli korzystać z jego usług.

Obcy zmierzył zwycięzców spojrzeniem. Wyteżał oczy, jakby ledwo dostrzegał skąpane w czerwonej poświacie kształty.

– Czy oświetlenie jest dla ciebie za słabe?

Obcy oficer zachwiał się i przyłożył dłoń do ucha.

– Kto to powiedział?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, podszedł bliżej. Wyposażony w muskularne ramiona i ostre zęby obcy mógłby być groźny, szczególnie dla Ampliturów, istot o miękkich i mało odpornych ciałach. Impuls myślowy zatrzymał go w miejscu. Jeniec wyczuł, co się dzieje, i po niejakiem wahaniu dał parę kroków do tyłu.

– Czy on nas widzi? – spytał w myślach jeden z Ampliturów.

– Z tego, co słyszeliśmy – odparł Inseminat – jego oczy reagują w zasadzie na te same długości fal, co w przypadku większości naszych sprzymierzeńców. W porównaniu z dostępnym nam spektrum, jego przesunięte jest nieco w kierunku ultrafioletu. Niemniej...

Na znak Inseminata rozjaśniono światła w pomieszczeniu.

Jeniec przyjrzał się uważnie dwunastce Ampliturów. Ich czułki emitowały powoli nieodgadnione wzory. Obcy zdradzał oznaki niepewności.

Inseminat uniósł jeden z czułek i rozczapierzył wszystkie cztery palcowate odrostki. Był to znak powitania.

– Nie chcemy cię skrzywdzić.

– Jak dotąd niczego innego nie robiliście.

– Zaatakowaliście nas. To była obrona konieczna. Wiemy, że twoje imię brzmi Prinak i że spośród ocalałych istot to ty jesteś najstarszym oficerem na pokładzie statku, który przechwyciliśmy.

– Co zamierzacie z nami zrobić? – spytał ostro obcy, poruszając nerwowo czarnym nosem i uszami.

Nieuprzejmy nieokrzesaniec, pomyśleli równocześnie wszyscy Ampliturowie. Istota prymitywna, na poziomie początku ery kosmicznej.

– Nie stanie wam się krzywda – powiedział Mroczek, niedorosły jeszcze osobnik, który dotąd tylko obserwował wszystko w milczeniu. – Zostaniecie włączeni do wielkiego dzieła, poznacie Cel.

– Jaki „Cel”? Od kiedy tu jesteśmy, wszyscy gadają nam coś o jakimś „Celu”.

Inny Amplitur wyjaśnił zwięźle, w czym rzecz.

– A jeśli odmówimy, jak Sspari, którzy wezwali nas na pomoc? Co wtedy?

– Nie macie wyboru. Wszystkie inteligentne istoty muszą uznać Cel za słuszny. Nasza rozmowa niczego nie zmienia. Cel i tak znajdzie was, prędzej czy później. Tak już jest.

– A jeśli my uważamy inaczej? – odparował Prinak.

– Przekonamy was. – Ampliturowie nie pojmowali, czemu tak wiele ras nie potrafi od razu dostrzec piękna i słuszności Celu.

Obcy oficer przyjął typową dla istot dwunożnych postawę obronną: dolne kończyny ugięte, górne wysunięte do przodu. Prymitywna reakcja agresywna, pomyślał Decydent.

– To może być trudne. Tak w przypadku moich pobratymców, jak i wszystkich narodów Gromady.

– Zatem nie jesteście naprawdę zjednoczeni – zauważył jeden z Ampliturów. – Rzadko sięgacie po oręż, ale skłonni jesteście do swarów.

– Brak nam wojowniczości – odwarknął obcy. – Istoty cywilizowane nie uznają przemocy.

– W tym się zgadzamy – powiedział głośno Inseminat.

– Ale zmuszeni będziemy walczyć. Na przykład z wami, skoro chcecie nas podbić.

– My nie „podbijamy” nikogo – odparli dotknięci do żywego Ampliturowie. – Wobec Celu wszyscy są równi. Zapewne więc przyłączycie się do nas.

– Z tego, co widziałem i słyszałem – zauważył nieco uspokojony obcy – wy, Ampliturowie, uważacie się za coś lepszego.

– My pierwsi pojęliśmy Cel, pierwsi zrozumieliśmy jego implikacje. – Decydent machnął pojednawczo czułkiem. – Musisz wiedzieć, że przeprowadziliśmy już wiele takich rozmów i nie zaskoczysz nas niczym nowym. A skoro masz nas za zdobywców, to co powiesz na fakt, że w wraz z siłami inwazyjnymi przybyło nas tu ledwie dwunastu?

Obcy zastanowił się, zamrugał podwójnymi powiekami.

– Naprawdę? Tylko dwunastu w całej flocie?

– Nigdy nie kłamiemy – odparł Inseminat. – To byłoby bez sensu, jeśli służy się Celowi. Brak racjonalnych przesłanek.

– Nie jesteśmy fizycznie przystosowani do walki – dodał inny z dwunastki. – Załoga tego statku mogłaby obezwładnić nas w jednej chwili. Gdyby tylko chciała, rzecz jasna, a skoro tego nie robi, znaczy że nie chce.

– A czemu nie chcą? – spytał podejrzliwie Prinak.

– Bo rozumieją Cel. Pragną tego samego, co my.

– No cóż, tego ostatniego nie rozumiem. Co więcej, wcale nie mam ochoty starać się was zrozumieć. Moja załoga myśli podobnie.

– Zrozumienie nie przychodzi od razu, objawienia zaś należą do zjawisk rzadkich nawet w tak olbrzymim Wszechświecie. Zresztą lepiej, gdy dochodzi się do prawdy samemu i bez przymusu, dzięki własnym badaniom i przemyśleniom.

Obcy zawahał się.

– Powiedzieliście, że nie zamierzacie nas skrzywdzić. Co zatem z nami zrobicie?

Oficer Splotu odniósł wrażenie, jakby Ampliturowie nagle ogłuchli i oślepli. W rzeczywistości

naradzali się. Oczy jeńca rozszerzyły się ze zdumienia, gdy rzecz pojął.

– Telepatia to wymysł, wieczne marzenie o bezpośredniej wymianie myśli. Narusza znane nam prawa zachowania energii. Jednak wy to robicie. Jakim cudem?

– To unikalna cecha, którą posiadamy jako jedyny znany nam gatunek. Wykształciła się w dawnych czasach, kiedy nasi prymitywni przodkowie walczyli o przetrwanie w nieprzyjazznym środowisku macierzystego świata. Nie czujemy się przez to ani trochę lepsi. Jesteśmy tylko inni.

Obcy po raz pierwszy okazał strach.

– Czytacie moje myśli?

– Nie – odparł czym prędzej jeden z Ampliturów. – Pamiętaj, że zawsze mówimy prawdę.

– Jeśli nie potraficie czytać myśli, to w jaki sposób...?

– Nadajemy. To jest nasza unikalna cecha. Każdy potrafi odbierać, chociaż w niektórych umysłach ta umiejętność trwa w uśpieniu i wymaga rozbudzenia. Jednak jeśli nikt nie nadaje do ciebie, nie wiesz nawet, że potrafisz odbierać.

– Jeśli obserwowałeś nas uważnie to wiesz, że nie poruszamy ustami, chociaż potrafimy też wydawać modulowane dźwięki, tak jak ty. Od samego początku naszej rozmowy posługujemy się wyłącznie projekcją komunikatów myślowych. Skoro nigdy dotąd tego nie zaznałeś, sądziłeś że słyszysz nasze słowa. Zwyczajna sprawa.

– Przekonałeś się już chyba, że to nie boli?

– Nie odpowiedzieliście na moje pytanie. Co z nami zrobicie?

– Sądzę – oznajmił Decydent, bowiem sprawa została już postanowiona – że na początek pomożemy wam w naprawie waszego statku.

– Że jak? – Prinak znów zamrugął powiekami.

– Pomożemy wam naprawić statek. Najlepiej, jak potrafimy. Matematyka jest jednakowa w całym Wszechświecie, zatem napęd podprzestrzenny wszędzie działa na tej samej zasadzie. Co najwyżej materiały i projekt mogą być inne.

– Zamierzamy pozwolić wam wrócić do swoich. Wprawdzie zaatakowaliście nas niczym nie sprowokowani, zabiliście wielu z nas, ale teraz posłużycie za wysłanników, opowiecie Gromadzie o naszym istnieniu, przekażecie nasze posłanie. Nie kryjcie niczego. Wyposażymy was w stosowne materiały, informacje i dane statystyczne, byście nie musieli opierać się tylko na własnych obserwacjach.

– Wyczuwamy twój strach. Nie zostaniecie poddani żadnej obróbce, nie będzie prania mózgu. Sami zdecydujecie, jak postąpić. Być może nie powiecie swoim ani słowa albo będą to same

zmyślenia. Nie możemy temu zapobiec. Jesteście istotami inteligentnymi i macie wybór. Ale przecież nie można lękać się idei!

– Nie ukryjemy niczego na pokładzie waszego statku ani nie odmienimy waszych umysłów, chociaż i jedno i drugie przyszłoby nam bez trudu.

Wolnokroczący poruszył się lekko i zademonstrował obcemu, o czym mowa.

Oficer zgiął się momentalnie we dwoje, objął dłońmi głowę i opadł na kolana. Ból trwał ledwie sekundę, ale powrót do przytomności zabrał jeńcowi kilka chwil. Gdy wstał, trząsał się cały, język zwisał mu z ust.

– Co... to było? Co zrobiliście?

– Nadać można niejedno – odparł Decydent. – Boli jeszcze? Wezwać lekarza?

– Nie – mruknął słabo Prinak. – Już mi lepiej. Który to zrobił? – spytał, radykalnie zmieniając nastawienie do gospodarzy.

– Nieważne. – Decydent machnął lekceważąco czułkiem. – Każdy z nas to potrafi.

Prinak odetchnął głęboko.

– Chyba wiem już, jak w dwunastu możecie panować nad całą armią.

Decydent zapłonął oburzeniem.

– Nie wykorzystujemy tych zdolności przy kontrolowaniu podwładnych.

– Nie musicie. Starczy, że wasi podwładni wiedzą, co możecie im zrobić. Świetny sposób na wymuszenie posłuchu.

– Nikt tu niczego nie „wymusza”. Wszyscy służymy Celowi. – Postawiony wobec takiej ignorancji Decydent omal nie stracił cierpliwości. – Sam to kiedyś zrozumiesz i wstyd ci będzie, że próbowałeś nas obrazić. – Możecie spróbować zbrojnego oporu, ale wiesz już, że i w tym nie będziecie pierwsi. Przyczynicie tylko bólu i śmierci po obu stronach i opóźnicie swe wejście do Wspólnoty. Pewnego dnia i tak zaniechacie wszelkich sporów, poznacie prawdziwy sens egzystencji. Archaiczne koncepcje różnicujące istoty inteligentne zależnie od ich zdolności czy cech fizycznych po prostu zanikną.

– Może się zdarzyć, że to my was pokonamy. Nie wiecie nawet, jak wielka i potężna jest Gromada. Nie dowiedziecie się tego ani ode mnie, ani od mojej załogi, nie znajdziecie tej informacji w bankach pamięci mojego statku, nikt bowiem nie zna prawdziwego zasięgu Gromady. Podejrzewam, że z czymś takim jeszcze się nie spotkaliście.

– Nieważne. Największa nawet federacja jest niczym, jeśli nie łączy jej dążenie do jednego Celu. Życie przecieka wam przez palce, marnujecie swój intelekt, toniecie w chaosie idei, przez co nie

stanowicie dla nas zagrożenia. Cel nie jest niczyją własnością, on istnieje obiektywnie, niezależnie od nas i poza nami. Nie zniszczycie go. To niemożliwe.

– To się jeszcze zobaczy – odrzekł Prinak, chociaż w gruncie rzeczy nie był już tak pewien swoich racji.

To może trochę potrwać, pomyślał Decydent. Ale z prymitywnymi ludami tak bywa. Zwykle wystarczała łagodna perswazja, chociaż szczerze mówiąc, faktycznie nie spotkali jeszcze struktury tak olbrzymiej jak Splot. Co za okazja!

Cała dwunastka była poruszona. Tutaj nie chodziło już ani o jedną, ani o sześć nowych ras, ale o nieznaną bliżej wielką liczbę inteligentnych gatunków. Tyle nowych umysłów pozna Cel! Chwila była historyczna i Ampliturowie radowali się, że mogą być jej świadkami.

Z miejsca pokochali Prinaka miłością wielką i czystą: oto był reprezentant tych istot, dowódca wrogiego okrętu wojennego. Jeniec poczuł ich myśli.

– Jesteście szaleni – powiedział jednak, gdy największe emocje opadły. – Nie kocham was. Nie kocham waszego Celu. Nie widzę w was niczego pociągającego, w gruncie rzeczy brzydzę się wami. Szczególnie zaś nie podoba mi się sposób, w jaki traktujecie waszych niewolników.

– Niewolników? A co to jest?

Prinak wyjaśnił, jednak Ampliturowie niewiele z tego zrozumieli.

– Dziwna koncepcja – zauważyli. – I niepojęta.

– Spróbuję wam ją przybliżyć.

Był to daremny wysiłek.

– W obrębie Wspólnoty Celu nie istnieje coś takiego, jak opisane przez ciebie niewolnictwo. To niemożliwe, skoro wszyscy są równi.

– Równi to akurat nie są. Ampliturowie są „twórcami” Celu i to oni kontrolują Wspólnotę dzięki swym telepatycznym zdolnościom, podporządkowując sobie pozostałe rasy. Te zaś boją się ich i dlatego nie próbują się buntować.

– Wielka jest twoja ignorancja, ale to zrozumiałe – przemówił Decydent. Czasem używał dźwięków z powodów estetycznych. – Ty tam! Scomatt! To trzeci oficer, Krygolit – wyjaśnił. – Jestem Decydem. Boisz się mnie?

– Oczywiście nie – powiedział Krygolit. – Pracujemy razem dla Celu, co więcej, jesteśmy przyjaciółmi.

Dowódca floty pojaśniał z zadowolenia. Obcy też musiał to odczuć.

– A ty, Aswienie z Segunian, czy boisz się mnie?

Wszyscy odpowiadali tak samo, nawet potężny Molitar, który samą masą swego ciała mógłby zmienić Amplitura w marmoladę. Inseminat zagadnął więźnia.

– Nie rozumiemy, o co nas oskarżasz.

– Bo jesteście ślepi.

– Skąd ta pewność, że to my właśnie niedowidzimy? Proponujemy wam współpracę, empatyczne zrozumienie i nie ograniczoną niczym wolność Celu, a ty mówisz nam o lęku przed dominacją. Co pozwala ci twierdzić, że to właśnie ty masz rację, a nie my? Czemu nie może być inaczej?

– Jedyne, co mam wam do przekazania, to że nigdy nie staniemy się częścią waszej Wspólnoty. Cokolwiek uczynicie. Nawet jeśli zabijecie mnie teraz, to niczego nie zmieni.

– Tego czynić nie zamierzamy – odparli wstrząśnięci podobnym pomysłem Ampliturowie. – Nie chcemy nikogo zabijać.

– Powiedzcie to załogom tych statków, które zniszczyliście.

– Oni nas zaatakowali – przypomniał obcemu Decydent. – Powtarzam raz jeszcze, że nie ma między nami powodu do konfliktu.

– Ssperi zwrócili się do Gromady o pomoc. Opowiedzieli, co ich spotkało. Wielu członków Gromady wahało się, czy należy się wtrącać, jednak uznano, że ostatecznie i tak sami na nas traficie. Pomyśleliśmy, że lepiej wyjść naprzeciw zagrożeniu, niż czekać bezczynnie, aż nas zaskoczą. – Obcy wygłaszał te słowa z wyraźną dumą. – Tak właśnie brzmi oficjalne stanowisko Splotu.

– Dostrzegam wiele podobieństw między nami – zauważył inny Amplitur. – Tyle tylko, że wy miewacie odrębne zdania i wiecznie się spieracie.

– Ceniśmy sobie niezależność – powiedział Prinak. – Wy chyba zapomnieliście już, co to znaczy.

– Wszyscy są wolni i mogą czynić, co uznają za słuszne – stwierdził Decydent. – Pod warunkiem, że służą w ten sposób Celowi. Życie codzienne biegnie na różnych planetach odmiennymi torami, nie ingerujemy nigdy w miejscową kulturę czy w sztukę. Niczym grupa przyjaciół zmierzamy do jednego portu. Nie dzielimy się na panów czy, jak to nazwałś, niewolników.

– Nie sędzę, aby wasze pomysły przyjęły się wśród ras zrzeszonych w Gromadzie.

– Czy nie pojmujesz – spytał zmęczonym głosem jeden z dwunastu – że w przeszłości odbyliśmy już wiele takich rozmów i ostateczny wynik zawsze był taki sam?

– Tym razem może być inaczej.

– Nie, nie będzie. – Decydent uniósł się na krótkich, pieńkowatych nogach i podszedł bliżej do

obcego. – Może zakończymy sprawę szybko, może zabierze nam to trochę czasu, ale z góry wiadomo, czym to się skończy. Od tysiąca lat zawsze jest tak samo. To się nie zmienia.

– Nadal zamierzacie wyremontować nasz statek i puścić nas wolno?

– Czy nie wspominałem, że zawsze mówimy prawdę? Potrzebny nam posłaniec. To straszne, że tyle istot musiało zginąć tylko dlatego. Szczęśliwie wiele waszych statków zdołało umknąć.

– Tak, zapewne byliście tym zdumieni. – Obcy nie próbował nawet kryć satysfakcji.

– Nie tyle zdumieni, co ucieszeni. We Wszechświecie są miliony zamieszkanego światów i tysiące inteligentnych gatunków, ale nam jest żal każdej ginącej istoty. Każda śmierć pomniejsza blask Celu.

– Dziwna z was banda – mruknął Prinak. – Gdybyście nie byli takimi fanatykami, mógłbym nawet was polubić.

– Bez końca moglibyśmy rozprawiać, czym naprawdę jest fanatyzm albo poświęcenie. My uważamy się za całkowicie oddanych sprawie i już ciebie lubimy, za prawomyślność, uczciwość i odwagę.

– Już skaczę z radości.

– Nic na to nie poradzimy. Teraz wracaj na swój statek, do swoich podwładnych. Powiedz im, co widziałeś. Dostaniecie wszelkie dane, która dadzą się wprowadzić do waszych banków pamięci. Co z nimi zrobicie, to już wasza sprawa. Prosimy tylko o jedno: żebyście nie cenzurowali tych materiałów. Niech każdy sam rzecz osądzi, jak ty teraz. Zniszczcie je albo ujawnijcie, ale nie zmieniajcie niczego. Nie będziemy mogli w żaden sposób kontrolować was, gdy już odleciecie. Nie potrafimy oddziaływać na większe odległości.

– Czemu mam wam wierzyć? A może jednak to potraficie?

– Gdybyśmy mieli zamiar wykorzystać was i manipulować wami, to czy mówilibyśmy o tym? Czy nie prościej byłoby to po prostu zrobić?

– Nie wiem – uciął Prinak i westchnął. – Nie jestem filozofem, tylko oficerem na pokładzie niedużego statku.

– Zatem nie próbuj podejmować decyzji w sprawach, które cię przerastają. Daj innym sposobność do obserwacji, analizy, wyciągania wniosków. Myśl tylko za siebie. – Amplitur roztoczył wkoło siebie aurę wesołości. – To będzie właśnie przejaw niezależności.

– Muszę przyznać, że was nie rozumiem – powiedział Prinak i skierował się ku drzwiom. Nikt go nie powstrzymał. – Jedno, co wiem na pewno, to że nigdy nie będziemy trybikami kręcącymi się dla potrzeb waszego Celu.

Decydent nakazał Molitarowi odsunąć się od drzwi.

– My chyba lepiej wiemy, co znaczy nigdy.

Rozdział 03

Cziczuntu było światem równie pięknym, jak jego mieszkańcy. Waisowie należeli do ptakowatych: wysocy, cisi, o nienagannych manierach i prezencji, rzadko się podniecali i mało co potrafiło zakłócić ich dobre samopoczucie.

Kaldaq myślał, że to sprawa samokontroli. Massudzi tak nie potrafili. Tubylcy mieli zawsze czyste mundury i poruszali się tanecznym niemal krokiem. Uprzejmi w rozmowie, a wcale nie obłudni. Gromada nie znała drugiego podobnie złożonego i trudnego do ogarnięcia umysłem społeczeństwa. Tutaj każdy gest, każde zachowanie miało swoje ściśle określone znaczenie. Ilość reguł interpretacji i norm zwyczajowych była tak wielka, że tylko sami Waisowie znali je wszystkie. Ich język prześcignął swą doskonałością systemy komunikacji werbalnej (i niewerbalnej, czyli opartej na przykład na mimice) wytworzone przez inne kultury; w porównaniu z dziedzictwem Waisów wszystkie robiły wrażenie prymitywnych. Nic dziwnego, że uchodzili za urodzonych lingwistów.

Z tych też powodów wybierano często świąty Waisów na siedziby regionalnych baz dowództwa. Formalne protesty gospodarzy niczego nie zmieniały. Uważano, że panująca w tym społeczeństwie atmosfera wpływa zbawiennie na członków Gromady i pomaga im unikać przypadkowych konfliktów. Tych ostatnich wszyscy bali się jak ognia.

I rzeczywiście. Trudno było ryknąć na sąsiada wiedząc, że uprzejmy Wais ominie w tłumaczeniu wszystkie obelgi, niezależnie od tego, która strona je wygłosiła. Niejednemu robiło się wstyd i odpowiednio wcześniej gryzł się w język.

Nawet sama siedziba dowództwa wyglądała dość osobliwie. Na Massudai, na przykład, centrum zostałyby wzniesione gdzieś na pustkowiu, z dala od miast, może nawet schowano by je głęboko pod granitowym masywem gór. Waisowie jednak zażądali, by baza stała się pośrodku największego parku w mieście, po czym przyozdobili ją fontannami i malowniczymi skalnymi ogródkami.

Cała planeta przypominała zresztą z grubsza wielki park, pomyślał Kaldaq. Wcale mu się to nie podobało. Liczne żywopłoty, mnóstwo rosnących blisko siebie drzew. Naturalnym środowiskiem Massudów były nagie równiny, gdzie tylko z rzadka rósł jakiś krzak lub gaik, i gdzie można wędrować całymi dniami przed siebie, robiąc dobry użytek z długich nóg, jak czynili to przodkowie Kaldaq. Wędrówki te nie były związane z polowaniem ani z handlem, tutaj chodziło o coś znacznie wznioślejszego.

Biegi na długie dystanse, skoki w dal i wzwyż były czymś w rodzaju plemiennego sportu. Związany z elementem rywalizacji obrządek uczynił ostatecznie z Massudów całkiem niezłych

żołnierzy. W Gromadzie takich ras było nader niewiele, zresztą, jak wszystkie istoty inteligentne, Massudzi też nie kochali wojaczki.

Ktoś jednak musiał stawać z bronią w ręce. S'vanowie. Hivistahmowie, Leparowie a nawet Waisowie pomagali jak mogli, ale gdy dochodziło do walki, to niewielki był z nich pożytek. Nawet osobnicy rasy Czirinaldo, chociaż niemal dorównywali w polu Massudom, pod ogniem nieprzyjaciela zawodzili. Nic dziwnego, skoro ich przemiana materii oparta była na fotosyntezie.

Kaldaq poprawił bluzę mundurową i szorty, przyglądał wystającą spod mankietów sierść. Miał jasnoszare oczy z niemal czarnymi, pionowymi kreseczkami źrenic. Ostatnimi czasy próbował nieco się odprężyć, ale niezbyt mu się to udawało. Massudzi byli dość pobudliwi, na skutek czego rzadko awansowali. Wysokie stanowiska dowódcze powierzano raczej zrównoważonym S'vanom, którzy swoim spokojem lepiej oddziaływali na podwładnych.

Tym bardziej znaczącym był fakt, że właśnie Kaldaq, nie dość że Massud, to jeszcze młodzik, objął powierzone mu dowództwo statku.

Zdarzało się to już w przeszłości, jednak rzadko. Kaldaq wiedział o tym i wcale go ta świadomość nie uspokajała. Nerwowo szarpał swoje starannie utrzymane baczki.

Podwinął górną wargę i wyczyszczonym pazurem wydlubał spomiędzy kłów drobinę pożywienia. Spojrzał na to coś i rzucił na ziemię. Przedtem jeszcze rozejrzał się wkoło, czy nikt go nie widzi. Niechby tylko jakiś Wais zobaczył te wysoce nieprzystojne poczynania... Kaldaq czerpał z podobnego obrazoburstwa sporo przewrotnej satysfakcji.

Z pewną nadzieją i sporymi obawami pomyślał o swoim losie. Co oni właściwie kombinują w tym sztabie?

Sprawdził raz jeszcze mundur, ponownie przejechał pazurem po zębach i przystanął, by złapać wiatr. Zieleń i kwiaty. Wszędzie pełno kwiatów. Ich intensywna woń upośledzała doskonały węch.

Dowództwo okręgu mieściło się w szpetnym budynku otoczonym malowniczym jeziorem. Kiedyś był już w podobnym miejscu z rodzicami, też żołnierzami, chociaż żadne z nich nie awansowało nigdy tak wysoko. Jako ich potomek czuł ciężar odpowiedzialności.

Jego rodzice także nie pragnęli zostać wojskowymi, ale nie mieli wielkiego wyboru. Tylko Massudzi okazali się dość odporni, by wytrzymać grozę bitwy i zabijania. Dla innych ras wstrząs był zbyt duży. Tak zatem Massudzi bronili Gromady, a ta dostarczała im wszystkiego, co niezbędne, począwszy od broni, a skończywszy na żywności.

Kaldaq przesunął odruchowo palcem po lewym uchu, na którym brakowało normalnego, czarnego pędzelka. Drobną skaza genetyczną. Nic wielkiego, ale przedstawicielki żeńskiej części jego gatunku to zauważały.

Wszedł do budynku i ruszył za projekcją wiodącą, która wyświetliła się na wprost jego oczu.

Czego ode mnie chcą? – zastanawiał się. Może lepiej stąd pryskać?

W biegach akurat był całkiem dobry, o wiele lepszy niż w skokach, i to mimo dość wysokiego wzrostu. Jednak największym z jego talentów była zdolność do głębokiej koncentracji, rzecz szczególnie przydatna przed walką.

Ampliturowie po prostu rozwijali pożądane cechy u poddanych sobie ras. Gromada tak nie postępowała, musiała więc korzystać z naturalnych zdolności poszczególnych gatunków. Oczywiście, takie pragmatyczne podejście groziło zawsze naruszeniem ładu kruchej koalicji. Konflikty były na porządku dziennym i jedynie istnienie wspólnego wroga ratowało ostatnimi czasy Gromadę przed rozpadem.

W warunkach pokładowych porywczosć Massudów mogła mieć zgubne skutki. Nerwowy kapitan, kłótniwa załoga... Kaldaq był inny. Zdolność do samokontroli czyniła zeń obiecującego młodego oficera.

Inni Massudzi pytali go często, jak to robi. Odpowiadał, że to kwestia odmiennego myślenia, umiejętność wpływania na emocje a nawet na metabolizm. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, odpowiadali.

Dotarł do drzwi na jednym z wyższych pięter. Na początek sprawdzono jego dane osobowe, potem poddano testom identyfikacyjnym. Biegli w bioinżynierii Ampliturowie potrafili doskonale podrabiać cechy zewnętrzne dowolnej rasy. Wysyłali potem takich agentów, by ci siali zamęt na wybranych światach.

Szczególnie wiele kłopotów mieli Hivistahmowie. Pośród sług Ampliturów była rasa łądząco do nich podobna. Miejscowe władze co i rusz trafiały na ślad jakiegoś dywersanta. Wyłapywały ich, oczywiście, ale ze zmiennym szczęściem.

Kaldaq nie przejmował się zbytnio Hivistahmami. Byli zieloni, pokryci łuską i skorzy do narzekań. Nieustannie marzyli o powrocie do domu. Owszem, byli przydatni, a to za sprawą długich, kościstych palców i wielkich talentów inżynierskich, ale podczas długiej podróży niedobrze robiło się od ich towarzystwa. Okazywali się chorzy z ponurej tęsknoty i jednocześnie zbyt poważni.

Kaldaq dziękował losowi, że pośród niewolników Ampliturów nie było rasy podobnej do Massudów.

Brun czekał już na niego. Podobnie jak wielu innych S'vanów, awansował o wiele szybciej niż którykolwiek Massud, i obecnie zajmował już stanowisko dowódcze. Kaldaq wcale mu nie zazdrościł. Taki był porządek rzeczy.

I Massudzi i S'vanowie byli ssakami, ale na tym podobieństwa się kończyły. S'vanowie pochodzili od istot wyłącznie roślinożernych, nie byli tak wyrafinowani jak Waisowie, ale i tak przewyższali pod tym względem Massudów. Przysadziści i obrośnięci bujną sierścią, nosili zawsze skąpe i pozbawione ozdób ubrania. Ponad wszystko uwielbiali pieśni miłosne i naszpikowaną wieloznacznościami, romantyczną poezję.

Wśród obcych czuli się całkiem dobrze, niezależnie od tego czy otaczali ich wojowniczy Massudzi, czy prostoduszni Leparowie. Popularności przydawał im puchaty wygląd, prawie wszędzie uznawany za sympatyczny i nie kojarzony z niczym groźnym.

Byli przy tym bardzo bystrzy, w krytycznych sytuacjach podejmowali niezmiennie właściwe decyzje. Właściwe nie tylko dla nich, ale dla wszystkich zainteresowanych. Przejawiali też niejaki talenty językowe. Ich wysoka pozycja w Gromadzie była w pełni zasłużona.

Jeśli ktoś jest mądrzejszy od ciebie, musisz się z tym pogodzić i kropka. Owszem, możesz mu się sprzeciwić, odebrać dowództwo i zginać śmiercią bohatera, ale po co, skoro S'van potrafi zwykle wyjść cało z najgorszej bryndzy? Wojna to nie sport. Kaldaq chętnie wykonywał rozkazy puszystego i dobrodusznego S'vana. I nie tylko on.

Z innymi rasami bywało różnie. Waisowie jako przełożeni robili wrażenie wywyższających się, co na dłuższą metę wywoływało irytację. S'vanowie wręcz przeciwnie. Pozostawali zwykłymi kompanami, tyle że sprawniej posługującymi się głową. Gdyby któryś zaczął działać na nerwy, zawsze można było złapać taki kłębek futra i wyrzucić przez najbliższe okno. W przerośni, rzecz jasna, nie dosłownie. Można domniemywać, że to właśnie S'vanowie (a nie Waisowie) robili najwięcej dla utrzymania jedności Gromady.

Brun nie różnił się od swoich pobratymców. Znacznie starszy od Kaldaq, był niższy odeń o połowę, pozbawiony ogona, miał płaską twarz i usta pełne pieńkowatych zębów. Czarna kaskada kędzierzawych włosów spływała mu na ramiona, odsłaniając jedynie oczy, nozdrza i usta. Pod spodem czerniała gęsta broda, którą musiał skracać co trzy dni.

Mimo serdecznego jak zwykle powitania Kaldaq wyczuł, że coś wisi w powietrzu. Dziwna rzecz, ale byli w biurze sami. Ki diabeł?

Brun był niski, jednak nikczemny wzrost jakoś nie rzucał się w oczy. Może była to sprawa ogólnie pozytywnego wrażenia czynionego przez S'vanów, a może tego, że Brun był komendantem sektora.

– Jakież kłopoty? – spytał Kaldaq.

– A czemu pytasz?

– Bo słyszałem, że podobno Ampliturowie i Krygolici zbierają się z T'returimi, aby napaść na skrajne światy Jiidgów.

– No to wiesz tyle, ile wszyscy – odparł spokojnie Brun i odsunął się nieco od Massuda. Dość miał zadzierania głowy, żeby popatrzeć na kapitana.

Chwilę później przeszli do sali projekcyjnej. Wywoływała dziwne wrażenie. Kaldaq poczuł się tak, jakby opuścił statek kosmiczny w głębokiej próżni. Tyle tylko, że obrazy gwiazd były świetlnymi symulacjami.

Sterowniki sali wyczuły ich obecność i podsunęły im pod nogi stosowną rampę z pola siłowego.

Każdy ze świetlnych punktów można było dowolnie powiększyć, aż oczom obserwatora ukazywał się pożądaný system gwiazdny. Kaldaq rozpoznawał wiele z nich, ostatecznie obecna projekcja ukazywała tylko mały wycinek Galaktyki, a on pamiętał położenie niemal wszystkich światów Gromady. Nie było łatwo się tego nauczyć.

Inne punkty świetlne oznaczały statki lub całe floty. Kaldaq zauważył sporą aktywność sił kosmicznych w sektorze Protan. Za zgodą Bruna poprosił projektor o powiększenie. Pojedyncze statki orbitowały wokół centralnej planety sektora.

Kaldaq zadumał się. Nie nad samą projekcją, to była rzecz wspaniała ale zwyczajna. Projekt S'vanów, robota Hivistahmów i O'o'yanów. Oprogramowanie było zapewne dziełem Turlogów.

Fascynujący był sam pomysł prowadzenia wojny na galaktyczną skalę. Z takich miejsc można było dowodzić odległymi o setki parseków próżni statkami. Obie strony angażowały w walkę całość swych technicznych i naukowych dokonań.

Ampliturowie potrafili walczyć, wiedzieli też jak efektywnie wykorzystać swych niewolników, ale nie to było najgorsze. Naprawdę przerażająca była ich cierpliwość, konsekwencja z jaką realizowali swoje cele. Niezależnie od ilości i skali porażek, nigdy nie rezygnowali. Straty nie robiły na nich najmniejszego wrażenia, nie poddawali się nawet w najbardziej beznadziejnych sytuacjach.

Setki lat temu uznano tę smutną prawdę, że jedynym sposobem zakończenia wojny będzie całkowita zagłada Ampliturów. Świetny pomysł, ale do dzisiaj nikt nie wiedział, gdzie krąży macierzysta planeta tych stworów. Nie znano nawet jej przypuszczalnych koordynatów. Beznadziejna sprawa.

Alternatywa była prosta, chociaż upiorna. Nie walczyć, lecz przyłączyć się do nich. Podjąć ich dzieło.

Problem w tym, że oznaczało to całkowite podporządkowanie się nowym panom, którzy zwykli opanowywać wszystkie istotne dziedziny życia i stanowiska. Poza tym byłaby to decyzja nieodwołalna. Parę ras tego spróbowało. Nie zdarzyło się jeszcze, aby którejś z podbitych nacji dano czas do namysłu i szansę na zmianę zdania o Celu. Ampliturowie uznawali słusznie, że mimo iż wiele jest ras krnąbrnych, to nie spotyka się wcale krnąbrnych genów. Poddaj się im, uznaj głośno wielkość ich Celu, a już oni namieszają ci w łańcuchach DNA.

Było się czego obawiać.

Na polecenie Kaldaqa obraz wrócił do poprzedniej skali.

Brun poprowadził go dalej. Nie każdy potrafił wytrzymać na chybotliwej pozornie kładce zawieszanej nad bezdenną przepaścią kosmosu. Światłolubni Czirinaldo w ogóle tu nie zagląдали. Dla Kaldaqa był to widok uspokajający.

– Obawiasz się walki – powiedział Brun, wspiąwszy się na kilka niewidocznych stopni. Zerknął jednym okiem na Kaldaqa, który przez uprzejmość pozostał na dole.

– Nikt zdrowy na umyśle tego nie lubi, ale zaczyna mi jakby brakować cierpliwości. Jestem już gotowy, a ciągle czekam.

– Jesteś więcej niż gotowy. Przeszedłeś specjalne przeszkolenie. Niektórzy uważają cię za nader obiecującego oficera. O unikalnych zdolnościach i tak dalej. Gadanie.

Oczywiście nie była to obraza, a jedynie żartobliwa bagatelizacja sprawy. S’vanowie mieli osobliwe poczucie humoru, nierzadko czarnego. Potrafili naśmiewać się nawet z perspektywy śmierci ciepłej Wszechświata. Massudzi wiedzieli, co to dowcip, jednak zwykle nie pojmowali ulotnych skojarzeń szybko myślących S’vanów.

– Spokojnie, nie wezwałem cię w charakterze oferty kompanijnej. – Brun zapatrzył się gdzieś w mrok projekcji. Oczy lśniły mu lekko spomiędzy kudłów. – Twoja dotychczasowa kariera i przejawiane umiejętności predestynują cię do szczególnych zadań.

Chce mi dać statek, pomyślał Kaldaq. Żaden Massud nie dostał jeszcze podobnego zaszczytu w tak młodym wieku. Honor dla całej rodziny, S’van przyglądał mu się, postukując nieznacznie zębami. Znak rozbawienia. Sposób rozładowania sytuacji. Jowialność wymuszona, być może, ukrytym lękiem przed nerwowymi reakcjami istot mniej rozwiniętych umysłowo, jednak silniejszych.

– Statek nazywa się... Nie potrafię tego nawet wymówić. Zbudowali go Hivistahmowie z zastosowaniem najnowszej technologii. Pełna zdolność akomodacji dla potrzeb wszystkich członków Gromady. Niezbyt obszerny, Czirinaldom będzie ciasno, ale trudno. Nie jest to zwykły statek. Został specjalnie wyekwipowany i przebudowany na jednostkę bardzo dalekiego zasięgu, przy szybkościach podprzestrzennych.

– Zadanie dywersyjne? Jakiś sabotaż? – Kaldaq ledwie panował nad emocjami. Oto szansa na rozślawienie imienia. – Gdzie zostaną wysłani? Jakie dostanę zadanie? Jaką załogę?

– Załoga będzie mieszana. Oczywiście, znajdzie się w niej i twoja partnerka. Co do reszty... Jeszcze nie wszystko postanowione. Pomyśleliśmy, że może zechcesz włączyć się w przygotowania i sam wskażesz konkretnych oficerów, których chciałbyś mieć przy boku w tak specyficznej potrzebie.

– Wielkie dzięki – mruknął odruchowo Kaldaq.

S’van nawet sobie nie przerwał.

– Masz wolny wybór. Oczywiście pod warunkiem, że uda się dla wszystkich znaleźć zastępstwa na dotychczasowych stanowiskach. Dostaniesz pełną ekipę hivistahmskich techników i O’o’yanów, obsługę pokładową z dobranych Leparów i przynajmniej paru Czirinaldo. I jeszcze ze dwóch Waisów.

– Koniecznie?

– A co zrobisz, jeśli wyśiądzie ci mechaniczny tłumacz?

– Będę porozumiewał się na migi.

– Niestety, kapitanie, Waisowie będą niezbędni. Podobnie jak i paru S’vanów – dorzucił mimochodem. – Zapewne uda się też pozyskać Turlogów.

Kaldaq pomyślał zdumiony, że to musi być o wiele ważniejsza misja niż z początku podejrzewał.

Turlogowie byli nieliczni nawet na swojej planecie. Różnili się zasadniczo od wszystkich ras Gromady. Szeptem powtarzana plotka głosiła, że biologicznie najwięcej wspólnego mieli z Ampliturami. Jednak nie kochali ani Ampliturów, ani ich Celu.

Poszczególni Turlogowie wiedli raczej samotniczy tryb życia, na skutek czego nie wykształcili zbyt bogatego wachlarza więzi społecznych. Chociaż hermafrodytyczni, w odróżnieniu od Ampliturów byli jajorodni. Jak wszystkie istoty rozmnażające się bez potrzeby odbywania stosunków seksualnych, świetnie obywali się na co dzień bez towarzystwa innych istot swojego gatunku.

Wielka szkoda, że było ich tak mało. Jak nikt inny posiadali podzielną uwagę, co czyniło ich szczególnie przydatnymi w bitwie, gdy trzeba było często zajmować się kilkoma sprawami na raz.

Wojna była dla nich zjawiskiem egzotycznym, jednak szybko pojęli, jak wielkie zagrożenie stanowią Ampliturowie, i przyłączyli się do Gromady tylko w tym jednym celu: aby pomóc ich pokonać. Jako długowieczni, rozmnażali się rzadko. Niektóre ludy uważały, że Turlogowie po prostu przynoszą szczęście i niczym amulety chronią od wszelkiego zła. Tak czy inaczej, zawsze chętnie brano ich na pokład.

– A gdzie dokładnie mamy lecieć?

– Pokażę ci.

Gwiazdne pola zawirowały, ukazując całkowicie nieznaną okolicę Galaktyki. Brun poprowadził Kaldaqą dalej, aż stanęli pod ścianą sali. Nagle S’van zastukał w czarną wykładzinę.

– Tam polecicie.

– Nie rozumiem.

– Tam. Poza brzeg mapy.

– Ale tam nic nie ma. Zupełnie nie zbadana okolica.

– Właśnie. Chociaż w tym przypadku mówisz chyba o łazience. Jest dokładnie za tą ścianą.

Kaldaq nie podchwycił żartu i Brun spoważniał.

– Wyruszenie na polowanie. Ale nie musicie szukać Ampliturów ani Krygolitów czy innych takich. Waszym zadaniem będzie pozyskanie nowych sojuszników dla Gromady.

Kaldaq wiedział, jak rzadko decydowano się obecnie odrywać jakiś statek od zadań bojowych. A żeby wysłać go jeszcze na poszukiwanie nowych, potencjalnych członków Gromady...

Splot zwykle powiększał się dzięki przypadkowym spotkaniom z istotami, które osiągnęły zaawansowany poziom techniki kosmicznej. Wspólnota Ampliturów rozrastała się zresztą w identyczny sposób.

Specjalnie przedsięwzięte ekspedycje trafiały zwykle na jakieś życie, ale rzadko były to istoty inteligentne. A i te były przeważnie mało przydatne, jako stojące na niskim szczeblu rozwoju. Przez setki lat od czasu rozpoczęcia wojny odkryto tylko dwie mogące wesprzeć jakoś Gromadę cywilizacje.

Innymi słowy, szkoda było czasu na podobne podróże.

Kaldaq nie do tego był wyedukowany. Czuł się rozczarowany. Nie takie miało być jego przeznaczenie.

Próbował ukryć swoje odczucia, ale drgania górnej wargi i tak go zdradzały. Szczęściem było dość ciemno, by S'van niczego nie zauważył.

– Nie ma powodów do rozżalenia – powiedział jednak. – To bardzo istotna misja.

– Może i tak, ale to robota dla O'o'yanów, Hivistahmów czy nawet Leparów. No dobrze, Leparów może nie. Ale po co Massudzi?

– Wyprawa w nieznaną okolice musi być gotowa na wszelkie niespodzianki. Nie znamy granic wpływów Ampliturów. Może się okazać, że już tam są. Trzeba brać to pod uwagę.

– No dobrze, ale czemu ja?

Brun nie odpowiedział. Sztorcowanie Massuda za niesubordynację nie miało sensu.

– Oczekiwałeś na powierzenie ci dowództwa jednostki pierwszoliniowej. Może nawet desantowej.

– Przede wszystkim mam wypełniać obowiązki – odparł ostrożnie Kaldaq.

Komendant westchnął.

– Znam nieco Massudów i wasz system koligacji rodzinnych. I wiem, jakie nakłada to na ciebie zobowiązania. Uwierz mi, ta misja to najlepszy sposób, aby je wypełnić. Zostałeś wybrany ze względu na specyficzne cechy charakteru. Nie tracisz głowy w krytycznej sytuacji. Oczywiście, jakiś doświadczony S'van lub Hivistahm byłby zapewne równie dobrym kapitanem, ale uważam, że mianowanie na to stanowisko Massuda zwiększa szansę powodzenia przedsięwzięcia.

Kaldaq zawahał się.

– Zatem spodziewasz się kłopotów?

– Nie wiemy, czego należy się spodziewać. Nikt nie ma pojęcia, na co traficie. Ale ktoś musi

rozejrzeć się tam pierwszy.

– Środki łączności?

– Wszystko, co można zainstalować na pokładzie, ale nikt nie wysyłał jeszcze komunikatów na tak wielką odległość. Pulsary, czarne dziury... Mogą zniekształcać transmisję. Galaktyka, mój młody Massudzie, jest wielka. Obszar zamieszkały przez członków Wspólnoty i narody Splotu to tylko jej mały wycinek. Gdybyśmy wiedzieli, co jest poza nim, wtedy nie musielibyśmy cię wysyłać.

Mimo nadal odczuwanego niezadowolenia, Kaldaq jednak się uspokoił. Niczego lepszego i tak nie mógł oczekiwać. Lądowanie i dowodzenie na wrogim świecie? Owszem, brał już udział w kilku bitwach, ale wtedy nie dowodził, a to istotna różnica.

Cóż dziwnego może być w tym, że dowództwo postanowiło sprawdzić świeżo awansowanego kapitana, wysyłając go z misją niebojową, niemniej i tak niebezpieczną. Przyda mu się takie doświadczenie. S'van miał rację. Niestety, cholera, ale S'vanowie zawsze mieli rację.

Teraz dawali mu doskonały statek z dobraną załogą specjalistów. Nikt nie będzie musiał wykonywać roboty, do której nie jest powołany. Turlogowie zajmą się planowaniem trasy, Czirinaldo obsługą systemów uzbrojenia. Nie pracował jeszcze z tymi istotami, ale jeśli ktoś chce zostać prawdziwym dowódcą, musi się tego nauczyć. Jak rozkazywać jednym, jak drugim... To się właśnie nazywa doświadczenie.

Kaldaq odmeldował się. Przyjął nowe rozkazy, ale w głębi duszy wciąż czuł się pokrzywdzony.

Rozdział 04

Kaldaq czekał na załadunek i zastanawiał się, czyby jeszcze nie zrezygnować. Wahadłowiec miał zawieźć go na statek orbitujący na wysokości równej pięciu promieniom planety. Rezygnacja w ostatniej chwili byłaby próżnym gestem. Dramatycznym wprawdzie, świadczącym o niezależności i wysokiej samoocenie oficera, jednakże daremnym. Kaldaq był pewien, że nikt by jej nie przyjął, na dodatek stosowna notatka trafiłaby szybko do jego akt osobowych. Starszyzna rodu też nie byłaby zachwycona.

Zapewne zostałyby odesłany do jednostki bojowej, ale... Koniec z awansami na wiele lat, koniec z szacunkiem współbraci. Massudzi cenili śmiałość, ale pogardzali bezmyślnym trwonieniem autorytetu.

Jednak witając się w służbie ze swoim drugim oficerem wciąż jeszcze żywił sporo wątpliwości. Był też zdumiony. To była... ona.

Starsza, ale piękna. O wielkim wdzięku. Zawsze musiała być taka i lata walki tylko dodatkowo ją zahartowały. Wyraźnie doświadczona. Mimo różnicy wieku nie powinno się traktować jej inaczej, jak kogoś bliskiego.

Ich mundury były prawie identyczne, drobne różnice wynikały z oczywistych różnic anatomicznych. Byli równi wzrostem, ale między dorosłymi Massudami różnice w wyglądzie fizycznym i tak nie miały znaczenia.

Nazywała się Soliwik i okazała się niewyczerpanym źródłem dobrych rad. Podniesiony mocno na duchu Kaldaq słuchał jej z radością. Nie okazywała wcale zazdrości czy zawiści, co byłoby przecież normalne u kogoś, komu każe się wykonywać rozkazy oficera młodszego stażem. Bez oporów podejmowała każdy temat.

– Słyszałam, że masz dość niezwykły temperament.

Kaldaq zastrzygł nerwowo pozbawionym pędzelka uchem.

– Chodzi o moją zdolność do samokontroli. Podobno wyjątkową. I o tryb podejmowania decyzji. – Poskrobał pazurami o kły, co było nie tylko zwykłym zabiegiem higienicznym, ale też znaczącym gestem. Innym rasom zdawało się, że Massudzi nigdy nie wiedzą, co zrobić podczas rozmowy z długimi rękami. Czyścili wtedy paszczkę, sprawdzali co nowego tkwi między zębami. Był to cały, usankcjonowany społecznie rytuał, szczególnie popularny między najlepszymi żołnierzami Massudów. – Tak to przynajmniej określili. Chwilowo nie czuję się jednak zbyt pewnie.

– To minie. Dostałeś zadanie, które niezbyt ci odpowiada, na dodatek boisz się zawieść. Czytałam twoje akta. Dasz sobie radę.

Ignorując wypełniające korytarz obce głosy i zapachy obrócił się raptownie i spojrzał na panią oficer. Sama gwałtowność ruchów była normalna, Massudzi po prostu zawsze tak się poruszali.

– Dopiero co się spotkaliśmy, a ty już mówisz takie rzeczy. Czemu? – W społeczeństwie Massudów jednoznaczne ocenianie innej osoby uznawane było za oznakę złego wychowania.

Soliwik nawet się nie spieszyła.

– Widziałam dość, żeby oceniać. Znam mechanizmy reakcji w analogicznych sytuacjach. Będziesz zbyt zajęty wyciszaniem sporów między członkami załogi, by martwić się jeszcze czy robisz dobrze to, co robisz i czy robisz to co robić powinienes, i tak dalej. – Uniosła trochę krawędź górnej wargi. – Na odprawie dostałam te same instrukcje, co ty. Mamy spenetrować całkiem spory, odległy i nigdy jeszcze nie odwiedzany kawał nieba. Kto wie, czy nie będziemy musieli tam walczyć? Nie jesteśmy tu za karę. Ten przydział nie jest wyrazem braku zaufania. Może wręcz odwrotnie. Na takich rubieżach trzeba mieć dobrze naostrzone kły.

– Sądysz, że spotkamy się z wrogim przyjęciem?

– Wszystko możliwe. Nie przewidzisz, co czai się między gwiazdami.

– Trudno zaprzeczyć – mruknął Kaldaq.

Czuł, jak początkowe rozczarowanie ustępuje miejsca zaciekawieniu.

– Już sam nasz powrót będzie sukcesem. Jeśli jeszcze przyprowadzimy statek nietknięty i załogę w komplecie, na pewno na tym zyskamy. Wiem, że oboje byliśmy szkoleni do walki, ale ta okazja to coś więcej, niż prosta szansa na odznaczenie się w boju.

– A to jakim cudem, jeśli misja jest czysto pokojowa?

– Po pierwsze dlatego, że podczas walki szansę na popełnienie błędu są większe. Po drugie, podczas wielkiej bitwy dokonania pojedynczego statku giną na tle innych wydarzeń. Tutaj będziemy sami. Porażki mniej boją bez świadków. Sukcesu nie trzeba z nikim dzielić. Oboje szukamy dla siebie okazji. To normalne wśród Massudów. Oto właśnie jest okazja, jaka nie trafiła się jeszcze nigdy i nikomu. Bez potrzeby rozlewu krwi. – Syknęła z cicha. – Podejrzewam, że wciąż rozważasz możliwość złożenia rezygnacji.

– Kto ci to powiedział?

– Nie czas na dochodzenia. Starczy, że wiem. To prawda?

– Owszem, myślałem o tym.

– Niepotrzebnie. Wstrzymaj się. Massudzi nie poddają się bez istotnego powodu. Osobiste

rozczarowanie otrzymanym przydziałem to żaden powód.

– Nie pouczaj mnie – warknął Kaldaq z lekką irytacją.

– Pomyśl o naszym podstawowym zadaniu – powiedziała, ignorując pretensje. – W Gromadzie jest ledwie parę ras zdolnych do walki. My, ponurzy Czirinaldo i niektórzy spośród Hivistahmów i S’vanów. Jest nas zbyt mało, by z powodzeniem stawić wszędzie czoło Ampliturom. Wyszukoleni wojownicy są zbyt cenni, by pozwolić im odchodzić ze służby.

– Moja partnerka jest za tą podróżą – mruknął. – Pragnie mieć dzieci.

– Obowiązuje zakaz rodzenia na jednostkach wojennych – odparła chłodno Soliwik. – Od tego są planety.

– To wie, ale ma nadzieję, że po powrocie dostaniemy długi urlop.

Drugi oficer przytaknęła ze zrozumieniem.

– Jeśli nam się uda, to więcej niż pewne. Co robi poza tym, że walczy?

– Jest inżynierem. Specjalistką od modernizacji systemów. Będzie miała co robić.

– Chętnie przywitam ją na pokładzie. Też chciałabym mieć jeszcze dzieci – dodała, zaskakując mocno Kaldaqą. Nie lubił poruszać takich tematów, jednak tym razem zabrzmiało to dziwnie ciepło. – Urodziłam już dwanaście lat temu, troje, teraz są duże. Był jeszcze czwarty, ale nie przeżył. Jeden skacze i ma godne uwagi wyniki, chociaż to nie jest dobry czas na uprawianie prawdziwej sztuki. – Wskazała na nogi Kaldaqą. – Ty też wyglądasz mi na niezgorszego skoczka.

– Ja jestem biegaczem – poprawił ją. – Chociaż na statku lepiej być skoczkiem. Biegaczowi brak warunków do treningu.

– Współczuję. Ja skaczę, ale w dal, nie wzwyz.

– To tak jak Jaruselka. Może będziecie mogły skakać razem.

Zazdrość o partnera była zjawiskiem rzadkim wśród Massudów, skoro zaś Soliwik już rodziła, to zapewne łatwiej będzie jej zaprzyjaźnić się z młodszą dziewczyną. Więzy sympatii między Massudami tworzyły się niezależnie od ich płci i było to uwarunkowane nie tyle obecnym poziomem ich kultury, co znacznie wcześniejszymi procesami ewolucyjnymi. Silne związki stadne były warunkiem prawidłowego rozwoju jednostek. Tak jak kiedyś prymitywni Massudzi wyciągali sobie nawzajem ciernie z łap, tak teraz usuwali neurozy z zakamarków osobowości.

Szkoda, że nie możemy mieć młodych, pomyślał Kaldaq podziwiając długie nogi sadowiącej się obok pani oficer. Sam zwykle miał sporo kłopotu ze swoimi dolnymi kończynami. Jeśli nie liczyć Czirinaldo, Massudzi byli najwyższymi członkami Gromady. Odczuwali to szczególnie wtedy, gdy przychodziło im korzystać z uniwersalnych foteli na statkach Splotu.

Po powrocie z wyprawy trzeba będzie pomyśleć poważnie o potomstwie. Massudzi nie miewali wielu okazji, by nacieszyć się ciepłem gniazda domowego. Byli potrzebni do walki. Ponieważ obie płcie były pod względem psychicznym dość podobne, służba dotyczyła wszystkich.

Jaruselka przywitała ich w służbie, szczególnie ciepłe słowa zachowując dla Soliwik. Kobiety momentalnie nawiązały głośną konwersację. Kaldaq uznał to za dobry znak.

Następnego dnia drugi oficer pokazała im statek. Był bardzo przestronny i wyposażony lepiej niż mogli marzyć. Oczekiwali czegoś niezwykłego, unikalnych modyfikacji koniecznych przy tak długim rejsie i nie zawiedli się. Co więcej, zgodnie z obietnicą Bruna otrzymali wszystkie nowinki techniczne i to w najlepszym gatunku.

Soliwik zajęła się wydawaniem instrukcji, Kaldaq zaś skupił uwagę na zapamiętaniu imion i przezwisk jak największej części załogi.

Najłatwiej poszło mu z członkami grupy bojowej Massudów. Przydomki rodowe niektórych brzmiały dlań znajomo, o pozostałych nie wiedział nic. Najchętniej usiadłby z całą gromadką i pogrążył się w beztroskiej konwersacji.

W drugiej kolejności poznał zespół Czirinaldo. Było ich dwoje i tworzyli parę tak na służbie, jak i w życiu prywatnym. Jak wszyscy Czirinaldo, mówili wysokimi, piskliwymi głosami. Zawiadywali na statku defensywnymi systemami uzbrojenia, co zwykle było specjalnością tego gatunku. Za pomocą translatorów wyrazili radośnie gotowość do natychmiastowej obrony dowolnego obiektu.

Z racji swych rozmiarów mogli poruszać się tylko po niektórych sektorach statku. Rozmowa z nimi była zawsze fascynująca, tak osobliwymi ścieżkami potrafiły błądzić ich myśli. Szczególnie ciekawie przedstawiały się ich poglądy na kwestie życia i śmierci. W przypadku walki w próżni, co zdarzało się bardzo rzadko, byli niezastąpieni. Potrafiliby obsługiwać jednocześnie kilka systemów broni.

U Ampliturów ich odpowiednikami byli Molitarowie, więksi nawet i silniejsi, ale nieporównanie mniej rozgarnięci.

Obok przemykali drobni i smukli O'o'yanowie. Pracowali równie szybko jak Massudzi, jednak mieli znacznie delikatniejsze palce. Sprawdzali stan systemów statku, nieustannie domagając się jakichś odczytów. Ogólnie przyjaźnie nastawieni, powszechnie lubiani i niegroźni, pozostawali jednak trochę na uboczu. Niektóre ich rozmowy, szczególnie te toczone w slangu, były trudne do zrozumienia nawet dla Waisów. Najchętniej trzymali się blisko nieco większych i lepiej rozwiniętych Hivistahmów, których zresztą przypominali wyglądem.

Napotkani Waisowie pozdrowili uprzejmie kapitana. Pośród nieustannego przedrejsowego rozgardiaszu ptakowaci trwali niczym samotna wysepka ładu i dyscypliny. Kaldaq słyszał niejedną opowieść o rozbitych oddziałach, ocalonych z obcych planet po przegranych bitwach, o pokrytych skorupą brudu, poranionych nieszczęśnikach. Jednak Waisowie zawsze byli wyjątkiem. Jakimś cudem wojna przepływała obok nich. Nienagannie czysti, niezmiennie spokojni...

Oczywiście znali massudzki, jednak hiperpoprawność ich wymowy była na dłuższą metę drażniąca. Kaldaq przeprosił ich i z ulgą zajął się Hivistahmami.

Tworzyli największą grupę na pokładzie, byli odpowiedzialni za codzienne funkcjonowanie statku. Niżsi niż Massudzi, pokazniejsi jednak od O'o'yanów czy S'vanów.

Soliwik oddaliła się na kilka chwil i teraz wróciła z wiadomością, że dostali zgodę na natychmiastowe opuszczenie orbity, oczywiście o ile kapitan tak rozkaże. Kaldaq polecił rozpocząć manewr. Ufał, że mając na pokładzie S'vanów w roli nawigatorów i cały zespół inżynierski Hivistahmów, nie musi nadzorować wszystkiego osobiście. Wrócił do rozmowy.

Hivistahmowie byli kolorowi, mieli jasnozieloną skórę i lekko wylupiane oczy. Wyglądali wręcz wesoło, jednak cechowała ich zwykle spora powaga. Mieli pociągłe pyszczki pełne drobnych, ostrych zębów. Smukłe ręce i mocne nogi pozwalały im na szybki bieg, gorzej było ze skokami. Spod tunik z wytrzymałego włókna wyglądała gdzieniegdzie lśniąca łuska. Kieszenie ich szat były wypchane narzędziami. Przeciętny technik Hivistahm spędzał większość życia na narzekaniu. Nie biadolił, ale mruczał różne rzeczy pod nosem, tęsknił za domem, histeryzował z cicha i dalej robił swoje.

Nigdy nie mieli oporów przed przyjmowaniem rozkazów od innych, nawet od S'vanów, których podejście do życia uznawali za nazbyt frywolne. Spośród wszystkich członków Gromady byli zapewne najbardziej zawziętymi wrogami Ampliturów. Nade wszystko lękali się utraty własnej tożsamości na rzecz tajemniczego Celu. Nie pojmowali motywów wroga i bali się tym bardziej.

W Gromadzie powiadano, że krążownik z załogą S'vanów i Massudów może dokonać w bitwie czynów zaiste bohaterskich, jednak największe szansę na powrót do bazy ma jednostka obsadzona głównie przez Hivistahmów.

No i byli jeszcze Leparowie. Jak zwykle trudni do odnalezienia, gdyż jako dwudyszni spędzali większość czasu w wodzie, trzymając się trudniej dostępnych rejonów statku. Kaldaq nie przepadał za nimi, ale mało kto ich lubił. Byli przydatni, a to z racji dużej odporności na zmienne warunki zewnętrzne, jak ekstremalne temperatury czy brak tlenu. W razie niebezpieczeństwa mogli uratować sytuację.

Zwaliści, o płaskich twarzach okolonych pierścieniami skrzeli, mieli małe, czarne oczy i ciemną, śluzem okrytą skórę. Wielu uznawało ich po prostu za brzydkich.

Przywitali Kaldaqą łamanym massudzkim, tyle tylko potrafili powiedzieć bez translatora. Z jakichś powodów zawsze próbowali dokonywać rzeczy dla nich niemożliwych. Marzyli, aby mówić wieloma językami równie biegle jak Waisowie, obsługiwać statki niczym Hivistahmowie, a nawet walczyć jak Massudzi. Wychodziło im z tego niestety niewiele.

Kapitan odwrócił spojrzenie od małych, czarnych oczu Leparów. Ze względu na śluzowatą skórę nie nosili prawie wcale ubrań, na dodatek jako jedyna spośród inteligentnych ras w Gromadzie posiadali ogony, przedmiot nieustannych żartów wielu innych gatunków.

Kaldaq upomniał się w duchu, że jako dowódca nie może folgować osobistym uprzedzeniom. Przecież to Leparowie wykonywali większość najbardziej niebezpiecznych obowiązków na pokładzie i nie narzekali jak Hivistahmowie. I byli tak samo potrzebni.

Spojrzał na nich ponownie i po raz pierwszy zadumał się, o czym też mogą rozmawiać ze sobą tym gardłowym, lekko bulgoczącym językiem, jakie myśli lęgną się za tymi drobnymi oczami.

Z drugiej strony Leparowie robili wrażenie, jakby nie pragnęli szacunku czy przyjaźni innych ras. Zwykle życzyli sobie tylko, żeby zostawić ich samym sobie i nie przeszkadzać w robocie. Kaldaq skorzystał z pierwszej lepszej wymówki i wyszedł.

W gruncie rzeczy grupa bojowa Massudów zdawała się najmniej potrzebna w tym rejsie. Do walki w próżni starczali Czirinaldo. Jednak Kaldaq cieszył się z tak liczego towarzystwa współbraci.

Dowodziła nimi Soliwik. Samym prowadzeniem statku zajmowało się dwóch S'vanów, co gwarantowało spokój na pokładzie. Owszem, zdarzały się utarczki między Massudami a Hivistahmami, Massudami i O'o'yanami, ale ze S'vanami Massudzi zawsze żyli dobrze. Wystarczał drobny żart, aby stłumić w zarodku nawet poważny konflikt. Wrodzone tej rasie poczucie humoru okazywało się zaraźliwe. Kaldaq zastanawiał się czasem, czy nie była to przypadkiem cecha mająca pomóc S'vanom w przetrwaniu. Chociaż inteligentni i pomysłowi, byli jednak słabej konstrukcji fizycznej. W bezpośrednim starciu z większością innych gatunków nie mieliby żadnych szans.

Przypomniał sobie uwagę Soliwik, która sugerowała możliwość licznych zadrażnień między członkami załogi. Może, niemniej sam statek nie powinien przysporzyć kłopotów. Ultranowoczesny i zbudowany od podstaw według cywilnego projektu, stwarzał o wiele lepsze warunki do życia niż jednostka wojenna.

Postarano się, na przykład, o chłodne i mroczne pomieszczenia dla uwielbiających wilgoć Hivistahmów, a w przeszłości zdarzało się czasem, że Hivistahmowie i S'vanowie musieli mieszkać razem. Znalazły się też oddzielne kabiny dla drobnych O'o'yanów, którzy nie musieli dzięki temu siedzieć stłoczeni w cudzych pomieszczeniach.

W ten sposób łatwiej będzie utrzymać całe towarzystwo w gotowości bojowej, myślał Kaldaq. Może nie spotkają ani Ampliturów, ani żadnych innych wrogów, ale czujność zawsze jest wskazana.

Gdy tylko weszli w podprzestrzeń, Kaldaq stwierdził ze zdumieniem, że zajęć jednak nie brakuje. Mimo to znajdował czas, by pobyć trochę z pobratymcami, nie zaniedbywał Jaruselki. Ta zresztą trwale zaprzyjaźniła się z Soliwik. Dla młodej dziewczyny to ważne, aby w tak długiej podróży mieć obok siebie doświadczoną kobietę, która miała już dzieci.

Oszczędzało to Kaldaqowi wielu zmartwień.

Rozdział 05

Podróż obfitowała w dyskusje o sprawach zarówno codziennych, jak i zasadniczych, i Waisowie często musieli wspomagać translatory i wyjaśniać różne subtelności. Jednego wszakże nikt nie kwestionował: celu wyprawy. Został on określony na długo przed startem. Samo odszukanie samotnych słońc posiadających układy planetarne już było dość trudne, zaś wypatrywanie oznak życia podczas lotu w nadprzestrzeni było zgoła niemożliwe.

Po pierwsze, jak już dobrze wiadano, atmosfera z zawartością tlenu i azotu nie była wcale koniecznym warunkiem rozwoju istot inteligentnych, czego najlepszy przykład stanowili Czirinaldo czy dwudyszni Leparowie, którzy przyswajali tlen z wody.

Należało liczyć się też z możliwością napotkania zupełnie nowych form życia. Wśród ras zniewolonych przez Ampliturów była taka, która oddychała metanem. Aby nie ryzykować przegapienia jakiejś szansy, należało spenetrować dokładnie każdy układ planetarny.

Kaldaq nie pokazywał tego po sobie, ale chwilami nie było mu łatwo. Musiał dowodzić załogą złożoną w większości z doświadczonych fachowców. Niemniej postrzegany był jako typowy Massud, czyli istota nerwowa i chimeryczna, dlatego tylko pobratymcy mogli domyślać się jego rozterek.

Rozkazy wydawał bez wahania, sama jednostka zaś nie przysparzała kłopotów. Za każdym razem, gdy docierano do kolejnego systemu, powtarzano tę, samą procedurę. Statek wchodził na orbitę badanej planety, którą mógł być gazowy gigant, jakiś księżyc albo niewielki, skalny świat. Aby potencjalny obserwator nie mógł dostrzec statku z powierzchni, stosowano maskowanie polegające na stosownym ugięciu promieni świetlnych. Spowijały kadłub jakby kokonem, prześlizgując się wzdłuż burt. Nie było nawet czarnego cienia na tle gwiazd.

Wystarczało zwykle sprawdzić jedynie okolice równika i biegunów, aby stwierdzić, że świat jest nie zamieszkały. W przypadku odkrycia życia na poziomie roślinnym czy zwierzęcym zostawiano planetę w spokoju, odnotowując jedynie jej położenie. Hivistahmscy biologowie nie kryli w takich razach niezadowolenia. Chętnie zebraliby okazy typowe dla każdego odkrytego ekosystemu.

Kaldaq współczuł naukowcom, ale czas poganiał. Zbyt wiele nowych układów czekało na zbadanie. Jeśli Ampliturowie zwyciężą, cała nauka zda się psu na budę. Teraz trzeba było znaleźć sojuszników. Jeśli się uda, to przyjdzie jeszcze pora i na badania.

Czasem bliscy byli zwątpienia w sens misji. Bali się, że mogą nie podołać. Podczas walki łatwo jest określać zadania i cele. Obecna działalność nie była równie jednoznaczna.

Kaldaq myślał czasem, że to tak samo jak z bieganiami. Starczy poruszać nogami i dobrze rozkładać siły. To potrafił. Ale czy równie dobrze radził sobie w rozmowach z załogą?

Najczęstsze były konflikty między Hivistahmami a Leparami. W naturze tych pierwszych leżało nieustanne krytykowanie wszystkiego, a wobec powolnych wodnych stworzeń potrafili być szczególnie opryskliwi. Cierpliwi Leparowie nie reagowali od razu, ale czasem miarka się przebiegała. Niekiedy dochodziło nawet do rękoczynów, a ponieważ Leparowie nie mogli złapać zwinnych Hivistahmów, ich frustracja wciąż rosła.

Kapitan poświęcał wiele czasu na mediacje w tych hałaśliwych, ale w sumie niegroźnych sporach. Nie było to zadanie dla żołnierza i Kaldaq nie czuł się dobrze jako rozjemca. Szczególnie że stronami byli przedstawiciele różnych gatunków.

Najczęściej kończyło się na tym, że Hivistahm odbiegał gdzieś pogwizdując i mruczając pod nosem różne wyrazy, Lepar zaś dołączał z powrotem do pobratymców i udawał, że nic się nie stało. Kapitan zostawał sam i mógł dumać do woli, czy jego interwencja w ogóle była komukolwiek potrzebna. Z Massudami było łatwiej, wtedy zawsze wiedziało się, co jest grane.

W chwilach gdy sytuacja zaczynała przerastać Kaldaq Jaruselka była w pobliżu ze słowami pociechy, a Soliwik dorzucała zwykle kilka treściwych rad. Jakby co, mógł jeszcze zwrócić się do S'vanów: T'vara i Z'mama.

Ze S'vanami trzeba było umieć postępować. Jeśli chciało się zdobyć ich przyjaźń, należało udać ignorancję lub totalne zagubienie i poprosić ich o pomoc. To uwielbiali. Pchali się wówczas z dobrymi radami i wszelkim wsparciem, jakby ich życie od tego zależało. Niektórzy twierdzili, że metabolizm S'vanów opiera się przede wszystkim na dwóch czynnikach: oddychaniu i zacności wobec bliźnich. Całe szczęście, że rady, których udzielali, były zazwyczaj dość sensowne. W przeciwnym wypadku nikt by ze S'vanami nie wytrzymał.

Większych problemów nie napotkano. Prace przebiegały sprawnie i nawet mało doświadczony kapitan dobrze sobie radził.

Znaleźli sporo martwych światów, ale trafili też na zdumiewająco wiele form życia. W pewnym systemie zbadali aż siedem planet: dwa zewnętrzne, gazowe giganty, dwa skalne światy krążące blisko gwiazdy i trzy na orbitach pośrodku. Na wszystkich trzech kwitło życie! Zdumiewający przypadek.

Naukowcy aż nogami przebierali z ochoty, aby przebadać całe trio, porównać przebieg ewolucji na znajdujących się tak blisko siebie światach, zbadać podobieństwa i różnice; niestety Kaldaq raz jeszcze musiał im odmówić.

Owszem, spenetrowano te planety z wysokości orbity, ale zaraz potem statek znów zanurkował w podprzestrzeń. Po paru dniach naukowcy przestali nawet narzekać. Wszyscy wiedzieli, że kłótnia z Massudem nie prowadzi do niczego dobrego. Gdyby kapitanem był S'van, to można by próbować przekonać go argumentami z dziedziny filozofii nauk i etyki, ale Massud...

Kaldaq szybko pojął, w czym rzecz, i jego szacunek dla rozsądku komendanta Bruna wzrósł o parę punktów.

Kadra biologów zapomniała zresztą szybko o poprzednim odkryciu, gdy okazało się, że w następnym systemie też jest życie, na dodatek inteligentne.

Nowy gatunek przypominał fizycznie Hivistahmów, ale był zbyt młody i niedojrzały, aby przydać się na coś w wojnie z Ampliturami. Wiódł życie plemienne, trudnił się głównie polowaniem i zbieractwem, topór i włócznię mając za najnowsze zdobycze techniki. W trakcie kontaktu ustalono, że istoty te porozumiewają się prymitywnym językiem, który Waisowie rozgryźli w parę dni.

Przybysze zostali potraktowani jak bogowie. Tubylcy stanowczo nie chcieli uznać ich za istoty podobne sobie. Sceptyczni i zgryźliwi Hivistahmowie orzekli, że wystarczy poczekać kilka tysięcy lat, a sojusznicy będą jak znalazł.

Statek ruszył dalej. Sprawdzali metodycznie jeden świat za drugim, krążyli zgodnie z kursem wytyczonym przez najlepszych astronomów Gromady. Z regularnością zegara załoga to podniecała się nowymi odkryciami, to popadała we frustrację tak czarną, że Kaldaq klął i żałował, że nie jest psychologiem.

Jedynym członkiem załogi, który nigdy nie sprawiał kłopotów, był Pasiiakilion.

Czasem, gdy kapitan miał dość czyjegokolwiek towarzystwa, gdy pragnął zejść z oczu nawet Jaruselce i swojej zastępczyni Soliwik, udawał się w mrok sztucznej jamy Turloga. Siedzący zwykle w kącie gospodarz mierzył go umieszczonym na słupku okiem i nie przerywał sobie tego, co akurat robił. Mogłoby się zdawać, że kompletnie ignoruje gościa, jednak Kaldaq wiedział, że Turlog poświęca mu sporo uwagi.

Sztywny zewnętrzny szkielet nie pozwalał Pasiiakilionowi na wylewne okazywanie emocji. Wielkie szpony ledwie radziły sobie z obsługą najprostszych urządzeń. Specjalny przetwornik musiał wzmacniać i dopiero potem tłumaczyć jego głos. W porównaniu z Turlogami Leparowie byli istotami o wielkim wdzięku i elegancji.

Obywało się bez powitania, co nie oznaczało ani braku uprzejmości, ani ostentacji. Rozmowa toczyła się spokojnie, z długimi przerwami. Na ile te wizyty były dla Pasiiakiliona istotne, tego Kaldaq nie potrafił orzec, najważniejsze, że załogant w ogóle podejmował konwersację. Turlogowie słynęli ze swej obojętności i odporności na wszelkie indagacje.

Kapitan zastanawiał się niekiedy, jakimi byliby istotami, gdyby ewolucja wyposażyła ich w sprawniejsze ciała. W warunkach pokładowych ich przeżycie i praca zależały całkowicie od całego szeregu urządzeń wspomagających. Ich kwatery nigdy nie były przytulne.

Jednak w jamie panowała cisza. Można było się tu odprężyć, zapomnieć na chwilę o trudach dowodzenia, pogadać z kimś, kto niczego nie chciał.

A czasem nawet odpowiadał.

Ogólne przygnębienie pierzchło, gdy dotarli do niewielkiego świata krążącego wokół stabilnej gwiazdy, dożywającej połowy okresu swego trwania. Żyjące na nim istoty inteligentne zdołały wytworzyć całkiem cywilizowane społeczeństwo.

Poczynione z orbity obserwacje ujawniły, że istoty te nie odkryły jeszcze napędu podprzestrzennego, nie podróżowały dotychczas nawet między planetami swego systemu, ale poziom ich rozwoju dopuszczał nawiązanie oficjalnego kontaktu. Z góry widać było sporo precyzyjnie wykonanych środków transportu, w tym i powietrznego. Gdy lądownik pojawił się po raz pierwszy nad jednym z większych miast, wzbudził przede wszystkim zainteresowanie i tylko lekki popłoch.

Doszło do spotkania z przywódcami tubylców, wymieniono stosowne uprzejmości, dopełniono wymogów formalnych. S'vanowie i Waisowic polecili na dół, by zadzierzgnąć więzy przyjaźni. Reszta, szczególnie Massudzi, pozostała na orbicie. Nowo odkryte ludy reagowały czasem nerwowo na Massudów. T'var meldował codziennie o postępach prac na powierzchni.

Z początku Kaldaq był trochę niespokojny. Ekipa kontaktowa poleciała bez jakiegokolwiek ochrony. Wprawdzie S'vanowie potrafili w ostatecznej potrzebie sięgnąć po broń i osłonić odwrót, ale kto wie, jacy naprawdę są ci tubylcy.

Obawy okazały się bezpodstawne. Miejscowi byli rasą dojrzałą i w pełni przyjazną. Już kilka dni później ich reprezentanci zaczęli regularnie odwiedzać krążący na orbicie statek. Podziwiali dokonania Gromady i z ponurymi minami słuchali historii zmagania z Ampliturami.

Władze nie cenzurowały tych informacji, które globalna sieć multimedialna szybko przekazała wszystkim mieszkańcom planety. Załoga statku spędziła sporo czasu na pospiesznych konsultacjach i spotkaniach z tubylcami. Warto było. Mieszkańcy planety jednomyślnie postanowili przystąpić do Gromady i wesprzeć ją w walce z fanatykami Celu. Kaldaq mógł sobie powiedzieć, że cała ta długa podróż nie została dokonana na próżno.

Nowa rasa posiadała godne uwagi zdolności techniczne, szybko się uczyła i po dodatkowych przeszkoleniach powinna być przydatna dla zaplecza wojennego. Do walki wprawdzie się nie nadawali, ale cóż, to byłby już zbytek szczęścia.

W końcu nadszedł czas odlotu i serdecznych pożegnań. Tvarowie obiecali nowym sojusznikom, że niebawem pojawią się u ich bram następne statki Gromady. Miejscowi stwierdzili, że będą ich niecierpliwie wypatrywać. Nic dziwnego zresztą. Ta chęć współpracy była najzupełniej szczerą i uzasadnioną na dodatek. Gdyby nie szansa wstąpienia do Gromady, padliby bez wątpienia łupem Ampliturów.

Odszukanie i zjednanie dla Splotu nowej inteligentnej rasy było wyczynem wystarczającym, aby uznać wyprawę za w pełni udaną i opłacalną. Fetę powitalną mieli już niejako w kieszeni, podobnie jak i długie urlopy.

Na to jednak musiał przyjść czas. Zgodnie z pierwotnym planem mieli odwiedzić jeszcze jedenaście systemów. Długa, podprzestrzenna podróż do domu musiała zaczekać.

Atmosfera na pokładzie poprawiła się zdecydowanie. Hivistahmowie sarkali jakby mniej i zaprzestali drażnienia Leparów. S'vanowie odetchnęli i nawet solidnie już znudzeni Massudzi poweseleli. Co ostatni wypatrywali powrotu do jednostek bojowych, bo tylko tam można odznaczyć się w walce i awansować.

Dotarli już do kresu drogi wyznaczanego przez nieliczne, rozrzucone gwiazdy i kompletnie sterylne światy, gdy ku powszechnemu zdumieniu (jak i radości) wykryto słabe radioźródło, najprawdopodobniej sztucznego pochodzenia.

W zasadzie nic szczególnego, typowe promieniowanie elektromagnetyczne sugerujące niski szczebel rozwoju, żadnych szans na prawdziwą cywilizację. Jednak zawsze coś. Szybko zlokalizowano nieznaną planetę.

Nie leżał daleko. Zamaskowany statek wszedł na wysoką orbitę. Początkowa ciekawość przygasła, gdy okazało się, że tubylcy nie zdołali jeszcze nawet wyrzeć poza swoją planetę. Najwyraźniej nie znali podróży kosmicznych.

Kaldaq wiedział, że załoga jest już zmęczona. Stęsknieni za powrotem Hivistahmowie nie byli osamotnieni w swych narzekaniach. Na dodatek po ostatnim spotkaniu trudno było liczyć na coś, co przyćmi tamten sukces. Druga równie przyjazna rasa? Mało prawdopodobne. Kapitan też zaczynał mieć dość. Nadal dwa razy na dobę dokonywał inspekcji statku, ale sam czuł, że staje się coraz mniej surowy i wymagający.

Sama planeta była nawet podobna do poprzedniej, ale to jeszcze niczego nie przesądzało. Jeśli nawet tubylcy okażą się wystarczająco dojrzały, by nawiązać z nimi kontakt, sprawą zajmą się S'vanowie i Kaldaq najpewniej nawet nie ujrzy powierzchni nowego świata. Z niejakim zdumieniem i marną nadzieją przystąpiono do niezbędnych przygotowań.

Pierwsze obserwacje zmieniły nieco to nastawienie. Okazało się, że lądy planety znajdują się w kawałkach. Wreszcie coś dla tektoników.

Miłe sercu naukowców dyskusje, czy inteligentne życie może powstać tam, gdzie nie ma jednej zwartej masy lądowej, ucięte zostały w zarodku za sprawą wcześniejszych odkryć. Czy ktoś chciał, czy nie, na planecie roilo się od miast, prymitywnych osiedli rolniczych, znalazły się nawet satelity telekomunikacyjne. Dla zbadania rzeczy najciekawszej, czyli struktury geologicznej, zdecydowano objąć sondowaniem nie tylko okolice biegunów i równika, ale cały glob.

Z czasem odkryto dalsze anomalie. Kaldaq dowiedział się o istnieniu gigantycznych ośrodków miejskich w okolicach, w których nikt zdrowy na umyśle nie budowałby nawet marnej osady. Żeby było dziwniej, olbrzymie, wręcz idealne do zasiedlenia połacie gruntu leżały odłogiem.

Owszem, spodziewano się, że w olbrzymiej Galaktyce można natrafić w końcu i na takie cuda, ostatecznie każdy gatunek ewoluował na swój własny sposób. Jednak było oczywistym, że ten świat, gdzie tak oryginalnie zagospodarowuje się tereny mieszkalne, przyciągnie sporą uwagę specjalistów.

Rychło też zaczęto się spierać, czy poziom techniczny tubylców jest wyższy czy niższy od

reprezentowanego przez poprzednio odkrytą rasę. Massudzi nawet poczynili zakłady w tej materii. Oni jedyni, gdyż Hivistahmowie uznawali hazard za marnowanie czasu, Leparowie nie pojmowali, o co w tym idzie, zaś Waisowie patrzyli na podobne zabawy z pobłażaniem. S'varowie nie zakładali się, bo byli za uczciwi. Wiedzieli, że i tak wygraliby każdy zakład.

Przy okazji dalszych obserwacji niespodzianki sypnęły się jak z rękawa.

– To naprawdę dziwne – powiedział T'var.

Pozostali oficerowie tylko przytaknęli.

Szef zespołu Hivistahmów zagwizdał coś do tłumacza. Reszta poprawiła słuchawki.

– Podzielałam zdumienie S'vana. Jak dotąd udokumentowaliśmy istnienie co najmniej piętnastu różnych języków.

Soliwik poruszyła gwałtownie nosem.

– I co z tego? Są światy, gdzie znają nawet więcej dialektów.

– To nie są dialekty – odparł Hivistahm, pobłyskując zieloną łuską. Całym jego odzieniem były jedynie ciemne okulary. – Każdy z odkrytych sposobów porozumiewania się to osobny język. Niektóre różnią się między sobą niemal tak bardzo, jak hivistahmski od massudzkiego.

Idąc na spotkanie Kaldaq oczekiwał zwykłej wyliczanki danych statystycznych, a tu proszę. Nie dość było tej zwariowanej geologii, to jeszcze języki się poplątały. Kapitan podrapał się mimowolnie pod lewą pachą i wyprostował w wysokim fotelu.

– Jesteś pewien, że to nie dialekty?

– Całkowicie. Zbadaliśmy wszystkie nagrania, powtórzyliśmy analizę komputerową. Co więcej, oczekujemy, że w miarę prowadzenia obserwacji będziemy odkrywać następne języki.

Kaldaq przełknął ciężko ślinę.

– Ale przecież nie może być ich więcej niż piętnaście!

– Może, chociaż zgadzam się, że nie powinno. Największa znana nam dotąd liczba języków rozwiniętych na jednej planecie, to sześć. Ta sztuka udała się tylko Waisom. Pomysł, aby gdziekolwiek posługiwano się ponad piętnastoma, wydaje się nedorzeczny. Ale obserwacje mówią co innego.

– No dobrze, ostatecznie nie przybyliśmy tu, aby podjąć studia filologiczne. – Kaldaq spojrzął na jaśniejący przed nim ekran. – Wszechświat jest ogromny i jest w nim dość miejsca na każdą socjopatologię. Nawet na taką, która pozwala na równoczesne zaistnienie piętnastu języków. Massudom starczał zawsze jeden, plus kilka dialektów. Może nie wszystkie z tych piętnastu służą tubylcom na co dzień. Może niektóre są językami wąskich specjalności. Inny język dla wyrażania

twierdzeń naukowych, inny do normalnej rozmowy. Nie jestem specjalistą, ale to chyba możliwe. A co mówią Waisowie?

– Jesteśmy zdumieni – powiedziała szefowa zespołu tłumaczy, podzwaniając melodyjnie bransoletami.

Cała była obwieszona ozdobami i biżuterią, przy czym kolor i położenie każdego drobiazgu coś znaczyły. Kreacja była, rzecz jasna, utrzymana w najlepszym guście.

– Ogólnie rzecz biorąc, ma pan rację, kapitanie. Taki funkcjonalny podział języków jest możliwy. Jednak w tym przypadku nie ma on chyba miejsca. Tak zdają się mówić nasze analizy. – Waisowie używali zwykle trybu przypuszczającego, ale czynili to z uprzejmości. Kaldaq wiedział, że to wcale nie są domniemania. – Mamy dopiero wstępne wyniki, ale komputer porównał je z obecnymi w jego pamięci precedensami. Przynajmniej pięć z poznanych dotychczas języków to struktury całkowicie odmienne od pozostałych, każda jednak jest wystarczająco złożona, by posłużyć za w pełni adekwatny kod porozumiewania się. Wśród pozostałych dziesięciu zauważamy powtarzające się struktury, jednak nic nie wskazuje na to, aby któryś z nich był metajęzykiem specjalistów. Na dodatek stosunkowo często trafiamy w różnych językach na wzajemne zapożyczenia.

– I mimo to uważacie, że tych języków będzie jeszcze więcej? – jęknął Kaldaq.

– Właśnie w tej chwili moi koledzy nagrywają kolejne, obiecujące próbki. Jedynym sposobem dogłębnego zbadania sprawy będzie nawiązanie kontaktu z tubylcami.

– Inne działy badań naukowych nalegają na to samo – powiedział T'var.

– Istnieją specjalne procedury badania nowych światów i my ich nie naruszymy – oznajmił Kaldaq, starając się nie okazać irytacji. Zerknął z ukosa na Hivistahma. – Ale dość o tym bełkocie tam, na dole. Czy wiemy coś więcej o dziwacznej tektonice tej planety?

Szefowa odnośnego zespołu poprawiła ciemne okulary.

– Skorupa planety znajduje się w ciągłym ruchu. Aktywność tektoniczna przewyższa oczekiwaną, co skutkuje niezwyklejmi zaiste zjawiskami, mogącymi rzutować na zupełnie unikalny rozwój ekosfery. – Zawahała się na sekundę. – Odkryliśmy nawet czynne wulkany oraz ślady świadczące o występowaniu gwałtownych ruchów w obrębie skorupy i płaszcza planety.

– Na zamieszkanym świecie! – mruknął T'var. – Niewiarygodne! To musi rodzić olbrzymie stresy. Jak oni sobie z tym radzą?

Kaldaq gestem uciszył oficera i poprosił specjalistkę, by kontynuowała.

– Zamiast jednej masy lądowej otoczonej wodą, co najwyżej z kilkoma wyspami, na tej planecie mamy do czynienia z czymś zupełnie innym. To akurat można stwierdzić bez żadnych przyrządów, wystarczy spojrzeć przez najbliższy iluminator. Inkryminowany świat obfituje w anomalie. Na przykład wielkie pasma górskie występują tu zwykle na skraju płyt lądowych, zamiast pośrodku tychże. Na początku przypuszczaliśmy, że za taki stan rzeczy odpowiada niegdysiejsze zderzenie z

kometa, jednak dalsze badanie tektoniki zasugerowało inne rozwiązanie problemu. Obecnie skłonni jesteśmy to wiązać z istnieniem dużego księżyca obiegającego planetę po stosunkowo niskiej orbicie. – Szeftowa pokiwała głową. – Oczywiście za wcześnie jest jeszcze, aby wyciągać ostateczne wnioski. Być może w przypadku kontaktu tubylcy sami wyjaśnią nam to zagadnienie lub przynajmniej rzucą nieco światła na nasze hipotezy.

Kaldaq zastrzygł uszami.

– Poczekamy, aż wrócą sondy. Wprawdzie powinniśmy wykonać aż trzy cykle obserwacji, ale w tym przypadku myślę, że możemy nieco nagiąć regulaminy. Zespoły pracują jak zwykle – dodał ostrzegawczym tonem – i zgodnie z wcześniejszymi założeniami. Żaden wydział nie będzie faworyzowany. – Skinął na protestującą szefową tektoników. – Jeszcze nie teraz. Dostaniecie do swej dyspozycji jeden z późniejszych przelotów. Wiem, że jest tu co badać, ale nie możemy tracić z oczu najważniejszego. Naszym głównym zadaniem jest nawiązanie kontaktu z tubylcami. Dwóch potencjalnych sojuszników uzyskanych w jednej wyprawie to coś niezwykłego, nawet jeśli żaden z nich nie wkroczył jeszcze w erę kosmiczną. Nie będę tolerować żadnej niesubordynacji czy waśni międzywydziałowych. Każdy niech robi swoje. Ja też. – Spojrzał wymownie na specjalistkę. – Ufam, że Hivistahmowie i tym razem nie zawiodą.

Szeftowa mrugnęła potwierdzająco powiekami, Kaldaq rozsiadł się wygodniej w fotelu.

– Niezależnie od śmiałych hipotez i ciekawych teorii nie mogę pozwolić, by potrzeby tektoników i lingwistów zdominowały badanie kosztem, powiedzmy, botaników, hydrologów czy kogokolwiek innego. Dopiero zaczynamy i trudno powiedzieć, co jeszcze odkryjemy i co będzie naprawdę istotne. Rozumiemy się?

Wszyscy obecni dotknęli translatorów w geście akceptacji. Cała przemowa wygłoszona była głównie na użytek skłonnych do kłótni Hivistahmów. W przypadku Waisów czy S'vanów kończyło się zawsze na cichych wyrazach ubolewania.

Spotkanie dobiegło końca.

Piętnaście różnych języków. To umykało wyobraźni. Po co komu piętnaście języków, żeby się dogadać? Równie to bezsensowne, jak ukształtowanie powierzchni tej planety.

Być może pierwsza sonda przyniesie wyjaśnienie. Statek miał na pokładzie kilka niewielkich samosterujących kapsuł atmosferycznych, zdolnych do lotu w każdych warunkach pogodowych i wyposażonych we wszelką aparaturę potrzebną do prowadzenia obserwacji.

Już wcześniej zauważono, że na niskich pułapach aż roiło się od samolotów, ale sondy potrafiły omijać je z daleka. Miały zbadać dokładnie jeden, może dwa masywy lądowe. Po analizie danych przyjdzie pora na podjęcie decyzji w kwestii kontaktu. Ustali się, kiedy i gdzie wysłać ładownik. Może szczęście dopisze i krajowcy okażą jeszcze jakieś inne talenty prócz skłonności do mnożenia języków.

Rozdział 06

Obudzono go w środku nocy. Szybko ześliznął się z wysokiej pryczy i ubrał. Jaruselka daremnie pytała, co się dzieje. Sam nie wiedział. Pośpiech nie wynikał z zaniepokojenia, po prostu Massudzi wszystko robili dość gwałtownie. Przed wyjściem z kabiny obmył jeszcze oczy i przybrał możliwie wojskowy wygląd.

T'var czekał na korytarzu. Ledwo ujrzał kapitana, przeprosił za pobudkę. Nie była ona szczególnie dotkliwa dla Kaldaq, bowiem dla Jaruselki nie zaczął się jeszcze okres rui, jednak z racji sporej pobudliwości Massudzi zawsze potrzebowali sporo snu i jego brak paskudnie odbijał się na ich samopoczuciu.

Jadąc windą do centrali zamówił przez podręczny komunikator coś na ząb. Może dobra przekąska zrekompensuje niewyspanie. Wyczuwając stan ducha kapitana, wolny od służby personel czym prędzej schodził mu z drogi. Kaldaq ruszył pospiesznie korytarzem i zwolnił dopiero wtedy, gdy usłyszał ciężkie dyszenie próbującego nadążyć za nim T'vara. Zrobiło mu się wstyd. Spora nieuprzejmość.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego – mruknął zirytowany.

– W przeciwnym razie bym nie budził – powiedział T'var tonem pokrzywdzonego.

S'vanowie byli w tym szczególnie dobrzy.

– Że ty tak uważasz, to jeszcze o niczym nie świadczy – warknął Kaldaq. – Dokładniej.

– Chodzi o sondę.

– Wróciła? Trochę za wcześnie. Czyżby ktoś uznał, że dość już obejrzelismy, i ją odwołał?

– To nie tak.

W centrali było pełno poddenerwowanych Hivistahmów i równie niespokojnych S'vanów i Massuddw, Między nimi przemykali technicy O'o'yanów.

– No to jak?

– W ogóle nie wróciła.

Kaldaq stanął jak wryty. Zajęta pracą obsługa jeszcze go nie zauważyła.

– Co to znaczy, że nie wróciła?

Sondy były tak zaprojektowane, aby wytrzymać warunki panujące na najbardziej nawet nieprzychylnych życiu światach. Uznawano je za niezawodne, wszelako wszystko się kiedyś psuje...

– To dlatego mnie obudziliście? – Kaldaq nie dał nawet T'varowi czasu na odpowiedź. – Pierwszy oficer powinien spokojnie sobie z tym poradzić. – Wyślijcie następną sondę i sprawdźcie, co stało się z poprzednią. Czy przyszło komuś do głowy, że to mogła być zwykła awaria?

– To nie wyglądało na awarię, kapitanie. Nie jesteśmy pewni, ale... Ostatnie przekazy były dość dziwne.

– Dziwne? Pod jakim względem?

– Kamery coś uchwyciły. – Dopiero teraz Kaldaq zauważył, że T'varowi daleko jest do normalnej jowialności. – To trzeba zobaczyć.

Kapitan pokazał zęby i wkroczył pomiędzy techników i oficerów z takim impetem, że aż ci rozpięchli się przed nim. Zaraz też zażądał pełnych wyjaśnień. T'var zagadał coś pośpiesznie po swojemu do Z'mama i Kaldaq go opieprzył. Chciał jak najprędzej załatwić sprawę i wracać do łóżka.

Oficer wskazał na ekran.

– Oto co odebraliśmy w ostatnich chwilach przed utratą łączności, kapitanie.

Kaldaq skupił się na obrazie.

Sonda mknęła nad wielką zalesioną równiną, widoczną w rzadkich lukach między chmurami. Normalny, spokojny widok.

W dole mignęło kilka wielkich miast. Odbiegały od nich radialnie liczne, niemal proste linie świadczące o rozwiniętym transporcie lądowym.

Obraz zamigotał bez ostrzeżenia i powrócił.

– Co to było? – spytał Kaldaq tłoczących się wkoło inżynierów. Ani na chwilę nie odrywał oczu od ekranu.

– W pierwszej chwili myśleliśmy, że to za sprawą silnych wiatrów – odparł ściśnięty między dwoma Hivistahmami O'o'yan. – Potem że awaria aparatury. Jak widać na wykresie sonda wznowiła pracę. Tyle tylko, że zaczęła nabierać wysokości...

– Teraz będzie najważniejsze – mruknął oficer. – Tutaj... – Hivistahm zwolnił tempo odtwarzania.

Jeden z inżynierów wskazał pazurzastymi palcami jakiś punkt na ekranie.

– Proszę spojrzeć.

W polu widzenia pojawił się niewielki obiekt. Rósł w prawym górnym rogu obrazu, aż w pewnej chwili chmury, niebo i ląd zawirowały. Ledwie sekundę później ekran poczerniał.

– Wygląda na zwykłą awarię – powiedział Kaldaq.

– Gdyby sonda się po prostu rozbiła, mielibyśmy obraz aż do chwili uderzenia w ziemię – powiedział niecierpliwie oficer, zapominając na chwilę, że nie rozmawia z innym S’vanem. – Szczegółowa analiza danych pokazuje, że transmisja ustała gdy sonda była jeszcze w powietrzu.

– Może zatem jakieś szkodliwe zjawisko atmosferyczne.

– Mamy powody, by sądzić inaczej. – Z’mam podszedł do konsoli i odtworzył ponownie ostatnie fragmenty przekazu. W końcu zatrzymał jedno z ujęć i powiększył obraz. Wybrany wycinek przerzucił na trójwymiarowy projektor. Nad konsolą zawisł bez ruchu cylindryczny obiekt z małymi skrzydełkami. Wykonany był niewątpliwie z metalu.

– Z dużą szybkością leciał wprost na naszą sondę – wyjaśnił oficer. – Sonda zesłała mu z kursu, ale łączność urwała się i tak.

– Wszystkie sondy są tak zaprogramowane, aby schodzić z drogi obcym obiektom latającym – wyjaśnił stojący z boku Massud.

Kaldaq spojrział na żołnierza.

– Ale chyba nie uważacie, że to tubylcy ją zniszczyli? – Nikt mu nie odpowiedział. – Przejrzałem wstępne raporty. Nawet jeśli weźmie się pod uwagę wszystkie ich dziwactwa, czegoś takiego dokonać nie potrafią.

T’var odchrząknął i poczochnął się po gęstej brodzie.

– Takie były nasze dotychczasowe spostrzeżenia, wszelako obecnie...

– To jeszcze nie dowód – rzucił Kaldaq. – Wyślijcie następną sondę, ale z innym programem. Może ten teren jest pod jakimś względem szczególny. Niech spenetruje inny obszar lądu.

Dziwnie to brzmi: inny obszar lądu. Zagadka dla tektoników. Nagle coś go zaniepokoiło.

– O jednym jeszcze zapomnieliśmy. A jeśli to wysunięta placówka Ampliturów?

– To akurat sprawdziliśmy w pierwszym rzędzie – odrzekł jeden ze S’vanów. – Brak przesłanek. Tutejsze satelity są dość nowoczesne, ale różnią się zdecydowanie projektem i wykonaniem od sprzętu Ampliturów. Poza tym, o ile zdołaliśmy się zorientować, wykorzystywane są praktycznie tylko dla potrzeb łączności planetarnej. Nie nadają żadnych transmisji poza system, niczego stamtąd nie przyjmują. Czasem jedynie komunikują się z jakimiś innymi urządzeniami umieszczonymi w obrębie układu. Tamte też nie zdradzają żadnego podobieństwa ze sprzętem Ampliturów czy ich

sojuszników.

– To wszystko kupy się nie trzyma – mruknął Kaldaq. – Pospieszcie się z tą drugą sondą.

Sonda weszła w atmosferę i rozpoczęła realizację programu. Jak na razie nie działa się nic szczególnego. Do czasu uzyskania większej liczby danych utratę pierwszego próbnika postanowiono jednak przypisać przyczynom naturalnym.

Przez kilka dni informacje napływały jak gdyby nigdy nic i dopiero na kilka godzin przed odwołaniem sonda zniknęła w podobny sposób, jak jej poprzedniczka. Dokładna analiza danych doprowadziła ewidentnie do tego samego wniosku: sonda została zniszczona świadomie i z użyciem broni.

– W przypadku gdy tubylcy usiłują nawiązać łączność z sondą, jej program przewiduje odzew – powiedział naukowy szef wyprawy, otwierając zebranie w salonie statku. – Jednak ani w jednym, ani w drugim przypadku nie stwierdziliśmy takich prób. Nie mylę się?

– Właśnie – odparł jego drugi zastępca, który bezpośrednio nadzorował pracę próbników. – O ile możemy to stwierdzić, nie próbowano kontaktować się z żadną z sond. Obie zostały po prostu zniszczone.

– Chyba coś nam umknęło – powiedział Kaldaq. – Czy naprawdę możemy wykluczyć wpływ Ampliturów?

Złościła go ta niepewność. Frustracja była tak silna, że musiał chwilami odwracać się od rozmówców, by nie urazić ich widokiem wyszczerzonych kłów. Niepotrzebnie zresztą, bowiem manieri Massudów od dawna już nikogo nie dziwiły.

Po utracie drugiego próbnika zarządził na pokładzie alarm trzeciego stopnia i nie mógł przeciągać tego w nieskończoność.

– Nie mamy wielkiego wyboru. Możemy kontynuować badania, aż zabraknie nam sond. Możemy wrócić bezpośrednio do bazy i zameldować o wszystkim, i niech władze Gromady same dalej decydują, co zrobić z tym światem. Możemy też mimo wszystko zrobić, co do nas należy – zaznaczył i omiół podkomendnych spojrzeniem. – Skoro jestem już dowódcą tego statku, to nie pozwolę, abyśmy w jakimkolwiek punkcie zaniedbali nasze zadania. Zrobiliśmy naprawdę wicie i nie chciałbym, abyśmy poddawali się przed końcem dzieła. Sondy sprawdzają się świetnie w normalnych warunkach, ale nie zawsze reagują zgodnie z programem. A ten nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego. Jeśli mechanizmy zawiodły, musimy sami zakasać rękawy.

Zgromadzeni zamruczeli, zagwizdali i zaklaskali niespokojnie. Jeden z Hivistahmów wyraził głośno obawy większości.

– Ale jeśli obie sondy zostały zestrzelone, ten sam los może spotkać lądownik z załogą.

– Pomyślałem o tym – powiedział Kaldaq i rozmowy ucichły. – Oba próbniki poruszały się kursami wytyczanymi przez program. My zanurkujemy wprost do powierzchni planety. Posterunki

przeciwnika nie zdążą zareagować. Gdy będziemy już na dole, wtedy zamaskujemy lądownik. Jeśli nawet uznamy, że to tubylcy są odpowiedzialni za zniszczenie obu sond, to zauważcie proszę, ile czasu zabrało im wyśledzenie pierwszej. Drugą namierzali jeszcze dłużej. Można zatem przypuszczać, że ich możliwości śledzenia celów są ograniczone. Co więcej, obie sondy krążyły nad gęsto zamieszkanymi obszarami. Pozostaje starannie wybrać miejsce lądowania.

Soliwik nie miała uwag. T'var i Z'mam wyrazili ostrożną zgodę. Ekipa naukowców była przeciwnego zdania, czego jednak oczekiwać od wiecznie niezadowolonych Hivistahmów?

– Załoga lądownika ma być mieszana – stwierdził. – S'vanowie i Hivistahmowie jako obserwatorzy. Oddział Massudów na wypadek kłopotów. Wais do tłumaczenia. Przygotować odpowiednie zapasy, wyposażenie i broń. Nie zapominajcie też, że możemy wyciągać błędne wnioski. Wprawdzie rozwinięty transport powietrzny zdaje się wykluczać istnienie jakichś osobliwych zakłóceń atmosferycznych, ale nigdy nic nie wiadomo. A jeśli żyją tu jakieś gigantyczne, latające drapieżniki?

Nawet S'vanowie byli pod wrażeniem. Nie oczekiwali, że Massud może zaproponować coś tak śmiałego. Kaldaq nie miał jednak czasu, by nacieszyć się ich cichym aplauzem. Zbyt wiele rzeczy musiał jak najszybciej powyjaśnić.

– Soliwik, razem ze Z'mamem przejmiecie dowództwo na czas mojej nieobecności. – Spojrzał na szefa zespołów naukowych. – Będziemy chcieli wylądować w pobliżu jednego z tych skupisk miejskich, które widzieliśmy za pośrednictwem próbników, ale trzeba zmienić trajektorię podejścia. Lądowisko ma być położone dość blisko miasta, by podjąć obserwację, ale na tyle daleko, by nie groziło nam wykrycie. Musi być tam dosyć miejsca na ukrycie promu i wystarczająca różnorodność tubylców, byśmy mieli kogo badać.

– Trudno będzie wyszukać coś takiego – zaprotestował szef techników. – Za dużo zmiennych. Gdybyśmy tak mogli wejść w górne warstwy atmosfery...

– Musicie sobie jakoś poradzić – odparł Kaldaq. – Dopóki nie znamy prawdziwych możliwości tubylców, nie będę ryzykował. Statek pozostanie na wysokiej orbicie. Przy wzmożonej grawitacji maskowanie czasem zawodzi.

Odwrócił się do T'vara.

– Zbierz grupę. Pamiętaj przy tym, że będziemy musieli dźwigać sporo ciężkiego wyposażenia. Wybierz techników, którzy nie boją się byle czego. – Zerknął na Soliwik. – I żołnierzy, którzy nie strzelają do wszystkiego, co się rusza.

Kaldaq musiał improwizować. Z jednej strony trzeba było zapewnić maksimum bezpieczeństwa, z drugiej jednak pochopne reakcje byłyby niewskazane. Zamiast zastanawiać się nad czymkolwiek, po prostu działał i wydawał całymi seriami kolejne rozkazy. Chętnych do lądowania nie powinno brakować. Ryzyko ryzykiem, ale po tak długim rejsie każdy marzył o tym, by stanąć na powierzchni prawdziwej planety i odetchnąć powietrzem, które nie pochodziło z odświeżaczy statku.

Może inny kapitan postanowiłby raczej zostawić cały ten pasztet i wracać czym prędzej. Kaldaq nie mógł tego uczynić.

Wyjaśnił to wszystko Jaruselce, która oczywiście też chciała lecieć. Odmówił. Potem doszło do dłuższej i dość burzliwej dyskusji (jak to zwykle między Massudami), skutkiem czego dziewczynie i tak pozostało jedynie przygotować się na zacieśnianie więzów przyjaźni z tą resztą załogi, która miała pilnować statku. Kaldaq zapewnił ją, że nie będzie przesadnie ryzykował. On też chciał doczekać się potomstwa.

Kłótnie między naukowcami były o wiele intensywniejsze. Każdy wydział i instytut chciał ulokować w ekipie jak najwięcej swoich wysłanników. Aby przyspieszyć przygotowania, Kaldaq zarządził, że wszyscy naukowcy zostaną na razie na orbicie. Do czasu ustalenia prawdziwego statusu nowego świata badania naukowe schodzą na dalszy plan.

Ktoś rzucił hipotezę, że może na tym świecie rozwinęło się kilka inteligentnych gatunków. To by tłumaczyło mnogość języków. Analiza przekazów wizualnych kazała odrzucić to przypuszczenie. Na dole istniała tylko jedna, dominująca forma: dwunóg i najprawdopodobniej ssak. Biorąc pod uwagę poprzednie odkrycia istota zaskakiwała pospolitością swego wyglądu.

Kaldaqowi ulżyło. Obcy nie byli potworami. Do pewnego stopnia przypominali nawet S'vanów, Massudów trochę mniej.

Równocześnie poszukiwano stosownego miejsca na lądowisko. Głębie oceaniczne byłyby idealne, jednak nie pozwalały na jakakolwiek obserwację. Ostatecznie znaleziono kompromisowe rozwiązanie.

Wytyczono stanowisko leżące na południe od obszaru, na którym zniknęła pierwsza sonda, możliwie blisko największej koncentracji radioźródeł i szlaków powietrznych, jednak na uboczu. Kaldaq był zadowolony.

Kapitanowie nie brali zwykle udziału w pionierskich lądowaniach, jednak ten świat wymagał szczególnego postępowania. Mający go zastępować oficerowie byli i tak bardziej doświadczeni w kwestiach pokładowych i gdyby coś się stało, bez trudu doprowadziliby statek z powrotem.

Posiadanie trzech zastępców miało swe dobre strony. Poza tym drużyna bojowa sprawdzała się w pełni dopiero wtedy, gdy dowódca też był Massudem. Zabierał ze sobą dwunastu żołnierzy – dość by poradzić sobie z większością możliwych zagrożeń.

Zresztą, omijając miasta, unikną zapewne także większych kłopotów.

Lądowali w połowie nocy. Opadanie z orbity nie było miłe. Wyhamowali dopiero tuż nad samą powierzchnią. Jeden rzut oka utwierdził ich w przekonaniu, że mozół techników nie poszedł na marne.

Pod nimi rozciągały się liczne płycizny otoczone głęboką wodą. Ani śladu mieszkańców. Brak aktywności tubylców, rzadkie i słabe transmisje radiowe. Idealne miejsce.

Kaldaq byłby szczęśliwszy, gdyby usadowili się gdzieś na lądzie. Massudzi nie przepadali za wodą, a tej właśnie było tutaj najwięcej. Akurat dla Leparo i chyba tylko dla niego. Jednak płytki akwen dawał najlepszą możliwość szybkiego ukrycia wahadłowca.

Zanurzyli się jak najciszej i spoczęli na piaszczystym dnie w bezpiecznej odległości od powierzchni. Wkoło wznosił się pierścień wyspy, co pozwalało nie przejmować się falami i prądami.

Ledwie wystający ponad wodę ląd porastały gęste krzewy i wysokie drzewa o pozbawionych gałęzi pniach. Biologowie wzięli się z zapalem do roboty i rychło odkryli, że wąski i kolisty pasek lądu nie był skałą, a gigantycznym wałem utworzonym przez zwapniałe szkielety drobnych morskich stworzeń.

Szybko przeanalizowali skład chemiczny bariery, a pokładowy komputer opracował najkorzystniejszą metodę zakamuflowania lądowika. Hivistahmowie i O'o'yanowie pokazali Leparom, jak zbudować wokół wahadłowca kształtne rusztowanie, które podłączono do prądu. Zastymulowane w ten sposób żyjątka zaczęły radośnie obudowywać siatkę wapniem i w ciągu kilku dni dookoła statku wyrosła najprawdziwsza rafa, Leparowie dodatkowo ozdobili ją okazami miejscowego życia roślinnego, zaś okoliczne ryby i inne, nader kolorowe cudactwa szybko zaakceptowały utworzony niespodziewanie kawałek rafy i zasiedliły jego szczeliny, dzięki czemu kryjówka już zupełnie przestała odróżniać się od reszty otoczenia.

Zaczęto ponownie nasłuch transmisji radiowych nadawanych w najpopularniejszych językach planety. Na powierzchni można było czynić to bez skomplikowanych urządzeń odbiorczych. Waisowie pracowali nawet po godzinach, by rozpracować struktury gramatyczne i składniowe, przeanalizować rzecz do końca. Kaldaq był im głęboko wdzięczny za poświęcenie i cierpliwość.

Co to za świat, zastanawiał się czasem. Mnogość języków, lądy pokawałkowane, aktywne wulkany. I jeszcze jakimś niepojętym cudem wytworzyło się tu inteligentne życie.

Wszelako był to piękny świat. Na powierzchni i pod wodą. Dość ciepły, o umiarkowanie silnych wiatrach. Ilość docierającego do poziomu gruntu promieniowania ultrafioletowego była do przyjęcia, tylko zawartość tlenu w atmosferze pozostawiała nieco do życzenia. Oddychanie wymagało niejakiego wysiłku. Kaldaq tęsknił za chwilą, gdy będzie mógł opuścić lądowik i poczuć prawdziwy ląd pod stopami. Nawet jeśli maleńka wysepka nie dawała szansy na prawdziwie długie biegi.

Chwilowo jednak musiał jeszcze obejść się smakiem. Okoliczna roślinność wyglądała niegroźnie, ale mogły się w niej czaić jakieś żarłoczne lub jadowite stworzenia. Zwierzęta morskie były bajecznie kolorowe, ale to nie oznaczało jeszcze, że wszystkie są łagodne.

Ostatecznie skonstruowano zamaskowany podwodny tunel łączący statek z plażą i załoga mogła wyjść na brzeg. Na razie jedynie nocami, tytułem próby czy w nagrodę. Tylko Leparowie od dłuższego już czasu cieszyli się swobodą w ciepłych wodach laguny, bowiem pracowali na zewnątrz. Można było pozazdrościć im umiejętności oddychania zarówno w powietrzu, jak i pod wodą. Tego i wyłącznie tego zresztą, stwierdził przy jakiejś okazji Kaldaq.

Pierwszej nocy spojrział w niebo, na którym lśniły tysiące nieznanych gwiazd. Nie obawiali się, że jakiś samolot ich zaskoczy. Od kiedy przybyli, żaden nie przeleciał nad atolem.

Potem ruszył biegiem po piaszczystej plaży w przeciwnym kierunku niż reszta Massudów. Wiedział, że rychło obiegną wysepkę i znów się spotkają, ale przez chwilę mógł być wreszcie sam.

Na statku taki luksus był niedostępny, na dodatek te kudłate niedorostki (Kaldaq miał na myśli S'vanów) wyrażały się niepochlebnie o sportowych rytuałach. Teraz żaden nie powstrzyma Massudów przed pierwszym od wielu miesięcy prawdziwym biegiem, rzeczą równie istotną w ich życiu jak seks. Gdyby zaś jakiś pojazd zbliżał się do atolu, T'var i tak da znać z odpowiednim wyprzedzeniem, aby wszyscy zdążyli się schować. Ale to mało prawdopodobne; z dotychczasowych obserwacji wynikało, że tubylcy wolą podróżować za dnia.

Yatoloi unosił się na spokojnej powierzchni zatoki i przyglądał gnającym po piasku Massudom. Wokół bioder zapięty miał pas z narzędziami. Odruchowo wypluł z zewnętrznych skrzel kilka grudek planktonu. Nie pojmował, po co Massudzi tak biegają. Zresztą w ogóle rzadko kiedy rozumiał Massudów.

A biegali wspaniale, jego własny gatunek nie miał nawet szans na podobne dokonania. Mogli galopować tak przez całą noc, okrążać lagunę raz za razem, by zwolnić ostatecznie i wywiesić jęzory z boku paszczyk. Yatoloi wiedział, że to dla nich bardzo ważne, ale czemu właściwie? Tego też nie rozumiał. Po co tracić tyle energii bez widocznego rezultatu?

A może chodziło o zabawę? Rodzaj żartu? Massudzi mieli spore poczucie humoru, chociaż i tak nie dorównywali S'vanom. Ale nigdzie nie jest napisane, że trzeba wszystko rozumieć. Wystarczy pracować, spać, jeść, rozmnażać się.

Jednak Yatoloi nie mógł oprzeć się wrażeniu, że coś w ten sposób traci. Może gdyby był równie błyskotliwy jak Massudzi, O'o'yanowie czy (cóż za upiorna perspektywa) S'vanowie... Wiele ras potrafiło wyrażać się potocznie, ale S'vanowie jako jedyni opanowali w pełni sztukę konwersacji. To był ich unikalny talent. W pewnym sensie, pomyślał Yatoloi, S'vanowie równie dobrze żonglowali słowami, jak Massudzi przebierali nogami.

Leparowie byli inni. Brakowało im też technicznych talentów Hivistahmów czy precyzji O'o'yanów. Potrafili jedynie pracować: ciężko, monotonnie i bez narzekań. Byle tylko powierzone im zadanie nie wymagało zbytnej zręczności palców ani twórczego myślenia.

Yatoloi zanurkował i bezwiednie przeszedł na oddychanie tlenem zawartym w wodzie. Kolory i bogactwo form tutejszego świata zachwycały go niezmiennie od pierwszej chwili. Wiele organizmów świeciło nawet w nocy. Zebrał już sporo okazów dla naukowców i zdumiał się niejednym ich komentarzem. Ale zawsze mu dziękowali, a to było miłe. Ale nie czas na oglądanie krajobrazów. Musi pomóc Haoupi, który sprawdzał przyrost rafy wkoło anteny lądownika. Przepływający Leparowie pozdrawiali go stosownymi gestami i grymasami ust. Płynął bez wysiłku, lekko tylko machając ogonem.

Haoupi ucieszył się na jego widok. To wielka pomoc, mieć przy sobie kontrolera tej klasy co

Yatoloi. W razie wątpliwości jest się kogo spytać. Pracę skończyli o czasie i dzięki talentom Yatoloiego nie musieli nawet prosić o nic dyżurnego Hivistahma. I to najważniejsze, pomyślał Haoupi. Hivistahmom brak cierpliwości, często mówią takie rzeczy, że od razu robi ci się przykro.

Praca kontrolera nie była łatwa: wymagała podejmowania decyzji. Ale Yatoloi zgodził się ją podjąć, skoro uprzejmie go poproszono. Przynajmniej nikt nie śmieje się z kontrolera, nie narzeka przy nim zbyt głośno. Jednak spoglądano nań z ukosa. Ale taki już los wszystkich Leparów, Trzeba sobie z tym radzić. Jedna z wielu przeciwności życia.

To cudowne miejsce, pomyślał. Bez wysiłku pojmował, czym jest piękno. Dobrze było wypłynąć na wody laguny. Zawsze wolał pływać niż chodzić. Nawet jeśli Hivistahmowie pyszczyli, że to zwykły atawizm.

Zanurkował głębiej i przyjrzał się pełzającej po piaszczystym dnie istocie. Przez kilka pierwszych dni odczuwał ból nie używanego należycie przez długi czas ogona, ale teraz wrócił już do formy.

Słyszał o tutejszym pomieszaniu języków, o dziwnej strukturze geologicznej, ale to nie mąciło mu obrazu piękna. O wiele bardziej interesowała go sprawa zniknięcia aż dwóch próbników. Teraz żywa załoga przybyła, żeby dokonać tego, czego automaty nie potrafiły, i rozszyfrować ten świat.

To budziło obawy i on też odczuwał lęk. Może nawet silniej. W jego przypadku nie była to jedna z wielu emocji, ale głęboko zakodowana fobia. Odwiedzał już wiele światów, przyleciał i tutaj, a wszystko w nadziei, że uda się wreszcie znaleźć skuteczny sposób na Ampliturów. Leparowie bali się ich o wiele bardziej niż inne rasy. Bali się ich bardziej, niż mrocznych głębin własnych mórz.

Pracowali zatem na okrągło i nie narzekali. Cierpieli i też nie narzekali. Były tylko dołożyć swoją cegiełkę. Były tylko Ampliturowie nie pozbawili ich jaźni.

Leparowie nie byli przesadnie inteligentni, ale sztukę przetrwania opanowali do perfekcji.

Rozdział 07

Piątego dnia statek spoczywał już całkiem zamaskowany na dnie laguny, Z góry przypominał jeszcze jedną odrośl rafy. Okoliczne stwory morskie zagnieździły się w niej na dobre, jednak nikt obcy nie odwiedził atolu, Waisowie znaleźli trzy nowe języki, co dawało łączną liczbę osiemnastu. Dla Kaldaq była to wielkość astronomiczna.

Wszelako postęp zasadniczych badań napotykał na opory. Pozostawało albo przenieść (mimo wszystko) lądownik bliżej centrów miejskich, albo postarać się o okaz do badań.

Drugi pomysł był o wiele sensowniejszy. Owszem, nagrania miejscowych programów dostarczały im sporo wiedzy, ale badania żywej istoty znacznie przyspieszyłyby prace, co byłoby nader wskazane, jako że programy dostarczały często sprzecznych danych.

Wiedziano już, że dominujący gatunek jest dwunożny, ma cechy ssaka i jest bardzo zróżnicowany, szczególnie pod względem koloru skóry. Naukowcy nie potrafili jeszcze orzec, z czego wynika ta cecha. Jedno z przypuszczeń zakładało daleko idącą specjalizację biologiczną (i tym samym społeczną) poszczególnych grup, podział, na przykład, na robotników, trutnie i tak dalej.

W każdym razie nie były to istoty definitywnie obce. S'vanowie i Massudzi też byli dwunożnymi ssakami. Hivistahmowie, O'o'yanowie i pozostali to stworzenia przynajmniej stałocieplne.

Ale wszyscy oni posiadali jeden, wspólny dla całego gatunku język. Dziwne, że tutejsze grupy terytorialne w ogóle potrafiły się porozumiewać.

S'van spędził sporo czasu z Pasiakilionem, który rozwinął teorię, jak ją nazwał, „geosocjologii”. Kaldaq nigdy nie słyszał o takiej dyscyplinie, Turlog jednak starał się za wszelką cenę jakoś sklasyfikować ten dziwny świat.

Chcieli podjąć próbę wyizolowania pojedynczego osobnika, jednak było to zadanie delikatnej natury. Potrzebna była też spora doza szczęścia. Jeśli istoty te miały równie silny instynkt stadny jak na przykład S'vanowie, oderwanie jednostki od znajomego społeczeństwa mogłoby spowodować traumę albo i coś gorszego. Szkoda, że obcy nie przypominają Turlogów, pomyślał Kaldaq. Tym przynajmniej wszystko jedno, czy najbliższy krewniak jest tuż obok, czy kilka lat świetlnych dalej.

Kwestii płci okazy nie uważano narazić za szczególnie istotną, bowiem biologowie pragnęli i tak zbadać obie, jednak gdyby zdobyć parę, niewątpliwie byłoby łatwiej. Można by obserwować wzajemne relacje partnerów, ich zachowania w różnych sytuacjach, jednak zapewne trudniej by wówczas przyszło pozyskać ich współpracę.

Czterech Massudów wyraziło gotowość podjęcia wyprawy po egzemplarz obcego. Towarzyszyłby im jeden Wais i jeden Lepar w roli mechanika. Naukowcy podnieśli wielki wrzask, że wykluczono ich z tej ekipy, ale szybko się przymknęli. Wszyscy pamiętali jeszcze, jaki los spotkał sondy.

Miniaturowa łódka podwodna była urządzeniem cichym i praktycznie niezatapialnym, co szczególnie cieszyło kiepsko pływających Massudów. Oczywiście nikt nawet nie pomyślał, aby zlecić misję samym Leparom.

Postanowiono porwać obcego z pokładu jednej z przepływających czasem w pobliżu atolu łodzi. Mało która wpływała do laguny. Był tylko jeden problem: załogi tych stateczków były nieliczne, a im mniej osób na pokładzie, tym większe prawdopodobieństwo, że pozostali szybko zauważą brak towarzysza.

Ostatecznie uznano jednak, że samo gadanie nic nie da i trzeba po prostu spróbować. Wybrano łódź z trzyosobową załogą. Kaldaq podszedł do sprawy sceptycznie; uznawał, że tylko skończeni głupcy mogą wypuszczać się na otwarty ocean w tak małym gronie. Atol leżał jednak blisko stałego lądu... Kapitan uznał, że można poczekać na okazję.

Mijały dni. Kilka stateczków wpłynęło na krótko do laguny, ale na wszystkich były co najmniej cztery istoty. Podwodny wehikuł okazał się wspaniałym punktem obserwacyjnym.

Tubylcy nosili skąpe ubrania, dzięki czemu łatwo było rozróżnić samców i samice. Pozbawione niemal zupełnie sierści ciała budziły odrazę Massudów. Po tym względem podobieństwo do Leparów było uderzające, obcy nie mieli jednak ogonów i nie wydzielali śluzu. Ich płaskie twarze nadawały im podobieństwo do S'vanów.

Wobec ciepłych nocy można było nie zawracać sobie głowy ogrzewaniem, zatem Kaldaq po prostu położył się na obłym pokładzie łódki i przyglądał się obcym przez mnożnik optyczny.

Było ich sześcioro. Podrygiwali miarowo w świetle pełnej tarczy księżyca. Z wnętrza statku dobiegały rytmiczne dźwięki. Ciała mieli muskularne. Kaldaq zastanowił się, jaki to rytuał odprawiają owi tancerze. Pary zmieniały się co jakiś czas.

Ciekawe widowisko, masa materiału dla biologów i socjologów. Ale co z tego? Podstawowe badania utknęły w miejscu.

Laguna była całkiem pusta, gdy wpłynął do niej dziwny statek o dwóch kadłubach i rzucił kotwicę. Jednak nie konstrukcja wehikułu zaabsorbowała obserwatorów najbardziej, ale muzyka, która już pierwszej nocy zaczęła dobiegać ze środka. Była całkowicie odmienna od słyszanych dotąd utworów. Nadal nie przypominała sztuki cywilizowanej, jednak w swym barbarzyństwie była nawet chwilami miła dla ucha. Poza tym nie rozbrzmiewała nazbyt głośno.

Ponieważ statek kotwiczył samotnie, postanowiono podjąć tym razem próbę kontaktu.

Pusty pokład, typowy dla miejscowych statków, zrefowany żagiel, kotwica na dnie, światło

dolatujące z dużej, centralnie umieszczonej kabiny. Tyle było widać z dala.

Kaldaq i Denlak okrążyli stateczek. Nadal nikogo na pokładzie, znak mogący świadczyć o niewielkiej liczebności załogi. Żadnego ruchu wewnątrz, żadnych sylwetek na tle światła. Nic, tylko muzyka. Kolejne sekwencje harmonicznyc wariacji. Czegoś takiego nie słyszeli nawet w transmisjach radiowych. Zupełnie jakby obcy nie mogli się zdecydować, jaka wersja ulubionego utworu najbardziej im odpowiada. Kaldaq wzdragał się przed zajrzeniem do środka, w końcu przywołał resztę Massudów na naradę.

– Po raz pierwszy od długiego czasu mamy do czynienia z pojedynczym statkiem. To idealna okazja, ale najpierw musimy wiedzieć, ilu krajowców jest na pokładzie. Jeśli będziemy czekać, aż sami się pokażą, może nadpłynąć inny statek i sprawa się skomplikuje. Poza tym oni pokazują się najczęściej za dnia, co stwarza dodatkowe ryzyko. Ponieważ my bezpieczne obserwacje prowadzić możemy jedynie w nocy, proponuję wejść na pokład teraz. Może uda nam się policzyć obcych bez zdradzania swojej obecności.

– Lepar mógłby podpłynąć pod samą burzę – zauważył jeden z żołnierzy.

Kaldaq zmarszczył nos.

– Iluminatory są za wysoko. Nie sięgnie.

Innych propozycji nie było. Mimo oporów Kaldaq musiał poprowadzić oddział i jako pierwszy wspiąć się na pokład. Przedtem należało jeszcze przepłynąć kawałek wpływ. Dropahk zgłosił się na ochotnika do towarzystwa.

Wydawało się, że tubylcy są najmniej czujni w godzinach poprzedzających bezpośrednio wschód słońca. Massudzi czekali zatem na pokładzie jednostki podwodnej i rozważali różne możliwości przebiegu akcji. Spora ich część była niezbyt budująca.

W końcu nadeszła właściwa pora.

Kaldaq i Dropahk zdjęli ubrania, zapięli pasy z oprzyrządowaniem, komunikatorami i translatorami (wyposażonymi w program stosowny dla używanego w okolicy języka tubylców) oraz ręczną bronią. Ta ostatnia miała służyć wyłącznie do obrony przed wodnymi drapieżnikami, które widywano czasem w pobliżu lądownika.

Woda była ciepła, jednak niewielka to pociecha dla kogoś, kto po prostu nie lubi pływać. Massudowie i tak byli uprzywilejowani, bowiem Hivistahmowie i O'o'yanowie w ogóle nie posiadli tej sztuki. Zmuszony do wymachiwania łapami Kaldaq aż wyszczerzył zęby. Stateczek trwał przed nimi nieruchomy i spokojny.

Wysięk dawał się we znaki, szczęściem było blisko i kilka chwil później obaj żołnierze dobili do rufy jednego z bliźniaczych kadłubów, tuż obok szeregu pionowych szczelin tworzących coś w rodzaju drabinki. Sama konstrukcja była interesująca, ale nie nowatorska; takie jednostki spotykało się często na prymitywnych światach, jako że uchodziły za dość uniwersalne.

Dropahk chciał iść pierwszy.

– Drzwi z tyłu są otwarte – szepnął do kapitana. Mokre futro ociekało wodą. – Widzę wewnątrz kabiny. Nic się tam nie porusza. Muzyka dobiega z tego drugiego kadłuba.

Wyobraziwszy, sobie zębate paskudztwa krążące pod nim w wodach laguny, Kaldaq pospieszył za towarzyszem na pokład.

Miedzy kadłubami rozciągała się rozległa, wysoko wzniesiona nad wodą kabina, za nią widniało pomieszczenie z wielkim urządzeniem w kształcie koła i kilkoma prostymi instrumentami. Kaldaq podszedł bliżej i zajrzał do kabiny.

W środku było jasno, coś niewidocznego pomrukiwało z cicha. Massud domyślił się, że musi to być generator energii. Z dalszych drzwi dolatywała muzyka. Nie była aż tak przykra, jak się obawiał, ale i tak raniła uszy.

W głębi ujrzał kolejne koło i dalsze instrumenty, nieco mebli i ozdób, których przeznaczenia mógł się tylko domyślać.

– Chodź – szepnął do kompana. – Nie ma nikogo. Tylko muzyka.

Dropahk przysunął się bliżej. Zaraz położył uszy płasko po sobie i wyszczerzył zęby.

– To granie wwierca mi się w mózg.

– Ja też dostaję drgawek, ale słyszeliśmy już tu gorsze rzeczy. – Zawahał się i wskazał na otwarte drzwi. – Musimy tam zajrzeć.

– Doradzam ostrożność, kapitanie.

– Wiemy już, jacy są. Nie wyglądają na mocarzy.

– Ale mogą być jadowici.

– Będę uważał.

Kaldaq pochylił się i wszedł do kabiny. Zmarszczył nos. W środku pachniało intensywnie obcymi. Po obu bokach widniały otwory łączące centralne pomieszczenie z kadłubami. Skierował się ku temu, z którego dobiegała muzyka.

Tutaj musiał zgiać się we dwoje. Spojrzał ostrożnie w lewo, potem w prawo. Tubylec siedział w drugim końcu wąskiego kadłuba. Miał nagie ręce i manipulował coś przy licznych urządzeniach. Był odwrócony tyłem do wejścia i nie dostrzegł jeszcze Kaldaqa.

Bezpośrednia obserwacja potwierdzała uzyskane wcześniej informacje. Przy każdej dłoni obcy miał pięć nagich wyrostków. O jeden więcej niż Massudzi, o dwa mniej niż O'o'yanowie, dokładnie tyle samo, co Hivistahmowie. Ale to było jedyne, co łączyło go z tymi ostatnimi. Niemal zupełnie

bezwłosa skóra, miękka na oko i wilgotna. Żadnej łuski.

Dźwięki rozlegały się tutaj zbyt głośno, nawet jak dla Kaldaq. Nie pojmował, jak tubylec to wytrzymuje, chyba musi posiadać słabo wykształcone organy słuchu.

Kapitan z ulgą wycofał się do kabiny. Dropahk wyjrzał z przeciwległych drzwi.

– Pusto.

– Znalazłem tylko jednego – mruknął Kaldaq i skrzywił się pod wpływem nagłego dysonansu. Ale fałsz!

– Że on od tego nie wariuje! Nic dziwnego, że jest sam. Siedzi odwrócony tyłem i nie mogę odróżnić płci. Przekaż pozostałym, aby przybywali. Niech wezmą tłumaczkę.

– Czy to konieczne, kapitanie? Przecież my dwaj...

– Lepiej nic zostawiać takich spraw przypadkowi. Chce mieć tu całą ekipę.

– A jeśli Wais nie będzie chciała tu przyjść? Ona nie potrafi pływać.

– No to ją przyciągną. Może nam być potrzebna. I wezwij jeszcze Yatoloia.

Dropahk kiwnął głową, ale nagle przypomniał coś sobie i odwrócił się.

– A kto popilnuje naszej łódki?

– Właśnie Yatoloi. Nie będzie musiał nic robić, wystarczy, że popływa sobie tuż obok – dodał, widząc zdumione spojrzenie Dropahka.

Żołnierz zmarszczył nos i zniknął w mroku. Tubylec siedział wciąż przy swojej aparaturze i produkował dźwięki poddające w wątpliwość jego status istoty inteligentnej. Kaldaq zatkał uszy. Żeby tylko nie musiał tu długo czekać!

Spróbował tonacji fis, Will Dulac przerwał na moment. Oparł się wygodnie i spojrzał w zamyśleniu na milczące instrumenty. Jedynie lekki szum syntezatora zakłócał ciszę tropikalnej nocy.

Palcami prawej dłoni przeczesał ciemne, pofalowane włosy. Łysiał z wolna, ponad czołem pojawiły się już głębokie zakola. Czupryna jest jak cofający się lodowiec, pomyślał. Dla uzupełnienia braków zapuścił jakiś czas temu bujne bokobrody. Nieustannie zastanawiał się, jakby tu uatrakcyjnić swój wygląd. Właśnie: być oryginalnym. Dokonać czegoś. Tak jak w przypadku muzyki.

Pierwsza połowa „Arkadii” była już gotowa, reszta z wolna rysowała się w głowie. Jednak scherzo sprawiało wciąż same kłopoty. Nie chodziło o melodię ani o stosownie mroczną tonację, którą zdołał w końcu wprowadzić do programu maszynki. Główną zagwozdką była orkiestracja dzieła.

Początek zamierzał rozpisac na flety w kontrapunkcie z solowym fagotem, co powinno dac efekt poniekad humorystyczny, cos w stylu czarnej komedii nawiązujacej do muzyki Berlioza czy Bartoka. Potem temat miały przejac drugie skrzypce i kontrabasy, zaś podczas malej, zgrabnej toccaty dochodziły jeszcze instrumenty dęte. Toccata nawet się udała, ale za żadne skarby świata nie wiedział, jak zgrabnie przejść od adagia do scherza. Zero inwencji.

Wszystko brzmiało mu zgrzytliwie. Flety ginęły na tle pozostałych instrumentów, zaś co do fagotu, który miał brzmieć jak pogrążony w żalobie... Instrument uparcie oznajmiał światu, że cierpi na ostrą niestrawność. Zupełnie jak zwariowana tuba kontrabasowa, która urwała się z opisanych przez Holsta pierścieni Saturna.

Spojrzał ze złością na klawiaturę MIDI i na plątaninę kabli. A gdyby tak zastąpić fagot saksofonem? Orkiestracja była już i tak dość złożona, a dodanie saksofonisty narażało jeszcze małomiasteczkowe orkiestry na koszty wynajmu stresującego grajków solisty. Mogą nie palić się do wykonania gotowego dzieła.

Do diabła! A takiemu Ravelowi poszło jak z płatka! I Debussy'emu, i Griffesowi. Jeśli ta banda Francuzów z początku dwudziestego wieku i jeden późniejszy nieco, chorowity Amerykanin mogli opanować orkiestrę, to czemu pewien nowoorleański nauczyciel akademicki z bogatym doświadczeniem tłucze ciągle głową w mur?

Może niepotrzebnie unika saksofonu? Może to podświadoma blokada spowodowana pragnieniem ucieczki od brzmień jazzowych? Jeśli ktoś pochodzi z tej akurat części kraju, to przez całe życie musi udowodniać, że nie jest jazzmanem.

Ludzie mówią mu: „Och, tak, jesteś muzykiem z Nowego Orlanu. Na pewno czerpiesz natchnienie z jazzu, prawda? Przecież nie może być inaczej”.

Mimo braku towarzystwa, Will potrzęsnał przecząco głową. Paskudne uogólnienia. Wystarczy urodzić się w Luizjanie, a już krytycy i szeroka publiczność pakują cię do pudełka z napisem jazz. A on wcale nie miał ochoty zostać drugim Louistem Gottschalkiem.

Jego praca nie miała nic wspólnego z jazzem, za to nieustannie nawiązywała do kajuńskiego dziedzictwa Willy'ego. O wiele łatwiej byłoby skomponować jakiś krótszy kawałek. Jakąs suitę z wykorzystaniem pieśni ludowych. Z tymi skrzypcami, których słuchał w dzieciństwie w parafialnym kościółku. Potem prosta orkiestracja i można nagrywać.

Nie to jednak chodziło mu po głowie od piętnastu lat. Owszem, tamte brzmienia też wykorzysta, na pewno, ale jako wtrącenia i przerywniki w większej kompozycji.

Teraz mierzył wyżej. Pragnął zaadaptować ludową muzykę Kajunów do współczesnej tradycji symfonicznej, ni mniej ni więcej, W jego twórczości pobrzmiewały wprawdzie wpływy minimalistów, ale w połączeniu z echami współczesnej muzyki amerykańskiej. Czerpał właściwie zewsząd, od Hansona po Glassa. Szczególną inspiracją była mu cudowna symfonia Johna Vincenta. Może dlatego, że Vincent nie pochodził z Los Angeles czy Nowego Jorku, tylko z Alabamy.

Dulac miał nadzieję, że kilka tygodni na łodzi pomoże mu przełamać twórczy impas. Miasto rozpraszało go, nad jeziorem czy nad zatoką też nie było dość spokojnie. Musiał uciec o wiele dalej. Uciec od spotykanych po księgarenkach przyjaciół i kolegów, od uniwersyteckiego zgiełku i gadulstwa, od restauracji i wykładów. W mieście zawsze kusi człowieka, by odstawić komputer i przejść się do Café du Monde, zamówić *café au lait* i bagietkę. Łatwo trzasnąć w wyłącznik maszynki i spędzić cały wieczór krążąc po pełnych turystów ulicach, odpowiadać beczelnie na ich ciekawe spojrzenia.

Można, ale w ten sposób niczego się nie osiągnie. Jeśli miał pokonać to kradnące mu czas monstrum, musiał poszukać całkowitej pustki towarzyskiej. Jakiejś intelektualnej pustyni. Ponieważ nie miał dość forsy, pozostał mu wynajem łodzi.

Głównym motorem działania było zainteresowanie Dorbachevskiego. Szef orkiestry obiecał mu prawie, że zagra symfonię gdy tylko przybierze ona możliwy do poprowadzenia kształt. Filharmoniczna premiera nie tylko podniosłaby rangę, kompozycji, ale gwarantowała ponadto o wiele lepszą jakość wykonania niż w przypadku orkiestry uczelnianej.

Dearbom, szef wydziału, niejednokrotnie proponował Dulacowi stanowisko etatowego profesora, ale on niezmiennie odrzucał te oferty. Wyjaśniał, że woli obecną niezależność. Niepełne pensum zajęć i kilku indywidualnie prowadzonych studentów starczało mu w zupełności. Z rzadka dorabiał sobie jeszcze gościnnym dyrygowaniem i zleceniami od stacji telewizyjnych. Jedno i drugie było dobrze płatne. Nie żeby uwielbiał cygański tryb życia, po prostu chciał mieć dość czasu na komponowanie.

Oczywiście, jeśli nie uda mu się ukończyć „Arkadii”, wtedy będzie musiał poważnie zastanowić się na propozycjami Franka Dearborna.

Ale to jeszcze nie teraz. Na razie ważniejsza jest obietnica Dorbachevskiego i wizja znajomych dźwięków rozbrzmiewających dumnie w sali filharmonii. I oklasków pod koniec.

Żeby tylko te przeklęte flety zechciały pójść mu na rękę!

Chwilowo jedynym jego powszechnie znanym utworem było czterdzieści pięć sekund muzyki zamówionej przez dział wiadomości bieżących lokalnej stacji NBC. I jeszcze podkład muzyczny do filmu dokumentalnego o dzikim ptactwie Luizjany, to drugie skomponowane dla Baton Rouge PBS. Gdyby film był o wydobywaniu ropy naftowej, to może przyniósłby nawet jakieś większe pieniądze.

„Arkadia” miała być punktem zwrotnym. Poemat symfoniczny o Kajunach, pełen ich muzyki, nadziei i snów o potędze. Wykorzystał wszystko, co pamiętał z dzieciństwa oraz całą wiedzę profesjonalną, i zwalczył pokusę, aby poprzestać na modnym minimalizmie czy szokującej atonalności. Dzieło miało być nowoczesne, ale niezbyt trudne w odbiorze.

Jednak żeby zabrzmiało, musiał najpierw uporać się z oporną orkiestracją. Przerwać zaklęty krąg niemożności.

Załadował więc katamaran prowiantem, rzucił cumy, postawił żagiel i skierował się na południe.

Broń Boże w pobliżu wysp Cozumel czy Cancun; zbyt blisko, zbyt cywilizowanie.

Kotwicę rzucił dopiero w lagunie Lighthouse Reef. Kilka tygodni gwarantowanego spokoju. Jachty zaglądały tu z rzadka, do stałego lądu było całe sześćdziesiąt mil. Chociaż co to za ląd: biedna i siermiężna republika Belize. Raptem sto sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, z czego ponad połowa znała angielski, co znacznie ułatwiało zakupy podczas przyszłych sporadycznych wizyt w Belize City lub Money Town.

Na razie nie podnosił kotwicy, tylko komponował. Czasem dla odmiany kąpał się w ciepłych wodach ogromnej laguny. Szczęśliwie moskity nie występowały w tych stronach, chociaż małe muszki gryzły jak najęte i ze wszystkich sił wypełniały pozostawioną im przez dalekich kuzynów niszę ekologiczną.

Pogoda była niezmiennie piękna i praca postępowała żwawo, aż dotarł do tego scherza. A oczekiwał, że to będzie jedna z łatwiejszych partii.

A może allegro? I kocioł? Nie, już lepiej zmasać całe dziesięć stron.

Ale tego też nie uczynił. Czemu nie może jak Strauss czy Mozart płodzić arcydzieła za arcydziełem? Czemu nie słyszy muzyki od razu zorkiestrowanej? Czemu kontrapunkt nie przychodzi sam? Tyle wysiłku...

Jeśli zamierza zająć kiedyś choć kilka wierszy w encyklopediach muzycznych, takich jak Baker czy Grove, musi skomponować coś znaczącego. W leksykonach figurował już teraz, między hasłami Dukelsky i Dulcen. To też był pewien sukces, ale niewielki. Willowi marzyły się wyrazy uznania, wykazy publikacji na jego temat, a nawet przypisy do hasła...

DULAC, WILLIAM L.: urodzony w Slidell, Luizjana, 19... no, nie tak dawno. Kawaler (ale chyba nie na zawsze). Ważniejsze dzieła: dwa kwartety smyczkowe, zbiór pieśni, muzyka dla telewizji, uwertura „Jambalaya”.

Uśmiechnął się na wspomnienie pierwszego prawdziwego sukcesu. Kto prócz Kajuna odważyłby się skomponować dwunastominutowy utwór na orkiestrę symfoniczną, za całą inspirację mając tylko kociołek stewu? W myślach czytał dalej: rozmaite pomniejsze utwory...

„Arkadia” wszystko zmieni. Poemat symfoniczny, pięćdziesiąt minut muzyki. Niech tylko spróbują go potem zignorować... O ile kiedykolwiek skończy to cholerstwo.

Zacisnął usta i sięgnął do klawiatury komputera. Wyrzucił fagot, na jego miejsce wstawił saksofon.

Nauczyciele mówili mu zawsze, by w chwilach zwątpienia kierował się instynktem. Mniejsza o technikę, mniejsza o wymogi formalne. Ważne jest to, co czujesz...

Usiadł wygodnie i spojrział na ekran. Nie do wiary, ale rozpis partytury nagle jakby nabrał sensu. Stuknął w klawisz ENTER, nagrał fragment na CD-ROM-ie i włączył odtwarzanie. Elektroniczna orkiestra ożyła, muzyka popłynęła z głośników.

I to było to. Słońce rozpraszając powoli mgłę nad mokradłami. Saksofon zawtórował fletom i proszę, oto hiszpański mech zwisa długimi, wilgotnymi kiściami z gałęzi cyprysów... Lepiej, o wiele lepiej, powiedział sobie Will. Jeśli upora się ze scherzem, allegro będzie śmiesznie łatwe. Tylko instrumenty dęte, kontrabasy i krótkie partie akompaniujących smyczków.

Uśmiechnął się z satysfakcją, obrócił razem z krzesłem i spojrzał prosto na jakąś nie znaną mu istotę, pochylając się właśnie nisko w przejściu do głównej kabiny katamaranu.

Rozdział 08

Istota była wysoka i porośnięta krótkim szarym futrem. Miała szeroko rozstawione, duże i ciemne oczy z pionowymi kresczkami źrenic, wydatny trójkątny pysk z baczkami i czarnym ruchliwym nosem. Jedyne widoczne dłonie były całkiem spore, ale drobnokoścista, czteropalcza. Na szyi gość nosił nieduże kwadratowe urządzenie połączone przewodem ze złotym guziczkiem wciśniętym do wnętrza ucha. Inne jeszcze wyposażenie zwieszało się z wąskiego pasa wokół bioder.

Will dojrzał po chwili drugie, podobne oblicze wyłaniające się zza pierwszej postaci. Dalej stało coś przypominającego wielkiego ptaka o bajecznie kolorowych piórach. Co ciekawe, cała trójka wpatrywała się w kompozytora z wyraźnym zainteresowaniem, a w ich oczach pobłyskiwała niewątpliwa inteligencja.

Dopiero po chwili ten drugi przepchnął się do przodu i podszedł do gospodarza. Cofnięte wargi ukazały szarawe dziąsła i komplet ostrych, spiczastych zębów. Wyglądało to groźnie, żeby nie powiedzieć złowroźnie. Istota wyciągnęła ku Willowi rękę, a ten instynktownie odtrącił ją na bok. Uderzył szybko, silnie i bez najmniejszego zastanowienia.

Ku jego zdumieniu przybysz pisnął i cofnął się chwiejnie. Na chwilę zapomniał nawet, jak nisko jest sufit, i rąbnął głową o wykładzinę. Zaraz potem złapał się za przetrąconą kończynę.

Mimo zaskoczenia Kaldaq zareagował jak mógł najszybciej. Zerwał broń z ramienia i wycelował ją w tubylca. Za jego plecami Wais wetchnęła z cicha. Ale się to wszystko pokręciło...

Obcy pojął wyraźnie, co się dzieje. Spojrzał na kapitana, potem na broń i znieruchomiał. Większość prymitywnych istot woli zachować ostrożność, widząc jakiś wycelowany w siebie przedmiot.

Dropahk wycofał się do centralnej kabiny i siadł na podłodze. Krzywiąc się z bólu ścisnął prawy nadgarstek. Kaldaq skinął na tubylca, by ten poszedł za nim. Osobnik posłuchał, odnotowując przy tej okazji obecność Wais i jeszcze dwóch Massudów. W centralnej kajucie było dość miejsca dla wszystkich.

W postawie wyprostowanej tubylec był nieco wyższy od Waisów. Przerastał wszystkich członków Gromady prócz Massudów i Czirinaldo. Oblicze miał nawet jeszcze bardziej płaskie niż S'vanowie.

– Chyba złamana, kapitanie – powiedział Dropahk, komentując stan swej ręki. Śluz ściekał mu z ust. – Widzieliście, jak szybko się porusza?

– Tak – mruknął Kaldaq, nie odrywając oczu od tubylca. Nie miał najmniejszego zamiaru zabijać tej istoty, ale nie mógł też pozwolić, by kaleczyła jego podwładnych. Nie rozumiał, czemu przyjazny gest Dropahka wywołał aż taką agresję.

– A może to jakiś szaleniec? – spytała nagle Wais. – Może dlatego został odizolowany od społeczności?

– Sądząc po muzyce, to całkiem prawdopodobne – warknął Dropahk.

Kaldaq zerknął przelotnie na rannego żołnierza.

– Wracaj na pokład. Nic tu po tobie. W razie dalszych kłopotów będziesz tylko zawadą.

Dropahk zacisnął usta, skinął głową i wyszedł.

Pozostała czwórka skierowała oczy na tubylca, tubylec spojrział na nich. Wais trzymała się za plecami Massudów. Walkę lepiej zostawić fachowcom.

– Gdyby próbował zbliżyć się do kogoś – mruknął Kaldaq – to strzelać. – Zignorował zdumione spojrzenia podkomendnych. – Potem poszukamy jakiegoś bardziej spolegliwego okazu. Nic chcę mieć więcej rannych.

Tubylec oparł się plecami o duże, koliste urządzenie. Przyglądał się mówiącemu Kaldaqowi, ale wyraźnie niczego nie rozumiał.

– Nie widziałam, co się stało – powiedziała wstrząśnięta tłumaczka. – Chcesz powiedzieć, że Dropahk próbował przywitać się z obcym, a ten bez ostrzeżenia złamał mu rękę?

– Jeśli nawet powiedział coś przedtem, to niczego nie słyszałem. Nie widziałem też, aby poruszał ustami.

– Chyba oni nie porozumiewają się tak, jak Ampliturowie? – spytał jeden z żołnierzy.

– Zareagował fizyczną przemocą, więc chyba nie. Jednak coś tu nie gra i chcę wiedzieć, co.

– Uderzył pierwszy i nie spróbował nawet dowiedzieć się, czego chcemy... Zranił...

Kaldaq pojął, że Wais jest bliska paniki. Pora była ją uspokoić.

– Za wcześnie na wyciąganie wniosków. Opanuj się, proszę – odezwał się tonem o wiele za ostrym, jak na normalne konwersacje z Waisami.

Ptakowata odetchnęła głęboko i zaczęła wracać do siebie. Już lepiej. Podeszła z wahaniem do krajowca. Kaldaq włączył własny translator.

– Spokojnie, nie chcemy cię skrzywdzić – powiedziała tłumaczka w jednym z miejscowych języków.

Will obrócił gwałtownie głowę, rozdziawił usta i spojrział na ptakowatą istotę. Przemówiła nader poprawnie i płynnie po angielsku. Ale co powiedziała? Obecność tych trzech zębatych postaci utrudniała koncentrację. Na dodatek wszystkie kierowały na Willa końce jakichś krótkich urządzeń mechanicznych. W zasadzie mogły to być fajki pokoju, czujniki do badania składu atmosfery czy mierzenia temperatury ciała, ale kompozytorowi kojarzyły się nieodparcie z bronią i kropka.

Nie pragnął wcale weryfikować swych domysłów. Przed chwilą pojął, że mimowolnie zranił tego pierwszego obcego. Nie uderzył aż tak silnie, żeby zrobić krzywdę, chciał tylko odsunąć jego łapę, a najwyraźniej stało się coś złego.

Nic dziwnego, że pozostali traktują go teraz jak wroga. Ale to nie tak. Chociaż... Co oni sobie myślą? Pakują się w środku nocy na cudzy jacht, nachodzą człowieka...

Skąd przybyli? Will wysilił wyobraźnię. Pachnieli laguną, ale żaden nie wyglądał na stworzenie wodne. Na pewno nie była to też banda przebranych studentów. Po pierwsze, musieliby tu przypląć specjalnie z Belize, przebrać się... Owszem, w przypadku tych szarych futrzaków to nawet prawdopodobne, można uszyć taki kostium, ale ptakowaty? Za mały i za szczupły. Nawet dziecko nie schowałoby się w takim przebraniu.

Will zastanowił się, czemu tylko ten jeden mówi po angielsku. I to całkiem dobrze. W dodatku próbuje go uspokoić. Pozostawało jeszcze jedno: czy Will zechce uwierzyć w to, co widzi i słyszy. Sam nie wiedział. Odruchowo zaczął cofać się ku drzwiom wiodącym do lewego kadłuba.

– Kompletne wariactwo – mruknął pod nosem.

– Uwaga – powiedział Kaldaq. – Rusza się. – Uniósł broń i poszukał na ciele obcego stosownego miejsca, by wpakować tam ładunek ogłuszający.

Nagle istota skręciła i zanurkowała w otwór przejścia. Uczyniła to tak niesamowicie szybko, że żaden z żołnierzy nie zdążył zareagować.

– Próbuje uciekać! – krzyknął Wouldea, ale nikt nie wystrzelił.

Próbowali ścigać obcego, ale wysoki wzrost mocno im w tym przeszkadzał. Wais prześliznęła się bokiem i zaczęła wyrzucać z siebie potok wymowy w różnych językach.

– Czemu uciekasz? Nic ci nie grozi. No problema aqul, senior. Was ist mit ihnen los?

Will wyskoczył przez właz i rozejrzał się gorączkowo. Przedni pokład był pusty. Wstąpił na zawieszoną między dziobami trampolinę. Jeśli zdoła dopłynąć do Goff Cay, to schowa się tam, poczeka do rana, a potem spróbuje zaalarmować mieszkającego samotnie na Half Moon Cay starszego pracownika administracji rządowej. Half Moon było rezerwatem dzikiego ptactwa i turyści zaglądali tam niekiedy.

Wiedział, że nikt mu nie uwierzy w opowieść o czterech futrzastych przybyszach o ciałach gibbonów i mordach szczurów, którzy przyprowadzili ze sobą jeszcze strusia emu w charakterze tłumacza. Mniejsza z tym. Na razie trzeba uciekać, byle dalej od tego koszmaru.

Stał na skraju trampoliny, gdy osobliwi goście wysypali się z kabiny. Teraz widział dokładnie, jacy byli wysocy. Mierzyli prawie po dwa metry, ptak wyglądał przy nich na karła.

– Zaczekaj, prosimy cię, zaczekaj! – niemal błagalnie zawołał pierzasty. Ciekawe, jak on może z takim dziobem gdakać po angielsku?

Najbliższy z obcych wymierzył broń w Willa. To rozstrzygnęło sprawę i Will skoczył.

Kaldaq aż замуrowało, gdy ujrzał obcego skaczącego do wody. Powoli cała grupa podeszła do burty. Ani śladu osobnika.

– On nie może być dwudyszny. Nie miał skrzeli.

– Nie ma – powiedział Wouldea pokazując obcego, który pokazał się właśnie na powierzchni. Płynął w kierunku niesamowicie odległego lądu.

– Nie do wiary – mruknął inny żołnierz. – Ależ on szybki!

Kaldaq uniósł broń. Mógł spróbować ogłuszyć uciekiniera, ale wtedy płucodyszna istota pewnie by utonąła. Niesamowici są ci tuziemcy, aż strach ich badać.

Sięgnął po komunikator i wydał stosowne polecenia.

Will zwolnił. Katamaran rysował się za nim mroczną sylwetką w blasku księżyca. Trzy potwory stały rządkiem na trampolinie, strusiowaty sterczał nieco dalej. Nie próbowały go ściągać. Nie chciały lub nie mogły, wszystko jedno. Kompozytor uspokoił się nieco.

Woda była ciepła, jedna trzecia drogi do celu była już poza nim. Z poprzednich kąpeli wiedział, że sporo tu raf, ale niewiele sięga tuż pod powierzchnię. Jeśli nie poobija sobie nóg, to rychło będzie na brzegu.

Gdy obrócił się, by płynąć dalej, tuż przed nim pojawiło się kolejne oblicze. Unosiło się na wodzie niecałe pół metra od jego nosa, było wyłupiaste i lśniące, z paszczką dzielącą je bez mała na dwie części. Z szyi wyrastały temu stworowi jakieś różowe rzęski, para czarnych oczu spoglądała wprost na Willa. Istota miała też ogon i błonę pławną między palcami kończyn.

Ubrana była w jakiś skafander i pas z narzędziami. Całe szczęście, że nie dorastała wielkością człowiekowi. Nie przerażała tak bardzo.

Will krzyknął chrapliwie i spróbował opłynąć przeszkodę, ale ta bez trudu przesuwała się, wciąż zagradzając mu drogę do wyspy.

Paszcę miała wystarczająco dużą, by jednym kłapnięciem odgryźć pływakowi głowę. Nagle poruszyła wargami, zabulgotała i wydała jakieś dźwięki. Druga próba opłynięcia obcego skończyła się tak samo, czyli niepowodzeniem. Will zatrzymał się i spojrzał uważnie na zawałdrogę.

No tak. Płetwy, skrzela i ogon. Żadnej szansy, by toto prześcignąć. Zresztą stworzenie nie wyglądało na wrogo usposobione. Było raczej ciekawe. W szerokiej paszczy brakowało zębów. Na dodatek w czarnych oczach malowało się coś dziwnego, coś pasującego do postawy i zachowania tej istoty: sugestia łagodności.

Obcy znów zabulgotał. To nie jest zwierzę, pomyślał Will, zresztą ubranie i narzędzia mówią same za siebie. Żadnej wrogości, ale i do obojętności daleko.

Will wskazał na łódź i spojrzał pytająco na obcego. Nie zdumiał się nawet specjalnie, gdy istota wysunęła kończynę z wody i powtórzyła gest.

– Dobra – powiedział zmęczonym głosem. – Rozumiem. Prędzej mnie ryby zjedzą, niż tobie znudzi się pływanie. – Niechętnie ruszył z powrotem do katamaranu.

Gdy tak płynął, uderzyła go myśl, że przecież obcy bez problemu mogliby zastrzelić go w wodzie. Nie zrobili tego wcześniej w kabinie, nie zrobili tego teraz, zatem można przypuszczać, że nie planują natychmiastowego obcinania członków ani wiwisekcji.

Jeśli potrzebował jeszcze jakiegoś budującego dowodu, otrzymał go dopłynąwszy do burty. Z góry wyciągnęła się ku niemu czteropalczata dłoń. Powyżej widniały sterczące baczki i para kocich zgoła oczu.

Wodnego gościa miał tuż za plecami. Will sięgnął i przyjął oferowaną pomoc.

– Nie dam rady – jęknął żołnierz. – Jest bardzo ciężki, chociaż na to nie wygląda.

Wouldea pomógł towarzyszowi i razem wyciągnęli obcego na pokład. Kaldaq i Dropahk osłaniali ich. Na znak kapitana Yatoloi wrócił do opuszczonej chwilowo łódki.

Ociekający wodą Will przeszedł do kokpitu, stanął tam i spojrzał na napastników. Rozproszyli się, obstawiając wszystkie wejścia. Niewątpliwie na wypadek, gdyby znów chciał uciekać.

– Spokojnie – powiedział, unosząc obie dłonie. – Jestem mokry i trochę mi zimno. Chciałbym wziąć ręcznik.

– Proszę bardzo.

Will spojrzał z uznaniem na Wais.

– Diabelnie dobry angielski. Może zająłbyś się moimi studentami?

Wais nastroszyła pióra i zwróciła się do Kaldaq.

– Mówi jednym z najpopularniejszych języków. Musiał rozumieć, co wcześniej do niego mówiłam. Przypuszczam, że kierował nim nieopanowany odruch ucieczki.

– Ale czemu? – zdumiał się kapitan. – Zachowywaliśmy się przyjaźnie.

– Podejrzewam, że powodem takiej właśnie reakcji był sam nasz wygląd.

– Bez sensu. Czemu mielibyśmy przerażać?

– Tego nie wiem. Jestem tłumaczką, a nie specjalistką od zachowań ksenofobicznych – stwierdziła Wais i przeszła znów na angielski. – Weź ten swój „ręcznik”. Możesz mi wierzyć, że naprawdę nie zamierzamy cię skrzywdzić. Nie musiałeś uciekać.

– Dobrze ci mówić. Ja miałem trochę inne wrażenie. Chwila, zaraz się wysuszę. A swoją drogą, czego ode mnie chcecie?

Wszedł do centralnej kabiny. Goście ruszyli za nim. Określenie „goście” wydało mu się teraz jakoś stosowniejsze niż „napastnicy”.

– Chcemy tylko porozmawiać – odrzekła Wais.

– Jasne. A skąd jesteście?

– Z Gromady – odparła tłumaczka, wyszukując najbliższy w ziemskim języku odpowiednik potocznej nazwy Splotu.

– Z Gromady. To gdzieś tam? – Will wskazał kciukiem na sufit.

Wais znów nastroszyła się, ciekawa czy obcy dobrze rozumie jej gest.

– A o czym chcecie porozmawiać?

Kaldaq nie wytrzymał i podszedł do obcego. Ten wzdrygnął się, ale pozwolił na zawieszenie translatora i wciśnięcie nieważkiej końcówki do ucha. Głośniczek dopasował się automatycznie do małżowiny.

– Mamy ci wiele do powiedzenia.

Obcy spojrzał zdumiony. Widać translator działał prawidłowo. Po chwili odpowiedział. Naśladując kapitana starał się przemawiać do maszynki.

– Ciekawe, ale przede wszystkim wolałbym się upewnić, że naprawdę nie chcecie mnie zastrzelić.

– A czemu mielibyśmy cię zastrzelić? – spytała Wais i ujrzała, jak Kaldaq krzywi się lekko. – Przepraszam, kapitanie, dodała po massudzku. – Nie zamierzam...

– Wszystko w porządku. Mniejsza o drobiazgi, liczy się skutek. – Spojrzał na tubylca. – Chcemy opowiedzieć ci o Gromadzie, o Ampliturach i jeszcze o... – przerwał, aby dać czas translatorowi. Nie chciał też ponownie przerazić obcego. – O wielu rzeczach.

– Świetnie. – Miejscowi musieli uwielbiać lakoniczne odpowiedzi, – Wszystko, bylebyście do

mnie nie strzelali.

– Ciągłe do tego wracasz – powiedział Dropahk, który ścisnął broń w zdrowej dłoni. – Czemu mielibyśmy to robić? Jesteś istotą inteligentną, podobnie jak my. Dopiero co się spotkaliśmy. Po co od razu używać broni?

– A niby co trzymasz teraz w ręce?

– Ty uderzyłeś pierwszy. Ze złością.

– Nie ze złością, tylko ze strachu.

– Ale czemu?

Will westchnął.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy. – Wskazał na broń Dropahka. – Nie uspokoję się, jeśli będziecie do mnie mierzyć.

Dropahk spojrzał na kapitana. Kaldaq powoli zawiesił broń przy pasie. Pozostali uczynili to samo.

– Tak już lepiej. – Will podszedł do szafki, znalazł czysty ręcznik, wytarł się i spojrzał na koło sterowe. Tuż obok była radiostacja i telefon komórkowy, ale pomyślał, że tym zajmie się później, gdy nie będą już go tak pilnie obserwować. – Jeśli zrobiłem ci krzywdę, to przepraszam – powiedział, wycierając plecy.

Przepraszam za wyrządzone zło, pomyślał Kaldaq. Pomyślny znak, chociaż za wcześnie jeszcze na konkluzje.

– Wyjdzie z tego? A właściwie, nazywam się Will Dulac.

– Dwa imiona?

– Tak.

– Dropahk wyzdrowieje. Nasi lekarze potrafią przyspieszyć gojenie się takich obrażeń.

Obcy spojrzał na niego uważnie.

– Lekarze, mówisz. Zatem musieliście schować tu gdzieś całkiem spory statek, co?

– Tylko lądownik. Nasz statek orbituje w tej chwili pomiędzy twoją planetą a jej księżycem. – Kaldaq był zdumiony. Ledwie zaczynał traktować tę istotę jak inteligentną, zaraz wyrywała się z jakimś zupełnie bezsensownym pytaniem.

– Czy jesteś może wojownikiem? – spytał Wouldea.

Nie mógł dłużej powstrzymać ciekawości.

– Wojownikiem?

Wouldea powtórzył pytanie, ale tym razem translator wyszukał inne określenie.

– A, żołnierzem. – Obcy usiadł na długiej, wyściełanej ławie. – Nie, do diabła. Czemu tak sądzisz?

– Uderzyłeś. Zraniłeś.

– Mówiłem już, że się przestraszyłem. Nie chciałem walczyć. Gdy twój kumpel tak nagle do mnie podszedł, myślałem tylko, żeby go odsunąć. Tyle. Może byłem zbyt gwałtowny, ale nie chciałem nikogo skrzywdzić.

– A czemu chciałeś go odsunąć, skoro nie jesteś żołnierzem?

Will przestał cokolwiek pojmować.

– A ty byś tego nie zrobił?

– Oczywiście, że nie – odpalił bez namysłu równie zaskoczony Wouldea.

– Nie jestem żołnierzem – mruknął Will – tylko muzykiem. Kompozytorem.

– Słyszeliśmy – stwierdził Kaldaq. – Jeszcze nas uszy bołą.

– Przykro mi, że moja muzyka wam się nie podoba. – Z jakiegoś powodu to akurat stwierdzenie obcych zabolowało go najbardziej. Ale co te istoty z kosmosu mogą wiedzieć o muzyce symfonicznej?

Wouldea odsunął translator.

– Obejrzałem rękę Dropahka – szepnął do kapitana. – Jeśli to rasa muzyków i nauczycieli, to jacy byliby z nich żołnierze?

– Nie zapalaj się – upomniał go Kaldaq. – Poznaliśmy dopiero jednego.

Chociaż, pomyślał, te dwa utracone próbki...

– Nawet najbardziej drapieżna muzyka nie świadczy jeszcze o wojowniczym usposobieniu – dodał.

– Ale fizycznie są świetnie przystosowani do walki – zauważył optymistycznie nastawiony Wouldea. – Dropahk już to sprawdził.

Willowi zrobiło się wreszcie ciepłej. Zerkał na dwóch rozmawiających obcych, którzy bez wątpienia byli równie zainteresowani jego osobą, jak on nimi. Nie potrafił jeszcze orzec

jednoznacznie, czy ich intencje są naprawdę, pokojowe, ale nie wyczuwał bezpośredniego zagrożenia.

Patrząc tak na ich gęstą sierść poczuł się osobliwie nagi. Tych trzech wysokich przypominało z twarzy szczury, zaś władający angielskim ptak kojarzył się jakby z krzyżówką ptaka sekretarza z Albertem Einsteinem. Manipulował coś nieustannie przy obwieszonym aparaturą pasie. Miał wielkie oczy w kolorze szmaragdowej zieleni.

W przeciwieństwie do pozostałej trójki nie wyglądał groźnie. Zachowywał ostentacyjny spokój, głos miał też dziwnie kojący. Wrażenia nie psuł fakt, że istota drastycznie różniła się od humanoidów.

Will zarzucił ręcznik na ramiona. Dwaj obcy dalej dyskutowali zawzięcie. Jeden z nich musiał być chyba dowódcą. Czy zwróca uwagę, jeśli pochyli się do kącika łączności i nada wezwanie MAYDAY? Automat sam dołączy do sygnału aktualną pozycję i wszystkie łodzie i statki w okolicy skierują się do atolu. Może odstraszą gości, którzy chyba nie tęsknią za popularnością.

A jeśli i z tym sobie poradzą?

Jednak strach zaczął już z wolna ustępować miejsca ciekawości. Will wyjrzał za burzę, ale wodny stwór gdzieś odpłynął. Ta istota próbowała rozmawiać z nim bez maszynki tłumaczącej.

Teraz już cała trójka szczerowatych wymieniała gorączkowo poglądy, struś wciąż coś kombinował. Rozmowa musiała dotyczyć Willa. Czy te medaliony tłumaczyły tylko wtedy, gdy mówiło się bezpośrednio do nich? A może obcy je wyłączyli?

Zerknął na wyposażenie obcych. Poza domniemaną bronią nosili jeszcze translatory i inne gadżety, wszystkie z jakiegoś lśniącego materiału. Może plastiku, może metalu. Albo i czegoś jeszcze bardziej egzotycznego, jak metaliczne szkło. Will nigdy nie był dobry w naukach ścisłych i czytał jedynie niektóre czasopisma popularnonaukowe.

Nagle obcy przestali jazgotać i spojrzeli na gospodarza. Wyciągnięta w kierunku radia dłoń zamarła. Uśmiechnął się niepewny, na ile zrozumieli jego intencje. Ten zapewne wyższy stopniem wysunął się przed innych, niemal komicznie poruszył wąsami i wyszczerzył zęby, co wcale nie było zabawne.

– Powiedzcie mi coś – odezwał się Will bez namysłu. Obcy zatrzymał się. – Byliście tu już kiedyś? Odwiedzaliście już nasz świat po kryjomu?

– A mieliście już jakieś podobne wizyty? – spytał tamten z niespodziewanym zainteresowaniem.

– Nie. Chyba nie. To znaczy, jest masa plotek o UFO, ale ja im nie wierzyłem. – Aż do tej chwili, pomyślał.

– Żaden z członków Gromady nigdy jeszcze nie odwiedzał tego świata. Nie badaliśmy was. – Willowi zdawało się, że tamten przywiązuje wielką wagę do tej deklaracji. – Twierdzisz, że nie wiadomo ci nic o potwierdzonych kontaktach z przedstawicielami innych cywilizacji?

– Właśnie. – Will niezbyt rozumiał, do czego to ma prowadzić. Nawet bez potrzeby korzystania z tłumacza wyczuwał panujące w kabinie napięcie, które zmalało wyraźnie po jego ostatniej odpowiedzi.

– To dla nas bardzo ważne. Musimy mieć pewność, że dotarliśmy do was pierwsi – powiedział struś po angielsku. Ale czemu? – pomyślał Will, jednak nie zdążył zapytać.

– Nazywam się Kaldaq, jestem Massudem – powiedział wyrośnięty szczurek. Tłumacz ledwie przełknął obie nazwy. – Dowodzę tą wyprawą. Z wykształcenia jestem żołnierzem, z mianowania kapitanem, z wyboru biegaczem. Płeć męska. Mam jedną partnerkę, ale nie mam dzieci. Pochodzę ze znamienitego rodu. Jestem wybiórczym wszystkożercą. Wiesz już nieco o mnie, teraz powiedz nam o sobie.

Czemu nie? Will usiadł na kanapce. Jego życiorys nie należał do najpilniej strzeżonych sekretów stanu.

– Mam trzydzieści osiem lat, jestem mężczyzną i kawalerem. Trochę uczę, staram się zdobyć uznanie jako kompozytor. Mieszkam na tej łodzi. Taki styl życia. Co bardziej konserwatywni przyjaciele patrzą na mnie z tej racji podejrzliwie. – Zerknął na dowódcę obcych. – Czy zawsze jesteście tacy nerwowi?

– Nerwowi? – powtórzył Kaldaq.

– Przyglądam się wam od dłuższej chwili i widzę, że nieustannie poruszacie ustami, wargami, uszami, włosami i nosem. To tak zawsze?

– To naturalna funkcja naszej fizjologii – wyjaśnił Kaldaq. – Czy to ci przeszkadza?

– Nie, ale my tak nie robimy i potrwa chwilę, nim przywyknę.

– Przywykniesz – powiedział ptakowaty. – Ja jestem Wais. Nasze oblicza pozbawione są aż tak bogatej mimiki. – Will spojrział z ciekawością na delikatną dłoń rysującą jakieś wzory w powietrzu.

– Każdy gatunek ma cechy, które odróżniają go od innych – powiedział Kaldaq. – Co miłe i naturalne dla jednego, może czasem nawet głęboko urażać innych.

– Aha. Na przykład ten gest, gdy odepchnąłem jednego z was.

Kaldaq przyznał mu rację. Im dłużej trwała ta konwersacja, tym bardziej szczerza zdawała się być skrucza krajowca.

– Co jeszcze możesz nam o sobie powiedzieć? Will rozłożył ręce.

– Niewiele. Skoro nie lubicie mojej muzyki, to mało tematów nam zostaje. Jestem półkrwi Kajunem, chociaż to chyba nic wam nie mówi. Siebie nazywamy ludźmi. – Wskazał na najbliższy iluminator i dalej na wyspę. – Nasz świat to Ziemia. Niedaleko stąd jest Centralna Ameryka i kraj

zwany Belize. A swoją drogą, czemu wylądowaliście właśnie tutaj? Czemu nie w Waszyngtonie czy w Moskwie? W jakimś ważniejszym miejscu.

Czyżby ten osamotniony tubylec nie wiedział nic o sondach? Mało prawdopodobne, uznał Kaldaq, ale pomyślał, że lepiej będzie chwilowo nie drażnić tematu.

– Postępujemy zgodnie ze standardową procedurą badania nowych światów. Zwykle przybywamy bez rozgłosu i najpierw ustalamy profil miejscowej cywilizacji. Dopiero potem ujawniamy swoją obecność. Szczególnie, gdy mamy do czynienia z istotami inteligentnymi.

– A tych akurat jest chyba trochę? – spytał Will. – To znaczy jesteście my, wy, Waisowie i jeszcze ten, który czekał na mnie w wodzie. To daje cztery gatunki inteligentne. – Potrząsnął głową. – A my zawsze zastanawialiśmy się, czy jesteście sami w kosmosie.

Osobliwa koncepcja, pomyślał Kaldaq.

– Istnieje wiele cywilizacji.

– Rozumiem. – Krajowiec umilkł na dłużej. W końcu spytał: – Ale skoro jest ich tyle, to czemu dopiero teraz ktoś się pojawił? Znaczący, czemu nie przylecieliście wcześniej?

– Większość starych i wysoko rozwiniętych światów leży bliżej centrum Galaktyki i to dość daleko od waszego systemu. Naturalną kolejną rzeczą dotąd badano zupełnie inne okolice. Tutaj nikt nie zaglądał.

Kaldaq odpowiadał bez oporów. Tubylec zaczął wreszcie przejawiać rozsądek, na dodatek uczył się szybko i potrafił obserwować. Był też ciekawy, a ciekawość zawsze szła w parze z wyższym poziomem inteligencji.

– Czy możemy rozejrzeć się po twojej łodzi? Twoim mieszkaniu? – spytała uprzejmie Wais.

– Jasne, czemu nie? I tak nie mógłbym was powstrzymać.

– Czemu miałbyś nas powstrzymać? – spytał Kaldaq.

– No, to moja łódź, prawda?

– Owszem, ale nie zamierzamy jej zniszczyć, nie chcemy niczego z niej wziąć.

– Wcale tego nie sugeruję. To tylko takie powiedzenie, figura stylistyczna, OK? Nie przejmujcie się.

Will nie miał pewności, czy translator poradzi sobie z tą kwestią.

– Ale to nie jest naturalna reakcja – zauważył Kaldaq, gdy Dropahk i Wouldea zniknęli w głębi prawego kadłuba.

Że też nie zabrał kogoś biegłego w problemach ksenofobii. Im wcześniej ten okaz trafi w ręce specjalistów, tym szybciej uporają się z zadaniem. Na razie musieli błędzić praktycznie po omacku.

– Chyba że zakładasz, iż w przypadku gdybyś odmówił udostępnienia łodzi do oględzin, my uczynilibyśmy to i tak, w razie konieczności używając nawet siły.

– A co, nie zrobilibyście tego?

Kaldaq był wstrząśnięty. I samą odpowiedzią, i sposobem jej wygłoszenia. A może to jakieś nieporozumienie? Poprosił o sprawdzenie tłumacza.

Wais obejrzała urządzenie.

– Wszystkie tłumacze są sprawne, kapitanie.

– A co z tym fałszywie zinterpretowanym kolokwializmem?

– Nie było żadnego przekłamania.

– Zatem potwierdzasz, że słyszałaś to samo, co ja?

Tłumaczka zamachała smukłą dłonią.

– Nie opanowałam jeszcze tego języka w pełni i moi koledzy pracują wciąż nad rozwiązaniem niektórych niejasności. Na przykład zaobserwowaliśmy skłonność do nadużywania czasowników. Nawet proste koncepty wyrażane są w sposób znacznie barwniejszy, niż wymaga tego treść komunikatu. Owszem, niektóre niuanse mogą nam jeszcze umykać, jednak nie sądzę, aby pański tłumacz cokolwiek przeinaczył.

Kaldaq podwinął górną wargę.

– W porządku. Będziemy zatem postępować tak, jakby to była prawdziwa interpretacja. Chyba że dowiemy się czegoś nowego.

W kabinie było jedno krzesło. Kaldaq obejrzał je, po czym postanowił jednak usiąść na podłodze. Skrzyżował nogi, długie ręce oparł na kolanach. W tej samej chwili kąciki ust reprezentanta rasy ludzkiej uniosły się lekko ku górze. Gest w stylu S'vanów, pomyślał kapitan.

– Jakiego stanu ducha wyrażasz, wyginając wargi w ten sposób?

– Poczucie humoru.

Przynajmniej nic groźnego, – pomyślał Massud.

– A co tu zabawnego?

– Sposób w jaki usiadłeś. Wyglądasz, jakbyś szykował się do poważnych negocjacji.

– Nie, miałem tylko ochotę usiąść.

Była to prawda, ale nie cała. Kaldaq pamiętał ze szkoleń, że niektóre istoty nabierają pewności siebie, gdy mogą na kogoś spojrzeć z góry. Likwidując przewagę wzrostu, miał nadzieję nastawić tubylca pozytywnie.

Uznał, że złamanie ręki Dropahkowi było przypadkiem, skutkiem anormalnej reakcji wywołanej ich nagłym pojawieniem się w kabinie. Od tamtej pory krajowiec zachowywał się spokojnie. Nie najgorzej. Nawet jeśli tutejsze reguły zachowań dalekie były od normalności.

Niemniej oto udało się odkryć nową rasę inteligentną. Drugiego potencjalnego sojusznika Gromady. Ekspedycję można było uznać za naprawdę udaną.

– Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań?

Will rozpostarł się na kanapie.

– Jeśli szukacie ściśle tajnych informacji, to wiele wam nie pomogę. Znam się na syntezatorach dźwięków i na łodziach, ale to wszystko.

– Odpowiadaj, jak potrafisz. Nie oczekujemy po tobie wszechwiedzy.

– Jasne. – Will wyjrzał na zewnątrz. Obojętny na dramatyczne wydarzenia plankton łagodnie rozświetlał wodę wkoło katamaranu. Miły i uspokajający widok.

Kaldaq upewnił się, że pozostały z nim żołnierz słucha, sprawdził gotowość Wais.

– Zanim wylądowaliśmy, wysłaliśmy dwie sondy. To część tej samej procedury, o której wspomniałem wcześniej. Obie zagięły. Czy wiesz może, co się z nimi stało?

Will zastanowił się.

– A gdzie to było? To znaczy, gdzie zagięły? Nad Stanami?

– Nie wiem, co to znaczy. Miały zbadać dwa najwyżej rozwinięte terytoria. Jedno na północ stąd, drugie po przeciwnej stronie planety.

Tubylec pokiwał znacząco głową. Ale co chciał przez to powiedzieć?

– Jeśli nie potrafiły podać kodów identyfikacyjnych, to najpewniej zostały zestrzelone.

– Zestrzelone – powtórzył Kaldaq i zagadał coś po swojemu do strusia. – Chcesz powiedzieć, że ktoś użył broni, aby je zniszczyć?

– Tak, właśnie. Pewnie naruszyły jakiś zamknięty obszar powietrzny lub coś takiego. Czego innego oczekiwaliście?

– One nie stanowiły żadnego zagrożenia. Obserwowały jedynie.

– Dobra, ale ludzie na Ziemi żadnym sposobem nie mogli tego wiedzieć. Co niby mieli zrobić?

– Przyjrzeć się im i sprawdzić, jakie są zamiary próbników.

– Starczy, że pojawiły się ni stąd, ni zowąd. Jako niezidentyfikowane uznane zostały za wrogie.

– Czemu? – spytał zdumiony Kaldaq. – Czemu taka właśnie interpretacja przeważała? Nie były uzbrojone, nie mogły niczego zniszczyć.

– Powiedziałem wam: ludzie na Ziemi nie mogli tego wiedzieć.

Mimo zapewnień Wais Kaldaq nadal powątpiewał w poprawność tłumaczenia. Rozmawiać rozmawiał, ale wciąż nie mógł się porozumieć.

– Ale nie było żadnych podstaw do przypuszczeń o wrogości próbników. Zatem... – urwał. Trzeba zmienić taktykę zadawania pytań. Z całą resztą poczekamy, aż psychologowie i lingwiści przebiją się przez ten mur. – Zgodnie z twoją wiedzą wysnuwasz domysł, że obie sondy zostały zniszczone z użyciem broni?

– Tak. Pewnie pchały się, gdzie nie wolno. – Will przeniósł spojrzenie z Kaldaqą na Wais. – A wy co zamierzacie? Chcecie studiować naszą kulturę?

Kaldaq poprawił nogi. Obcy zadał pytanie. Należało odpowiedzieć.

– Wspominałem już, że w Galaktyce jest wiele ras inteligentnych. Ja jestem Massudem. Wais już poznałeś, a ten w wodzie to był Lepar. Na pokładzie naszego statku są jeszcze Turlogowie, Hivistahmowie, O'o'yanowie i Czirinaldo. W Gromadzie jest o wiele więcej ras. Poza tym jest jeszcze mnóstwo takich, które preferują niezależność i nie przyłączyły się do Gromady. Na koniec są cywilizacje związane sojuszem z Ampliturami.

Tubylec spojrział na niego przeciągle, w końcu spytał:

– Mam wrażenie, że nie darzysz tych Ampliturów szczególną sympatią. Mogę spytać, dlaczego?

Kaldaq był zachwycony. Ciekawość, znajomość rozwiniętej techniki, żywa inteligencja. Wszystko w jednym tubylcu. Nie odleca stąd bez próby pozyskania tych istot dla federacji.

– Aby zrozumieć, czym jest Gromada, musisz poznać poczynania Ampliturów. Abyś zrozumiał, czym są Ampliturowie, muszę opowiedzieć ci o wojnie.

Kaldaq przyjrzał się uważnie tubylcowi, ale ten ani drgnął. Trudno było zagadnąć, o czym myśli.

Przynajmniej się nie uśmiecha, pomyślał kapitan. Dobre i to.

Rozdział 09

Z pomocą Wais Kaldaq streścił historię konfliktu między Gromadą a Ampliturami, opowiedział o angażującej setkę ras tysiącletniej wojnie. Wyjaśnił, jak dogmat Celu zawładnął Ampliturami, ile wysiłku kosztowało zachowanie niezależności i jak trudno jest uchronić się przed telepatycznymi manipulacjami obcych.

Przedstawił stosowane przez nich metody podboju, od prostego narzucania woli począwszy, na modelowaniu genotypu skończywszy. Wspomniał, że obie strony szukały nieustannie nowych sojuszników. Jedna – by włączyć je do służby Celowi, druga dla wspomoczenia walki o niezależność.

– Rzadko udaje się znaleźć istoty zdolne w znaczący sposób przyczynić się do obrony – powiedział. – A jeszcze mniej jest takich, które mogą walczyć.

– A to czemu? – spytał zaintrygowany Will.

– Trzeba mieć wolę walki, dość determinacji, by pozbawić życia inną istotę inteligentną. Większość ras tego nie potrafi. Zabijanie jest antytezą inteligencji. Zazwyczaj nawet groźba eksterminacji nie potrafi tego odmienić. Obawiam się, że wy widzicie sprawę podobnie, ale nie tracimy nadziei i nie ustajemy w poszukiwaniach. Gromada jest potężna, ale nieustannie brakuje nam wyszkolonych żołnierzy. Ampliturowie też nie mogą bezpośrednio angażować się w – Trzeba mieć wolę walki, dość determinacji, by pozbawić życia inną istotę inteligentną. Większość ras tego nie potrafi. Zabijanie jest antytezą inteligencji. Zazwyczaj nawet groźba eksterminacji nie potrafi tego odmienić. Obawiam się, że wy widzicie sprawę podobnie, ale nie tracimy nadziei i nie ustajemy w poszukiwaniach. Gromada jest potężna, ale nieustannie brakuje nam wyszkolonych żołnierzy. Ampliturowie też nie mogą bezpośrednio angażować się w walkę, ale wykorzystują poddane im istoty. Zmieniają ich genotypy i czynią bardziej agresywnymi. W tej wojnie nie starcza przewaga czysto techniczna. Komputery i symulatory są niezbędne, pomagają, ale same dla nas nie wygrają. To zadanie dla żywych żołnierzy. My, Massudzi, jesteśmy tymi, na których spoczął główny ciężar walki. Zawsze tak było. Nie chwalimy się, ale jesteśmy w tym bardzo dobrzy. O wiele lepsi niż wszyscy inni członkowie Gromady. Przyjęliśmy tę rolę, gdyż nikt inny nie mógł się jej podjąć. Waisowie, na ten przykład – wskazał stojącą obok tłumaczkę – walczyć nie potrafią, podobnie jak O’o’yanowie, Yula czy Bir’rimorowie. Hivistahmowie i S’vanowie są przydatni, ale w ograniczonym zakresie. Turlogowie mogliby walczyć, ale nie chcą. Zresztą jest ich tak niewiele, że ta decyzja niczego nie zmienia. Poza Massudami tylko Czirinaldo są prawdziwymi wojownikami, ale ich budowa fizyczna i metabolizm sprawiają, że w bezpośrednim starciu zwykle przegrywają.

– Chwilę – poderwał się Will. – Chcesz powiedzieć, że ten trwający od tysiąca lat konflikt kosmiczny wymaga walki na bagnety?

– Wojna to skrajna forma polityki – powiedział Kaldaq z nadzieją, że translator jakoś sobie z tą maksymą poradzi. – Jeśli kogoś zabijasz, to tracisz wszelkie szansę, by go pozyskać. Ampliturowie przestrzegają tej zasady jeszcze skrupulatniej niż my. Pustosząc jakiś świat z orbity zabiliby wroga, ale po co im nie zamieszkała planeta? Jak tylko mogą, unikają masowych mordów, znam tylko dwa wyjątki, gdy zdarzyło się inaczej. Zglądzieli cywilizacje, które uznali za wyjątkowo groźne dla siebie i mało przydatne dla Celu.

Wracając zaś do twojej uwagi, to musisz wiedzieć, że walka w przestrzeni nastęcza wiele problemów. Statki wylaniają się z podprzestrzeni w trudnych do przewidzenia miejscach. Nie można też zbyt długo pozostawać w przestrzeni realnej. Obie strony dysponują bronią dość potężną, by unicestwić w mgnieniu oka największy nawet statek. O wiele prościej, taniej i skuteczniej walczy się na powierzchni planet.

– To nie jest wojna na wyniszczenie – powiedziała Wais. – Ampliturowie pragną zjednoczyć pod sztandarem Celu wszystkie istoty inteligentne. My dążymy do ocalenia jak największej liczby cywilizacji, staramy się uwolnić sojuszników Ampliturów i skierować ich przeciwko byłym panom. Problem w tym, że wielu nie dostrzega prawdziwej istoty Ampliturów. Niektórzy przyjmują ich nauki nie pojmując nawet, czego one dotyczą. Starsze rasy, jak Krygolici czy Molitarowie, zostały już tak odmienione, że nie potrafią nawet samodzielnie myśleć.

Will siedział w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– I tego właśnie chcecie? Abyśmy przyłączyli się do Gromady?

– Tego samego oczekujemy od każdej nowo odkrytej rasy – powiedział Kaldaq. – Wasz udział byłby proporcjonalny do waszych możliwości, a te wyglądają na raczej ograniczone. Chociażby wasze technologie. Zdumiewające, ale w niektórych dziedzinach zaszliście bardzo daleko, podczas gdy w innych nie zrobiliście praktycznie nic. Macie o wiele więcej sztucznych satelitów, niż potrzebujecie, a jednak nie wyrwaliście się poza swoją planetę.

– Byliśmy na Księżycu – stwierdził Will urażonym tonem. – Automatyczne sondy odwiedziły wszystkie planety.

– Nie odkryliśmy tam żadnej aktywności.

– Bo chwilowo nic się nie dzieje. Przez długi czas program kosmiczny był na pierwszym miejscu, tak u nas jak i w Rosji, ale obecnie panuje lekki zastój.

– Sugerujesz zmienne tempo postępu?

– Właśnie.

Kaldaq znów spojrzał podejrzliwie na translator.

– A co miałeś na myśli mówiąc o „nas” i „Rosjanach”?

– No, w Stanach mamy własny program kosmiczny, a Rosjanie mają swój. Podobnie jak

Europejczycy i Japończycy.

– Nadal nie rozumiem. Kim są „Europejczycy” i „Rosjanie”?

Will zastanowił się.

– Inne narody.

– Podejrzewam, że te określenia odnoszą się do zbiorowości przypominających plemiona – wtrąciła się po massudzku Wais.

– Aha – mruknął Kaldaq, martwiejąc z przerażenia. Czyżby mimo wysokiego relatywnie rozwoju technicznego wciąż jeszcze funkcjonował tu system plemienny? Jeśli tak, to Gromada nie będzie miała żadnego pożytku z tej rasy. – Mówisz o plemionach?

– Niezupełnie. My nazywamy te twory krajami.

– Te wszystkie plemiona... kraje... każdy z nich ma własny program badań kosmicznych i nie współpracuje z pozostałymi?

– W zasadzie nie – westchnął Will.

Kolejny paradoks. Kaldaq spojrzał na Wais.

– To zupełnie nowy gatunek – powiedziała tłumaczka i zamachała rękami. – Sądząc po różnaitości języków, można się po nich spodziewać mnóstwa kłopotów z porozumieniem. Niemniej nie zaobserwowałam na razie niczego mogącego świadczyć o mylnej interpretacji słów tubylca.

Kaldaq syknął z cicha. Jeszcze jedna zagadka, której rozwiązanie trzeba będzie odłożyć na później.

– Mamy nadzieję, że zostanieie naszymi sojusznikami. Jeśli naprawdę wysłaliście automatyczne sondy na krańce waszego systemu, to znaczyłoby, że jednak was dotąd nie docenialiśmy.

– To, że ich nie widzieliście, nie znaczy wcale, że ich nie było.

– Są jeszcze inne kwestie – przypomniał sobie Kaldaq. – Na przykład w jaki sposób udało się wam zestrzelić oba nasze próbniki? Zdumiewające osiągnięcie, jak na istoty, które nie prowadzą z nikim wojny.

Wysłani pod pokład żołnierze zakończyli oględziny. Wrócili i pograżyli się w rozmowie z Kaldaqiem. Will mógł tylko siedzieć i patrzeć. W końcu jednak spytał:

– I co znaleźli?

– Sporo wyrafinowanej elektroniki w skrajnie prymitywnym otoczeniu – powiedział kapitan. – Po tym względem twój statek jest typowy dla tej planety. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że twój

gatunek dociera do punktu krytycznego. Wielkie odkrycia dokonywane w obrębie wyizolowanych dziedzin przy kompletnym zastoju w innych. Na przykład ta aparatura do muzykowania jest całkiem nowoczesna, podczas gdy światło uzyskujesz za sprawą rozżarzonych drucików zatopionych w szklanych bańkach.

– Wy znacie lepsze sposoby?

– Oczywiście, o wiele lepsze i łatwiejsze.

– No tak. Jasne. Zawsze może być lepiej, ale to chyba kwestia stylu życia. Fajnie było was spotkać. Wiem teraz, że nie jesteśmy sami we Wszechświecie. Ale jeśli wciąż wojujecie, to chyba nie jesteście aż tak rozwinięci. Jedno wam powiem: nie chcemy mieć z tym nic wspólnego. Nie cierpię wojny. Większość moich przyjaciół też jest jej przeciwna. Bardziej przypominamy waszych Waisów. Uważamy, że czas wojen już minął. Wasi sojusznicy mają rację, wojna jest antytezą inteligencji, jedno wyklucza drugie. Nie sądzę, byśmy mogli wam pomóc. Z pewnością nie w walce przeciwko Ampliturom, jeśli są tacy jak ich opisałeś. Nie chcę, by ktoś grzebał mi w głowie, nikt w miarę rozsądny o tym nie marzy. Zresztą, popatrzcie tylko na mnie: nie mam kłów ani pazurów. Nie jestem duży ani specjalnie wytrzymały. Kiepski materiał na żołnierza. Po pięciu tysiącach lat zaczęliśmy wreszcie zbierać nasz świat do kupy. Zaiste, tylko międzygwiazdnej krucjaty nam teraz brakuje. I bez tego mamy dość kłopotów.

Will pochylił się ku obcym.

– Nikt nie odwiedzał nas dotąd bo, jak powiedziałaś, żyjemy na zadupiu Galaktyki. A gdybym tak poprosił was, żebyście o nas zapomnieli? Odlecieli, wymazali z pamięci i zostawili samych? Nie chcemy dać się wciągnąć w ogólnogalaktyczny konflikt. Tyle jest jeszcze do napisania i skomponowania. Jestem całkiem pewien, że kosmiczna wojna to nie dla nas. Nie możecie po prostu zostawić nas w spokoju?

– Niezdolność do walki to żaden wstyd – powiedział Kaldaq. – Przecież wsparcie logistyczne też jest istotne. Bez pomocy innych ras Massudzi niewiele by dokonali. Gdybyście zgodzili się pomagać nam inaczej niż orężem, to też byłoby sporo. Uzyskalibyście ponadto dostęp do technologii Gromady, poznali kulturę wielu ras...

– I ściągnęli tu widmo wojny – przerwał mu Will. – Nie mam pojęcia, o jakiej pomocy mówisz. Nasza technika jest o wiele prymitywniejsza od waszej.

– Pod pewnymi względami. Może nie we wszystkim. To trzeba będzie jeszcze zbadać.

– Statków wam nie wybudujemy.

– Tym zajmują się już Hivistahmowie i O’o’yanowie. Wasz wysiłek wojenny mógłby obejmować inne dziedziny.

– Cholera jasna! – warknął Will. – Ale my nie chcemy żadnego wysiłku wojennego! Czemu nie dacie nam spokoju?

– Możemy to zrobić – odparł szczerze Kaldaq. – Przynależność do Gromady nie jest przymusowa. Ale Ampliturowie widzą rzecz inaczej. Oni nie pozwalają nikomu zostać z boku. Kto nie jest z nimi, jest przeciwko nim. Albo was podbiją, albo zgładzą.

– A jeśli nie będziemy chcieli?

– Sami nie stawicie im czoła. Jeśli tylko wylądują na waszej planecie, zajmą się waszymi umysłami. Potem pojawią się ich bioinżynierowie. Odmienią wam geny.

– Używasz argumentów, które moi przodkowie powtarzali aż do znudzenia przez tysiące lat. Tyle wiem o tych Ampliturach, ile mi powiedziałaś. Nie mam nawet jak tego sprawdzić.

Kaldaq uznał, że rozmowa utknęła w martwym punkcie.

– Musimy jeszcze porozmawiać. Jutro chciałbym sprowadzić na twój statek naszych specjalistów. Zbadaliby go dokładnie.

– I mnie pewnie też – dodał Will.

– Z takich badań można się sporo dowiedzieć. Czy masz coś przeciw temu?

– A gdybym nawet miał, to co z tego?

Kaldaq jęknął w duchu.

– Jesteś istotą inteligentną. Nie zrobimy niczego wbrew twojej woli. Nie zdobywa się sojuszników gwałtem.

Will zastanowił się, na ile może wierzyć temu szczurkowatemu. Cała przygoda jawiła mu się równocześnie jako przerażająca, fascynująca i niewiarygodna. Najgorsze, pomyślał, że jeśli wyjdę z tego cało, nikt i tak nie potraktuje mnie poważnie. Ot, jeszcze jedna bajeczka o UFO. Będzie dobrze, jeśli jakiś brukowiec zapłaci mi za nią chociaż tysiąc dolców.

Nagle zaciekawiał się, jak może brzmieć muzyka obcych. Gdyby jej posłuchał, może dostarczyłaby dość inspiracji na uwerturę czy suitę symfoniczną? Albo i poemat symfoniczny? Skoro nie da się uciec, pozostaje otworzyć szeroko oczy i uszy.

Wysoki obcy nalegał na rozmowy i badania. Gdyby zamyslał wiwisekcję, to chyba nie umawiałby się na jutro, tylko porwał Willa od razu?

– Dobra. Na razie muszę odpocząć, ta orkiestracja dała mi w kość. Zajrzyjcie rano. Możesz przyprowadzić, kogo chcesz. Chętnie poznam was więcej.

– Dziękuję – odparł zdawkowo Kaldaq.

Will patrzył, jak przybysze kolejno znikają za rufą. Nie dojrzał ani śladu poznanej już uprzednio wodnej istoty, ale jakiś podługowaty kształt wypłynął na spotkanie nieporadnych pływaków. Zniknęli

w środku rafy.

Will znów został sam w kabinie katamaranu.

Łagodna karaibska bryza chłodziła mu rozgorączkowaną głowę. Spojrzał w górę, na rozgwieżdżone niebo.

Obcy nie przestrzegali go przed nawiązywaniem kontaktu z resztą ludzi. Mógł spokojnie włączyć radio i wezwać na pomoc wielki statek wycieczkowy, który kotwiczył przy wyspach Turneffe albo miejscową straż wybrzeża. Mógł też w każdej chwili postawić żagiel i odpłynąć.

Ciekawe, czemu obcy wybrali właśnie jego? Dlatego że był sam? Czy próbowaliby zatrzymać go, gdyby odpłynął do Belize City?

Ale tak naprawdę Will wcale nie miał ochoty odpłynąć.

Rzadki gość. Szansa na inspirację. Tego nie kupisz, a znaleźć trudno. Czemu nie paść na kolę, poczekać co przyniesie poranek? W blasku dnia świat wygląda inaczej.

W pierwszej chwili przestraszył się, że łódź zdryfowała na rafę, ale zaraz potem w rafie otworzył się jakiś właz i syknęło gośćmi. Zamierzał nawet spytać Kaldaq, co to za sztuczka z tym maskowaniem, ale nie miał kiedy. Na pokładzie zaroilo się od obcych, a wszyscy gadali jak najęci.

Była Wais, był Kaldaq w otoczeniu kolejnych Massudów i byli jeszcze inni: zielone gady zwane Hivistahmami (wielkie oczy, ostre zęby i niesłychana wręcz ciekawość) oraz nieduże istoty z twarzami skrytymi za bujnym owłosieniem. Pchali się w każdy zakątek, wszystko oglądali, niemal obwąchiwali. Szczególnie interesowała ich elektronika.

Bliższa obserwacja pozwoliła Willowi stwierdzić, że nie wszystkie gady należą do tego samego gatunku. Niektóre osobniki były mniejsze (Kaldaq powiedział, że to O'o'yanowie). Zamiast penetrować jacht na własną rękę, podążały za Hivistahmami. Wyraźnie nie przejawiały większej inicjatywy. Jeszcze inni, czyli kudłate karły, działali samodzielnie.

Kaldaq starał się dzielić uwagę między pochłoniętych pracą Hivistahmów a tubylca, który zaglądał im przez ramię. Nagle komunikator kapitana zabrzmiał nachalnie.

Oficer Soliwik nawiązała łączność za pośrednictwem lądownika.

– Miło cię słyszeć – powiedział. – Jak Jaruselka?

– Zajęta jak wszyscy. Mówi, że przekazuje ci wiesz co, i że to się nie nadaje na rozmowę radiową. Szczególnie służbową. Miłe ciepło ogarnęło Kaldaq.

– Badanie tubylczych języków postępuje całkiem nieźle. Wyodrębniliśmy siedem kolejnych.

Jeszcze siedem, pomyślał Kaldaq. To umyka wyobraźni.

– Na razie staramy się opracować szczegółowe słowniki kilku najważniejszych. W innych dziedzinach idzie gorzej, szczególnie za sprawą niespójności tutejszych przekazów wizualnych. Niektóre są wręcz bulwersujące. Ci z działu badania psychiki obcych pracują już na trzy zmiany. Mówią, że woleliby unikać wyciągania przedwczesnych wniosków, ale... – urwała. To do niej zupełnie niepodobne, stwierdził kapitan.

– Ale co? – spytał, zerkając kątem oka na ekipę inżynierską i na najbliższą wyspę. Dobrze byłoby znów trochę pobiegać...

– Czy wasz znajomy ma odbiornik na pokładzie?

– Chyba tak. – Kaldaq zlustrował kabinę. – Tak, stoi w kącie. Dość prymitywny.

– Mniejsza o szczegóły. Niech go włączy. Obejrzyjcie kilka programów.

– Które konkretnie?

– Wszystko jedno. Nie chcę was uprzedzać, lepiej, żeby każdy ocenił rzecz samodzielnie. Potem powiem wam, co twierdzą ci badacze.

Usłyszał jeszcze, że na statku poza tym wszystko w porządku, opowiedział z grubsza o paranoicznej sytuacji na dole, wyłączył komunikator i podszedł do odbiornika.

– To telewizja – wyjaśnił Will. – Niezły wynalazek.

– Możesz uruchomić odbiornik? Chciałbym zobaczyć, jak działa.

– Chwila, tylko podniosę talerz anteny.

Tubylec pomanipulował coś przy stojącym na telewizorze pudełku. Widoczna za oknem kabiny okrągła antena podjechała wyżej i poszukała jakiegoś punktu na niebie. Aparatura rozjarzyła się światełkami.

– Mamy. To Galaxy Six, jeden z naszych satelitów telekomunikacyjnych.

Kaldaq podziękował gestem, którego znaczenie i tak musiał od razu wyjaśniać. Chyba zadowolili gospodarza.

Zaraz dołączył do nich jeden z Hivistahmów i Wais, która zawsze kręciła się w pobliżu.

– Co chcecie oglądać? – spytał Will. – Już wiem, nastawię CNN. – Pstryknął czymś przy pudełku.

Ekran poczerniał, ale zaraz pojawił się na nim obraz innego tubylca. Kaldaq zauważył, że był to samiec. Miał skórę o wiele ciemniejszą niż gospodarz. Poza widokiem tego samego obcego siedzącego za stołem w otoczeniu współbraci, co chwilę migały sceny z całej planety.

Kaldaq patrzył w milczeniu, aż przy kolejnym fragmencie poderwał się mimowolnie.

– Stój, cofnij to!

– Nie mogę – wyjaśnił uprzejmie tubylec. – Teraz tylko odbieram program. Jeśli chcecie, mogę go nagrać do późniejszego odtworzenia.

Wstrząśnięty kapitan doszedł do siebie. Przestał sprawdzać głową wytrzymałość sufitu i bez pomocy translatora zwrócił się do Hivistahma w jego języku.

– Widziałeś?

– Owszem – odparł technik. – Zdumiewające.

– Ja też widziałam – powiedziała Wais spokojnie jak zawsze, chociaż dziób jej pokłapywał. Parę niebieskawych piórek opadło na pokład, gdy nerwowo przeczesła pierś dłonią. – Tutejsza rzeczywistość musi być zupełnie odmienna od tego, co dotąd poznaliśmy.

Will spojrzał kolejno na wszystkich obcych.

– Świetnie was rozumiem. Czasem żyć się odechciewa po wysłuchaniu tych wiadomości. Może poszukam jakiegoś filmu.

Znalazł kilka. Na TBS leciał jakiś stary John Wayne, na Showtime i Cinemax jakieś nowsze kawałki. Goście reagowali dość żywiołowo. Wyraźnie wczuwali się w dzieło.

– Czy jest coś, co by was szczególnie interesowało? – spytał w końcu Will, chociaż wiedział już, co najbardziej poruszyło obcych. Nic otrzymawszy odpowiedzi chciał wyłączyć odbiornik, ale Kaldaq zorientował się w porę.

– Nie, chcemy jeszcze trochę pooglądać. Przełącz z powrotem na wiadomości.

Will posłusznie nastawił CNN, gdzie mówiono akurat o ostatnich zamieszkach w Libii. Po kilku minutach Hivistahm wstał i wyszedł.

– Czy to normalne? – spytał Kaldaq, wskazując na ekran.

– Co, takie nowiny? Czy filmy? Raczej tak, przynajmniej jak na wtorkowy poranek. Odbiór jest trochę kiepski, ale większy talerz nie zmieściłby się na pokładzie.

– Ciekawi mnie treść przekazu.

– Ale ja nie wiem, co właściwie chcecie zobaczyć. Pokazałem wam chyba wszystkie możliwe kanały.

– Dobrze. Dziękuję.

Kaldak rozumiał już, o co chodziło Soliwick.

Wydał rozkaz i w chwilę później pojawiła się jedna z dwóch niskich i włochatych istot, które przybyły z Hivistahmami. Bez wątpienia były to humanoidy, ale kombinezony i bujne kudły nie pozwalały przyjrzeć im się bliżej. Byli tego samego wzrostu co O'o'yanowie, czyli mierzyli niespełna metr, jednak ich ciała odznaczały się masywną budową.

– Co to jest? – spytał niezbyt dyplomatycznie Will.

– Jeden z moich oficerów. T'var jest S'vanem. To ssak, podobnie jak ja i chyba ty. – Kapitan skinął na zastępcę i polecił mu: – Popatrz na to. Ja jeszcze nie wiem, co o tym myśleć. – Zrobił T'varowi miejsce przed telewizorem.

S'van przyjrzał się uważnie płaskim obrazom. W odróżnieniu od Massudów stał nieruchomy jak posąg, tylko oczy biegały wciąż, jak u gadopodobnych. Chłonał przekaz niczym profesjonalny krytyk.

Pół godziny trwał tak bez ruchu, aż odwrócił głowę.

– Bardzo dziwne.

– Wcześniej było jeszcze gorzej – wtrąciła Wais.

– Powiedziałbym, że jeśli te transmisje są typowe dla tubylców – mruknął Kaldaq – to umykają oni wszelkim naszym klasyfikacjom.

– Może ten tutaj chce nas oszukać, pokazując wyłącznie aberracje? – spytała Wais.

– Nie ma powodu, aby tak czynić – powiedział kapitan. – Poza tym nie jest aż tak bystry.

– Zgadzam się – przyznał T'var.

Rozmawiali bez pomocy translatorów i Will mógł im się tylko przyglądać.

– Co jest? – spytał. – W czym problem?

Wais spojrzała na niego.

– W przemocy. Niemal wszystkie sceny zawierały przemoc.

– Wiem, ale z tego, co oglądaliście, tylko wiadomości były prawdziwe, reszta to zwykła fikcja. Wicie, takie opowieści, fantastyka... – Nagle jakby się speszył. – To was tak zdumiało? Nie chwytam. Najpierw opowiadacie mi o tysiącletniej wojnie, a potem porusza was byle film. To bez sensu.

– Natężenie przemocy jest zdumiewające, ale nie o to nawet chodzi. – Wais podjęła niełatwe zadanie wyjaśnienia sprawy. – Wojna to nie nasz pomysł. My jej nie chcieliśmy, Ampliturowie zmusili nas do walki. Ale nawet Massudowie i Czirinaldo nie lubią walczyć. Nawet najbardziej wojowniczy spośród nich byłiby wstrząśnięci tym, co właśnie widzieliśmy. Chyba – dodała po namyśle – że te obrazy są jakąś rozbudowaną alegorią stworzoną w nie znanym nam celu, są wyrazem

waszej filozofii.

– No nie, wiadomości to wiadomości. To rzeczywistość, nawet jeśli nam się ona nie podoba. A co do filmów, to forma rozrywki. Zatem to nie stężenie przemocy was zdumiewa, ale sam fakt jej występowania?

– Właśnie. I to, jak jest skierowana. Wszędzie pojawiają się obrazy, na których jedni zabijają drugich. Will zmarszczył brwi.

– No owszem. I co z tego?

– Walczycie między sobą – powiedział powoli Kaldaq.

Chciał mieć absolutną pewność, że translator przełoży rzecz właściwie.

– To prawda, ale wcale nie jesteśmy z tego dumni. – Will położył dłoń na jazgoczącym telewizorze. – Czegoś nie rozumiem. Toczycie wojnę z Ampliturami. Czemu zatem tak was porusza widok walczących ludzi?

– Rzeczywiście nie rozumiesz. Można pojąć, że dwie rasy zapłaczą się w konflikt, jednak po osiągnięciu pewnego poziomu rozwoju żadna istota inteligentna nie będzie napadać na przedstawicieli swojego gatunku. Wojna staje się atawizmem.

– Teoria katastrof pozwala sądzić, że istoty, które walczą w obrębie własnego gatunku, muszą po prostu wyginąć – wyjaśnił T'var. – Ich liczebność spada szybko poniżej progu umożliwiającego rozwój cywilizacji. To aksjomat.

– Wszystko, co mogę wam powiedzieć, to że zawsze walczyliśmy. Od początku naszej pisanej historii aż do teraz. Niestety.

– Niemożliwe – powiedziała Wais i zaraz powtórzyła to w kilku tuzinach języków.

– A jednak. Na dodatek wciąż istniejemy, chociaż nie wiem, czy osiągnęliśmy już należyty, waszym zdaniem, poziom rozwoju.

Will stał w palącym słońcu południa i nie pojmował, czemu ci przedstawiciele dawnych i rozwiniętych cywilizacji nie potrafią zrozumieć czegoś tak oczywistego. W końcu coś przyszło mu do głowy.

– Czy próbujecie zasugerować, że mimo tej wojny nigdy nie walczyliście między sobą?

Cisza. Spojrzał na Kaldaq.

– Powiedziałaś, że Massudzi są żołnierzami. Czy nigdy w waszej historii nie było żadnej innej wojny?

– Nie. Były spory pomiędzy jednostkami, klanami rodzinnymi, ale na poziomie plemiennym

dominowała współpraca. Jak wśród większości prymitywnych ludów. Współpraca to jedyny sposób, aby wyzwolić się z barbarzyństwa. Wojowniczość uniemożliwia osiągnięcie wyższych stopni rozwoju cywilizacyjnego. Powoduje rozpraszanie wysiłków i myśli.

Kaldaq zastanawiał się, ile jeszcze czasu przyjdzie mu zmarnować na wyjaśnianie rzeczy oczywistych. Najtęższe głowy długo będą się biedzić, by ogarnąć tę niezwykłą cywilizację.

– Idea cywilizacji ogarniętej wewnętrznymi konfliktami to absurd. Albo konflikty, albo cywilizacja. Równie to pokręcone jak wasza geologia...

– O, geologia też wam się nie podoba? – Will zaczynał się gubić. Że też nie ma pod ręką żadnego eksperta...

– Powierzchnia planety dzieli się na lądy i morza, to normalne – powiedział T'var. – Ale wyobraź sobie nasze zdumienie, gdy ujrzeliśmy twój świat, gdzie obszary lądowe dzielą się na wiele fragmentów.

– To dzięki ruchowi płyt tektonicznych – stwierdził Will przypominając sobie to, czego nauczyli go jeszcze w szkole. – Sądzymy, że wszystkie kontynenty tworzyły kiedyś jeden olbrzymi ląd. Dawno temu rozpadł się na wiele kawałków, które wciąż dryfują.

– Lądy nie „dryfują” – powiedział T'var i spojrzał na Kaldaq, a potem z powrotem na krajowca. – Lądy tkwią tam, gdzie powstały. Nie wędrują po świecie.

– Tutaj wędrują.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Nie sądźcie, że panujące tu nienormalne stosunki mogą być w pewnym stopniu wynikiem aberracji tektonicznej? Równoczesne powstanie i rozwój wielu języków sugeruje rozdrobnienie społeczności globalnej.

– Nie znam przypadku, gdzie ukształtowanie fizyczne planety mogłoby w tak olbrzymim stopniu wpływać na charakter społeczeństwa – mruknął zbity z tropu T'var. – Czy niestałość planety może zniekształcać normy społeczne?

– To nie nasza dziedzina – powiedział Kaldaq, aby skończyć te rozważania. – Ale sytuacja jest bezprecedensowa. Musimy porozumieć się ze statkiem. Ciekawe, czy tubylcy dostrzegli tu jakąś zależność? Może znają wyjaśnienie?

– Zatem na waszych światach nie ma czegoś takiego, jak osobne kontynenty?

– Jest ląd, ale jeden. Życie powstaje na nim i na nim się rozwija. Czasem bywają wyspy – wyjaśnił T'var. – Jedna wielka masa lądu. Twój świat to coś zupełnie nowego.

– Może to wina Księżyca? – zagadnęła Wais.

– Co? – spytali równocześnie Kaldaq i T'var.

Kto by oczekiwał naukowych wyjaśnień od tłumaczki?

– Jest o wiele za duży dla tej planety. Pomyślałam, że bliskość tak wielkiego ciała mogła spowodować pływy wewnętrzne i te rozerwały jednolitą płytę lądu.

– Ciekawa hipoteza – mruknął Kaldaq. – Musimy przekazać ją tektonikom.

Kaldaq rozpaczliwie pragnął usłyszeć wreszcie coś, co mógłby spokojnie ogarnąć rozumem. Coś znajomego.

Wrogi z początku tubylec okazał się w pełni skłonny do współpracy, ale nadal nie dawało się przewidzieć wszystkich jego reakcji.

– Czy pozwolisz się zbadać? – spytał go Kaldaq.

– Co? Ja? – Will wyłączył odbiornik satelitarny i telewizor.

W ustach mu zaschło.

Wyciągnął z lodówki jeden z sześciu kartonów soku ananasowego, wetknął do środka słomkę i pociągnął łyk. Nagle dotarło doń, że jest na łódce sam na sam z ponad tuzinem obcych. Może Kaldaq mówił prawdę i większość z nich nie zna się na walce, ale i tak przewaga liczebna była po ich stronie. Will nie znał żadnej ze sztuk samoobrony, sprawdził już też, że nie ucieknie wpław.

– A jeśli powiem nie?

Obcy kapitan wzdrygnął się, dotknięty do żywego.

– Wtedy nie będzie badań.

– Nie planujecie niczego w rodzaju chirurgii inwazyjnej?

– Nie. Jesteś istotą inteligentną. Czemu mielibyśmy cię skrzywdzić?

Will dopił sok.

– Rozumiem, że nie będzie bolało. Gdzie chcecie mnie badać?

– Na pokładzie lądownika. Wyposażyliśmy go należycie.

– Chętnie go obejrzę.

– To też da się zorganizować.

Rozdział 10

Will nie oczekiwał, że wahadłowiec będzie aż tak duży. Ujrzał nowe, fascynujące miejsce, w którym rozpoznawało się wszakże znajome elementy, bowiem taki na przykład fotel, na ile by nie był dziwaczny, pozostawał fotelem. Jednak niektóre rzeczy zaskakiwały.

– Rozumiem już, dlaczego nie podobały się wam żarówki – Will wskazał na biegnące po ścianach korytarza taśmy świetlne. Były chłodne w dotyku.

– Nie krępuj się i pytaj, o co tylko zechcesz – powiedział T'var, który razem z tłumaczką oprowadzał Willa po wahadłowcu.

Dotarli do małego pomieszczenia wypełnionego nie znaną Willowi aparaturą. Czekala tu już grupa Hivistahmów i O'o'yanów. I jeszcze paru S'vanów. Pośrodku widniała niewielka platforma. Will wiedział, że gospodarze aż palą się do rozpoczęcia badań, podejrzewał też, że w razie kłopotów siłą wpakowaliby go na leżankę, jednak wciąż się wahał.

– Na pewno nie będzie bolało?

– Nie – zdumiał się T'var. – Dlaczego miałyby boleć?

– Najwidoczniej nie chodzimy do tego samego lekarza – mruknął Will, nieco się uspokajając. – Nie ma żadnych pasów ani uchwytów?

– Po co mielibyśmy cię wiązać?

– Nie wiem. – Odetchnął głęboko. – I co teraz? Mam się na tym położyć?

– Gdybyś był tak miły – powiedziała Wais.

Leżanka była przyjemnie ciepła, światło ponad nim nie oślepiało. Kilku Hivistahmów podeszło bliżej. Trudno było wyczytać cokolwiek z tych twarzy, chociaż ich oczu nic nie przysłaniało. O'o'yanowie skupili się przy aparaturze.

Nie nosili również translatorów, zatem rozmowa musiała toczyć się za pośrednictwem ptakowatego, który na początek poprosił Willa o zdjęcie kąpielówek. Will nie protestował, tylko przez chwilę zastanowił się, czy wśród ekipy są jakieś kobiety. Potem puknął się w głowę: nawet jeśli tak, to co z tego?

Samo badanie miało dość tajemniczy przebieg. Will nie rozpoznał żadnego z instrumentów

diagnostycznych, odczyty zaś nie miały nic wspólnego z którymkolwiek ze znanych mu zapisów. Ani przez chwilę nie czuł bólu czy niewygodę. Obejrzeni go ze wszystkich stron, poprosili, aby poruszał trochę oczami, ponapinał niektóre mięśnie. Nie wyrażał sprzeciwu, tylko sam zadawał coraz więcej pytań.

Kaldaq stał w milczeniu obok T'vara i obserwował badanie. Starszy z techników podszedł do nich na chwilę rozmowy. Wais zajęta była przy okazji, zatem musieli skorzystać z translatorów.

– Dziwny organizm. Wysoce zaskakujący.

– Na przykład? – spytał Kaldaq.

Hivistahm spojrział z powagą na leżankę i mruknął coś do najbliższego O'o'yana, który pobiegł wykonać polecenie. Will tymczasem pogwizdywał, wiercił się i obracał oczami, czyli robił wszystko, by zadowolić interlokutorów.

– Osobliwa budowa czaszki. Na razie trudno powiedzieć cokolwiek więcej, a to za sprawą ograniczonych możliwości aparatury, jak i tego, że mamy tylko jednego osobnika, brak możliwości porównania. Na pokładzie statku byłoby łatwiej.

– Zapewne niedługo trafi się sposobność. Co jeszcze?

– Zakładając, że ten osobnik jest reprezentatywny dla całego gatunku, należy zwrócić uwagę na silny system kostny i bardzo zwartą muskulaturę. I jeszcze na niezwykłą wrażliwość systemu nerwowego. Może to skutek warunków rozwoju, odpowiedź ewolucji na ich anormalną historię... To tylko wstępna hipoteza. Nie wiemy, jak nieustanna walka toczona w obrębie jednego gatunku wpływa na strukturę fizyczną należących do niego osobników. Skazani jesteśmy wyłącznie na domysły. Poza tym tubylec znakomicie widzi w dzień i całkiem nieźle w nocy. Przynajmniej według naszych standardów. Na przykład w świetle dnia Hivistahmowie odbierają obraz nieco ostrzejszy, jednak w nocy mało co widzimy. Podobnie jest z większością innych ras. Ludzkie oczy wydają się przystosowane do widzenia w każdych warunkach.

Massudzi słynęli w Gromadzie ze świetnej orientacji w nocy.

– Chcesz powiedzieć, że lepiej radzą sobie w ciemności niż my? – spytał Kaldaq.

– Tak, za dnia chyba też. To nie wszystko – dodał, widząc zdumienie Massuda. – Wyniki badań sugerują, że tubylcy potrafią widzieć również pod wodą. W ograniczonym zakresie, zależnie od przejrzystości środowiska, ale jednak. Badany potwierdził to zresztą w rozmowie.

– Bez okularów? – zdziwił się T'var i technik potwierdził. – Ale nie przypominają Leparów?

– Nie, nie są w żadnej mierze dwudyszni. Wprawdzie dobrze czują się w wodzie, ale oddychają tylko tlenem atmosferycznym. Badany powiedział nam, że przedstawiciele jego gatunku bardzo lubią spędzać wolny czas w wodzie.

– To akurat sami widzieliśmy – mruknął Kaldaq i skrzywił się.

Jak to pojąć?

Ale technik jeszcze nie skończył.

– Nie potrafimy orzec, czy te skłonności są cechą wynikłą z procesu ewolucji, czy też naleciałością kultury.

– A zatem mamy stworzenie – powiedział Kaldaq i spojrzał na leżankę – które widzi lepiej niż Massudzi, jest silniejsze od Hivistahmów czy Bir’rimorów, a w pływaniu ustępuje tylko Leparom, którzy jednak kiepsko radzą sobie na lądzie.

– Owszem – zgodził się technik. – Te istoty posiadają niesłychaną zdolność adaptacji.

– Wspominałeś też coś o niezwyklej budowie układu nerwowego.

– Czas reakcji na pewne bodźce jest wręcz wspaniały. Chociażby zdolność przechwytywania skierowanych w stronę osobnika obiektów.

– To też już widzieliśmy – powiedział kapitan.

– Mają bardzo sprawne palce, jednak to już nie jest takie niezwykle. Koordynacja ruchowa na poziomie Massudów czy S’vanów, gorsza jednak niż u Hivistahmów. Świetnie też przystosowują się do zmiennych warunków klimatycznych. Ośmielę się powiedzieć, że chłód, który zabiłby Hivistahma czy śmiertelne dla Massuda gorąco, na nich nie robią aż takiego wrażenia. Mają bardzo wydajne płuca. W połączeniu ze strukturą kostną, układem mięśniowym, masywnymi więzadłami i ścięgnami, pozwala im to na podejmowanie większych wysiłków niż w przypadku mojego gatunku.

– Krygolitów też przewyższają?

– Być może.

– Will twierdzi, że jest muzykiem, dalekim od wojowniczości artystą – powiedział T’var. – Mówi, że jego przyjaciele odnoszą się do sprawy podobnie. Jednakże codzienna aktywność, nawet sztuka i rozrywka epatują przemocą. Nie znamy drugiej podobnej kultury.

– Mogę mówić jedynie o wynikach badań tego jednego osobnika – stwierdził technik. – Nie weryfikuję jego słów, wiążę je tylko z odczytami instrumentów. To wszechstronna istota, zdumiewająco wszechstronna. Czirinaldo są silniejsi, Hivistahmowie widzą nieco lepiej, O’o’yanowie są znacznie dokładniejsi w pracy, Leparowie sprawniej pływają, ale...

– A Massudzi? – spytał Kaldaq.

Technik zawahał się i spojrzał na podwyższenie, gdzie trzech laborantów prosiło właśnie tubylca, by usiadł i dotknął stóp palcami rąk. Coś takiego potrafili zrobić tylko Massudzi. Może jeszcze Aszreganie... Osobnik wykonał ćwiczenie bez trudności.

– Massudzi szybciej biegają – rzucił technik.

Kaldaqowi trochę ulżyło, chociaż wiedział, że nie można porównywać w ten sposób przedstawicieli różnych ras. Uczciwa komparatystyka dopuszczalna jest tylko w obrębie jednego gatunku.

– Weryfikacja tych danych będzie możliwa dopiero na pokładzie statku. No i pod warunkiem zdobycia większej ilości tubylców do badań.

W końcu T'var spytał o rzecz najważniejszą.

– Jakie są ich potencjalne możliwości bojowe?

– Fizycznie znaczące. O umysłowych nie potrafię nic powiedzieć. Raport podaje, że tubylcy gardzą walką, to normalna postawa istot inteligentnych. Mamy jednak podstawy by podejrzewać, że ich postępowanie jest odległe od deklaracji. Fakt, że walczą między sobą, mógłby wytworzyć coś w rodzaju blokady mentalnej, niemożności angażowania się w konflikt międzygatunkowy. Takie szczególne szaleństwo, aberracja kulturowa. Zresztą nie wiem, nie jestem psychologiem, nie zajmuję się zachowaniami ksenofobicznymi. – Dłubnął przelotnie w zębach. – Ale co innego mnie niepokoi. Muszę przyznać, że odnajdujemy w tej istocie sporo sprzeczności. Dziwne cechy fizyczne i umysłowe. Podobno poświęciła ona swoje życie muzyce, jest istotą miłującą pokój i sztukę, ale cóż z tego, jeśli ta muzyka jest gwałtowna jak żadna inna.

– Ciekawe, co sądziliby o naszej muzyce? – zainteresował się T'var.

– Warto będzie sprawdzić. – Technik zsunął okulary z oczu i przetarł powieki. – Chociaż obawiam się, że to nic nie da.

– Jeśli analiza nastreczy trudności, to najwyżej zwolnimy tempo badań – powiedział T'var. – Ale nie zrezygnujemy.

Zmęczony Hivistahm tylko przytaknął.

Will wysłuchał nagrań i uznał je za urokliwe. Gdy ostatnie dźwięki wybrzmiały w kabine katamaranu, wstał i uśmiechnął się do gości.

– Wspaniale, choć proste rytmicznie.

– Odbiór muzyki jest zawsze subiektywny. – Tym razem T'var nie bawił się w uprzejmości. – Dla nas twoja jest... nieokrzesa.

– Moje utwory można porównać do współczesnej muzyki popularnej. Powinniście usłyszeć grupę zwaną Cadmium. Owszem, lubię wyrazisty rytm, daję dużo perkusji, ale nie dążę do dysonansu. Wasza muzyka przypomina mi ludową muzykę Bułgarii czy pieśni z okolic Palestyny. No, ale dla was to tylko puste słowa. Dlaczego chcieliście, żebym jej posłuchał?

– Jesteś muzykiem – powiedziała Wais. – Myśleliśmy, że to cię zainteresuje.

– I owszem. Nawet bardzo. – Złączył dłonie za głową i oparł się wygodnie na kanapie. –

Zagrajcie mi jeszcze raz ten kawałek z czymś, co brzmi jak elektryczne dzwony.

Gdy Will zgodził się na dalsze badania, Kaldaq zebrał szefów działów naukowych. Zaprosił też T'vara i Wais. – Czas ucieka. Pora podjąć istotną decyzję. Muszę wiedzieć, czy te istoty mogą zostać naszymi sojusznikami. Jeśli tak, trzeba ustalić, na ile będą pomocne. Czy da się je tak wyszkolić, aby wzięły udział w prawdziwej walce? Czy nadadzą się do innych zadań? A może okażą się bezużyteczne? Oczywiście, każda pomoc z ich strony będzie mile widziana.

– Żeby ustalić coś takiego, musimy mieć możliwość przebadania większej ilości osobników – powiedział T'var. – Lub też szansę, aby przeanalizować dogłębnie przynajmniej tego jednego.

– Jest jeszcze za wcześnie, aby poddawać tubylca złożonym procedurom – zaprotestował zastępca szefa działu medycznego.

– Nie zgadzam się – powiedział T'var, uśmiechając się wojowniczo. – Pozwolę sobie zauważyć, że jak dotąd krajowiec jest w pełni skłonny do współpracy.

– Niektórzy uważali go za wyjątkowo agresywnego i sugerowali, że to cecha użyteczna dla naszych celów. Przyznam, iż nie dostrzegam w jego zachowaniu agresji – zauważył Kaldaq.

– Jednak złamał rękę Dropahkowi.

– Twierdzi, że to był wypadek. To może świadczyć o jego sile i niezgrabności, ale o niczym więcej.

– Skłonny do współpracy, pomocny... – mruknął z zakłopotaniem zastępca. – Niechby. Ale czy możemy ryzykować poddanie go badaniom, których bezpośrednich skutków nie potrafimy w żaden sposób przewidzieć?

– Widzę, że wszyscy zapomnieli o najważniejszym – wtrącił się T'var. – Mamy wojnę. Trwa od wielu lat i nie skończy się za naszego życia. Zrażenie do siebie jednego tubylca to nie jest zbyt wysoka cena za szansę skrócenia walki. Ostrożność jest wskazana, ale uważam, że należy zaryzykować. Jak dotąd współpracuje z nami. Jak długo nie zmieni nastawienia, powinniśmy korzystać z jego pomocy.

Kaldaq wiedział, że S'vanowie są wystarczająco utalentowanymi mówcami, aby przekonać dowolne forum. Gdyby krajowiec zaczął sprawiać kłopoty, T'var uporałby się z nim.

– Złożone eksperymenty wymagać będą zgody tubylca.

– Oczywiście. – T'var spojrzał na kapitana. – Co można było zrobić tu, na dole, to już zrobiliśmy. Teraz trzeba przenieść badania na pokład statku.

Will usiadł na platformie i opuścił nogi na podłogę. Wydało mu się, że lądownik zadrżał. Otaczająca go grupa naukowców ani na chwilę nie przerwała pracy.

– Coś się dzieje? Chyba się poruszamy.

– Prawda – odpowiedział za pośrednictwem tłumacza medyk. – Koniecznym okazał się powrót na nasz statek.

– Chwila, moment! – Will zeskoczył z podwyższenia, odepchnął dwóch O’o’yanów i sięgnął po swoje kąpielówki. – Zgodziłem się pomagać wam tu, na miejscu. Nie było mowy o żadnej podróży.

Wais zgrabnie wsunęła się pomiędzy tubylca i protestujących Hivistahmów.

– Nieporozumienie semantyczne – powiedziała. – Dla nas statek jest jednością niezależnie od tego, na ile komponentów się dzieli.

– Zatem odnotujcie proszę, że zgodziłem się jedynie odwiedzić „komponent” – rzucił Will, zmagając się z kąpielówkami.

– Czyżbyś nie chciał zobaczyć całego statku? – spytał T’var, włączając się do konwersacji. – Nie chcesz spojrzeć z góry na cały twój świat?

Will rzucił okiem na przysadzistego humanoida. Spośród wszystkich obcych S’vanowie najbardziej przypominali mu ludzi.

– Jasne, to musi być genialny widok. Ale nikt nie uprzedzał, że polecimy w kosmos. Porywacie mnie, czy co?

– Porywamy?

Tym razem tłumacz nie podołał. T’var spojrzał na tłumaczkę, ale ona tylko kłapnęła dziobem sygnalizując, że też się zgubiła.

– Zabieracie mnie gdzieś wbrew mojej woli.

– To jakaś obsesja – mruknął T’var. – Równie osobliwa, jak bezwłosa skóra. Czemu mielibyśmy to robić?

– Aby wyciągnąć ode mnie wszystko, czego chcecie.

– Jeśli czegoś chcemy, to przede wszystkim twojej pomocy. Sam zgodziłeś się z nami współpracować, zatem użycie siły nic by nie dało, a co najwyżej zaszkodziło. Czyżbyś wciąż nie pojął jeszcze zasad właściwych naszej społeczności? – Zwrócił się do techników. – Zaczynam współczuć tym biednym istotom – powiedział po hivistahmsku. – Możliwe, że nie są wcale cywilizowane.

– Ostrzegałem przed taką możliwością – syknął zastępca. – Zachowują się w sposób kompletnie nieprzewidywalny.

– Zapewniam cię, że nie zrobimy niczego wbrew twojej woli – rzekł T’var do krajowca. – Jeśli pragniesz wrócić w tej chwili na dół, to proszę bardzo.

Will przyjrzał mu się. S'van poczuł się dziwnie, patrząc w te z rzadka mrugające oczy. Leparowie czy Massudzi nigdy nie peszyli T'vara, podczas gdy towarzystwo tego krajowca trudne było do zniesienia. Czemu? Przecież nieustannie zapewniał o swym pokojowym nastawieniu...

– Znaczy, że w każdej chwili mogę wrócić na moją łódź?

– Oczywiście – powiedział T'var. – W ten sposób ominie cię atrakcyjna wycieczka, ale masz prawo wyboru. Bez wątpienia znajdziemy kogoś na twoje miejsce, może nawet okazałby się bardziej skłonny do pomocy. – S'van chciał wzbudzić ciekawość tubylca i miał nadzieję, że translator odda nie tylko treść, ale i podtekst emocjonalny.

Krajowiec zawahał się. Potem uśmiechnął. Co za osobliwa, bogata mimika, pomyślał Tvar.

– Do diabła, i tak już w tym siedzę. Jeden z moich starych nauczycieli kompozycji mawiał, że inspiracją może być każda przeżyta chwila. Dobra, lecę z wami. Ale obiecujecie, że potem, po wszystkim, odstawicie mnie na moją łódź.

– Obiecujemy – powiedział T'var.

Zupełnie, jakby ktokolwiek mógł sądzić inaczej, pomyślał. Poza tubylcem, oczywiście. Czy to jego cecha osobnicza, czy ogólnogatunkowe szaleństwo? Naprawdę trzeba to zbadać.

Wnętrze statku wyraźnie zdumiało gościa, jednak bez przesady. Dziwne jak na rasę, która sama nie podróżuje między gwiazdami, pomyślał Kaldaq. Przybysz zachował się tak, jakby sam fakt istnienia pojazdu kosmicznego był dla niego czymś oczywistym, intrygujące były tylko szczegóły. Jeszcze jedna ciekawostka do zanotowania pod hasłem „Ludzie”.

Cała załoga zbiegła się ujrzyć obcego, gdy prowadzono go do ośrodka badań w centralnej części statku. Will został usadzony na niskiej, ale wygodnej kanapie. Oczekiwał kolejnej leżanki, ale miękkie poduszki podobały mu się o wiele bardziej.

– Mam się znowu rozebrać? – spytał.

– To nie będzie konieczne – powiedział Hivistahm będący szefem działu medycznego, sądząc po tonie osobnik przywykły do wydawania poleceń.

Will uśmiechnął się. W porównaniu z laboratorium na wahadłowcu, to wnętrze było wręcz komfortowe. Na kanapie zmieściłyby się bez trudu dwie osoby. Założył ręce za głowę i spróbował się odprężyć.

Z'mam zabrał się do dzieła, Kaldaq, Soliwik i T'var przyłączyli się do reszty widzów stojących w przyległym pomieszczeniu. Soliwik nie mogła powstrzymać komentarzy.

– Ale cudak. Chociaż... wcale nie dziwniejszy od S'vanów.

– Dziękuję bardzo – powiedział chłodno T'var.

– Patrzcie tylko! Absurdalna kęпка włosów na głowie i prawie żadnej sierści gdzie indziej. Małe oczy, zupełnie jak u Leparów. Płaska twarz, zęby marne. Owszem, mięśnie niczego sobie, ale reszta do luzu. – Zwróciła się do Kaldaq. – Domyślasz się, jak może zareagować na skanning?

– Pojęcia nie mam. – Kapitan przysunął się do szyby oddzielającej oba pomieszczenia. – Szefowa medyków uznała, że lepiej będzie nie uprzedzać faktów. Niezbyt się z tym zgadzam, ale nie chciałem się spierać. Wolę unikać pchania nosa w cudze sprawy, a na medycynie w ogóle się nie znam. Dziwne jednak, że ona też jakby się wahała, chociaż nie chciała sprecyzować swoich obaw.

Skanning kory mózgowej był metodą analogiczną do tego, co Ampliturowie stosowali wobec swoich niewolników. Uznawano go za triumf technologii Gromady, szczególnie że w całej historii wojny zdołano pojmać żywcem ledwie kilku Ampliturów, a ich badanie było skrajnie niebezpieczne i musiało odbywać się na odległość, poza zasięgiem telepatycznego oddziaływania jeńców.

Wiele informacji uzyskano też od tych przedstawicieli Gromady, którzy sami byli jeńcami wroga. Mimo setek lat badań nie znaleziono sposobu, aby obronić się przed wpływem Ampliturów (przed ich, jak sami to nazywali, sposobem komunikowania się). Prace jednak trwały nadal, mimo braku postępów naukowcy nie tracili nadziei. Gdyby skonstruowano wreszcie coś takiego, byłby to zwrotny moment wojny.

– Zaczynają – powiedziała Soliwik, wskazując na laboratorium. – Tubylec chyba zaczyna się niecierpliwić.

Rzeczywiście, było słychać jak osobnik protestuje przeciwko działaniom dwóch techników, którzy próbowali założyć mu siatkę na głowę.

– Lepiej tam pójde – stwierdził T'var.

Chwilę potem pojawił się za szybą i z Wais przy boku zaczął wyjaśniać coś Ziemianinowi. Tamten opuścił ręce, pokiwał głową i w końcu pozwolił technikom robić swoje.

– Ciekawe, czemu szefowa medyków była taka małowólna – mruknęła Soliwik. – To rzadkie u Hivistahmów.

– Pewnie obawia się zbyt przyspieszyć tempo badań. Ale nie mamy wyboru. Ampliturowie nie przerwą naporu, by dać nam dość czasu na dogłębne analizy.

– Nie widzę w tym nic niebezpiecznego. Słyszałam, że te istoty są ledwie cywilizowane.

– Wymykają się wszelkim klasyfikacjom. Podobnie jak ta planeta, ale za wcześnie jeszcze, żeby przesądzać o ich bezużyteczności. Nawet jeśli szefowa działu zdaje się być o tym przekonana. O ile wiem, jej personel ma inne zdanie.

– Naprawdę masz jeszcze nadzieję?

Kaldaq spojrział z wyrzutem na zastępczynię.

– Na tyle chyba mnie już znasz.

– Zaraz zaczną – powiedziała Soliwik, wskazując za szybę.

Jedna z asystentek siedziała w fotelu na lewo od kanapy. Jej głowę oplatała siatka czujników podobna do tej, którą nałożono krajowcowi. Kręcący się u jej nóg O'o'yan sprawdzał wstępne odczyty aparatury.

Skaner zaczął działać i na początek wprowadził podłączone osoby w stan podobny do snu. Obie siatki zaczęły emitować blade światło. Za szybą T'var pogadywał o czymś z Wais, technicy przed ekranami śledzili rutynowe zapisy w nadziei, że ujrzą w nich coś niezwykłego. Przeciężny Amplitur uporałby się z takim zadaniem w kilka sekund.

Czas mijał i Kaldaq odpłynął myślami daleko od laboratorium, gdy poczuł nagle, jak Soliwik kopie go w kostkę. Był to zwykły między Massudami gest zwrócenia czyjejś uwagi.

– Widziałeś?

– Że co? – Kapitan zamrugał powiekami.

– Spójrz na jej twarz.

Kaldaq ujrzał, jak asystentka krzywi się lekko. Jak na Hivistahma reakcja niezwykła. Ich twarze pozostawały z reguły niewzruszone.

Zatroskany O'o'yan sięgnął, by wolną dłonią poprawić skraj siateczki.

Kaldaq aż podskoczył, gdy asystentka nagle zamachnęła się lewą ręką i z całej siły uderzyła technika w twarz. Nawet przez szybę słysząc było ten trzask, pociekła krew, a w niej pokazało się coś białego. Zęby. Technik poleciał do tyłu, jego podręczna konsola wylądowała w drugim kącie pomieszczenia. Asystentka oszalała, kopała nogami, młóciła ramionami, jej gałki oczne miały się pod na wpół przymkniętymi, drżącymi powiekami.

Śpiący obok człowiek tylko obrócił się na drugi bok i poruszył raptownie nogą.

Przerażenie. Odraza. Wszystko w jednym geście wściekłości.

Rozdział 11

Obsługa laboratorium wyrwała się z wywołanego szokiem odrętwienia i ruszyła na pomoc jęczącemu i zakrwawionemu technikowi. Inni próbowali uspokoić syczącą wściekle i szamoczącą się asystentkę.

Odważniejsi ruszli ku kanapie. Jeden z O'o'yanów schwycił lewą rękę tubylca, ale osobnik jęknął głośno przez sen i odrzucił technika. Jakaś laborantka z Hivistahmów potknęła się i legła jak długa na podłodze.

Przeklinając pod nosem, Kaldaq i Soliwik pobiegli na pomoc.

Gdy dotarli do pomieszczenia za szybą, technicy zdarli już siateczkę z głowy asystentki i złożyli jej bezwładne ciało na leżance. Szefowa medyków pochyliła się nad nią i przesuwiała końcówką zestawu diagnostycznego wokół głowy. Ofiara była nieprzytomna, z nosa ciekła jej krew.

– Co się stało? – spytał Kaldaq.

– Naprawdę, ale to naprawdę nie mamy pojęcia – odparła wstrząśnięta zastępczyni.

Pojawił się technik z czytnikiem. Kaldaq wyrwał mu urządzenie i zażądał wstępnej interpretacji danych. Po massudzku. Tymczasem ktoś nałożył asystentce na twarz podłużną maskę. Zasyczał gaz.

– To nie ma sensu.

Zastępczyni wzięła czytnik i zerknęła na monitor. Przełączyła kilka funkcji, by otrzymać więcej danych.

– Proszę spojrzeć – powiedziała. – Na początku wszystko było w normie. Nic niezwykłego. Odczyt, siłą rzeczy, wygląda niekonwencjonalnie, ale nie zawiera anomalii. – Spojrzała nerwowo na kanapę. Człowiek spał już spokojnie, ale miał jakiś dziwny wyraz twarzy. Technicy zdjęli mu już siatkę. – Zaczęliśmy typowo. Słaba stymulacja służąca sporządzeniu indywidualnej mapy reakcji. Potem przeszliśmy do stymulacji konkretnych ośrodków i wtedy zrobiło się dziwnie i zupełnie nietypowo.

– Sami widzieliśmy – mruknęła Soliwik.

– Nie myślę jedynie o zachowaniu. Na przykład tutaj, aktywność w obrębie kory mózgowej wzrosła tak bardzo, że aż skala nam się skończyła.

– Co to była za stymulacja? – spytał Kaldaq. Jak to Massud, chce wszystko wiedzieć teraz i zaraz, pomyślała zastępczyni wodząc palcem po wykresach,.

– Stan zagrożenia. Średnie natężenie bodźców. Te linie w tle pokazują dla porównania odczyty typowe dla innych gatunków. Ta falista to Hivistahmowie, prawie prosta oznacza Leparów. Tubylec jest tutaj.

Kaldaq pochylił się nad ekranem. Krzywa przypominała wykresy otrzymywane przy badaniu szaleńców. Ale przecież Will Dulac nie był wariatem. Owszem, wiele można mu przypisać, ale nie obłąd, pomyślał kapitan. Jednak odczyt nie kłamał, odzwierciedlał coś. Ale co?

– Bardzo ucierpiała? – Soliwik wskazała na asystentkę.

– Tego jeszcze nie wiemy. Pierwsza diagnoza sugeruje szok kataleptyczny.

Kaldaq skrzywił nos i zastrzygł uszami.

– Czym wywołany?

Zastępczyni zadarła głowę, by spojrzeć Massudowi w oczy.

– Z braku innego wyjaśnienia musimy na razie przyjąć, że to skutek sprzężenia zwrotnego z tubylcem. Sprawdzamy jeszcze, ale nie wykryliśmy żadnej usterki aparatury. Niezależnie zresztą od przyczyny, wszyscy byliśmy świadkami aktu przemocy. Szefowa mówi, że nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziała.

– Ja też nie, ale ja rzadko bywam w laboratoriach. – Kaldaq postukał w ekran czytnika. – Tubylec twierdzi, że należy do pokojowej rasy. Czy to możliwe, że kłamie?

– Może, ale jeśli naprawdę zamierzał cokolwiek przed nami ukryć, to nie rozumiem, dlaczego zgodził się na testy.

– Też mnie to zastanawia – mruknął kapitan.

Zastępczyni zamyśliła się.

– W czasie całej awantury krajowiec spał głęboko. Dalej zresztą śpi. Musimy zatem przyjąć, że cokolwiek uczynił, nie był to wynik świadomie podjętej decyzji. Reakcja miała charakter instynktowny. Głębsze pokłady umysłu zareagowały na płynący z zewnątrz bodziec. – Musnęła zadbanym paznokciem wewnątrz ucha. – Co niepokoi mnie tym bardziej, to podejrzenie, że taki przebieg zdarzeń sugeruje istnienie u obcego reakcji warunkowych, których ten żadną miarą nie kontroluje.

– Miło mi to słyszeć – stwierdził Kaldaq. – Znaczący krajowiec nie zamierzał skrzywdzić asystentki.

– Niemniej to uczynił.

– Ale nie potraficie jeszcze powiedzieć dlaczego?

– Za dużo danych do przeanalizowania. Najpierw będziemy chcieli usłyszeć relację asystentki. Czekaemy, aż dojdzie do siebie.

– Ale chyba szok nie mógł być ciężki? – spytała Soliwick.

– Zajmują się nią. Mam nadzieję, że masz rację.

Asystentka oprzytomniała chwilę później, krzyżąc i gwizdząc z przerażenia, jakby dopiero co umknęła w panice przed jednym z wielkich drapieżców jej rodzimej planety. Lekarze uspokoiili ją lekami i dobrym słowem, przyciemnili szkła jej okularów. Zgodnie z życzeniem poszkodowanej czym prędzej przeniesiono ją do innej części statku.

Dwie godziny później Will przekręcił się na „trzeci bok”, ziewnął i otworzył oczy. Drzemka odprężyła go i odświeżyła. Śmiał się teraz w duchu, że miał cokolwiek przeciwko tak prostemu i niegroźnemu testowi. Zagadnięty przez Hivistahmów odparł, że czuje się dobrze i niczego nie pamięta. Żadnych koszmarów. Kark mu trochę zeszywniał, ale to wszystko. Zdumiał się nawet, skąd tyle pytań.

Poprosił o coś do jedzenia i przyniesiono mu kilka racji Massudów, uzupełnionych pożywieniem S’vanów. Wcześniej ponad wszelką wątpliwość stwierdzono, że tubylec może przyswajać ten pokarm. Jednak w praktyce było gorzej. Kilka potraw uznawanych za przysmaki zostawił ledwie spróbowałszy, pochłoniął zaś część takich dań, na które Kaldaq nawet by nie spojrział.

W jakiś czas później szefowa działu medycznego pozwoliła wreszcie na rozmowę z poszkodowaną asystentką.

Leżała na boku pod derką, wkoło zaś stanęło całe grono specjalistów, kapitan i wszyscy jego zastępcy. Kaldaq chciał też zaprosić Jaruselkę, ale to nie byłoby stosowne. Potem spyta ją o opinię.

– Czy możesz powiedzieć nam cokolwiek o tym wydarzeniu? – spytał łagodnym tonem patrząc na czarne okulary, które zupełnie skrywały oczy asystentki.

– Naprawdę nie wiem, co się stało – odparła głosem bardziej szeleszczącym niż zwykle. – Wszystko szło dobrze, nie napotykałam oporu. Trochę zrozumiałej obcości, ale umysł badanego był otwarty i spokojny. Wydał mi się nawet nieco prostacki. – Umilkła na chwilę i upiła trochę płynu z podajnika. – Aż nadszedł moment stymulacji i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, otoczył mnie chaos. Zupełnie jakby jakaś siła cisnęła mnie w bezdenną otchłań Wszechświata... Chyba nie potrafię oddać tego słowami. – Spojrzała na szefową. – Proszę nie nalegać, abym sobie to wszystko przypomniała. Jeszcze nie teraz.

– Nie będziemy naciskać – powiedziała starsza Hivistahmka. Pochyliła się ku asystentce i szepnęła coś do niej tak dyskretnie, że tłumaczący nie uchwyciły treści. Potem przesunęła parę razy palcem wskazującym między oczami pacjentki. Chora uspokoiła się wyraźnie, ale teraz mówiła jeszcze ciszej.

– Mój umysł zapłonął żywym ogniem. To było przerażające, po prostu koncentrat nienawiści. – Usiadła nagle i zerwała okulary. – Te istoty to urodzeni mordercy. Ukrywają swoją prawdziwą osobowość pod otoczką cywilizacji. W gruncie rzeczy to krwiożercze i prymitywne bestie, niewiele lepsze od Stachków.

– Ciągłe nie wiemy na pewno, co właściwie się stało – powiedział jeden ze specjalistów. – To twoja interpretacja. Tubylcy nie wyglądają na prymitywnych.

– Pod względem umiejętności technologicznych – odezwał się ktoś inny. – Ale ich zwyczaje społeczne to zupełnie inna sprawa. Walczą między sobą, co w przypadku istot stojących na takim poziomie jest zjawiskiem bezprecedensowym.

– Musimy też pamiętać o naszych doświadczeniach z tym osobnikiem. – Wszystkie oczy skierowały się na T'vara. – Współpracuje przy wszystkich testach i eksperymentach. Deklaruje swe pokojowe nastawienie i twierdzi, że wojowniczość jego rasy jest cechą zanikającą.

– Podobne konflikty napotyka się dość często – zaznaczył technik – ale zawsze dotyczy to społeczeństw o bardzo niskim zasobie wiedzy.

– Jednak dzisiejsze wydarzenie rzuca zupełnie nowe światło na wyniki naszych dotychczasowych badań – stwierdził jego kolega.

Inny kapitan pewnie wygłosiłby już swoją opinię, ale nie Kaldaq. Nie lubił nikomu przerywać, w końcu zrozumiał jednak, że jeśli nie przerwie sporu, to potrwa on głęboko w noc.

– Wyjaśnienie tego epizodu ma dla mnie drugorzędne znaczenie. Najważniejsze, to czy da się te istoty wykorzystać przeciwko Ampliturom.

– Nie! – Asystentka znalazła się momentalnie w centrum uwagi i jakby zawstydzona swoim wybuchem, położyła głowę na oparciu i powtórzyła już ciszej: – Nie. Nie chcemy takich sojuszników. Nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego. – Szeroko otwartymi oczami spoglądała na obecnych. – Pozbądźmy się tego jednego i odlatujmy, zanim nas wykryją. Tak radzę. Nie dowodzę tutaj, ale gorąco nalegam.

– Musisz się uspokoić – mruknęła szefowa. – Nie wyszłaś jeszcze w pełni z szoku, mogą być reemisje. Pomyśl lepiej o domu, zostaw nam analizy.

– Proszę mnie tak nie traktować – powiedziała asystentka i dodała coś w jednym ze slangów Hivistahmów. Translatory nie zdołały przełknąć tych paru zdań, ale i tak była to reakcja zdumiewająca jak na Hivistahma, wykwalifikowanego technika w szczególności.

Świadoma, kto ponosi tu największą odpowiedzialność i komu przyjdzie podjąć ostateczną decyzję, spojrzała prosto na Kaldaqą.

– Trzeba zabić tego tutaj – wyrzuciła z siebie podniecona. – I opuścić na zawsze ten system.

– Śpij i zdrowiej – powiedziała szefowa działu. Przekazała jeszcze kilka poleceń personelowi i

wyprowadziła grupę z pomieszczenia.

W laboratorium Will Dulac robił tymczasem wszystko, by zadowolić pracujących z nim techników. Rozmowa kwitła w najlepsze i chociaż Kaldaq nie potrafił wyczytać wiele z zachowania obcego, wydawał się on odprężony i chyba nawet dobrze się bawił.

– Z jednej strony mamy szokujące reakcje poszkodowanej asystentki – powiedział kapitan do swoich zastępców – a z drugiej taką oto rzeczywistość. – Pokazał na scenę po drugiej stronie szyby. Will nie odmawiał żadnej prośbie, a technicy mieli pełne ręce roboty z odczytami. Z tyłu pomieszczenia Lepar kończył właśnie codzienne sprzątanie. Bukoliczny obrazek. – Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że stanęliśmy przed wielkim odkryciem. Nie mogę się cofnąć. Opinia jednej przerażonej asystentki to za mało, aby zrezygnować.

Soliwik śledziła poczynia techników.

– Tubylec utrzymuje, że jego rodacy są z natury pacyfistami i nie zechcą stawiać Ampliturom na drodze. Jednak te deklaracje pozostają w sprzeczności z jego gotowością do specyficznym gwałtownych reakcji.

– Może o to właśnie chodzi: on nie zachowuje się gwałtownie, przemoc cechuje tylko jego reakcje. Gdybyśmy potrafili tyle, co Ampliturowie, dałoby się zapewne jakoś to zneutralizować.

– I wykorzystać? – spytał Kaldaq.

– Nie wiem – zawahała się Soliwik. – Wiele już widziałam i słyszałam w ciągu całego życia. Ale czegoś takiego, jak dzisiaj w laboratorium, jeszcze nie spotkałam. Nie jestem naukowcem ani technikiem, tylko żołnierzem i jedno wiem: asystentka ucierpiała. Spotkała coś, co naruszyło jej równowagę umysłową i emocjonalną, coś sprzecznego z jej systemem wartości. Słyszeliście wszyscy, jak zdecydowanie nalegała na zabicie osobnika? To niezwykle.

– A ty? – Kaldaq spojrzał na T'vara. – Cały czas byłeś dziwnie milczący.

– Bo nie wiem jeszcze, co o tym myśleć. Skłonny jestem raczej stanąć po pańskiej stronie, kapitanie. Niezależnie od kwestii moralnych i niechęci do „pozbywania” się jakiegokolwiek istoty inteligentnej, podejrzewam, że wiele możemy się jeszcze od nich nauczyć. Każda wiedza jest na swój sposób cenna, a tutaj wciąż brakuje nam danych. Nie możemy po prostu odlecieć, przerywając badania, nawet jeśli ta rasa na nic nie przyda się Gromadzie. Jestem przeciwko ucieczce. Owszem, Soliwik ma rację, gdy mówi o skłonności tubylców do agresywnych reakcji. Hivistahmowie są zupełnie inni. My też. I Leparowie. Musimy się dowiedzieć, na ile deklaracje tubylca sprzeczne są z jego zachowaniami i czy możemy jakkolwiek na tych rozbieżnościach skorzystać. Jedno musimy stwierdzić z całą pewnością: czy można skłonić te istoty, by walczyły raczej z Ampliturami niż między sobą. Bo wiemy już, że mogą być żołnierzami. Jeśli nie ten okaz, to inne z pewnością. – Spojrzał wyczekująco na Kaldaqą. – Moim zdaniem ich potencjał bojowy jest co najmniej równy umiejętnościom Massudów. A najpewniej je przewyższa.

Kaldaq nawet się nie oburzył. Niektórzy z jego podkomendnych mogliby zareagować gwałtownie,

ale nie on. Kwestia temperamentu.

– Zastępczyni szefowej medyków ostrzega jednak, że tubylcy mają ograniczone możliwości samokontroli. Gdyby tak było, to nie wyobrażam sobie ich jako żołnierzy.

– Jej wnioski mogą być mało obiektywne, też była mocno poruszona – odpadł T’var. – Ale przyznaję, że to byłoby dziwne.

– Jeśli ich agresja może ujawniać się tylko podczas snu lub w sytuacjach ekstremalnych – zauważyła Soliwik – to nic nam z nich nie przyjdzie. – Oparła dłoń o szybę. – Większość z was patrzyła w krytycznej chwili na asystentkę, ale ja śledziłam zachowanie tubylca. Był spokojny, nic nie wskazywało, by toczył we śnie jakąś walkę. Raz i drugi wierzgnął nogą. Nic nie sugerowało pobudzenia. Jak wiecie, sam potem zeznawał podobnie.

Kaldaq zastanowił się nad tym.

– Musimy ustalić, jak daleko może posunąć się na jawie. Mechanizmy obronne ożywające jedynie w przypadku nieświadomego pobudzenia rzeczywiście nie dadzą się wykorzystać. – Poniuchął przez chwilę. – Nie odlecimy stąd, dopóki nie będziemy mieli pewności. Musimy kontynuować badania. Wiemy już, że walczą między sobą, ale to mnie nie interesuje. Tę aberrację niech badają inni. Naszym zadaniem jest zgłębić praktyczną stronę zagadnienia. – Położył dłoń na ramieniu zdumionego taką poufałością T’vara. – Ty dopilnujesz, aby personel naukowy zajął się najważniejszym i nie tracił czasu na inne prace. Potrzebujemy konkretnych wskazówek, a nie czystej teorii. – Spojrzał w zamyśleniu na tubylca. – Skoro już doszliśmy do porozumienia, pora spytać o zdanie krajowca.

– Może uznać temat za drażliwy – powiedział T’var.

– Mam nadzieję, że tak będzie.

Kaldaq nie zawiódł się. Krajowiec nie tylko z miejsca się oburzył, ale nawet nie chciał podejmować wątku. O wiele bardziej interesowały go rośliny ustawione w pomieszczeniu, do którego przeszli.

Po drodze nie wzbudzili większego zainteresowania załogi, tylko z rzadka ktoś zerkał na grupkę. Zajęci sprzątaniami Leparowie w ogóle ich zignorowali. W końcu całe towarzystwo przysiadło na specjalnie przygotowanych plastikowych ławach, każda innej wysokości i kształtu, by przedstawiciele różnych ras mogli czuć się równie swobodnie.

T’var zaczął przekonywać opornego krajowca.

– Wyjaśniliśmy ci już, że tylko niektóre zrzeszone w Gromadzie rasy potrafią czy mogą walczyć. Żołnierzami są niemal wyłącznie Massudzi i Czirinaldo. My sami z rzadka się tym zajmujemy. Jednak i Massudzi i Czirinaldo mnożą się powoli. Próbowano to zmienić, ale...

– Jeśli szukacie sposobu na założenie hodowli żołnierzy, to zajrzeliście pod zły adres – powiedział Will.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem – mruknął T'var spoza nieprzeniknionej czarnej brody.

Will westchnął.

– To nie tak. Rozumiem, że nasza historia nasuwa jednoznaczne wnioski, ale nie jesteśmy tacy, jakimi chcecie nas widzieć. Wolimy żyć w pokoju. Od tysięcy lat próbujemy skończyć w wojnami i prawie nam się już udaje. Ludzie zaczynają rozumieć, że w epoce broni masowej zagłady walka nie ma już sensu, bo nikt nie może zwyciężyć w takiej wojnie. – Uśmiechnął się nieświadom, jaki skutek mogą te słowa wywrzeć na słuchaczach. – W żadnym przypadku nie pragniemy eksportować naszych słabości. Nie wiem, czemu nasze dzieje wyglądają tak, a nie inaczej. Mówicie, że to anormalne i osobiście zgadzam się z wami, ale nie potrafię wyjaśnić przyczyny tej aberracji. Po prostu taka była linia naszego rozwoju.

– Dojrzewanie do cywilizacji wymaga zjednoczenia wysiłków jednostek, dopiero to umożliwia ujarzmienie sił przyrody. – T'var przecesał palcami pajęczkę pnącza pobliskiej rośliny. – Wy jednak postępujecie dokładnie odwrotnie. Chcielibyśmy znać przyczynę.

– My też – odparł Will.

– Niektórzy specjaliści sugerują, że anormalny rozwój może być związany z anormalną geologią. Na innych światach ewolucja miała miejsce na jednej masie lądu, co ułatwiało przechodzenie do etapu współpracy. Tutaj wszystko jest rozdrobnione.

– Może i macie rację – mruknął Will. – We wszystkim, prócz tego jednego... Nie jesteśmy gotowi do udziału w waszej wojnie. Poza tym sami powiedzieliście, że dojrzałość cywilizacyjna idzie w parze z pokojowym współistnieniem?

– Tak było z nami do chwili, gdy spotkaliśmy Ampliturów – wyrwała się Soliwik. – Czy sądzisz, że łatwo nam przyszło sięgnąć po broń? Niestety, Ampliturowie nie uznają neutralności. Albo walczysz o realizację ich Celu, albo jesteś ich wrogiem. Musisz nam uwierzyć. – Kocie oczy wpatrzyły się w niego intensywnie. – Luksus wyboru nie będzie wam dany. Jeśli nie zechcecie się do nas przyłączyć, Ampliturowie i tak was w końcu znajdą. Oni nie pytają was o zdanie.

Will zamilkł na bardzo długą chwilę.

– Ale dlaczego my? Czemu staliśmy się dla was nagle tacy ważni? Cholera! Sami mamy dość problemów. Wciąż powtarzacie, jacy z nas odmieńcy. Nie znamy się na budowie statków kosmicznych ani na żegludze międzygwiazdnej. Niby na co moglibyśmy się przydać?

– Niech to wyjaśnię – powiedziała zastępczyni z działu medycznego. – Wciąż jeszcze myślisz, że wojna kosmiczna oznacza wielkie bitwy staczane przez ciężko uzbrojone statki. To fizyczna niemożliwość. Nie ma sposobu, aby śledzić jednostkę przemieszczającą się w podprzestrzeni. W normalnej przestrzeni odległości między flotami są zwykle tak ogromne, że użycie broni nie wchodzi w grę. Do walk dochodzi dopiero na orbitach planet. Zresztą nawet wtedy zniszczenie jakiegoś statku nie zmienia wiele.

– To nie jest wojna na wyniszczenie, to wojna o „rząd dusz” – stwierdziła Soliwik. – Najważniejsze bitwy toczone są na powierzchni planet, przy czym wszyscy starają się zawsze oszczędzać miejscową ekosferę oraz lokalny dorobek cywilizacyjny. Naszym zadaniem jest zniszczenie Ampliturów, a nie wszystkich opanowanych przez nich światów.

Will oparł się o kształtną poręcz ławy.

– Upieracie się, że po tysiącu lat wojny, po stworzeniu kosmicznych systemów broni i statków zdolnych śmigać po Galaktyce, wciąż jeszcze walczyacie w taki sposób jak nasi przodkowie?

– Bitwa kosmiczna to czysta rozrzutność – stwierdził T’var. – W próżni nie ma nic, co warte byłoby zdobycia. Zaczynasz już rozumieć, kogo szukamy? Nie tylko my zresztą, ale Ampliturowie potrafią przekształcać różne rasy tak, by mogły skuteczniej walczyć. No i nie mają zahamowań moralnych.

– Przekształcać? – spytał Will.

– Inżynieria genetyczna – powiedział T’var. – Oczywiście zawsze przekonują delikwentów, że to dla ich dobra. Pranie mózgow jest tak skuteczne, że dobrym słowem nie da się tego odwrócić. Ich niewolnicy czują się w pełni szczęśliwi. Sami Ampliturowie nie biorą udziału w walce. Gdyby nie ich poddani, wojna skończyłaby się w kilka lat.

Will był wstrząśnięty, jednak nie na tyle, by zmienić stanowisko.

– Współczuję wam. Naprawdę. Ale ludzie nie lubią walczyć. To był przymus. Kwestia historii, geografii, geologii czy czegoś tam jeszcze. Nie lubimy i już. Wiemy, że to złe i staramy się unikać konfliktów. Mówicie, że to aberracja, zachowanie dalekie od cywilizowanego. Tyle to też już wiemy, może zaczynamy po prostu dojrzewać. Nie sądzę, abyście mogli zmienić nastawienie ludzkości.

– To trzeba będzie sprawdzić – powiedziała Soliwik, odwracając się od translatora.

Kaldaq przytaknął i spojrział na Willa.

– Możesz mieć rację. Wybacz nam, jeśli wydajemy się nachalni. Pamiętaj, że przebyliśmy długą drogę i nie chcielibyśmy wracać z pustymi rękami. – Nie wspomniał dotąd ani słowem o napotkanej wcześniej cywilizacji, która entuzjastycznie zgodziła się przystąpić do Gromady. – Jeśli okaże się, że jest jak mówisz, odlecimy niezwłocznie. Na razie wczuj się, proszę, w nasze położenie. Musimy mieć pewność.

– To uczciwe postawienie sprawy – przyznał Will. – Jaki dowód byłby dla was wystarczający?

– Jako dla istoty inteligentnej jest dla ciebie niewątpliwie oczywiste, że nie można oceniać całego gatunku na podstawie wyników badań tylko jednego osobnika. Potrzebujemy reprezentatywnej próbki mieszkańców tej planety. Niech przejdą te same testy i badania, co ty.

Will zastanowił się. Sprawa zaczynała się komplikować. Zupełnie jak rebusy stryjka Dana.

– Rozumiem, że oczekujecie ode mnie pomocy w znalezieniu stosownej grupy ludzi? T'var przytaknął.

– To oczywiste, że z twoją pomocą odbędzie się to o wiele sprawniej.

– A czemu miałbym wam pomóc?

– Bo im szybciej ukończymy badania, tym szybciej odlecimy, gdyby okazało się, że masz jednak rację.

– Dobra. Zrobię, co się da. Większość uzna to za bajdę, ale spróbuję. Tylko jedno: żadnych zawodowych żołnierzy, żadnego personelu wojskowego. Ominę osoby przyuczone specjalnie do walki z innymi ludźmi. Chcecie reprezentatywną próbkę populacji i dokładnie to wam dostarczę.

– Zgoda – powiedział Kaldaq, strasząc uszy.

– I jeszcze coś – mruknął Will. – Nie mam pojęcia, jak namówić kogokolwiek do współpracy.

– Ty się zgodziłeś – zauważyła Soliwick.

– Ale bez entuzjazmu, jak może pamiętacie. Poza tym byłem sam.

– Chcesz powiedzieć – spytała zdumiona zastępczyni z działu medycznego – że trudno ci będzie znaleźć ludzi gotowych do pomocy? Żadna dojrzała cywilizacja nie wzdraga się przed podjęciem współpracy.

– Ale to nie jest dojrzała cywilizacja. Już wam o tym mówiłem, ale wy nie wierzycie i musicie to sprawdzić na innych. Fajnie, ale muszę wymyślić jakiś sposób, żeby ich tu ściągnąć.

– O ile wiemy – powiedział Kaldaq – samo nasze pojawienie się w jednym z waszych miast nic by nie dało.

– Nie. Dlatego mnie potrzebujecie. – Will zaczął się zastanawiać. – Pewnie mógłbym namówić parę osób, obiecując spotkanie z obcymi. Kwestię kontaktu z innymi rasami roztrząsa się już od tak dawna, że większość ludzi jest chyba gotowa. Ale przyprowadzić ich do statku i namówić na poddanie się badaniom, to już zupełnie inna sprawa. Zresztą nie wiedziałbym jak zacząć.

– Jeśli wyniki testu mają być wiarygodne, to powinieneś wybrać przeciętnych mieszkańców dowolnego obszaru – zaznaczyła zastępczyni.

– Łatwo ci powiedzieć. Wy macie swoją własną definicję cywilizacji, do nas ona nie pasuje. Zgodnie z twoimi sugestiami powinienem popłynąć na stały ląd, a ludzie sami się znajdą. A jeśli nie?

– To poszukamy innego sposobu przeprowadzenia koniecznych testów – powiedziała Soliwick.

Will wolał nie pytać o te „inne” sposoby.

– Gdyby tak dało się jakoś ich przekonać... Na gębę mogą mi nie uwierzyć... – Spojrzał na rozmówców. – Nie da się tak po prostu poprosić człowieka, żeby zrobił dla was coś niezwykłego. Zgodnie ze zwyczajem należy zawsze odwdziżyć się jakoś za przysługę.

– To normalne, ale płacić za udział w testach? Niezwykłe... – Kaldaq zwrócił się do podwładnych. – Chociaż w specyficznych okolicznościach może być wskazane. Przekazywanie dorobku technologicznego nie wchodzi w grę. Co innego mógłbyś zaproponować?

– Nie chciałbym napisać sobie biedy – mruknął Will. – Szlachetne kamienie... Nie, większość uznałaby je za fałszywe. A może złoto? Nieważne, w jakiej postaci. Byle było prawdziwe.

Po krótkiej dyskusji poproszono ekipę naukową o wytworzenie większej ilości złota. Początkowa niechęć zniknęła, gdy okazało się, że kruszec można uzyskać z wody morskiej. Wystarczyło zmodyfikować lekko tę samą metodę, która posłużyła do szybkiego zamaskowania lądownika.

Któregoś dnia wykorzystam to wszystko w wielkiej symfonii, pomyślał Will. Zatytułuję ją „Kontakt”. Teraz, gdy poznałem już muzykę obcych...

Dostał całą stertę nagrań. Dzieła Massudów rozczerowały go prostota, za to muzyka Hivistahmów, a w szczególności S’vanów, okazała się złożona, w pełni dojrzała. Prawdziwa mowa dźwięków.

Wracając na dół odtworzył sobie kontrapunktowe pieśni S’vanów i z miejsca zapomniał, że podróżuje w kosmosie. Muzyka działała relaksująco, szemrała niczym dwa pogadujące wodospady. Łatwo było pojąć, czemu ziemskie kawałki były dla obcych tak szokujące...

W ich muzyce nie było dysonansu. Tylko rytm wydawał się jakiś osobliwy.

Co ja tu robię? – pomyślał nagle, gdy wahadłowiec wszedł w atmosferę. Miałem komponować, a zatrudniłem się w charakterze królika doświadczalnego u obcych.

Ale wiedział, że gdyby obcy nie trafili na niego, znaleźliby kogoś innego, może bardziej ograniczonego, mniej wiedzącego o świecie, gotowego wywołać fałszywe wrażenie. To jednak odpowiedzialna rola.

Nie potrafił przekonać Kaldaqą i jego podwładnych, że tylko marnują czas, ale teraz ominie szerokim łukiem wszystkich mundurowych, każdego, kto może choćby wyglądać na żołnierza. Wybierze samych zwykłych ludzi. Zresztą w Belize wojskowych nie powinno być wielu, brak tu stosownej tradycji.

Ludzie potraktują go z niedowierzaniem, może nawet wyśmieją, niejeden uzna, że ma do czynienia z przemytnikiem. Jednak z dostateczną ilością złota kilku w końcu znajdzie. Pójdą za nim z chciwości lub ciekawości. Jeśli zwieją potem na sam widok Kaldaqą, to tym lepiej. Prymitywne dzikusy umykające przed ucieleśnieniem bożka...

A potem emisariusze tajemniczej Gromady odlecą i zostawią go w spokoju. Będzie mógł komponować. Zaś Ampliturowie... Pewnie zostaną pokonani wraz z tym ich Celem, zanim zdołają

odkryć istnienie człowieka. Przecież Kaldaq wspominał jasno, że Ziemia to prowincja zamieszkanego kosmosu...

Na własne oczy zobaczą teraz to, o czym opowiadał im przez cały czas. Potem zostawią go z garścią złota w kieszeni i nagraniami ich własnej muzyki. Dość inspiracji na dwadzieścia lat. Will nie widział przeszkód, aby zatrzymać sobie jedno i drugie. Belfrowie wszędzie są nędznie opłacani, myślał, ale historia patronatu jest długa i bogata. Wagner dostawał forszę od Ludwika Bawarskiego, Will Dulac będzie korzystał z hojności Massudów.

Rozdział 12

Ponowne usadowienie lądownika na dnie laguny i wypreparowanie z wody pudła żółtych „argumentów” potrwało kilka tygodni. Złoto miało postać rurek o grubych ściankach i Will podejrzewał, że kondensowano je zapewne wokół jakichś drutów czy czegoś takiego. Pudełko po narzędziach okazało się dość ciężkie i chociaż wyglądało na mocne, uchwyt nie budził zaufania. Will przekładał je nieustannie z jednej ręki do drugiej.

– I tak spokojnie mi to zawierzacie? – spytał T’vara. – To mała fortuna. Mogę popłynąć na brzeg i zniknąć wam z oczu, a wtedy będziecie musieli zaczynać wszystko od początku.

– A czemu miałbyś to zrobić? – spytał zastępca kapitana.

– Masz rację, niczego podobnego nie zamierzam. Każdy z nas ma swoje powody. Chcę udowodnić wam, że niepotrzebnie marnujecie tyle czasu na nasz świat.

T’var odnotował w myśli, że Ziemianie są bardzo pewni siebie. Gdy podzielił się tą refleksją z ksenopsychologami, ci wyjaśnili mu, iż to tylko przypuszczenie i że taka teza musi być oparta na odpowiednich badaniach.

Dalsze badania zaś zdawały się oznaczać podjęcie ogromnego ryzyka. Zbyt wielkiego, gdyby wierzyć zszokowanej asystentce i jej przełożonej, jednak zdanie dwóch pracowników działu medycznego nie mogło przeważać opinii większości, w tym i T’vara. Obecnie uznawał on tę planetę za osobliwą wprawdzie, ale żeby niebezpieczną... Nie. Jeśli za to uda się rozwiązać tutejsze zagadki, to może nadzieje nie okażą się płonne.

Wahadłowiec zabrał tym razem również pojazd atmosferyczny, zwykle służący do badania powierzchni nowych światów. Nie był wielki, ale do przewiezienia Willa na stały ląd nadawał się idealnie. Tyle tylko, że zmuszał do nocnych podróży.

Dulac nie był nigdy dalej niż w Belize City, ale wiedział, że większą część kraju pokrywa puszcza tropikalna i mokradła. Prymitywny zakątek, jakby żywcem przeniesiony z pisanej w latach dwudziestych powieści Williama Somerseta. Niewiele połączeń lotniczych, rzadka sieć mało uczęszczanych dróg. Potajemne przekroczenie linii brzegowej nie powinno być problemem.

Wysadzili go obok głównej autostrady i obiecali, że będą czekać na niego dokładnie w tym samym miejscu za tydzień. Will nie okazywał przesadnego optymizmu.

– Może się zdarzyć, że spotkacie mnie tu samego i bez złota – powiedział. – Ale zrobię, co się da.

– Wybierz reprezentatywną próbkę populacji – powiedziała Wais, żeby ponad wszelką wątpliwość uniknąć nieporozumień.

– Oczywiście – skłamał Will, który nie miał zamiaru przesadzać z naukową rzetelnością. Ostatecznie w mieście mogło być parunastu żołnierzy na przepustkach. Brytyjczycy utrzymywali wciąż niewielki garnizon, aby strzec swej byłej kolonii przed zapędami gwatemalskich szowinistów. Amerykanie przybywali do tutejszej dżungli, aby szkolić własne oddziały do walki w tropikach. Było tylko nie trafić na bandę zubożałych najemników, pomyślał Will.

Nie, jego grupa będzie bardziej niż „reprezentatywna”. Żadnych żołnierzy z ich archaicznymi poglądami.

Technicy domagali się przynajmniej kilku osób. Will wyjaśniał cierpliwie, że zbyt duża grupa na pewno zwróci czyjąś uwagę nawet w tak zapyziałym miejscu, jak Belize. Nie dodawał już, że im liczniejsze grono, tym większe ryzyko, iż przemyci się w nim jakiś abnegat, wojownicze ucieleśnienie marzeń obcych.

Jeśli zdoła przekonać kilkanaście osób, Kaldaq będzie miał swoją próbkę... przefiltrowaną uprzednio stosownie przez Willa Dulaca. Nie wybierze samych pacyfistów, to byłoby nazbyt oczywiste oszustwo. Obcy mogliby wtedy zrezygnować z jego usług, polecieć gdzie indziej i poznać prawdę.

Panująca nocą na szosie pustka znaczyła, że Will będzie musiał sam targać swój bagaż aż do miasta. I rzeczywiście. Nogi z wolna wzrastały mu w siedzenie, gdy pojawił się wreszcie ruchomy wrak samochodu. Pick-up był niemal równie wiekowy jak siwy kierowca. Uradowany Will wskoczył na tył pojazdu i ułożył się z ulgą między kiściami bananów. Zmęczenie kazało mu zapomnieć o tarantulach, które zwykły mieszkać na bananowcach i też często zabierały się w drogę.

Stawonogów nie spotkał, niemniej wytrzęsło go za wszystkie czasy. Zeskoczył, dał kierowcy dolara, narzucił plecak na ramiona, dźwignął pudło i ruszył wąską błotnistą uliczką, przy której wznosiły się wielopiętrowe budynki.

Belize było zacofanym krajem zamieszkanym przez biednych, ale dość miłych ludzi, borykających się z regularnie nawiedzającymi okolicę huraganami i ogólną niemożnością. Miasto pękało w szwach od wszelkich nieudaczników, którzy nie znajdowali pracy ani na plantacjach, ani we flocie rybackiej, ani w rodzącym się dopiero przemyśle turystycznym. Wśród morza architektonicznej szpetoty i prowizorki jak wyspy sterczały nieliczne budowle w stylu wiktoriańskim i parę masywnych kościołów, czyli jedyne gmachy dość solidne, by przetrwać powtarzające się co kilka miesięcy powodzie.

Nieduży, ale zadziwiająco czysty hotel pozwolił umknąć przed duchotą tropikalnej nocy. Will ukrył pudło w ciemnym kącie i przespał spokojnie do rana.

Po śniadaniu złożonym z pieczonej ryby i butelki wody przystąpił do pracy.

Puste w nocy ulice wypełniły się ciżbą spieszących gdzieś ludzi. Na każdym rogu sterczeli

mężczyźni o pustych spojrzeniach. Trwali zamiast żyć i czekali, aż przeznaczenie wyciągnie do nich rękę. Kobiety jazgotały w sklepikach, równie energicznie poczynając sobie z zakupami i dziećmi. Tych ostatnich wszędzie było pełno i one jedne robiły wrażenie radosnych. Nie wiedziały jeszcze, jak wielkie jest ich ubóstwo i cieszyły się z każdej zabawki, choćby była to tylko pusta litrowa butelka po 7-Up.

Libańscy imigranci pocili się przy budowie nowego sklepu, przypominającego kształtem meczet. Rastafarianin włókł się uliczką, kołysał warkoczykami i potykał co chwila, bo brakło mu siły, by unieść nogę nawet na wysokość krawężnika. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Mały człowieczek wyglądający jak postać rodem z inskrypcji Majów siedział nieruchomo na popękany betonie i obserwował przechodniów.

Belize przypominało mikrokosmos ludzkości i tylko potu było tu więcej, niż przewidywała norma. Wilgotny klimat obezwładniał skutecznie wszystkich miłośników przygód i awanturników. Utykali tu na dobre, nie mając już dokąd dalej gonić. Reprezentacja ludzkości, tak, jak najbardziej. Dolna strefa stanów niskich.

Bieda wynikała głównie z kolonialnej przeszłości i tego, że chociaż Brytyjczycy wycofali się już z administrowania krajem, to nowe władze nie odeszły jeszcze daleko od dawnych wzorców. Wszędzie trafiało się na niegdysiejszych mieszkańców Albionu i innych uchodźców, którzy znaleźli tu swoje miejsce pod słońcem. Amerykańscy i niemieccy turyści oblegali nieliczne sklepy z pamiątkami, pragnąc czym prędzej kupić jakikolwiek przedmiot miejscowej roboty i wrócić na strzeżone plaże i do klimatyzowanych hoteli w Ambergris Cay. Spaleni słońcem młodzi i zdrowi Skandynawowie w skórzanych portkach i ciężkich butach szczyrzyli zęby do wszystkiego, co mijali w szybkim marszu ulicami.

Byli też Hindusi, potomkowie niewysokich, śniadoskórych robotników, których sprowadzono niegdyś na Karaiby do pracy na plantacjach trzciny cukrowej. Byli Indianie Meskito umykający przed niepokojami w Nikaragui. Byli nawet błękitnoocy tubylcy, prawnuki niegdysiejszych Konfederatów przybyłych po Wojnie Secesyjnej w nadziei na wskrzeszenie dawnego Południa.

Belize nie tchnęło majestatem ani wielkością, chyba żeby wziąć pod uwagę tutejsze góry, lasy, rzeki i rafy koralowe. Belize City leżało nad samym morzem, które przy każdym przypływie zwracało hojnie miastu wszystkie jego śmieci.

Will ominął dwa sklepy, w których zdarzało mu się uprzednio kupować prowiant i przeszedł do tej części miasta, która zdobywała ostatnio sławę jako centrum turystyczne. Połamane złote słomki wypychały mu kieszenie spodni, on jednak wciąż zastanawiał się, jak zacząć? Zjadł podły lunch w fałszywej chińskiej restauracji, przyjrzał się człapiącym nie opodal stolika ludziom. Kogo wybrać?

Uznał, że okolica jest zbyt ludna. Zapłacił zatem, zastanowił się przelotnie czy niestrawność powali go zaraz, czy dopiero za chwilę, i pomaszerował nad brzeg oceanu, ku zaśmieconej do niemożliwości plaży.

Usiadł na płaskim kamieniu i zapatrzył się na fale. Zateęsknił za swoją łodzią, za sprzętem muzycznym i klawiaturą, za komponowaniem. Że też na niego musiało trafić z Massudami, Leparami i

resztą tej bandy wojującej od eonów lat z Ampliturami!

Ale stało się i teraz musiał natężyć umysł, jak utrzymać ludzkość z dala od tej bryndzy. To nie dla nas, myślał. Mamy dość własnych zmartwień, nie trzeba nam jeszcze cudzych kłopotów.

– Ma pan dziesięć centów, mister?

Will obrócił się i spojrzał na chłopca, który wyglądał na jakieś dwanaście lat, ale najpewniej miał ich co najmniej piętnaście. Szczupły, opalony i bosy, nosił tylko podarte szorty i jeszcze bardziej złachaną koszulę. Niedaleko stał drugi: postarzały przedwcześnie i zastygły gdzieś między szesnastym a dwudziestym piątym rokiem życia. Obaj byli chyba głodni. Zresztą nie tylko jedzenia im brakowało.

– Jasne. – Will uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni. Po omacku wyszukał złotą rurkę o długości prawie dziesięciu centymetrów. – Ten tam to twój przyjaciel?

– Brachol. Miałyby pan dziesiątaka i dla niego?

– A wasi rodzice wiedzą, że żebrzecie?

Chłopak uśmiechnął się nieszczercze.

– A jak? Ma pan nas za sieroty, czy co?

– Chodzicie do szkoły?

– Słuchaj pan – powiedział dzieciak i cofnął się o krok. – Ma pan dla nas parę centów, to fajnie, weźmiemy i podziękujemy, ale gadania nam nie trzeba.

– Spokojnie. Nie jestem kaznodzieją. – Przyciszył głos do konspiracyjnego szeptu. – Byliście kiedyś w kinie? No wiesz, ruchome obrazki.

– W kinie? – chłopak przyjrzał mu się uważnie. – Jasne.

– Jakie filmy lubicie? Z kim?

– A jak pan myśli? – Chude ręce poruszyły się jak skrzydła wiatraka. – Chuck Norris, Bruce Lee. I tacy inni...

– Lubisz się bić, co?

Chłopiec zawahał się.

– Może czasem. Ale czego pan chce? Nie chcemy z bratem żadnych kłopotów.

– A chcielibyście zarobić trochę prawdziwej forsy? Gdybym zaproponował wam spotkanie z... obcymi? Jak w kinie. Wiecie, z ludźmi z innych światów.

– To już widzieliśmy. Nasz kumpel ma magnetowid. Zwariowałeś, staruszk.

– Naprawdę? – Will wyciągnął złota rurkę i pokazał ją chłopcu. Metal błysnął w tropikalnym słońcu.

– Nabierasz, stary. To nie może być prawdziwe.

– Zawołaj brata. Jest interes do zrobienia.

Pod koniec trzeciego dnia prócz pary chłopaków, którzy jednak okazali się sierotami, miał na liście ich opiekuna, potężnie zbudowanego rybaka, który czasem udzielał im schronienia. Poza tym był chyba najciemniejszym człowiekiem na świecie. Jego skóra lśniła czernią równie głęboką, jak mroczne wody pod mołem na Mississippi w bezksiężycową noc. Ani śladu beżu czy czekoladowego brązu.

Czwartym był spotkany w hotelu niegdysiejszy mieszkaniec południowo-wschodniej Anglii. Ostatnio spędzał czas głównie w miejscowych barach i chociaż zawiany, zdołał rozpoznać złoto. Zgoda na udział w imprezie była po prostu kaprysem.

– To dopiero będzie kawał! – zaśmiał się, a Will pomyślał, czy widok Kaldaqą wzbudzi w nim równie wiele wesołości.

Anglik przybył niegdyś do Ameryki Środkowej, by spędzić tu roczny urlop naukowy, ale spodobało mu się i został na stałe. Od tamtej pory popijał i powtarzał sobie, że nic nie łączy go ani z ojczyzną, ani z pozostawioną w Surrey żoną. Miał dość czasu na wszystko, nawet na pomysły lęgające się w głowach zbzikowanych Amerykanów. Na trzeźwo potrafił wyliczyć wszystkie kraje świata razem z ich ważniejszymi miastami, a także co te kraje eksportują, jakie mają góry, doliny i rzeki. Wyliczankę kończyły miejscowe marki piwa, nigdy mniej niż pięćdziesiąt cztery. Świetny nabytek. Gotów na spotkanie każdej przygody pod jednym warunkiem: że zawsze będzie miał pod ręką stosowną ilość płynu do balsamowania swojej powłoki.

Potem pojawił się jeszcze młodzieniec z warkoczykami, ten sam rastafarianin, którego Will widział już pierwszego dnia na ulicy. Był naćpany trawką, ale kontaktował. Chętnie zgodził się na spotkanie ze wszystkimi prawdziwymi i urojonymi istotami pozaziemskimi. Will aż się uśmiechnął, widząc oczami duszy reakcję Kaldaqą na to indywidualium. Ciekawe, jak Wais poradzi sobie z tłumaczeniem jego bełkotu. Pozostało mieć nadzieję, że warkoczykowiec trafi na czas do hotelu.

Następni kandydaci przybyli pod postacią pary studentów z Sydney. Przyszli intelektualiści zwiedzali właśnie świat i przygotowywali się do tego, aby po powrocie do domu zrobić wielką forszę i przez resztę życia wylegiwać się na plażach Złotego Wybrzeża. Oczywiście uważali się niemal za zbawców ludzkości. Will zignorował ich pretensjonalność i włączył oboje do grupy.

Siedem to, jak wiadomo, dobra liczba, ale Will odczuwał jeszcze niedosyt. Następnego dnia miał się jednak stawić ze swą czeredą przy szosie osiem mil od miasta i nie zostało mu wiele czasu.

W ostatniej chwili poznał jeszcze Kena Woodsa i Tamy Markowitz. Młodziutka para szukała

właśnie (jak określiła to dziewczyna) „miejsca na potencjalny miesiąc miodowy”.

– Nie będziemy marnować czasu ani pieniędzy na odwiedzanie okolicy, gdzie pewnie i tak nie będzie fajnie – powiedzieli, i Will miał z nimi spory kłopot, ale w końcu ich przekonał. Potrzebował właśnie kogoś takiego jak oni, kogoś pozbawionego zdrowego rozsądku, młodego i głupiego jak niedorobiony yuppie. Zgodzili się nie po to, aby urzeć obcych, w obcych nie wierzyli ani przez chwilę, nawet nie dla złota, ale po prostu z ciekawości. Fascynowała ich ta skupiona już wkoło Dulaca zbieranina, a Markowitz parała się profesjonalnie fotografią. Miała zamiar wypstrykać na tych ludzi kilka filmów. Will nie bardzo nawet wiedział, jak dziewczyna wygląda, bowiem niemal cała jej twarz ginęła za ogromnymi lustrzanymi okularami.

Jak zobaczą to wszystko, to pewnie osłupieją, pomyślał Will. Ich reakcja może być naprawdę ciekawa i pouczająca.

Cała ta cudaczna nawet jak na Belize dziewiątka zebrała się wieczorem przed hotelem. Will wynajął dla nich mikrobus, który to grat kosztował go aż kilka kawałków złota. Łapówka dla pracownika wypożyczalni przewyższyła chyba wartość samego pojazdu.

Will sprawdził umocowanie bagaży na dachu, potem posadził mamroczącego coś rastafarianina na przednim siedzeniu obok siebie, dwóch chłopców za sobą, ich opiekuna przy drzwiach, gdzie olbrzym miał przynajmniej nieco więcej miejsca na nogi. Australijska para zniknęła z tyłu i wdała się w pogawędkę z angielskim nauczycielem. Wood i Markowitz znaleźli sobie osobne miejsca.

Dulac siadał już za kierownicą, gdy obok pojazdu stanęła jakaś starsza pani.

– Przepraszam, sir – powiedziała cicho całkiem dobrą angielszczyzną. Ubrana była jak do kościoła, w kapeluszu z szerokim rondem i nieskazitelnie białą suknię. Pod pachą ścisnęła spory koszyk.

– W czym mogę pani pomóc? Uśmiechnęła się łagodnie.

– Po mieście krążą opowieści o jakimś nieznanym białym, który rozdaje złoto.

Will rozejrzał się niepewnie. Było już ciemno i nawet tutaj, przed hotelem, jacyś desperaci mogliby przecież spróbować dokonać napadu. Że też wcześniej o tym nie pomyślał.

– Różne rzeczy gada się w Belize City – odparł i spojrzał na starszą panią. Nawet w mdłym świetle latarni widać było, że brak jej czterech siekaczy.

– Ale to nie są pieniądze z handlu narkotykami? To byłaby obraza wobec Boga.

– Nie mam nic wspólnego z prochami.

– To dobrze – powiedziała stanowczo i poprawiła koszyk. – Słyszałam też, że ten nieznanomy szuka ludzi do jakiegoś tajemniczego zadania i że płaci hojnie. – Wskazała na hałaśliwych pasażerów mikrobusu.

Will nie zastanawiał się nawet, gdzie ona mogła to usłyszeć. Agencja JPDP (Jedna Pani Drugiej Pani) działała w Belize City o wiele sprawniej, niż jakakolwiek kompania telefoniczna.

– Mam już komplet.

– Nie zajmę wiele miejsca – powiedziała prosząco. – Jeśli tylko można coś na tym zarobić, to ja też chcę jechać.

Po co ktoś taki hivistahmskim uczonym? Jednak Will zawahał się i przyjrzał kobiecie uważnie. Nie chciał przyczynić się do czyjejkolwiek śmierci.

– Przepraszam za śmiałość, ale nie wygląda pani na osobę... – poszukał właściwego słowa – silną. – Zerknął na zegarek. Czas go jeszcze nie gonił.

– Jestem silniejsza niż się wydaje, sir. Pracowałam całe życie. To, że jestem mała i stara, nie znaczy jeszcze, że nie mam siły. Nie wiem, co pan zamierza, ale zaznaczam, że jestem wdową. Mój mąż zmarł dwa lata temu. Mam syna, który pracuje w San Pedro. Ma żonę i dali mi, Bogu niech będą dzięki, dwoje wnucząt, chłopca i dziewczynkę. Trzecie zmarło w zeszłym roku. Nie mają pieniędzy, żeby mnie odwiedzić. Nic mnie nie trzyma w tym mieście. Chcę jechać z panem, sir.

Will zaczął łagodnieć.

– Czy wie pani, co to ma być? Jedziemy spotkać ludzi z innego świata, a potem ci tutaj lecą na ich statek. Bardzo duży i zawieszony w kosmosie między nami a Księżycem. Tam zostaną poddani badaniom i testom.

– To wszystko nieważne, sir. Chcę tylko zarobić. Nigdy jeszcze nie wyjeżdżałam z Belize City, zaledwie parę razy byłam w centrum miasta. Chcę zarobić dość pieniędzy, aby zamieszkać blisko syna i wnuków. Zrobię wszystko, o co pan poprosi.

Ogólny bilans wyjdzie zatem na plus, pomyślał Will.

– Niech pani spróbuje znaleźć sobie miejsce z tyłu. Jakiś bagaż?

– Mam tu wszystko. – Pokazała na koszyk. – Bo i co mi więcej trzeba?

Zaiste, co więcej, pomyślał Will.

Kobieta ruszyła do wejścia, ale zatrzymała się jeszcze i obejrzała na Willa.

– Niech pana Bóg błogosławi, sir.

Dulac usiadł ponownie za kierownicą i zatrzasnął drzwi. Humor mu się nieco poprawił.

– Z tym lepiej poczekać, aż zacznie się coś dziać – mruknął i pomyślał, że starsza pani jest w gruncie rzeczy równie niezdolna do pojęcia prawdy o tej całej wyprawie, jak rastafarianin czy obaj chłopcy.

Włączył silnik, zawrócił i wyjechał na główną ulicę. Pozostawało jeszcze znaleźć w ciemności drogę do szosy. Pasażerowie mamrotali coś bez ładu i składu: dziesięcioro ludzi mających nieświadomie przekonać Kaldaqą i pozostałych o niezdolności gatunku człowieczego do służby wojskowej w szeregach Gromady.

Mocno zawiany nauczyciel rozwijał przed Australijczykami jakiś bliżej nie sprecyzowany wątek, Markowitz pstrykała zdjęcie za zdjęciem (zupełnie bez sensu). Rastafarianin bełkotał sam do siebie i nie reagował na zaczepki obu chłopców. Czarny jak sadza rybak patrzył w milczeniu przez okno.

Było późno i mało kto plątał się po opustoszałej szosie, a przez ostatnie pół godziny nie napotkali już w ogóle nikogo. Will skręcił przy dużym drzewie tamaryndowym, przejechał jeszcze milę po wyboistym trakcie i stanął na skraju płytkiego mokradła. Po poprzednim lądowaniu pojazdu nie zostało nawet śladu, błoto i sprężysta trawa bagienna skryły skutecznie wszelkie znaki.

Will wyłączył silnik i wysiadł.

– Jesteśmy na miejscu.

– Coś nie tak, facet – powiedział starszy z chłopców. – A gdzie złoto?

Młodszy stanął na brzegu stawu i rozejrzał się nieufnie.

– No i gdzie oni są?

Will zerknął na zanesione chmurami, mroczne niebo.

– Przylecą. Złoto też będzie.

Starszy chłopak robił wrażenie kogoś przekonanego, że cały świat spiskuje przeciwko jego osobie od dnia, kiedy zdarzyło mu się przyjść na ten padół.

– A póki co, może pomoglibyście mi z bagażami.

– Żadne takie, swój już mamy, sam się bujaj. – W rękę trzymał obwiązaną sznurkiem paczkę.

Ken Woods nie odmówił, podobnie jak milczący rybak. Facet był silny i wspaniale umięśniony.

Gdy stos bagaży legł już na ziemi, Will ponownie spojrzął na zegarek. Ciekawe, co będzie, jeśli nie przylecą. Cała noc na mokradłach, noc pełna oskarżeń i pretensji. I jeszcze te zmije...

Czas mijał, narzekań było coraz więcej. Will wiedział, że nie utrzyma gromadki zbyt długo. Pomyślał, że w ostateczności da im resztę złota z pudełka i odeśle mikrobusem do miasta, a sam zostanie by czekać na obcych, którym będzie musiał opowiedzieć jakąś bajeczkę o porażce.

Nagle, bez żadnej zapowiedzi, mroczny zarys pojazdu wykwitł nad bagnem i zaczął przymierzać się do lądowania. Zawarczało, zaszumiało, jakby troll kołysał swoje dziecko do snu.

Za plecami Willa rozległy się pierwsze zdumione ochy i achy.

Rozdział 13

Angielski wygnaniec potknął się i zgubił kapelusz typu panama, starsza pani z Belize City przeżegnała się nabożnie. Rastafarianin gapił się na pojazd niczym cielę na malowane wrota, ale wciąż coś bełkotał. Tylko rybak stał nieporuszony i milczący.

Nagle otrzeźwiały nauczyciel przysunął się do Willa. Odzyskany kapelusz ścisnął kurczowo w jednej dłoni, palcami drugiej przeczesywał resztki siwych włosów.

– Myślałem... że to żart. Zabawa na jeden wieczór. Taki wygłup, dobry, żeby opowiedzieć kiedyś o wszystkim chłopakom w Tunbridge Wells.

– Zabawy będzie dość, ale potrwa trochę dłużej niż jeden wieczór. Uprzedzałem zresztą. – Spojrzał z namysłem na starszego pana. – Jak chcesz, to możesz uciec. Nikt cię nie zatrzyma.

Ten jednak nie odrywał oczu od lądującego pojazdu.

– Nie, na razie chyba jeszcze zostanę.

Plusnęło z cicha, co oznaczało, że maszyna przyziemiła. Rampa wysunęła się i dotknęła suchego lądu, powyżej zajaśniał otwór drzwi. Stały w nich jakieś postacie.

– Czemu oni są różnej wielkości? – spytała scenicznym szeptem dziewczyna z Australii.

– To nie tak – odparł jej rudy towarzysz głosem godnym postaci z książek Dickensa. – To różne gatunki. Popatrz na tego wysokiego z tyłu. To przecież dziewczyna, tyle że włochata jak opos. Ale tutaj to już głupieję. – Wskazał na nadchodzącą Wais.

Kaldaqowi towarzyszył T'var i kilku massudzkich żołnierzy oraz Wais. Podczas powitania Will zauważył, że kapitan wpatruje się uporczywie w kandydatów do badań.

Ci ostatni wyglądali na mocno podenerwowanych. Widać dotarło do nich wreszcie, że to żaden kawał, żaden program z cyklu „ukryta kamera”. Nikt nie uciekł a nawet, ku wielkiemu zdumieniu Willa, ta sama starsza pani, która dołączyła do grupy w ostatniej chwili, podeszła nagle do znacznie wyższego od niej Massuda i wyciągnęła pomarszczoną dłoń do powitania.

– Miło mi pana poznać, sir. Nazywam się Annalinda Mason. – Do niego mówi się „sir”, to jest on, prawda? – szepnęła na boku do Willa.

– Tak – odparł Will uświadamiając sobie, że nigdy jeszcze nie wyjaśnił obcym znaczenia tak

prostego gestu, jak ściskanie dłoni. Szybko naprawił błąd i ujrzał, jak długie palce Kaldaqa owijają się wkoło dłoni starszej pani.

Kapitan tymczasem dalej lustrował całą gromadkę.

– To najlepsze, co udało ci się znaleźć?

– Chciałeś reprezentatywnej próbki, pamiętasz? Żadnych żołnierzy i tym podobnych. Sami zwykli ludzie. Teraz masz takich dziesięcioro.

T'var nie wyglądał na przygnębionego. Oni chyba nigdy nie dają się wytrącić z równowagi, pomyślał Will.

– Mamy, co chcieliśmy. Teraz trzeba brać się do pracy.

Grupka patrzyła z zainteresowaniem na S'vana, który chociaż był o dobre pół metra niższy od niedużego człowieka, to jednak wyraźnie zdradzał cechy humanoidalne i nie onieśmielał tak bardzo.

– Ciekawe, jak bardzo różnią się barwą skóry. Przekazy telewizyjne nie sugerują aż takiej różnorodności.

– Nasze programy telewizyjne zazwyczaj zniekształcają rzeczywistość społeczną – powiedział Will. – Od dawna próbuję wam to uświadomić.

– Ejże, to dzieje się naprawdę... – mruknął Ken Woods.

– Tak jak złoto było prawdziwe. – Will oczekiwał, że ktoś zawyje nagle i rzuci się z rozwianym włosiem do ucieczki, ale najwidoczniej wszelka proza fantastyczna i filmy dość dobrze przygotowały współczesne społeczeństwo do kontaktu z obcymi. Zresztą włochaci Massudzi i pierzasta Wais nie umywali się nawet do niesamowitych stworów przedstawianych w różnych hollywoodzkich gniotach.

T'var zadarł głowę i spojrzał na parę Australijczyków. Ci z kolei pochylili się nad nim, zaintrygowani jasnymi oczami i gęstym futrem.

– Co to za misiaczek? – spytała dziewczyna.

Will skrzywił się.

– To T'var, jeden z zastępców kapitana.

Niepokój był bezpodstawny. Oficer wyglądał na rozbawionego.

– Nie, to żadna obraza – powiedział przez translator. – Trudno jest dotknąć S'vana czymś tak prostym, to część naszej sztuki przetrwania. I tak na ogół się nam zazdrości.

– Naprawdę? – spytał młodzieniec. – A to niby czego?

– Widzicie – mruknął jeden ze stojących za Kaldaqiem żołnierzy. – Pogłoski mówią prawdę. Walczą nawet na słowa.

Will usłyszał to i zaraz pospieszył z wyjaśnieniami.

– Nie, to tylko ciekawość.

– Jestem Kaldaq – powiedział kapitan, występując przed pozostałymi. – Dowodzę statkiem, który przebywa obecnie na orbicie wokół waszej planety. Jeśli się zgodzicie, wkrótce będziecie mogli sami go zobaczyć. – Potem w dużym skrócie wyjaśnił najważniejsze sprawy dotyczące Gromady, Ampliturów i wielkiej wojny. Na koniec wyłożył powody, dla których Ziemia znalazła się w sferze zainteresowań federacji. – Aby określić dokładnie stopień waszej przydatności, będziemy musieli opuścić Układ Słoneczny. Będziecie dobrze traktowani, dostaniecie wszystko, co potrzebne, a na koniec odwieziemy was do domu i zaopatrzymy hojnie w to złoto, które tak wysoko cenicie. Nie stanie się wam żadna krzywda, ujrzyście natomiast rzeczy, o których nawet nie śniliście. Nikt nie będzie zmuszał was do niczego wbrew waszej woli – dodał jeszcze nauczony doświadczeniem. – Jeśli postanowicie zrezygnować, będziecie mogli opuścić nas w dowolnej chwili.

Rybak podniósł swój tobołek i bez słowa ruszył na pokład. Za nim podążyli Australijczycy, za nimi starsza pani. Reszta poszła *en masse*, Will odetchnął głęboko, spojrzął na znajome nocne niebo, rzucił kluczyki od mikrobusa na siedzenie kierowcy i też pomaszerował ku rampie.

Lot na rafę trwał raczej krótko. Tam pojazd przycumował do wahadłowca, który wkrótce miał odlecieć na orbitę.

– Ty nie lecisz z nimi – powiedział Kaldaq, odszukawszy Willa.

– Wcale nie zamierzałem.

– Ja też nie – ciągnął Massud.

To już było dziwne.

– Co znaczy, że ty też nie?

– Wyczuwam twoje zmieszanie. Oka... ludzie, których przyprowadziłeś, zostaną zabrani na najbliższy rozwinięty świat, gdzie przejdą kompleksowe badania. Z drugiej strony my mamy robić swoje tutaj. Badania komplementarne. Ze względu na unikalne cechy twojego świata postanowiliśmy założyć tu stałą bazę. Niedużą, ale dobrze wyposażoną. Dostaniemy wahadłowiec i wszystko, co da się zgromadzić. Postanowiłem zostać i proszę cię, abyś zechciał nadal nam pomagać.

Will pokręcił z wolna głową.

– Jeśli zbudujecie tu coś większego, miejscowi na pewno zaraz to zauważą.

– Wszystko zamaskujemy równie dobrze, jak nasz wahadłowiec.

– Chcecie osiedlić się w lagunie? Trochę odludne miejsce. Zbyt samotne, by badać stąd gatunek ludzki.

– Marny dość precyzyjną aparaturę. Damy sobie radę. W razie potrzeby będziemy mogli czynić wypadki na brzeg. Widziałeś, że udało nam się nawet zakamuflować częściowo nasz pojazd atmosferyczny. Twoja współpraca byłaby dla nas nadal bardzo cenna.

Will zastanowił się. Chciał już z tym skończyć. Zaraz po odlocie całej ekipy zamierzał postawić żagiel i wrócić do Nowego Orleanu, umyć ręce od całej sprawy i znów zająć się „Arkadią”. Pozostała jeszcze w pudełku reszta złota powinna pozwolić mu na dłuższy urlop, od lat marzył o czymś takim. Dokończy wreszcie poemat muzyczny, skomponuje coś krótkiego, może kilka utworów na orkiestrę kameralną. A potem weźmie się do kantaty.

Jeśli zostanie z Kaldaqiem, nie będzie miał wiele czasu dla siebie. Z drugiej strony, trafia się okazja, by uważniej postudiować muzykę obcych.

– Zespół badawczy został już skompletowany – powiedział Kaldaq, uprzedzając następne pytanie. – Jeszcze jeden Massud, Hivistahmowie i S’vanowie jako technicy, pewnie kilku Leparów. Żadnych Czirinaldo.

– Zauważyłem, że wy mniej zajmujecie się techniką niż inni.

– Bo my walczymy i nie ma nas kto zastąpić. Przed pojawieniem się Ampliturów nasze społeczeństwo było równie spokojne, jak w przypadku S’vanów.

Will poczuł, że ktoś szarpie go za pasek przy spodniach.

– Ja też zostaję – powiedział T’var.

– I kapitan i zastępca? To kto poprowadzi statek?

– Dwóch pozostałych zastępców – wyjaśnił Kaldaq. – Z’mam i Soliwik, która jest w tym zresztą znacznie lepsza ode mnie. Poza sprawami walki bywamy dość uniwersalni.

– Jak długo ich nie będzie?

– Aż nauczą się wszystkiego, co trzeba. Nie wiemy, ile to potrwa. Moja dziewczyna wróci razem z nimi. Póki co zajmijmy się waszym światem. – Jego komunikator zapiszczał natarczywie.

– Pora już. Gdy tylko wrócisz na swoją łódź, startujemy. Za kilka dni przylecimy z powrotem i zaczniemy budowę bazy. – Kaldaq zawahał się. – Być może nie jesteś wojownikiem, Willu Dulac, ale wysoko cię cenimy. Mam nadzieję, że będziesz tu na nas czekał. Moglibyśmy znaleźć kogoś nowego, ale ty już nas znasz, wiesz o co nam chodzi. Łatwiej będzie nam kontynuować pracę z tobą, niż szukać kogoś, kto mógłby okazać się mniej inteligentny czy wyrozumiały.

Ależ ja nie akceptuję żadnego z waszych dążeń, – pomyślał Will.

– Zastanowię się nad tym – powiedział głośno.

Przed samym odlotem nauczyciel wręczył mu jeszcze pospiesznie skreślony list do przyjaciół w Anglii. Podobnie para z Connecticut. Will obiecał nadać oba przy pierwszej okazji.

Z kokpitu łodzi śledził potem coraz mniejszą sylwetkę lądownika, który uniósł się nad zwierciadłem morza i bezgłośnie uleciał ku niebu.

Kaldaq spoglądał przez iluminator wahadłowca, aż chmury skryły łódkę i lagunę. Wiedział, że w innej części statku dziesiątka ludzi tłoczy się przy oknie, też patrzy w dół i zawzięcie komentuje widok.

– Jak myślisz, kto ma rację? – spytał T’vara. – Will Dulac czy ksenopsychologia?

– Gdybym potrafił na to odpowiedzieć, można by zaniechać dalszych badań. Osobiście mam wrażenie, że te istoty nie potrafią zrozumieć samych siebie.

– Jak ktoś może nie rozumieć samego siebie? To sprzeczność.

– Ten świat pełen jest takich sprzeczności. Czy oni są cywilizowani, czy nie? Musimy wykuć nowe terminy, aby ich opisać. Dalsze badania poprowadzimy przyjmując, że anormalność jest tu normą i wszystkiego można oczekiwać.

Nie po raz pierwszy Kaldaq pozazdrościł S’vanowi bystrości umysłu. Myśli Massudów biegły zwykle prostym torem od punktu A do punktu B. Jakimś cudem S’vanowie pamiętali zawsze jeszcze o punkcie C i świetnie wiedzieli, co tam się dzieje.

Słowa T’vara nie dawały kapitanowi spokoju przez całą drogę. Pamiętał o nich wtedy, gdy patrzył na urządzających się w kabinach ludzi i potem, podczas przygotowań do wejścia statku w podprzestrzeń. Tłukły się echem przy powrocie na powierzchnię błękitnobiałej planety. W końcu musiał upomnieć sam siebie. Nie czas na jałowe rozważania i niepokoje.

Widok kotwiczącego wciąż w lagunie jachtu sprawił mu niespodziewanie wielką ulgę. Człowiek czekał na nich. Pewnie pracował nad tą swoją dziwną muzyką.

Will powitał Kaldaqą w kokpicie. Księżyc świecił jasno, w miejscu zanurzenia się wahadłowca woda burzyła się z lekka. Kapitan przypomniał sobie o ludzkim geście powitania akurat na czas, by wyciągnąć dłoń.

– Widziałem wahadłowiec – powiedział Will – ale gdzie materiały do budowy bazy?

– Na miejscu. Budowa już się zaczęła.

Will zerknął za burtę. Wydawało mu się, że pod wodą jest zbyt ciemno na cokolwiek. Może dojrzałby coś w świetle reflektora łodzi, ale lepiej nie ryzykować. Blask światła mógłby zwabić jakąś przepływającą łódź.

– Widziałeś, jak poprzednio zamaskowaliśmy lądownik – powiedział Kaldaq, manipulując przy translatorze. Miał nadzieję, że maszynka poradzi sobie z fachową terminologią. – Leparowie wznoszą już rusztowania, a potem przystąpią do tak zwanej elektrofosforyzacji. Wyodrębnione z wody związki będą osiadać na stelażach, których użyjemy następnie jako budulca. Tak samo pozyskaliśmy złoto, Z pomocą Leparów pójdzie całkiem szybko.

– Tak, Leparowie. To jeden z nich zatrzymał mnie wtedy w wodzie.

– Aha. Zaskoczyłeś nas, nie podejrzewaliśmy, że potrafisz tak pływać. Nasi biologowie wciąż się zdumiewają. Dwunogie, płucodyszne ssaki zwykle stronią od wody.

Will przytaknął, chociaż sam był tylko przeciętnym pływakiem.

– A Leparowie?

– Oni są dwudyszni. Przyznaję, że to jedyna dwudyszna rasa inteligentna, chociaż z drugiej strony są trochę jakby... ociężali. Jednak potrafią pilnie i ciężko pracować. Różnią się bardzo od pozostałych i trzymają nieco z boku. Nawet Czirinaldo są bardziej towarzyscy, chociaż ze względu na masę nie wszędzie mogą wejść. No i mają inny metabolizm. W obecnych okolicznościach to bardzo cenne, że Leparowie mogą pracować pod wodą.

– Miły zbieg okoliczności, że miałeś ich w załodze.

– Załoga została dobrana specjalnie do eksploracji nowych światów. Stawialiśmy na różnicowanie. Każdy w czym innym jest najlepszy.

– A my? W czym niby mielibyśmy przodować?

– Tego właśnie chcemy się dowiedzieć.

Will spędzał wiele czasu w wodzie i obserwował budowę bazy. Uspokoił się dopiero, gdy wahadłowiec znów upodobił się do rafy i przestał być widoczny z powietrza. Przy tej przejrzystości wody nisko lecący samolot mógłby bez trudu wykryć lądownik obcych. Z drugiej strony, skąd tu samolot? Najbliższy uczęszczany korytarz powietrzny biegł z północy na południe wzdłuż wybrzeży Jukatana i wiódł do Hondurasu. Nad Lighthouse Reef rejsowe maszyny nie pojawiały się wcale.

Kopuły i korytarze imitowały do złudzenia odrosty koralowca, nawet barwę miały identyczną. Okoliczne mięczaki i homary zaraz wprowadziły się do nowych domów.

Will zaglądał do bazy, kiedy chciał. Korzystał z tej samej śluzy, co Leparowie. Niekiedy wyciągał łódkę i przewoził nią niecierpliwych Massudów na pobliskie wysepki, gdzie mogli nabiegać się do woli, wylądować gromadzącą się w nich energię. Zdawali się płynąć nad piaskiem, gdy bez wysiłku krążyli między palmami i krzewami.

To Kaldaq wyjaśnił mu, ile radości czerpać można z biegania i skoków, z uświęconej tradycją walki z grawitacją.

Will zdumiał się wszakże, że mimo wielkiej wytrzymałości żaden Massud nie biega szczególnie szybko. Skoki też były raczej niskie. Mimo swoich trzydziestu paru lat Dulac mógłby zapewne wygrać z nimi nawet na średnim dystansie, uznał jednak, że byłby to pokaz nie tyle sprintu, co braku dobrych manier. Nie wspomniał też, jakie wyniki osiągają ziemscy sportowcy.

Pozostali obcy nie mieli w ogóle podobnych zamiłowań, co zdumiało Willa jeszcze bardziej.

Na razie urabiał techników przekonanych, że rasa ludzka daleka jest od pokojowego współistnienia. Niestety, transmisje telewizyjne zdawały się potwierdzać ich mniemanie i Will tracił wiele czasu na wyjaśnianie różnic między prawdą a fikcją. Sam fakt, że ludzie walczą między sobą, mówił, nie świadczy jeszcze o tym, że radośnie ruszą na wojnę z federacją obcych, o której ledwie słyszeli i która nie uczyniła im niczego złego.

Ludzkość pragnęła rozwijać taki właśnie typ cywilizacji, która cechowała S'vanów czy Hivistahmów.

Słuchali go z zainteresowaniem, czasem wyrażając nawet podziw dla ludzkiej sztuki, szczególnie jednak cenili wszystkie przykłady współpracy i tolerancji.

Jednak nie ze wszystkim było tak wspaniale. Sztuka, szczególnie muzyka i teatr potrafiły ich czasem także szokować. Niektóre transmisje sportowe uznawali za sceny z pola walki. Nawet dowcipy jawiły im się czasem jako mordercze.

Will cierpliwie wyjaśniał, objaśniał, służył radą. Nie chodzi o to, by śmiać się z kogoś, ale razem z innymi. Piłka nożna to nie jatka na trawie, ale gra zespołowa z cennymi elementami rywalizacji. Tak jak bieganie Massudów.

Trzeci zastępca szefowej działu naukowego, który objął obecnie kierownictwo nad komórką ksenopsychologów, posepniał wszakże coraz bardziej.

– Powiedz mi – spytał go kiedyś Kaldaq, zaprosiwszy uprzednio na prywatną rozmowę do swej małej kabiny – zgadzasz się z tym, co twierdzi Ziemianin Will, czy nie?

– Jedno i drugie.

Kaldaq nie wiedział, co ma o tym myśleć. Hivistahmowie porozumiewali się w znacznej mierze gestami, jednak brakowało im żywej mimiki. Potrafili trwać w bezruchu dość długo, by sfrustrować dowolnego Massuda.

– Wszystko, co mówi krajowiec, to prawda. Wszystko, co mówi, to kłamstwo.

– No tak, to istotnie wyjaśnia sprawę – sarknął kapitan.

Technik rozplótł smukłe palce.

– Naprawdę nie wiem, jak inaczej to wypowiedzieć. Czasem mamy wrażenie, że na tym świecie tracą ważność wszystkie prawdy i zasady obowiązujące w całej reszcie Wszechświata. Nawet

pogoda jest dziwaczna.

– Też to słyszałem. – Will wyjaśnił mu już, czego można oczekiwać po huraganach, jednak Kaldaq niezbyt rzecz pojmował. Przecież takie wichury wieją tylko w atmosferze gazowych gigantów, a nie na cywilizowanych światach.

Nagle Hivistahm zaczął krążyć po kajucie. Dziwne. Hivistahmowie nie przechadzają się podczas rozmowy. To zwyczaj Massudów.

– Pamiętasz reakcję tej asystentki, która ucierpiała podczas skanowania?

– Tak.

– To była reakcja ekstremalna, jednak im więcej czasu mija, tym bardziej jestem skłonny przyznać jej rację.

Kaldaq aż się skrzywił.

– To nie jest naukowe podejście.

– Ten świat umyka rozumowemu poznaniu. Co gorsza, ludzie też są nieprzewidywalni. To nie jest wyłącznie moja opinia. W boju każdy niepewny czynnik, czy to żołnierz czy broń, stanowić może śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Może uważasz ich za takich, ponieważ wciąż jeszcze ich nie rozumiemy?

– Może i tak – zastanowił się technik. – Ale nawet istoty zdolne do walki, jak Massudowie, reagują na określone bodźce z możliwą do opisanego niezmiennością. O ludziach tego nie da się powiedzieć. Oni sami nie znają siebie, jak powtarza nieustannie nasz główny obiekt doświadczalny. W trakcie walki to bywa groźne. Jeśli te istoty nie znają swoich własnych reakcji, jak tu włączyć je w istniejącą strukturę dowodzenia? Odnosi się to również do naszego przyjaciela, który nieustannie zmusza nas do słuchania opowieści o pokojowym usposobieniu Ziemi. Podnosi wtedy głos, zaczyna gestykulować. – Hivistahm zamrugnął nerwowo zza okularów. – Nie mogę uwierzyć, aby umknęło to twojej uwagi, kapitanie.

Kaldaq odłożył pióro świetlne, które od dłuższej chwili obracał w palcach. Wiedział, że Hivistahmowie nie wiedzą, co to ironia.

– Nie umknęło.

– Nawet jeśli przyjmiemy, że nasz krajowiec się myli i te istoty okażą się wspaniałymi wojownikami, to czy naprawdę chcemy mieć takich sojuszników? Czy ich psychiczna niestałość nie okaże się równie niebezpieczna, jak uderzenia wroga?

– Nieznajomość własnej psychy to tylko jedna z ich osobliwości. Najpierw sprawdźmy, czy przydadzą się na coś Gromadzie. Potem zajmiemy się pozostałymi problemami. Może uda się ich zintegrować na tyle, że nieprzewidywalność przestanie mieć znaczenie. Nie wiemy jeszcze, jak silne

więzi potrafią wytworzyć. – Hivistahm dał znak, że chciałby coś powiedzieć, ale Kaldaq zbył jego obiekcje machnięciem. – Wy i S’vanowie macie zdecydować, czy Ziemianie mogą być pomocni. Czirinaldo i Massudzi powinni ustalić, jak Ziemian wykorzystać. Niech każdy zajmie się swoim, a taktykę zostawcie łaskawie mojej osobie.

Technik rozmyślił się nagle i nie powiedział nic więcej. Obrócił się, zaszeleścił szerokimi sandałami i wyszedł.

Minęło kilka tygodni, zanim Trzeci ponownie zdecydował się na rozmowę z kapitanem.

– Obecnie niepokoi mnie co innego – powiedział na wstępie.

Kaldaq nie był w humorze. Nie cierpiał papierkowej roboty, a ostatnio miał jej szczególnie dużo.

– Co takiego?

– Możliwe, że stanie się tak, jak mówi Dulac, i postawieni wobec wyboru Ziemianie nie zechcą wziąć udziału w konflikcie. Ale co się wydarzy, jeśli nie będą mogli wybierać?

Kaldaq poruszył baczkami i spojrzał uważniej na technika.

– O czym mówisz?

– Możemy przyjąć do wiadomości słowa tubylca i uznać, że Ziemianie uwielbiają spokojne życie i tylko obiektywne uwarunkowania skłoniły ich do walki, którą to cechę uczą się obecnie kontrolować. Możemy odlecieć, zatrzeć wszystkie ślady naszej wizyty i niech ten świat trwa dalej w nieświadomości. Niech jego mieszkańcy rozwijają się sami, a kiedyś osiągną pewnie próg prawdziwej cywilizacji.

– Albo zniszczą sami siebie – mruknął Kaldaq. – Wiele wskazuje, że są już do tego zdolni.

– Owszem. Jeśli zaś włączymy ich do Gromady i udostępnimy im nasze zasoby wiedzy i naszą technikę, nie będą mieli okazji sprawdzić samych siebie. Po prostu nie pozwolimy im na akt samozagłady.

– Do czego zmierzasz?

– Gdy odlecimy, to albo wespną się wyżej, albo znikną. Gdy zostaniemy, to nie znikną, ale wówczas istnieje ryzyko, że nigdy nie staną się naprawdę cywilizowani. Krajowiec opowiada o pokojowej koegzystencji i dowodzi, że ta idea zdobywa coraz więcej zwolenników, zaś nasza obecność zakłóca ten proces. Czy mamy prawo utrudniać ich rozwój? Czy nasze potrzeby są ważniejsze od ich pragnień? Czy wolno nam wciągnąć ich w wojnę, jeśli tak bardzo pragną pokoju? Kim jesteśmy, aby interweniować na taką skalę w dzieje potencjalnie cywilizowanego gatunku?

– Gdy słyszę takie rzeczy, humor zaczyna mi się poprawiać.

– A z czego tu się cieszyć?

– Z tego, że decyzja w tej sprawie nie do nas należy.

Trzeci wyszedł, a Kaldaq wpatrzył się w swoje pióro świetlne. Kontemplował je bardzo długo.

Rozdział 14

Will siedział w kokpicie i rozmawiał z T'varem, który wycierał się właśnie ręcznikiem do sucha. Spośród wszystkich poznanych obcych S'vanowie najbardziej przypadli Dulacowi do gustu. Massudzi potrafili drażnić mimowolnie gryzoniową ruchliwością, zaś Hivistahmowie i O'o'yanowie (a oni tworzyli większość personelu bazy) nazbyt przypominali gady, by ogrzać atmosferę konwersacji.

S'vanowie zaś byli po pierwsze ssakami, po drugie byli z natury towarzyscy, po trzecie uwielbiali gadać. Mieli też wyrafinowane poczucie humoru. Will mógł tylko podziwiać, z jaką wprawą żonglują aluzjami, insynuacjami i rzucanymi od niechcienia, trafnymi zwykle konkluzjami.

W bazie pracowało jeszcze kilku Leparów, ale stronili od reszty i prawie nie było ich widać. Will powątpiewał, czy w razie spotkania potrafiłby w ogóle zagadnąć któregoś.

Wracając zaś do S'vanów, ktoś mierzący zaledwie metr nie budził również lęku. Will zastanawiał się czasem, jak też może naprawdę wyglądać skryte za czarną brodą oblicze T'vara. Gęsty zarost właściwy był obu płciom, podobnie jak i sierść porastająca kawowej barwy skórę. Oparty o ścianę kokpitu T'var przypominał kuchenny kosz na śmieci z czarnymi oczkami.

Will przyciszył nagranie Dwunastej Symfonii George'a Lloyd'a. W odróżnieniu od Kaldaq'a czy Hivistahmów, którym zależało jedynie na pozyskaniu jak największej ilości materiału badawczego, S'vanowie po prostu cieszyli się towarzystwem Ziemianina. Chyba.

– Coś cię gryzie? – spytał Tvan Will przytaknął.

– Przyszło mi coś do głowy. Bo widzisz, usiłuję przekonać twojego dowódcę i jego naukowców, że ludzie nie pasują do waszej wojny. Ale to nie jest tak, żebym to ja tylko miał rację a wszystkie ich wnioski były błędne. Obie strony mają rację. Jeden z Hivistahmów przez kilka godzin rozmawiał ze mną o nieprzewidywalnych reakcjach ludzi. Uważa, że to czyni nas mniej zdatnymi do boju od zdeklarowanych pacyfistów. Nie patrzyłem nigdy na sprawę w ten sposób, ale on może mieć rację. Zamierzam przedyskutować to z Kaldaqiem.

– Już o tym rozmawialiśmy – powiedział Tvar. – Ta cecha może nie mieć też żadnego wpływu. Nadal wyglądacie na bardzo obiecujących.

– Cholera! Co mam zrobić, aby ich przekonać? Staramy się odciąć od pełnej gwałtu i przemocy przeszłości. Czy Kaldaq potrafi to zrozumieć? – Spojrzał na pierwszego oficera tak ostro, że ten mimowolnie podskoczył. – A ty? Co sądzą S'vanowie?

T'var skupił spojrzenie na krótkich paluchach prawej dłoni.

– S'vanowie unikają wydawania pochopnych sądów.

– To już zauważyłem – mruknął Will i przysiadł przy kole sterowym, tak że jego oczy znalazły się na poziomie twarzy obcego. – Co z wami jest? Pozwalacie innym podejmować decyzje, a sami trzymacie się cicho z tyłu.

Broda skryła przypuszczalny uśmiech gościa.

– Jesteście spostrzegawczy, zatem też musieliście zaobserwować niejedno przez te kilka miesięcy.

– Powiem ci coś, Willu Dulac. Z tobą mogę o tym rozmawiać swobodniej niż z moimi towarzyszami. Jest niepodważalnym faktem, że współczynnik inteligencji S'vanów przerasta zdolności Massudów, Hivistahmów, Waisów czy O'o'yanów.

– No to czemu trzymacie wciąż usta zamknięte na kłódkę? Dlaczego nie przejmujecie przywództwa?

– To nie tak. Nie zdajemy się we wszystkim na żywioł. Podsuwamy sugestie, wpływamy na tryb podejmowania decyzji. Chyba domyślasz się, że nawet w tak wspaniałej federacji nie zawsze dobrze jest pchać się na piedestał, szczególnie gdy chodzi o istoty nikczemnej postury, niezbyt liczne na dodatek. Dość powiedzieć, że i tak zajmujemy wiele ważnych stanowisk, nieproporcjonalnie wiele, jeśli wziąć pod uwagę, że stanowimy tylko nikły procent populacji całej Gromady. Mamy spore wpływy i tym samym jesteśmy szczególnie wystawieni na krytykę, także tę prymitywną, emocjonalną. Tak zatem wolimy schodzić z oczu. Zasiedlamy tylko jeden świat, nasz własny i nie podejmujemy prób kolonizacji, jak Hivistahmowie czy Bir'rimorowie.

Will zmarszczył czoło.

– Czujecie się zagrożeni?

– Cóż, Gromada nie jest monolitem, chociaż w twoich oczach może na taki wyglądać. Nie wyobrażasz sobie nawet, do jakich konfliktów dochodzi czasem w jej obrębie. Urosła tak bardzo, że gdyby nie zewnętrzna groźba, zapewne dawno by się już rozpadła. I to jest najgorsze. Do walk nie dochodzi, ale są jeszcze inne sposoby, aby dokuczyć sąsiadom. Cywilizowane sposoby. Ponieważ my akurat jesteśmy raczej słabi, pozwalamy innym decydować. Czirinaldo i Massudzi walczą, my doradzamy. Czy to istotne, kogo potem chwala? Ważne, że jest za co.

Do tej pory korzystał z własnej znajomości angielskiego, teraz jednak włączył translator.

– Nikt nie ma monopolu na emocje. Na przykład zazdrość. Wiele istot ją odczuwa.

Will pokiwał w zamyśleniu głową.

– Dziękuję za zaufanie. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Spostrzegawczy i uparty na dodatek – mruknął T'var, nie wiadomo, komplement czy przyganę. – Nie mogę mówić w imieniu innych S'vanów, ale osobiście skłonny jestem zgodzić się z Trzecim. Pole walki to nie miejsce dla istot nieobliczalnych. Ale czy to wyklucza was całkowicie, tego jeszcze nie wiem.

– A czemu nie spróbujesz sam zobaczyć, jak żyjemy? – spytał nagle Will. – Zamiast pytać mnie ciągle i oglądać telewizję, może byś tak pojechał ze mną na stały ląd?

Zaiste nieobliczalny, pomyślał T'var.

– Ja?

– A czemu nie? Pokażę ci naszą codzienność. Telewizja wyolbrzymia wiele rzeczy, także skalę przemocy, inne zaś pomija. Zwykła radość życia, uwielbienie dla świata, tego tam nie znajdziesz. – Will wstał i przeciągnął się. – Od dawna myślałem o czymś takim. Kaldąq zabrać nie mogę, nawet w przebraniu wzbudzałby sensację. Hivistahmowie i O'o'yanowie zbyt kojarzą się ludziom z jaszczurami. Wais pewnie dogadałby się z każdym, ale sam wygląd skreśla go w przedbiegach. S'vana można zamaskować, chociaż dalej będzie przyciągał spojrzenia, bo...

– Bo kurdupel – dokończył T'var. – Mniejsza o to. Niscy jesteśmy tylko w porównaniu z Massudami czy Ziemianami, więc nie ma tu miejsca na obrazę.

– Można by cię ostrzec – zastanowił się Will – ale w tej części świata to chyba nie będzie konieczne. Nawet lepiej, bo włosy zakryją szczegóły anatomii. Dobrze ubrany nie wywołasz zbiegowiska, wśród ludzi bywają i tacy, którzy są niżsi od was.

– Wiesz chyba, że miejscowy klimat niezbyt nam odpowiada.

– Wiem, ale kogo innego mogę zabrać? Lepara?

– Pomijając ryzyko, to byłoby bez sensu.

– Na ląd możemy popłynąć łódką. Nocą. Nikt nie będzie przyglądał się nam zbyt uważnie. Masz szansę ujrzeć ludzkość w jej naturalnym środowisku.

– Ja akurat jestem tu od papierków, nie od badań. To zadanie dla wprawnych obserwatorów.

– To może się nie udać. Dwa karzełki tuptające za dorosłym mężczyzną to tylko ciekawostka. Pół tuzina karzełków wywoła zbiegowisko.

– Niech tam. Mimo wszystko popłynę. Wezmę jeszcze kogoś. O ile najpierw przekonam kapitana...

Will obracał w zamyśleniu kołem, podwójny ster katamaranu skrzypiał z lekka.

– O ile? Wam nikt się nie oprze...

– Żeby to była prawda. – T’var przeczesał brodę. – Wtedy ugadalibyśmy Ampliturów, nie byłoby wojny i moglibyśmy zostawić was w spokoju.

Kaldaq podszedł do pomysłu sceptycznie, ale Will uznał, że T’var ostatecznie i tak postawi na swoim.

S’vanów miało być dwóch. Aby poprawić ich wygląd przygotowano specjalne buty na grubych podszwach. Dodawały parę centymetrów wzrostu, nie utrudniając przy tym ruchów. Obszerne kapelusze miały skryć bujne czupryny, na dłonie przewidziano rękawiczki.

– Belize to zbieranina ludzi z całego świata – wyjaśnił Will. – Tutaj nikt nie pcha nosa w cudze sprawy. Nie powinniśmy mieć kłopotów.

Wyposażona w elektryczny silnik łódka zawiozła ich na brzeg. Noc była jasna, księżycowa. Will przycumował przy nabrzeżu drobnicowym, jako że w Belize City nie było przystani jachtowej. Skąd tu jachty?

Owszem, przyciągnęli nieco spojrzeń ludzi kręcących się po porcie, ale nikt ich o nic nie pytał. Pijani nie zaczepiali, naćpani schodzili z drogi. Potem napotykali już tylko splecione pary, towarzystwo młode, tańczące i roześmiane, turystów oglądających ściągnięty piracko z satelity mecz Miami w Pittsburgu. Dzieciaki buszowały w ulicznym błocie, psy warczały na dostojnie obojętne koty, muzyka wylewała się z zatłoczonych barów. Nikt nie obnosił się z bronią. Will miał nadzieję, że jego towarzysze zauważą ten drobiazg. Ostatecznie większość filmów sugerowała pełną militaryzację.

W Meksyku czy Gwatemali byłoby trudniej, ale tutaj bieda rozlewała się spokojnym bajorkiem. T’var i E’wit rzeczywiście chłonęli każdy szczegół, nagrywali i zapisywali wszystko dla późniejszego przebadania.

W końcu dotarli na deptak przy plaży. Will wskazał na dwie pary siedzące na pobliskich ławkach. Dla tych świat nie istniał, zajęci sobą popatrywali czasem na morze.

– Co oni robią? – spytał E’ewit.

– Spędzają razem czas – powiedział Will i nagle coś ukłuło go boleśnie. W jego życiu nie było żadnej kobiety, a ostatnie miesiące spędził sam lub w towarzystwie obcych. – Może to małżeństwa, może kochankowie. Lub tylko przyjaciele. Ludzie potrzebują towarzystwa.

– Zupełnie jak my – mruknął T’var. – A to co?

Will spojrzał na wąską uliczkę, która oddzielała domy od muru nad plażą.

– Muzyka. Chodźmy popatrzeć.

Tłum słuchał miejscowej kapeli grającej dla mieszkańców w pobliskim hotelu turystów. Trzech mężczyzn, z których jeden śpiewał, a dwóch uderzało w stalowe bębenki. Wychodziło im całkiem zgrabne kalipso. Słuchacze klaskali po każdym utworze, nawet strażnik w drzwiach hotelu uśmiechał

się i przytupywał do taktu nogą.

Mimo napięcia Will zasłuchał się. To też mogło się kiedyś przydać. Jemu i nie tylko. Również ludzkości.

Zostali do końca występu i dopiero gdy tłum się rozszedł, a pierwsze promienie świtu zaczęły rozpraszać bezpieczną ciemność, cała trójka wróciła do czekającej łódki i popłynęła z powrotem na atol.

Will biedził się właśnie nad rozpracowaniem nastrojowego tematu z muzyki O'o'yanów, gdy zainstalowany przez obcych na katamaranie komunikator oderwał go od pracy. Zirytowany odstawił klawiaturę i włączył urządzenie. Od razu rozpoznał głos T'vara, którego angielski pozostawiał jeszcze nieco do życzenia.

– Mam coś ciekawego. Nasz statek powrócił.

– Szalenie się cieszę. – Will wiedział, że statek się spóźnia i zaczął się już nawet niepokoić. Nie tylko on zresztą. Wprawdzie nie można przechwycić statku lecącego w podprzestrzeni, myślał, ale wypadki chodzą nawet po obcych.

Will żył ostatnio ustalonym rytmem. Obcy czuli się coraz pewniej i rzadko prosili go o pomoc. Mógł wreszcie zająć się komponowaniem. Dokończył „Arkadię” i przefaksował partyturę do Nowego Orleanu. Otrzymał potem entuzjastyczną odpowiedź, a co ważniejsze, znajomy dyrygent też zapoznał się z utworem i zapowiedział, że wykona go jesienią. Murowany sukces.

Gdy dziekan usłyszał, że Will rozpoczął już następną kompozycję, poemat tonalny „Inne spojrzenie”, zaproponował natychmiast Dulacowi przedłużenie urlopu. Wiedział, co robi. Proces twórczy wymagał swobody i czasu, a każdy uniwersytet z południa Stanów chciałby się pochwalić przynajmniej jednym publikującym kompozytorem. Może stypendium? – spytał nawet. Will odmówił uprzejmie. Mógł sobie na to pozwolić.

Dzięki gościom powodziło mu się lepiej niż dobrze. Otrzymywane z morskiej wody dwudziestoczekaratowe złoto pozwoliło wyposażyć katamaran w nowinki, o których dotąd mógł tylko marzyć. System nawigacji satelitarnej, dwa bezgłośnie silniki, pełne wyposażenie do nurkowania. Wystarczyło odpowiedzieć na kilka pytań dziennie, a mógł mieć wszystko, czego zapragnął.

I oto nachodził kres wygodnej rutyny. Statek wrócił, przywiózł świeży prowiant i zapasy, wieści z dalekich stron, dawnych znajomych, a może nawet rozwiązanie niektórych zagadek.

Will wyszedł z kabiny i przeciągnął się. Było wilgotno, gorąco i dość jasno jeszcze, żeby popływać. Założył płetwy, maskę i rurkę, sprawdził czy translator tkwi bezpiecznie w uchu i rozwinął wiodące do wody schodki. Narybek rozpierzchnął się przed nim, ale Will pomachał rybkom i te zwolniły, wracając do leniwego krążenia.

Po kilku minutach poczuł, że nie jest sam. Niespiesznie popłynął przyjrzeć się pracy Lepara.

Ten zauważył gościa od razu, ale nie spróbował się przywitać. Will pamiętał, że Leparowie lubili rozmawiać raczej we własnym gronie. Mieli ograniczone słownictwo, ale to nie wadziło, bo i tak rzadko się odzywali.

Ten przyjrzał się w końcu Willowi i podpłynął. Will zsunął maskę na czoło i wytarł oczy ze słonej wody.

– Ty jesteś Yatoloi? Poznałem kiedyś Lepara imieniem Yataloi.

– Nie, Yatoloi to kontroler. Ja jestem Otheleea.

– I co robisz, Otheleea?

– Montuję i naprawiam różne rzeczy. Głównie pod wodą. Nikt inny nie potrafi pracować i pod wodą i w powietrzu.

– My potrafimy. Może mógłbym ci pomóc?

– Słyszałem, że dobrze pływasz, ale oddychasz tylko powietrzem. – Lepar zamrugał małymi, czarnymi oczkami.

– Ale to nie znaczy, że nie mogę pracować pod wodą.

Otheleea wskazał na skromny sprzęt Willa.

– Nie masz zbiorników z powietrzem, a to urządzenie nie wystarczy.

– Nie, to tylko rurka z blokadą. Ale mogę wstrzymać oddech. Proszę. Chciałbym spróbować.

– Ale jeśli coś ci się stanie, to ja będę odpowiedzialny.

– Bzdura. Odpowiadam za siebie. Nic zamierzam zrobić sobie krzywdy.

– Massud by tego nie potrafił.

Will uśmiechnął się.

– Nie jestem Massudem.

Lepar spojrzał nań znowu. Fizjonomię miał nieodgadnioną.

– Nie, nie jesteś – powiedział w końcu i zanurkował.

Will nałożył maskę, oczyścił ją i spłynął na samo dno. Pod wodą nie mógł korzystać z translatora, ale gesty Lepara były proste do zrozumienia. Wypływając raz za razem dla nabrania oddechu, Dulac przytrzymywał narzędzia lub podpierał mocowane na swoich miejscach płyty szklistego plastiku.

Po skończonej pracy wypłynęli równocześnie na powierzchnię. Lepar spojrzał na Willa z czymś

na kształt zdumienia.

– Miałeś rację. Pomogłeś. Nikt inny nie pomógłby tak bardzo.

– Lubimy pływać, to wszystko.

– I nie sprawia ci kłopotu praca ze mną?

– Nie. To miłe. Dobre ćwiczenie. Komponowanie to raczej siedzące zajęcie.

– Pomogłeś mi dlatego że chciałeś, a nie dlatego że musiałeś.

– Właśnie... hej! – W jednej chwili Lepar pokazał płetwy i zniknął pod wodą. Will dojrzał jedynie przypominający torpedę kształt znikający za koralowym narożnikiem bazy.

Wzruszył ramionami i zawrócił do katamaranu. T'var miał rację: trudno pojąć Leparów.

Oczekując na nocne przybycie wahadłowca przebrał się w czyste rzeczy. Ostatecznie nie miał pojęcia, kto zejdzie z pokładu. W pewien sposób żałował, że baza zniknie niedługo i jej mieszkańcy odlecą. Był pewien, że testy mogły wykazać tylko jedno: Ziemianie są do niczego. A przecież zdążył zaprzyjaźnić się już z Kaldaqiem i T'varem, zjednał sobie nawet kilku burkliwych Hivistahmów.

Życie popłynie dalej. Will będzie miał swoją muzykę, obcy swoją wojnę. Zostaną na Ziemi obecni w jego symfoniach i może kiedyś, w dalekiej przyszłości, gdy znów zawitają na błękitną planetę, ich potomkowie będą zdumieni własnymi melodiami przetworzonymi na tutejsze instrumenty. Trudno o lepsze upamiętnienie krótkiej wizyty obcych na Ziemi.

Rozdział 15

Kaldaq dreptał nerwowo z kąta w kąt. Will patrzył na niego i zastanawiał się, kiedy czarny nos kapitana odleci samopas od ruchliwego pyska. Uszy chodziły jak małe, włochate semaforiki.

Obok stał wpatrzony w nocne niebo T'var, szefowa ekipy naukowej, jeszcze jeden, nie znany Willowi Hivistahm, asystent O'o'yan i wszędobylska Wais. Lepar czekał cierpliwie w łódce.

Dopiero T'var przerwał ciszę.

– Jest coś, o czym musisz wiedzieć – powiedział do Willa i obaj zapatrzili się w gwiazdy. – Chodzi o to, co kilka miesięcy temu zdarzyło się na Yasarih.

Will uświadomił sobie, że statek odleciał prawie rok temu. Jakoś nie dłużył mu się ten czas. Wiele zrobili, a Dulac pomagał jak umiał. Przykro będzie się z nimi żegnać. Doświadczył czegoś unikalnego w historii ludzkości. No, wespół z tą dziesiątką, która wraca. Pewnie nie mieli powodów do narzekań.

– Yasarih to planeta opanowana po części przez Ampliturów – ciągnął T'var. – Twoi pobratymcy wzięli tam udział w walce.

– Co? – Karaibskie niebo przestało istnieć dla Willa.

– Przeszli stosowny trening i zrobili z niego użytek.

– Jak mogliście na to pozwolić? Jak mogliście wpakować bandę cywilów, dzieciaków i starców w sam środek strzelaniny? Wiem, że chcieliście sprawdzić potencjał bojowy człowieka, ale...

– Gdy wyjaśniono im sytuację, wszyscy zgodzili się pomóc – oznajmił spokojnie T'var. – Poszli na ochotnika. Nikt ich nie zmuszał. My nie zmuszamy do niczego, nadal tego nie rozumiesz?

– Na ochotnika? Wszyscy?

– Tak.

Ludzkie reakcje bywają ciekawe, pomyślał T'var, który dobrze znał stanowisko Dulaca i całym sercem je podzielał. S'vanowie niczego tak nie pragnęli, jak wykluczenia Ziemiaków z wysiłku wojennego, ale musieli też pamiętać o groźbie Ampliturów. To było najważniejsze, wszyscy poświęcali się dla tej jednej sprawy. Czy powinno to objąć również mieszkańców tej planety? Jeszcze nie wiadomo.

Wahadłowiec nadleciał w kamuflażu i od razu zarysował się ciemnym cieniem na tle gwiazd. Osiadł łagodnie w płytkiej wodzie przy brzegu, błysnęło światło z otwieranego włazu i pasażerowie zaczęli schodzić na ląd.

Kaldaq czekał u stóp rampy. Ledwo poznawał kogoś w ciemności, ale odróżnił dwoje Massudów. Rozpoznał Jaruselkę.

Przywitali się energicznie, ale Will prawie tego nie zauważył. Podobnie nie zwrócił uwagi na radosne spotkania Hivistahmów. Przy każdej innej okazji nie traciłby ich z oczu, ale nie teraz.

Patrzył na kolumnę ludzi, którzy schodzili po rampie na biały piasek plaży. Dopiero po chwili pojął, że wszyscy oni noszą mundury, zmodyfikowaną wersję brunatnożółtych kombinezonów Massudów.

Na przedzie szło młode trio z Nowej Anglii. Było ich troje, bowiem Tamy Markowitz niosła w ramionach dziecko. Położyła je ostrożnie na plaży, jej mąż przyklęknął obok. Dopiero wtedy zauważył kompozytora.

– Dulac, prawda? William Dulac?

– Tak, jasne.

Ken Woods spojrzał na swego syna.

– To Robert. Piękny, prawda? Pierwszy człowiek urodzony poza Ziemią. – Uśmiechnął się. – Nie wiedzieliśmy, że Tamy jest w ciąży, ale potem okazało się, że to i tak nie ma znaczenia. Hivistahmowie byli zachwyceni, w Mt. Sinai General nie mielibyśmy lepszej opieki.

Tamy Markowitz znalazła muszelkę i włożyła ją w dłoń dziecka. Drobne palce zacisnęły się na skorupce.

– Tak, kochanie, jesteś w domu. To jest twój dom, to jest Ziemia.

William przez dłuższą chwilę patrzył, jak gruchają nad niemowlakiem, aż w końcu poszukał innych.

Obaj zabrani z Belize City bracia zmienili się nie do poznania. Nie tylko byli o rok starsi, ale jakby bardziej dorośli. Sylwetki im zmężniały, zniknęła cała bojaźliwość i wahanie. Ruchy mieli pewne, zdecydowane. Oderwali się zaraz od grupy i razem z kimś nieco starszym ruszyli na przechadzkę po plaży. Will poznał w tym kimś studenta z Australii i zaraz rozejrzał się za jego towarzyszką.

Stała obok czarnoskórego rybaka. Na widok Willa mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął dłoń. Ani śladu dawnej frustracji.

– Cześć, pamiętam cię. Chcę ci podziękować za to, co dla mnie zrobiłeś. – Zdumiony Will oddał uścisk. – Nie pogadaliśmy wtedy, ale to było przedtem. Przed tą podróżą i przed Leą. – Dziewczyna

uśmiechnęła się i objęła rybaka.

– Wiesz, pobraliśmy się. To wszystko – ogarnął gestem ręki sporą połąć nieba – zmieniło moje życie.

– Dokładnie. Wszyscy zaczęliśmy nowe życie – dodała dziewczyna.

Will spojrzął znacząco na plażę.

– Steven? Nie widziałam jeszcze, żeby był kiedyś bardziej szczęśliwy. Nie byliśmy zakochani ani zaręczeni, ani nic takiego. Tylko włóczyliśmy się razem, a gdy poznałam Matthiasa, to... no, Steven przestał się liczyć. Zajął się bez reszty treningiem, szkoleniem i badaniami.

– To i tak nie moja sprawa – wymamrotał Will.

– A co tutaj? – Rybak klepnął go w plecy. – Jak nasz stary świat? Obył się jakoś bez nas? – roześmiał się serdecznie. – A ty? Dobry był dla ciebie ten rok?

– Chyba tak – odparł ogromnie zdumiony Will. – Ale wy... wszyscy wydajecie się być tacy szczęśliwi.

– Ty nic nie wiesz! – Skinął na kogoś. – Eleroy, przyjdiesz tu z nim pogadać?

Z mroku wyłonił się rastafarianin. Ale bez szklistego spojrzenia, bez warkoczyków, bez drgawek. Włosy przyciął krótko i trzymał się prosto jak wyspowa palma. Spojrzął uważnie na Willa, jakby chciał ustalić, czy Will jest prawdziwy czy może sfalszowany.

– Znam cię. Zawdzięczam ci życie.

Willy'ego aż zatkało i nie zdołał wydusić z siebie żadnego z lęgnących się tuzinami pytań. Nie tego oczekiwał, zupełnie nie tego.

– Zmieniłeś się.

– Jak wszyscy, stary. – Eleroy trącił rybaka w żebra. – Całe moje życie było niczym, stary, jedno wielkie gówno. Poszedłem z tobą, bo nie kontaktowałem. A ci tam mnie naprawili, rozumiesz? Dzięki nim poczułem się kimś, miałem coś do roboty. Powiedzieli, że bardzo im pomogłem i to było to. Najpierw poprosiłem ich o marychę. Nie zrozumieli, ale sporo gadaliśmy, szczególnie z tymi dużymi jaszczurami. Pobrali mi krew i dali coś, od czego robiło się odlatowo. A potem znów gadaliśmy i dowiedziałem się tyle, że teraz dumny jestem, iż urodziłem się człowiekiem. Nie muszę już brać. Mam coś lepszego.

– Co mianowicie? – spytał Will.

Rastafarianin skrzywił się lekko i stuknął w jakieś zawieszony przy pasie urządzenie.

– Cel w życiu, stary. Walkę dla Gromady. Obronę domu, Ziemi. Nigdy nie miałem o co walczyć, a

ci Ampliturowie chcą zabrać nam człowieczeństwo i wszystko.

– W gruncie rzeczy nie mamy wyboru – wtrąciła się dziewczyna. – Musimy walczyć, albo ludzkość zniknie. Ampliturowie przylecą i już. Marna perspektywa.

– Ale przecież mamy wybór... – powiedział Will. – Możemy trzymać się na boku. Możemy...

Rastafarianin wymienił spojrzenia z przyjaciółmi.

– On nie wie. Nie rozumie. Jego TAM nie było.

– Nie było – zgodził się Matthias. – Ale będzie. – Spojrzał na okolicę i odetchnął głęboko. – Brakowało mi tego. Tego zapachu. Nie tylko morza. Wszystkiego. Ta planeta, Ziemia, to nasza ojczyzna. Przez ten rok byłem na różnych światach, ale nigdzie na pachnie tak jak tutaj. – Uśmiechnął się do przyjaciółki. – Chodź, dziewczyno. Przejdziemy się trochę. – Ręka w rękę odeszli w głąb wyspy.

Will tylko kręcił głową.

– Pranie mózgu wam zrobili, czy co?

– Nie, stary – odparł rastafarianin. – Pokazali nam tylko, jaka jest prawda. Gdy ktoś raz za razem wali cię w głowę, to w końcu zrozumiesz, że coś nie gra? Pokazali nam prawdę, nawet o nas samych. Matthias znalazł swoją prawdę. Ja swoją.

– Prędzej czy później ty też ją znajdziesz. – Spojrzał na ocean. – Gdzieś tam mieszkają moje siostry. Nie tutaj, ale w Monkey Town. Odszukam je i podzielę się z nimi tą prawdą. Massudowie mówią, żeby trochę poczekać, ale to chyba nie potrwa długo.

Will chciał jeszcze go zatrzymać, ale naraz usłyszał nowy głos i ktoś chwycił jego dłoń. To był niegdysiejszy belfer, ale nie sam. Obok stała ta starsza pani, która dołączyła do grupy w ostatniej chwili. Oboje świetnie wyglądali w mundurach, a Will aż uśmiechnął się na widok tego samego kapelusza, który też przetrwał miniony rok bez szwanku.

– Chodź z nami. Przysiadzimy sobie gdzieś na boczkach i wyjaśnimy ci to i owo.

– Młodzi są tacy niecierpliwi – zauważyła starsza pani. – No ale oni mają swoje powody. Widzisz, Williamie, bo tak masz na imię, prawda? Przez ostatni rok moje stare oczy widziały tyle nowego, że aż głowa mi pęka. Z początku traktowaliśmy to jak żart, ale potem okazało się, że to gardłowa sprawa. Podeszliśmy więc do niej poważnie. A jeszcze potem wszystko samo się jakoś ułożyło.

Starsza pani wyglądała o dziesięć lat młodziej. Nie trzęsała się, jak większość zmęczonych pracą staruszek, ale stała prosto, dumnie unosząc głowę. Nawet zmarszczki na twarzy zdawały się teraz nie świadczyć o wieku, ale o charakterze.

– Każde z nas miało swój własny powód, aby zgodzić się na twoją szczególną propozycję –

powiedział nauczyciel. – Wszyscy sądziliśmy, że dobrze znamy życie, ale nagle musieliśmy stanąć przed czymś zupełnie nowym. Zupełnie nowym.

– Tyle zaskakujących rzeczy – przytaknęła kobieta, kładąc dłoń na ramieniu Anglika.

– Widzisz, stary, gdy tak przestaje się codziennie z istotami, które nie oddychają jak ty, albo nawet oddychają czymś zupełnie innym niż ty, gdy rozmawiasz tak z nimi, to zaczynasz rozumieć, że istnieją pewne prawdy nadrzędne. Twoje własne kłopoty bledną nagle i maleją, gdy wszystko porównasz. Zaczynasz pojmować, co jest naprawdę ważne, dostrzegasz różnice między złym a dobrym. Całe życie powtarzano mi, że podróże kształcą. Ale nikt nie dodawał, że im dłuższa podróż, tym więcej zyskujesz.

– Słyszałem, że posłali was do walki. Jak to się stało?

– Po pierwsze, nikt nas do niczego nie zmuszał, młody człowieku – upomniała go starsza pani.

– Gdy już dowiedzieliśmy się, o co chodzi, naturalną kolejną rzeczą zaproponowaliśmy naszą pomoc – dodał nauczyciel.

– Wasze stroje... – wymamrotał Will.

– A tak – mężczyzna aż pojaśniał z zadowolenia. – Chcieliśmy mieć coś takiego jak Massudzi. Przypomniałem sobie jeszcze, jaki mundur nosiłem kiedyś, gdy byłem w wojsku, a ta młoda dziewczyna z antypodów okazała się projektantką odzieży i tak już poszło. Pokazała naszym gospodarzom, co mają uszyć, i uwinęli się błyskawicznie. Kiedy usłyszeli, że chcemy im pomóc, zrobili się bardzo serdeczni.

Will nie skomentował tego.

– Wiesz, nigdy nie miałem wiele. Byłem biednym nauczycielem, pocilem się w Surrey nad bachorami, które gdzieś miały moje nauki i wołały mecze czy MTV. Dlatego właśnie wyjechałem z Anglii. Przyznaję, że była jeszcze sprawa defraudacji skromnej kwoty z funduszków szkoły. Myślałem, że wyjeżdżając ocalę tę resztkę szacunku wobec samego siebie, jaka mi została. Ale wyszło tak, że zostawiłem wszystko, nawet żonę, która o wiele lepiej czuje się beze mnie. Dzięki Bogu, nie mieliśmy dzieci. Od dwunastu lat nie mam z nią kontaktu. Po prostu popłynąłem i wyrzuciło mnie tutaj. Wielu Anglikom to się zdarza. W Belize na gwałt potrzebują nauczycieli i nikt nawet nie pytał mnie o kwalifikacje. Nie, żebym tutaj uczył lepiej niż w Surrey, ostatecznie alkohol nie pomaga w pracy. Kiedy pojawiłeś się przede mną, picie stało się już ważniejsze od belferki. A tu nagle otrzymałem wspaniałą szansę na naukę. Myślałem, że to już dla mnie zamknięte. Otrzymałem nawet więcej. Sens życia. Ci Ampliturowie jawią mi się jako ucieleśnione zło. No i jeszcze odzyskałem szacunek dla samego siebie. Okazało się, że istnieje coś, w czym jestem naprawdę dobry.

– Co takiego?

– Walka, rzecz jasna. Właśnie, na przykład Lea to prawdziwa Amazonka, twarda jak jej kompan czy ci dwaj chłopcy, których znalazłeś w Belize City. Para z Connecticut też jest niezła, podobnie

chłopak z Australii, Steven. To urodzony strateg. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale obcy są w tej kwestii dziwnie nieudolni. Tylko Massudzi i jeszcze jedni, Czirinaldo, coś potrafią, ale ci drudzy są rozpaczliwie powolni. Massudzi owszem, tylko ten ich refleks... Raczej jego brak. Mimo sporego wzrostu nie są też silni. Te jaszczury, które nas badały, mówiły ciągle o strukturach neuromięśniowych czy jakoś tak, i o naszym systemie wydzielania wewnętrznego. Skomplikowane to, a translatory zawodzą, gdy przychodzi do terminów naukowych.

– Ja nic z tego nie rozumiem – oznajmiła starsza pani. – Ale wiem jedno: to dobre istoty, chociaż dziwnie wyglądają. Potrzebują naszej pomocy. Jestem szczęśliwa, że mogłam im pomóc. Chociaż trochę.

– Widzisz, stary, byłem w wojsku. Jestem dobry w planowaniu. Moje doświadczenie, i doświadczenie Annalindy, bardzo przydało się tym młodszym. Pierwszy sukces tak ich podkreślił... Steven też to rozumie. Dlatego mianowali go dowódcą.

– Przez całe życie patrzyłam, jak ludzie walczą ze sobą. Sama nie jestem w tym dobra, nie potrafię, ale mogłam opowiedzieć innym, co widziałam. Te biedne chłopaczyska z ulicy są dla mnie teraz jak wnuki. Potrzebują dobrej opieki.

– Wiesz, jak to jest – powiedział nauczyciel. – Gdy wszyscy mówią ci, jaki jesteś wspaniały, ważny, jak cenna jest twoja pomoc, zaczynasz czuć się dziwnie dobrze. Tak jak z tymi mundurami.

– Starczy na razie, Edwardzie. – Starsza pani pociągnęła Anglika w górę plaży. – Poszukajmy chłopców. Lepiej, żeby nie wdali się w jakąś awanturę.

– Racja, Anno. Ostatecznie to nie Yasarih. – Mrugnął na Willa i przekrzywił panamę. – Pomyśl o tym, co ci powiedziałem, dobra, stary?

Oniemiały Will odprowadził ich spojrzeniem.

– Jasne, że się cieszę.

Kaldaq usiadł na piasku, skrzyżował nogi, położył dłonie na kolanach i odetchnął głęboko powietrzem tego dziwnego świata. Ludzie jazgotali wkoło. Cieszą się jak dzieci, pomyślał. I tak łatwo ich zadowolić, a przecież ta garstka wydźwignęła się ponad tutejszą przeciętną ignorancji. W mundurach byli dziwnie podobni, nawet różnice w kolorze skóry nie rzucały się tak bardzo w oczy. Jaruselka usiadła obok niepomna, że potem będzie musiała wyczesywać piasek z sierści.

Nie opodal przystanąła kierująca całym programem Hivistahmka, osoba starsza i powszechnie szanowana. W nocy mogła obyć się bez ciemnych okularów.

– Cieszą się, tak jak my wszyscy. Możliwości tych istot przewyższają nasze najśmielsze oczekiwania. Sam wstępny raport wprowadził dowództwo Gromady w entuzjazm.

Kaldaq wbił spojrzenie w odległe rzędy palm.

– Zatem kończymy z izolowaniem tego świata?

– Nie. Czy to nie dziwne?

– Nie rozumiem.

– Nie byłeś na Yasarih. Nie widziałeś tego, co my. – Jaruselka poprawiła się na piasku. – Na górze borykają się teraz z nie lada problemem. Ostrożność idzie o lepsze z nadzieją.

– Prawda jest taka, że zarówno indywidualnie, jak i w grupie, te istoty nadają się do walki o wiele lepiej niż ktokolwiek inny. Nawet Massudzi.

Kaldaq nie poczuł ani zazdrości, ani zawiści. Bycie istotą inteligentną oznacza przecież umiejętność akceptowania faktów.

– Trudno mi to pojąć, kochana. Nie widziałem tego, co ty, ale spędziłem wiele czasu na tym świecie. Obserwowałem, badałem, uczyłem się. Skłonny jestem twierdzić, że wszystko, co Will Dulac mówił nam o ludziach, to prawda. Kochają i pokój, i muzykę, i na swój sposób aspirują do miana inteligentnych.

– Aspirować mogą, ale nie w tym akurat są najlepsi – powiedziała rzeczowo szefowa programu.

– Podejrzewamy, że gdyby zostawić ich samym sobie, to mogliby uporać się z tym atawizmem – zauważył Kaldaq.

– To całkiem prawdopodobne. – Szefowa programu postąpiła kilka kroków ku wodzie. Jej sandały zostawiały na piasku trójkątne ślady. – Możliwe, że zostawieni samym sobie rozwiną podobny typ cywilizacji jak O’o’yanowie, S’vanowie czy Waisowie – powiedziała postukując paznokciami, a Kaldaq spostrzegł, że nie wymieniła Massudów. Uznał, że to zwykłe przeoczenie. – Istnieje szansa, że nauczą się panować nad swoimi instynktami, nad nie skrywaną wojowniczością, i staną się rasą równie pokojową, jak, powiedzmy, Hivistahmowie. – Obróciła się z powrotem ku dwojgu Massudom, jej oczy błysnęły w blasku księżyca. – Wszelako brak takiej pewności. Równie dobrze można podejrzewać co innego: że wspomniane inklinacje nie zanikną i to niezależnie od postępu technologicznego. Ciekawe, jakie społeczeństwo wówczas otrzymamy.

Kaldaq zerwał się na równe nogi. Jaruselka też wstała.

– Nie przyłożę do tego ręki. Tej rasie trzeba pozwolić na znalezienie własnej drogi do cywilizacji. Każde inne wyjście będzie niemoralne.

– Nawet, jeśli ta „własna droga” doprowadzi ich do samozagłady?

– Głupkowata maska zakłamania nie skryje twoich prawdziwych motywów.

Zakłamanie nie mogło być takie zupełne, bowiem starsza Hivistahmka westchnęła z zakłopotaniem.

– To prawda. Nie rozważyłam sprawy do końca. Niemniej, jeśli pozwolimy tym istotom pójść własną drogą, która doprowadzi je ostatecznie do pełnego członkostwa w Gromadzie, wówczas

stracimy najpewniej cudowny oręż. Na dodatek co im przyjdzie z własnej drogi, jeśli padną łupem Ampliturów? To prawda, że skłonienie Ziemiaków do rozwinięcia cech wojowniczych, tyle, że przeciwko Ampliturom, wiele komplikuje. Nie zapominaj wszakże, kapitanie, że stawką jest przyszłość wielu ras, tu nie chodzi tylko o samych Ziemiaków. Przetrvanie Gromady zależy od wspólnego poświęcenia. Samymi Ziemiakami będzie można zająć się potem, po pokonaniu Ampliturów. Wtedy będzie dość czasu, aby przytulić ich do cywilizowanego serca i tak dalej. Najpierw musimy zadbać o to, aby tej cywilizacji nie zabrakło.

Kaldaqowi gniew zaczął z wolna przechodzić.

– To już postanowione?

Jaruselka spojrzała na niego ze współczuciem.

– My i tak nie mieliśmy tu nic do powiedzenia, ale słyszałam, że Rada długo się nad tym biedziła.

– Rada Naukowa w pełnym składzie – wtrąciła Hivistahmka. – Rada Generalna nie wie jeszcze o istnieniu tego świata.

Kaldaq machnął z rezygnacją dłonią i usiadł na piasku.

– I mówicie, że oni wzięli już udział w prawdziwej walce?

Szefowa programu podrapała się z zakłopotaniem.

– Na Yasarih. To miał być ostrożny test dla potwierdzenia wyników wcześniejszych badań. Sęk tkwił w tym, że jak by nie spojrzeć na uzyskane dane, wciąż wydawały się niewiarygodne.

Jak inaczej mieliśmy je zweryfikować? W teście wzięli udział tylko ci najmłodszy i najsilniejszy, przedtem jednak otrzymali sporo rad od swoich seniorów i od naszych żołnierzy liniowych. Siły Ampliturów na Yasarih składają się głównie z Krygolitów i T'returich, ale ci drudzy zajmują się wsparciem logistycznym, No, są jeszcze podzieleni tubylcy.

– I co się stało? – nalegał Kaldaq. Hivistahmka zawahała się.

– Oni sami nie wiedzą, jak się wtedy zmieniają. Walka jest dla nich jak narkotyk. Cały system wydziałania wewnętrznego zaczyna funkcjonować w zupełnie inny sposób. System nerwowy tak samo. Fakt, że po raz pierwszy w swojej historii stanęli naprzeciwko przedstawicieli innego gatunku, tylko bardziej zagrzewał ich do boju. Yasarih to pomniejszy teatr działań wojennych, ale na odcinku obsadzonym przez Ziemiaków przeciwnik został po prostu rozbity. Co więcej, nie dość, że sami siali spustoszenie, to jeszcze zarazili tym Massudów, których pierwotnym zadaniem była opieka nad nowicjuszami, gdyby pojawiły się jakieś kłopoty.

– Walczyli wspólnie z Massudami?

– Tak. – Jaruselka położyła mu dłoń na ramieniu. – Sama widziałam.

– Ty? – spojrzał na nią ostro. – Nie mówiłaś...

– Tylko byś się denerwował. A co miałam robić? Jestem tak samo żołnierzem jak wszyscy, poza tym znałam tego pierwszego, Willa Dulaca. Rozumiałam Ziemian lepiej niż reszta tamtejszych Massudów. Szefowa mówi prawdę, jakkolwiek dziwnie i przykro to brzmi. W walce te istoty przechodzą jakby w inny stan świadomości.

– Biją się jak maszyny – powiedziała Hivistahmka. – Nie można powiedzieć, by tracili nad sobą kontrolę, co to to nie, ale i tak walczą zupełnie inaczej niż nasi żołnierze. Niemniej taka przemiana to nie jest ich świadomy wybór, ale instynkt, coś w głębokich pokładach jaźni. Inaczej niż u nas. Przecież nawet Massudzi zmuszają się do walki. Ziemianie nie zmuszają się do niczego. Nie ma takiej potrzeby. Idą do walki, jak to oni sami mówią, „z pieśnią na ustach”. – Starsza osoba wyraźnie wciąż nie mogła tego pojąć. – Czy wiesz, że największy kłopot mieliśmy ze ściąganiem ich z pola walki? Chcieli tam zostać i bić się dalej!

– To absurd – mruknął Kaldaq. – Nikt nie pragnie walczyć, jeśli może wycofać się bez ofiar.

– Och, nie widziałeś walczących Ziemian. To bardziej zdumiewający widok niż możesz sobie wyobrazić. Dla uspokojenia tych młodszych trzeba było wzywać pomoc medyczną.

– I Gromada chce ich zaangażować? – Kaldaq cisnął muszelkę do wody. – Czy wszystko, czego tu się dowiedzieliśmy, nie ma żadnego znaczenia? Nasze badania nad Ziemianami to nic? Nasze ustalenia, że to rasa pokojowa i dążąca do cywilizacji?

– Najpierw musimy ocalić siebie, potem zajmiemy się nimi. Pamiętaj, że nikt nie zmuszał ich do walki. Wszyscy zgłosili się z dobrej woli i uczynili to z entuzjazmem.

– Bo nie wiedzieli, że mają wybór. Nie wiedzieli też o swej szczególnej dwoistości charakteru. Oni nie znają samych siebie. Szefowa programu była już zmęczona tą jałową dyskusją.

– Mamy swoje obowiązki, kapitanie. A swoją drogą, ciekawe na ile ten Dulac wpłynął na twoje poglądy.

– Wcale nie wpłynął. – Po raz pierwszy w życiu Kaldaq miał ochotę uderzyć Hivistahmkę. S’vanowie przynajmniej nie tracą w takich sytuacjach poczucia humoru, Hivistahmowie są zawsze bezwzględni. – Jestem kapitanem, dowodzę okrętem Gromady. Walczymy ze wspólnym wrogiem, jednak nie jest to wróg Ziemian. Trudno przeoczyć ten fakt.

– Dziesięcioro z nich tkwi już w tym po uszy.

– Ale to nie jest jeszcze reprezentatywna grupa.

– Właśnie. Dlatego przywieźliśmy wszystko, co potrzebne do rozbudowy tutejszej bazy.

– Rozbudowy? Ale jeśli Rada już zdecydowała...

– Tylko Rada Naukowa. Nie ty jeden masz moralne opory, kapitanie. Nie ty jeden zastanawiasz

się nad ryzykiem. Dlatego właśnie Rada chce mieć więcej informacji. Z nie znanych mi bliżej powodów wahają się ciągle, nie wiedzą jeszcze, czy zechcą poprosić Ziemiaków o pomoc. Podejrzewam, że to typowa dla Rady podejrzliwość, może asekuranctwo.

– No to co mamy robić? – Kaldaq poczuł się zagubiony. Dotąd musiał wciąż rewidować swoje mniemanie o tym świecie, ale ostatecznie doszedł do własnych wniosków, które teraz wyższa instancja zdaje się podważać. Niemniej wahania Rady mogą sugerować podobnie izolacjonistyczne skłonności. Czego oni właściwie chcą od tego świata? I od niego osobiście?

– Wiem, że to trudne, Kochany – odezwała się Jaruselka. – Musimy zaufać mądrości tych, którzy zęby zjedli na podejmowaniu decyzji.

– Ale oni nie widzieli tych istot, tak jak ja, w ich naturalnym środowisku.

– A kto wie, co jest ich „naturalnym środowiskiem”? – spytała Hivistahmka jakby pewniejszym głosem. – Ten ich dziwaczny świat nie ma w sobie nic znajomego. Może co innego jest dla nich najlepsze?

– Ale jakie mamy prawo określać takie rzeczy?

– To pytanie dla filozofów – mruknęła całkiem już spokojna szefowa programu. – My zajmijmy się militariami.

Naczelna Rada Wojskowa składała się głównie z Massudów i S’vanów.

– A co myślą o tym nasi bezpośredni przełożeni?

Jaruselka nie odpowiedziała od razu. Najpierw poruszyła baczkami.

– Pojmują tam moralną dwuznaczność sytuacji, ale uważają, że w najlepiej pojmowanym interesie Gromady należy włączyć Ziemiaków do walki, aby zdjęli chociaż część ciężaru z ramion Massudów i Czirinaldo.

– Czirinaldo nie mają ramion – warknął Kaldaq. – Niezależnie od prywatnych uprzedzeń, muszę wykonywać rozkazy Rady.

– Masz wiele do powiedzenia w kwestiach szczegółowych – pocieszyła go Hivistahmka.

– Nie zgodzę się jednak na nic sprzecznego z moimi przekonaniem.

– Tego akurat nikt po tobie nie oczekuje.

– No to czego chce Rada? Jak mamy uczynić z tych istot sojuszników, nie prosząc ich otwarcie o pomoc?

– To nie jest niemożliwe. – Hivistahmka skinęła na Jaruselkę.

– Ta dziesiątka też często wykazywała zaobserwowaną wcześniej nieobliczalność – powiedziała dziewczyna. – Ich wola walki zdawała się poniekąd chwiejna. Gdyby większa formacja Ziemiaków na pierwszej linii stwierdziła nagle, że ma dość wojaczki, skutki byłyby straszne. Dlatego właśnie potrzebne są dalsze badania. – Pogłaskała Kaldaqę po pysku, aby go uspokoić. Warknął na nią, ale bez złości. – Nie planuje się ogłoszenia oficjalnego apelu do mieszkańców planety. Zresztą nie byłoby to możliwe, oni nie mają jednego, centralnego rządu ani globalnej stolicy. Ich społeczność jest rozdrobniona, dlatego najlepiej będzie wykorzystać więzi nieformalne, rekrutować ich bez współpracy z jakimikolwiek centrami władzy. Nigdy jeszcze nie próbowano tej metody, ale wobec tutejszej decentralizacji instytucji rzecz powinna się udać.

– Zatem mamy kontynuować badania i jednocześnie rekrutować ich pojedynczo, każdego z osobna? Na jaką motywację do walki możemy wtedy liczyć?

– Niektórzy zdają się cenić walkę samą w sobie, co może potwierdzać ich cywilizacyjną niedojrzałość. Inni lubią towarzyszące jej napięcie.

– To nienormalne.

– Ale użyteczne. Cokolwiek myślisz, są i tacy, którzy chcą walczyć za całkiem skromne wynagrodzenie.

Tego było już za wiele. Ale Jaruselka potwierdzała każde słowo Hivistahmki.

– Chcecie powiedzieć, że ktoś gotów jest ryzykować życie i mieć sobie w głowie dla czegoś tak nieistotnego, jak...

– Wiem, że to niewiarygodne, ale pamiętaj, iż w naszym rozumieniu oni nie są cywilizowani. Jeśli obieca się im dość złota, zgodzą się prawie na wszystko. Nie wiemy jeszcze, na ile powszechne jest to podejście, do tego potrzeba dalszych badań. Z naszych obserwacji wynika, że chociaż zdarza się tak często, nie jest regułą. Jak sam powiedziałeś, to za mała próba.

Kaldaqowi nagle zrobiło się duszno.

– Jeśli tak, to czy możemy być ich pewni?

– Nie możemy – przyznała trzeźwo Hivistahmka i podrapała się za uchem. – Pozostaje nam zrobić z nich jak najlepszy użytek i nie ustawać w badaniu reakcji. Posłanie ich do boju wiąże się z pewnym ryzykiem, które musimy jednak podjąć.

– Wciąż nie jestem przekonany, że oni są właśnie tacy.

– Uwierz – powiedziała Jaruselka. – Dowództwo uwierzyło. Masy rzeczy jeszcze nie wiemy, ale mimo to mamy prowadzić rekrutację. Nie znaleźliśmy dotychczas takiego świata, takich istot. – Kaldaq nie odezwał się, więc podjęła wątek. – Wedle meldunku trzech z nich, dwóch ciemnoskórych i jeden jaśniejszy, wzięło pewnego dnia broń ręczną i nie czekając na rozkazy zrobiło wypad na teren kontrolowany przez Krygolitów. Wszystko wbrew zdrowemu rozsądkowi. Niemniej, choć bez osłony, przeszli przez linie czujników, po czym zaatakowali i zlikwidowali całą kompanię. Krygolici

myśleli, że okopali się bezpiecznie, i zaskoczeni nie stawiali prawie wcale oporu. I owszem, podług cywilizowanych zasad prowadzenia wojny nikt by ich nie ugryzł. Poza Ziemią. Ale nie to było najdziwniejsze. Komentarz do meldunku podawał, że całej trójce mocno się ta awantura spodobała.

– Te istoty wykazują zdumiewająco małą troskę o własne bezpieczeństwo – powiedziała Hivistahmka. – Żaden inny gatunek tak nie postępuje.

– Ale chyba cenią sobie życie? – spytał zagubiony Kaldaq.

– Owszem, ale w zapale walki przestają o tym myśleć. I dlatego walczą wspaniale. Zupełnie jakby tracili nagle zdolność logicznego myślenia i kierowali się jedynie wolą odniesienia zwycięstwa. Wielka szkoda, że nie mieli przyczepionych czujników, które pozwoliłyby opisać zmiany neurochemiczne zachodzące w ich ciałach pod ogniem. W przyszłości trzeba będzie to naprawić.

– Odwaga to cenna cecha – mruknął kapitan.

– To więcej niż odwaga – wtrąciła Jaruselka. – Chyba bardziej kontrolowane szaleństwo, „szaleństwo z metodą”, jak sami mówią. Ampliturowie sztucznie wygaszają u swych poddanych instynkt samozachowawczy. Te istoty robią to odruchowo, taka dziwna chemia ciała.

– Którą trzeba poznać bliżej – powiedziała szefowa programu. – Na razie jednak muszę wiedzieć co innego. Czy mimo osobistych uprzedzeń czujesz się na siłach wykonać przekazane ci polecenia? – Było to typowe dla Hivistahmów postawienie sprawy: mniejsza o taktykę, byle do przodu.

– Tak. Niemniej nasz przyjaciel, Will Dulac, nie zgodzi się z wnioskami grupy badawczej. Będzie starał się udowodnić coś wręcz przeciwnego.

– I bardzo dobrze. Jego uwagi są równie pomocne jak wszystko inne. Potrzebujemy współpracy znającego nas już dobrze krajowca. Proszę go nie zniechęcać, kapitanie.

– Jestem dowódcą statku.

– Rada pragnie, abyś dalej kierował tutejszą placówką.

– Co też uczynię, chociaż formalnie składam protest. – Był zły i aż odsunął się od Jaruselki, gdy ta spróbowała go udobruchać. Chciał, by Hivistahmka zauważyła jego frustrację. Ta spojrzała na niego uważnie. – Dostrzegłeś zapewne, że w niektórych dziedzinach Ziemiianie poczynili zdumiewające postępy technologiczne?

– Owszem. Doszli do perfekcji w konstruowaniu broni. Nie ma powodów do zmartwienia, tutaj jesteśmy bezpieczni. Bardziej już niepokoję się o mój statek. – Przywieźliśmy zmodyfikowane moduły maskowania. Do zastosowania i tutaj, i na orbicie. – Zatem od tej strony wszystko w porządku – mruknął bez entuzjazmu kapitan. Decyzje zapadły bez jego udziału, zapadły poza nim. Wiedział, że wzywianie go na konsultacje zabrałoby zbyt wiele czasu i że Rada nie chciała czekać, ale mimo to czuł się mocno dotknięty. Jednak musiał robić swoje. Poza tym, jeśli chociaż połowa z

tego, co dzisiaj usłyszał, była prawdą, to Rada nie mogła postąpić inaczej.

Will Dulac zareagował zgodnie z oczekiwaniami. Słuchając jego gniewnej odpowiedzi Kaldaq notował w myślach coraz to nowe agresywne nuty i gesty Ziemiańina. Siedzieli w jednym z nowych pomieszczeń bazy, która rozrastała się we wszystkich kierunkach, obejmując coraz większą połąć dna laguny i pobliskie wysepki. Dodano kilka nowych poziomów, zwiększono ilość laboratoriów, ciągów komunikacyjnych, sal do ćwiczeń. Ponad całym kompleksem po dawnemu pływały ryby.

Prace ustawały tylko wtedy, gdy w pobliżu atolu pojawiał się jakiś przypadkowy jacht czy łódź rybacka. Niektóre wpływały do laguny, ale bez specjalnej aparatury i tak nie mogłyby niczego wykryć. Ledwo znikwały, budowa znów ruszała. Nocą wahadłowce dowoziły z wielkiego statku wyposażenie i nowy personel.

Ciężar rozmowy przejął na siebie T'var. Tego talentu można mu było pozazdrościć. – To są fakty – powiedział S'van. – Możesz je tylko zaakceptować.

– Nie mogę i nie chcę. Nie wiem, co się z nimi porobiło. Może to odległość od Ziemi, odosobnienie między obcymi. Może uznali, że i tak nie mają wyboru i chcieli jakoś zadowolić gospodarzy.

Z'mam, który przyleciał statkiem z całą grupą, też był na Vasarih.

– Nie było przymusu. Gdy wyjaśniono im wszystko, ujrzeli wszechświat jakim jest naprawdę i bardzo chcieli pomóc.

– Zatem wybrałem niewłaściwych. Szukałem takich, którzy nie mieli wiele do stracenia i dawali się wypadkom nieść przez całe życie. Zmieniliście ich chyba, chociaż nie wiem jak. Tak czy inaczej, musieli nie być przeciętnymi ludźmi. Pomyliłem się. Jeśli przyjrzyście się bliżej tym lepiej sytuowanym, szczęśliwszym, osobom z zamiłowaniem i ułożonym życiem, natraficie na inne reakcje. Oni nie zechcą pójść za obcymi, o których istnieniu jeszcze wczoraj nie wiedzieli. Ich to wszystko nie poruszy.

– Możesz mieć rację – odparł T'var – i dlatego właśnie, przede wszystkim dlatego rozbudowujemy nasze centrum.

– A ja myślałem, że robicie miejsce dla nowych rekrutów – warknął Will i trącił ozdobny stojak z bańkami, które zabrzęczały melodyjnie.

– Mamy nadzieję na pozyskanie nowych kandydatów, ale nie przerwiemy badań. Wręcz przeciwnie. Może okazać się, że jednak jest tak jak mówisz, wtedy zniszczymy wszystkie urządzenia i odlecimy cichcem. Będziecie mieli upragnioną izolację. – Obaj S'vanowie wymienili znaczące spojrzenia. – Twoja pomoc może tylko przyspieszyć badania.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z rekrutacją.

– O to cię nie prosimy – powiedział rozbawiony Z'mam.

– Chyba nie popłyniecie sami na brzeg? Może jeszcze otworzycie punkt werbunkowy?

– W żadnym przypadku. Tym zajmie się kilkoro z wyszkolonej już dziesiątki. Są bardzo chętni.

Will pokręcił głową.

– Nie potrafią. Brak im doświadczenia.

– Chyba ich nie doceniasz. Ten starszy mężczyzna z osobliwym nakryciem głowy, różniąca się kolorem skóry para i trzech bohaterów z Vasarih to wybitnie inteligentne jednostki.

– Może. – Will zaczynał rozumieć, że aby działać cokolwiek musi dotrzeć do przedstawicieli wyższych władz Gromady. Tutaj nic nie wskóra. Ale ucieczka też nic nie da.

– Dobra. Będę wam dalej pomagał w badaniach. Ale tylko po to, by udowodnić wam ich bezsens. Na pewno znajdziecie dość chętnych, ale pamiętajcie, że są jeszcze wyjątki. Niektórych uda wam się pozyskać za bezcen, zgoła za nic, ale to nie oznacza jeszcze, byście mogli w ten sam sposób przyciągnąć cały rodzaj ludzki i przekonać go do waszej sprawy.

Obecni wyrazili wdzięczność i zostawili Willa, by dalej mógł sobie trącać stojak z bańkami. Czynił to namiętnie, jak zwykle w głębokim zamyśleniu.

Potem wziął się znowu do komponowania. Chciał znaleźć jakieś ukojenie po tych wstrząsających wiadomościach. Teraz już nie miał wyboru, musiał ciągnąć dalej ten wózek. Współpraca stworzy więcej okazji do siania ideologicznej dywersji, myślał. Odmowa oznaczałaby wykluczenie ze sprawy. Co innego mu zostało? Zawiadomić władze? Czy to na pewno najlepszy sposób przekonywania o pokojowych zamiłowaniach ludzkości?

Niemniej zadanie jawiło mu się jako wykonalne. Ostatecznie miał wyższe wykształcenie, miał też pewne doświadczenia. A kto będzie prowadził rekrutację? Prosty rybak, pijak i dzieci ulicy. Reszta grupy nie przedstawia się o wiele lepiej, stwierdził Will. Czyje wpływy zwyciężą, ich czy moje?

Poza tym to Belize, Ameryka Środkowa. Mało tu wybitnych indywidualności.

Owszem, obcy znajdą ludzi gotowych walczyć, gotowych zrobić wszystko za złoto. Ale w ten sposób kupią tylko ludzi prymitywnych, pełnych słomianego zapachu. Rekruci zmęczą się szybko, znudzi ich podróż, przestraszy perspektywa walki. Rozsądniejsi spośród nich otrzeźwieją i stracą serce do imprezy, a pewnie nawet zażądają w imieniu całej grupy odstawienia do domu. Ludzie z natury pragną pokoju. Nie może być inaczej i Gromada rychło się o tym przekona.

Ustaliwszy to, Will poczuł się o wiele lepiej.

Rozdział 16

Rekruci napływali z niepokojącą regularnością, biedni zbieracze trzciny z Gwatemali, zabijaki z pól naftowych Jukatana, zubożali rolnicy z Hondurasu i Salwadoru. Czasem trafiali się też turyści (głównie parami) lub błądzący po świecie Europejczycy.

Mniejsza z tym, rozmyślał Will Dulac. Poczekajcie, aż zaczną zgłaszać rezygnacje, zaczną żądać odstawienia ze złotem do domu, aż pojawią się pierwsi odmawiający walki. Potem zniknie wszelka dyscyplina. A jeszcze potem obcy zmęczą się Ziemianami i odlecą.

Że biedni dawali się namówić, to akurat Willa nie dziwiło, zdumiewał się obecnością licznych przedstawicieli klasy średniej, w tym jednostek całkiem bogatych. Byli to ludzie, którzy przybyli do Ameryki Środkowej by połowić ryby, powylegiwać się na białym piasku Ambergris Cay i którym złoto nie było pilnie potrzebne. A jednak słuchali pogłosek rozsiewanych w barach i na plażach i ciągnęli na atol. Widocznie to pustka w życiu tak działa, myślał Will.

Nie wszyscy chcieli współpracować. Zdarzali się i tacy, którzy poznawszy obcych i ich technologię nadal uważali rekrutację za jakiś gigantyczny żart, może na użytek filmu, może dla telewizji. Gdy ostatecznie docierało do nich, że to dzieje się naprawdę, wpadali w panikę i zamierzali uciekać.

Wobec tych ostatnich stosowano chemioterapię powodującą selektywną amnezję. Potraktowani tak delikwenci wracali tam skąd przyszedli, nieco skołowani, ale poza tym zdrowi, i nie wiedzieli, co im się właściwie zdarzyło. Pamiętali jedynie kolorowe kształty i czystą wodę tropikalnej laguny. Spytani mówili, że byli na wakacjach, tylko za cholerę nie pamiętają, gdzie właściwie. Z czasem przestawali się tym martwić i wracali do normalnej codzienności.

Rekrutacja biegła swoim torem, badania swoim, i Trzeci przeżywał skutkiem tego nieustanne rozterki. Na szczęście był ostrożny i cierpliwy z usposobienia, dzięki czemu w ogóle mógł tutaj pracować. Hivistahmowie z reguły zresztą nie przejawiali zbytnej dociekliwości. To było dobre dla S'vanów czy Massudów, którzy uwielbiali roztrząsać każdy drobiazg w wielogodzinnych dyskusjach. Ale to nie oni a Hivistahmowie skolonizowali trzydzieści pięć światów.

Trzeci zabierał głos jedynie podczas sesji medytacyjnych. Siadał wtedy w kręgu swych współplemieńców i wraz z nimi kontemplował własne wnętrze. Zamknięte oczy nie przeszkadzały mu jednak mówić.

– Niepotrzebnie się niepokoisz – stwierdził jeden z jego kolegów, – Przecież przeszkolenie drugiej grupy Ziemian postępuje równie sprawnie jak poprzednio.

Trzeci nie odpowiedział. Czytał te same raporty, co wszyscy.

– Te istoty przyczyniły się już do osiągnięcia kilku istotnych zwycięstw – rzucił ktoś inny. – Nie tylko na Vasarih, ale także na Sz’harun. Robią wszystko, o co się ich poprosi, a nawet więcej. Powstrzymać ich od walki to najtrudniejsze zadanie, jakie stanęło dotąd przed massudzkimi dowódcami.

– Tak, to zdumiewające – zaznaczył czyjś głos. – Im więcej ofiar ponoszą, tym zacieklej walczą. To wbrew logice.

– A ty nadal stwarzasz problemy, które inni już dawno uznali za rozwiązane lub nieistotne – powiedziała siedząca po drugiej stronie kręgu seniorka. Pilnie obserwowała przy tym pojawiające się na ścianie obrazy kół. – Ile razy trzeba ci przypominać, że nasze prywatne niepokoje nie znaczą nic wobec imperatywu pokonania Ampliturów?

– Obawiam się jedynie, że nazbyt zawierzamy istotom, których nie rozumiemy.

– Ważne, że potrafimy je wykorzystać.

– Owszem – wyszeptał jakiś technik. – Z czasem przyjdzie i zrozumienie.

– Najważniejsze, że każdy następny Ziemianin oznacza, iż nie trzeba będzie angażować do walki tylu Hivistahmów, O’o’yanów, Leparów czy Yula. Którego dnia może się okazać, że Ziemianie zastąpią nawet naszych serdecznych przyjaciół Massudów, którzy od wieków dźwigają największe brzemie.

– Nie twierdzę, że Ziemianie to istoty normalne, także dostrzegam mnóstwo paradoksów. Przede wszystkim jednak są użyteczni.

Zapadła cisza. Hivistahmowie dumali nad sobą i Wszechświatem.

– Rasa, która stroi się w piórka cywilizacji, ale cywilizowana nie jest, może okazać się groźna dla Gromady.

Właśnie, pomyślał Trzeci. Też do tego doszedłem, chociaż nie jestem specjalistą.

– Raz jeszcze muszę ci przypomnieć, ile setek lat trwa już wojna z Ampliturami – odpalił technik. – Gdy już się z nimi uporamy, będzie czas na wszystko inne. Chyba że według ciebie te istoty są dla nas już dzisiaj zagrożeniem większym niż Ampliturowie?

I zawiesił głos, aby chwila ciszy uwydatniła zawarty w tym pytaniu sarkazm.

– Prawie ich nie znamy. – Trzeci był trochę zły, ale Hivistahmowie nie zwykli pokazywać po sobie emocji. – Ich oddziały szybko zintegrowały się z formacjami Gromady. Niektórzy otrzymali już od Massudów stanowiska dowódcze. Słyszałem, że dogadują się nawet z Czirinaldo.

– A to miłe – powiedział technik. – Jeśli oni się z nimi dogadują, to my już nie musimy.

– Inni jeszcze walczą tylko dla materialnej nagrody. To nie jest cywilizowane podejście.

– Nie jest również istotne – stwierdziła seniorka. – To naprawdę nieważne, co pcha ludzi do walki. Ważne, że walczą.

– Nie są gotowi do członkostwa w Gromadzie.

– To nie podlega dyskusji – mruknęła Hivistahmka, pozwalając wyobraźni odpłynąć swobodnie jak najdalej. To zawsze ją odprężało. – Wcale nie pragnę ujrzeć ich odwiedzających mój świat. Jak chyba każdy. Obecna sytuacja jest wyjątkowo dogodna, pozwala nam angażować te istoty bez podejmowania kwestii ich członkostwa. Unikamy interakcji na większą skalę.

Trzeci omal nie spojrzał na rozmówczynię. Byłaby to zbrodnia popełniona na tradycji.

– Zatem zgadzasz się ze mną. Przynajmniej do pewnego stopnia.

– Ani trochę. Działamy tak, jak dyktują nam lokalne warunki. Nie jesteśmy tu z wyboru, ale z konieczności.

– A jeśli zaczną przybywać ich tu coraz więcej, to co się stanie, gdy pewnego dnia odkryją, że chociaż Gromada przyjmuje zawsze wszystkich z otwartymi ramionami, im akurat odmawia się członkostwa?

– Zakładasz, że będą chcieli przystąpić do Gromady. Są tak pełni sprzeczności, że i taką możliwość trudno wykluczyć, ale wydaje mi się, że wystarczy im sam udział w konflikcie i dalej się nie posuną. Jeśli tak się stanie, to Rada zapewne będzie usiłowała ich przekonywać, ale tylko *pro forma* i niezbyt wytrwale.

– Ale to oznacza proste nadużycie – warknął Trzeci. – Rozmyślne wykorzystanie prymitywnej rasy.

– Zdecydujcie się. Albo chcecie ich pomocy, albo się ich boicie. Jedno albo drugie! A ty, Trzeci, najpierw dojdź do ładu sam ze sobą. Sugerowałabym mniej gadania, a więcej medytacji.

Wstała, przeciągnęła się, i w ten sposób sesja dobiegła końca.

W całej bazie była jednak osoba, która w pełni podzielała obawy Trzeciego, chociaż czyniła to z innych powodów. Następnego dnia spotkali się obaj w korytarzu.

– To już postanowione – powiedział Trzeci i na wszelki wypadek sprawdził swój translator. – Nie otrzymacie propozycji wstąpienia do Gromady.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy to znaczy, że nie dojdzie do rozszerzenia działalności poza bazę? – spytał Will Dulac i też zerknął na translator.

– Dokładnie tak.

– Zatem jeśli zostaniemy za burtą waszej cywilizacji, Ampliturowie nie powinni trafić na nasz ślad.

Trzeci potarł kościsty łuk brwiowy.

– Położenie waszego świata pozostanie tajemnicą, tak czynimy z każdą nową planetą. Jednak takie rzeczy trudno zataić na dłużej. Prędzej czy później może się zdarzyć, że któryś z twoich współziomków wpadnie w łapy Ampliturów. Wtedy dowiedzą się wszystkiego.

– Ale oni podobno nie potrafią czytać w myślach?

– Nie potrafią, ale mogą skutecznie namówić do złożenia zeznań. Mogą zastraszyć, wywołując paraliż czy obłęd. Oczywiście serce im będzie pękało z żalu, że zmuszasz ich do takiego okrucieństwa. Kilka eksperymentów i więźniowie zwykle godzą się na pełną współpracę.

Skręcili w odnogę korytarza. Para mijanych O'o'yanów tylko zerknęła na Ziemianina.

– W tym przypadku los wam sprzyja. Myślę o waszej ignorancji. Spośród wszystkich, jacy dotąd tu trafili, tylko kilku posiadało minimalną wiedzę z zakresu astronomii, o mechanice ciał niebieskich i nawigacji nie wspominając. O tym, jak bardzo różnicie się od pozostałych ras – członków Gromady nie mieli nawet pojęcia. Żaden z nich nie potrafiłby pokazać Ampliturom, gdzie jest Ziemia.

– A jak badania?

– Biegną swoim torem.

– Nie o tym mówię. Chodzi mi o twoje własne dociekania. Wiem, że opowiadasz każdemu, kto tylko chce słuchać, że jesteśmy potencjalnym czynnikiem destabilizującym i nie można nam ufać.

Zdumiony Hivistahm aż zakłapał kilka razy zębami.

– To nie miało dotrzeć do twoich uszu.

Will uśmiechnął się.

– Cieszę się tu sporą swobodą i niemal wszyscy chętnie ze mną rozmawiają. To pomaga im w badaniach. A ja słucham, co mówią inni. – Ostentacyjnie sprawdził zamocowanie słuchaweczki translatora.

– Czujesz się urażony?

– Cóż, ostatecznie jesteśmy po tej samej stronie. Ty masz nas za niebezpiecznych, ja twierdzę, że zmierzamy do trwałego pokoju. Ty domagasz się odlotu, ja chcę, byście odlecieli. Możemy sobie pomóc.

– Rozumiem – uspokoił się Trzeci. – Jaki przewidujesz rozwój wypadków?

– Nie znacie naszej historii, naszej psychologii, a wasi spece od militariów nie widzą dalej własnego nosa. Myślą tylko o tej pomocy, jaką może być dzisiaj garstka Ziemi. Przyjmują wszystkich: biednych, znudzonych życiem, nawiedzonych. Dalej powinno pójść już normalnie. Rekruci oswoją się z nowymi rolami, aż w końcu przestanie ich to bawić. Zapragną wrócić do domów. Co nas obchodzi jakiś przedpotopowy konflikt, powiedzą. Gdzieś mamy wojnę. Wasi dowódcy, jak Kaldaq i Soliwik, nie potrafią radzić sobie z niesubordynacją, nigdy jeszcze się z czymś takim nie spotkali. Wtedy właśnie uznają, najpierw oni a potem ich przełożeni, że nie warto współpracować z Ziemią. Zostawcie nas w spokoju.

– A co z wracającymi?

– Kto im uwierzy? Będą próbowali sprzedać swoją historyjkę, ale takich cudaków zawsze jest pełno. Niczego nie dowiodą. Minie kilka lat i życie popłynie po staremu. – Urwał nagle. – Powiedz mi coś, Trzeci. Jestem człowiekiem. Kompozytorem, artystą. Spędziłem wiele czasu między Hivistahmami. Chcę, abyście odeszli, wy chcecie tego samego. Ale ty chyba się mnie nie boisz?

Trzeci dotknął delikatnie miękkiej, ludzkiej dłoni.

– Ani trochę – skłamał.

Rozdział 17

Ostatecznie Will popłynął z powrotem do Nowego Orleanu. Po długim czasie spędzonym w rozlazłym Belize wielkie, gwarne i zagonione miasto podziałało nań jak zimny prysznic. Odwiedził przyjaciół i znajomych, przyjął wyrazy uznania po premierowym wykonaniu „Arkadii” (na którym to koncercie był obecny), a na koniec zajrzał do pewnego słynącego z dyskrecji kupca handlującego metalami szlachetnymi, po czym zapłacił całą górę zaległych rachunków. Potem przyszła pora na kupno nowych kaset, obejrzenie nowych filmów, przeczytanie nowych książek. Dyrektora filharmonii upewnił że owszem, jak najbardziej, następne wielkie dzieło jest już na warsztacie, jednak poza tym nie umawiał się z nikim w żadnej sprawie. Cieszył się nagłym zainteresowaniem swoją osobą, ale wszystkim dociekliwym (w tym i kobietom) odpowiadał, że chwilowo nie może być do ich dyspozycji.

Kilka miesięcy później dokończył sprawy bieżące, zaprowiantował ponownie katamaran i skierował się deltą rzeki na południe. Tym razem z pomocą autopilota.

Gdy wpływał ostrożnie na wody Lighthouse Reef, nic nie wskazywało na pieniaące się pod powierzchnią wody życie. A przecież oprócz homarów i ryb mieszkały tutaj setki obcych i ludzi.

Szybko zwrócił na siebie uwagę wysłanego dla sprawdzenia nowej jednostki Lepara i kilkanaście chwil później kroczył już znajomymi korytarzami bazy. Kaldaq ucieszył się szczerze na jego widok, przywitanie z pozostałymi było jakby mniej gorące. Tylko Trzeci wyłamał się z szeregu i okazał zgoła nie hivistahmskie poruszenie.

Wyjaśnił, że w zasadzie nic się nie zmieniło. Will posmutniał, ale przecież tego właśnie się spodziewał. Jeszcze za wcześnie, pomyślał, daj im z rok. Potem się zacznie.

Ciekaw był wszakże, jak postępuje integracja, nieważne, że i tak skazana jego zdaniem na fiasko. Podchodził do sprawy trochę tak, jak patrzy się na boksera: w zasadzie z odrazą, ale jednak szramy przyciągają wzrok. Osobiście nie cierpiał widoku, jak dwóch dorosłych mężczyzn, zazwyczaj biednych i czarnoskórych, łamie sobie nosy i tłucze nawzajem na krwawe befsztyki, ale przecież wiedział, że masa ludzi oczu od tego nie może oderwać. Znaczy, coś w tym jest. On też chętnie by ujrzał klęskę obcych.

Ziemiańskie trafili już na kilka światów, ale najbardziej zaangażowali się na Vasarih. Will dowiedział się, że nie jest to szczególnie istotny odcinek, co dało mu do myślenia. Widać mimo całej retoryki Gromada nie była jeszcze zbyt pewna nowych żołnierzy.

Kaldaq był tak samo zagubiony, jak jego przełożeni. Wprawdzie wstępne testy wskazywały na

wysoką bojowość ziemskich żołnierzy, ale Will Dulac nie ustawał w propagowaniu swego punktu widzenia. Potrafił zbijać nawet argumenty S'vanów, przy czym często odwoływał się do ziemskiej sztuki. Ta rzeczywiście bywała znakomita, chociaż przemoc pojawiała się w niej aż za często. Z drugiej wszakże strony, czy Massudzi nie czynili tak samo? – spytał kiedyś Will, zapoznawszy się z kilkoma przykładami obcej literatury. Kaldaq musiał przyznać mu rację.

Do Dulaca nie docierało jednak, że Massudzi nie czerpali z walki żadnej przyjemności. Był to ciężki obowiązek, który spadł na nich jak grom z jasnego nieba. Podobnie było z uwielbiającymi spokój, nieco rozlazłymi Czirinaldo.

Ziemiańskie były inni. Ziemiańskie cieszyli się walką. Nawet Will nie potrafił temu zaprzeczyć, chociaż ksenopsycholodzy nieco przesadzili, wysuwając wręcz tezę o istnieniu dwóch odmian Ziemiańskich, różniących się jedynie genetycznie uwarunkowaną skłonnością do agresji. Postulowali dalsze badania dla wyodrębnienia tego drugiego gatunku.

Rodzaj ludzki obfitował w kontrasty, był jednocześnie wojowniczy i miłujący pokój, cywilizowany i barbarzyński. Nikt w Gromadzie nie potrafił pojąć, czemu Ziemiańskie poświęcają tyle czasu sporom o sprawy oczywiste.

– Wciąż próbuję wam uświadomić, że w walce gustują tylko typy społeczne, jednostki nieprzystosowane, cierpiące na aberracje umysłowe. Większość ludzi nie cierpi wojny.

– Może dlatego, że dotąd musieli walczyć z przedstawicielami własnego gatunku – odpowiedział Kaldaq. – Po raz pierwszy mają innego wroga.

– To bez znaczenia.

– Znasz ich aż na tyle? Każda istota uwielbiająca walkę z definicji przestaje być inteligentna czy cywilizowana. A twoi pobratymcy są bez wątpienia inteligentni.

– Wiem, że to się wam nie zgadza. Nam też. Jeszcze nie tak dawno każdy dzieciak marzył, aby zostać żołnierzem, nosić mundur i zginąć chwalebną śmiercią na polu bitwy.

Kaldaq zmarszczył nos.

– Jak można pragnąć zagłady?

– Mówię ci, że to historia. Ja żyję muzyką.

– Której czasem chętnie słucham. – Kaldaq wyraźnie chciał zmienić temat rozmowy. – Słyszałem, że pracujesz nad nową kompozycją.

– Jeszcze nie jest gotowa, szukam wciąż tematu do finału. Obiecuję, że gdy skończę, będziesz pierwszym słuchaczem.

– Czekał niecierpliwie.

Kaldaq spojrział z odchodzącym Ziemianinem i raz jeszcze zdumiał się, jak różnej wielkości potrafią być te istoty. Trafiali się wyżsi niż Massudzi i niscy jak Hivistahmowie. W Gromadzie tylko dorośli Leparowie byli podobni. Jeszcze jedno dziwo tutejszej ewolucji, bowiem nic nie łączyło przecież Ziemian i milkliwych dwudysznych. Komu zatem byli najbliżsi? Massudom? S'vanom? Może jakimś innym, których akurat nie zatrudniono w bazie?

Zastępczyni z działu medycznego i Trzeci mieli własne powody, by sprzyjać Dulacowi, Uznawali Ziemię za ślepy zaułek i co pewien czas ponawiali prośby, by zostawić tę planetę swojemu losowi, jednak głosy te nic nie znaczyły wobec wieści, które obieły już połowę Galaktyki. Na Vasarih wchodziła właśnie do walki trzecia i największa grupa Ziemian.

Massudzi witali ich gorąco, wierząc, że z tymi sojusznikami uda się osiągnąć przełom nawet na tych odcinkach, gdzie od lat nic nie mogło poruszyć zastygłych frontów. Ziemianie pchali się do pierwszego szeregu, prowadzili ataki. Jeśli wierzyć meldunkom, to naprawdę polubili Massudów, a ci odpłacali się podziwem, a może nawet szczerym braterstwem broni.

Inne rasy rzadko wchodziły z nimi w bliższą zażyłość, zresztą ludzie też jakoś nie palili się do bliższej znajomości z Hivistahmami czy O'o'yanami. Chętnie spędzali czas ze S'vanami, ale S'vanowie potrafili gadać z każdym, chociaż w tym przypadku zachowywali jednak trochę rezerwy, która dawała się dostrzec.

To prawdziwy cud, myślał Kaldaq, że Gromada w ogóle trwa, skoro tyle w niej podejrzliwości i lęków.

Will próbował ostatnio nauczyć Trzeciego trudnej sztuki pływania. Niewdzięczne zajęcie. Pojemność płuc Hivistahmów była niewielka, co pogarszało wyporność. Przy każdym wydechu biedak szedł na dno jak kamień. Nic dziwnego, że Hivistahmowie nie lubili wody.

Jednak Trzeci postanowił zaryzykować. Miał nadzieję, że im więcej dowie się o Ziemianach, tym łatwiej będzie mu znaleźć argumenty przemawiające za opuszczeniem tej planety. Nie bał się już Willa, wiedział, że tubylcy inaczej zachowują się w grupie, inaczej w pojedynkę. Sformułował nawet wzór $5Z(x)=P?$ wyrażający twierdzenie, że grupa pięciu lub więcej Ziemian w obliczu niewiadomego zachowa się zawsze w sposób agresywny, przy czym nie wiadomo, w którą stronę skierowana będzie ich agresja. Za element kluczowy uznawał liczebność grupy.

Żeby utrzymać się na powierzchni. Trzeci musiał machać kończynami o wiele intensywniej niż ludzie. Na dodatek smukłe ręce i nogi stawały wodzie mniejszy opór. Robił co mógł, aby woda nie zalała mu wąskiej głowy, gdy obok pojawiła się inna, pucołowata twarz.

Lepar wyraził gotowość niesienia pomocy, ale Trzeci wyjaśnił, że jest tu z własnej woli i nic mu nie grozi. Wyłupiaste oczy zerknęły jeszcze na Hivistahma i Ziemianina, po czym tylko ogon mignął i już go nie było. Will usiadł w końcu na płyciźnie, na ciepłym, wilgotnym piasku.

– Opowiedz mi o Leparach – poprosił.

– Wiesz o nich chyba tyle, co ja – powiedział Trzeci, z radością wystawiając się na ciepły blask

słońca. Nogi go bolały, najwyższa pora na chwilę odpoczynku. – Spędzasz między nimi wiele czasu.

– Owszem, ale Lepara trudno jest spotkać. – Will używał translatora, bo chociaż opanował do pewnego stopnia massudzki i mowę S’vanów, to przed kląskaniem i gwizdaniem Hivistahmów musiał skapitulować. Ten język opanowali tylko Waisowie; podobno miało to coś wspólnego z podwójnym zestawem strun głosowych.

– Zwykle trzymają się z dala od innych – powiedział Trzeci przyciemniając do maksimum szkła okularów. – Są dwudyszni, ale zapewne też najmniej inteligentni. To nie wyraz krytyki, ale stwierdzenie faktu. Pewne rzeczy robią całkiem dobrze.

– Ten to był Vatoloi, prawda?

– Potrafisz ich rozpoznać?

– To był pierwszy Lepar, jakiego spotkałem. Kilka lat temu, podczas pierwszej wizyty Kaldaqa i jego ekipy.

– Vatoloi to szarża. O ile to był on. Ale nie ma co się nimi zajmować. Nie są ciekawi. Nigdy nie podejmują żadnego wyzwania, nowych rzeczy próbują tylko wtedy gdy wiedzą na pewno, że im się uda.

– Nie wiem nawet, ilu ich tu pracuje.

– Nie podam ci liczby – mruknął Trzeci zirytowany takim marnowaniem cennego czasu. Rzadko udawało mu się zostać z Ziemią sam na sam. – Przepraszam za moją nieudolność, nie jesteśmy jednak stworzeni do pływania. Mam znacznie cięższy kościec.

– Nie, radziłeś sobie całkiem dobrze.

– Dzięki.

– A swoją drogą, czemu chciałeś się nauczyć pływać?

– Aby was lepiej poznać.

– Lepiej poznać wroga?

Hivistahm zakłapał zębami.

– Uważam was za niebezpiecznych, ale nie wrogich. Już prędzej za rozkojarzonych.

– A myśl sobie, co chcesz. Tylko pomóż mi przekonać Kaldaqa i jego przełożonych.

– Obu nam na tym zależy.

W milczeniu kontemplowali lagunę i zarośla. Katamaran Willa spoczywał spokojnie na kotwicy.

W wodzie buszowały barwne pintany i chyba jakieś drapieżniki. Głęboko pod piaskiem kwitło życie bazy.

– Czy my naprawdę jesteśmy tak pełni sprzeczności? – spytał cicho Will.

– Pomyśl o tym, jak reagujecie w sytuacjach walki, którą podobno tak pogardzacie. Massudzi podchodzą do sprawy chłodno, wygrywają albo przegrywają i już, wy zaś lejecie łyzy przy każdej okazji. Żałujecie nawet tych, których zabiliście, co nie przeszkadza wam następnego dnia ruszać znowu do bitwy. Tylko Ampliturowie zachowują się w ten sposób wobec wroga.

– To znaczy jak?

– Nie są emocjonalni, jak ludzie czy nawet Massudzi. Przynajmniej nic o tym nie wiemy. Płaczą nad każdym poległym wrogiem, że nie pozna już światłego Celu. Ale skoro już o tym mowa, to muszą stwierdzić, że ludzkie dziwactwa są większe niż możesz przypuszczać. Gromada jest ogólnie konserwatywna, rzeczy niezrozumiałe traktuje podejrzliwie. Twierdzisz, że nauczyliście się już panować nad własną nieobliczalnością, co brzmi jeszcze gorzej i czyni was tym bardziej niebezpiecznymi. Wielu ma was wręcz za szaleńców. Dyskusje nie milkną, nawet wysokie dowództwo nie wie jeszcze, czy użyteczne szaleństwo to dość, by ryzykować. Na tym opieram moją nadzieję.

– Też uważasz nas za takich? – Will podniósł wyblakły kawałek koralu i cisnął go do wody.

– Może nie w tradycyjnym rozumieniu, bowiem Ziemianie wymagają stworzenia nowych definicji i kategorii. Nazwanie was szalonymi to pójście na łatwiznę. Na przykład ta różnorodność języków. Musicie wiedzieć, że warunkiem dojrzałości cywilizacyjnej jest wytworzenie globalnego języka, jednak wasz postęp techniczny dokonuje się mimo tej bariery. Zdumiewające. Wasza ewolucja przebiegała w sposób nietypowy. Dlatego jesteście tak cenni z militarne punktu widzenia, i dlatego tak niepokoiacie Gromadę.

– Niepokoiimy? A to dlaczego, skoro nasi żołnierze wygrywają dla was wszystkie bitwy?

– Bo dziwne jest posługiwanie się bronią, której zasady działania w ogóle się nie zna.

– Rozumiem. – Will przetoczył się na bok. – Mówisz, że nie czujesz lęku przede mną. Może zatem i ciebie niepokoję?

Dłuższe wahanie Trzeciego nawet nie zdumiało Dulaca.

– Ty? Nic, od początku niczego nie kryłeś, a ja nie dostrzegłem w tobie przejawów dewiacji.

Will wiedział, że od pierwszego dnia poddawany jest coraz to nowym badaniom i testom, ale po raz pierwszy usłyszał o tym wprost. S'van powiedziała by to ogródkami.

– Jesteś dokładnie tym kimś, za kogo się podajesz – ciągnął Trzeci. – Nie jesteś wyjątkiem. Inni też odmawiają rekrutacji, z różnych powodów. Niektórzy mówią, że wojna ich mierzi. Jeszcze dziwniejsze. Massudzi nie cierpią wojny, ale wiedzą, że trzeba walczyć. Czirinaldo tak samo. Wśród

ludzi trafiają się jednostki rozwinięte jak Waisowie i prymitywne jak Vasarih. Pełna dychotomia. Psychicznie po prostu ślizgacie się po powierzchni. Nie macie czegoś w rodzaju „mentalnego zakotwiczenia”. Nawet ktoś, kto sam nie chciał wstąpić do szeregów, może namawiać potem innych do walki. Drugi znów wstąpi z ochotą, a potem rozmyśli się i zażąda demobilizacji. Kolejny będzie perorował o pacyfizmie, w żaden sposób nie popierając tego swym zachowaniem. – Hivistahm nagle przysunął się do Willa. Dziwne, oni zwykle lubili zachować dystans. – Prawda jest taka, Willu Dulac, że sami siebie nie znacie. Nie wiecie, czego chcecie, kim jesteście, co dla was dobre. Wasza przeszłość rysuje się tajemniczo i boleśnie zarazem.

– Też się tego obawiam.

– Niepotrzebnie. Teraz to już i nasza przyszłość. Tyle jeszcze chcielibyśmy się o was dowiedzieć. Na przykład to obsesyjne uwielbienie złota. Albo brak skutecznej dystrybucji surowców. Ludzie z jednego plemienia mogą głodować, chociaż sąsiedni szczep ma wszystkiego pod dostatkiem. Kilka wielkich nacji zużywa większość wytworzonej na planecie energii, podczas gdy inne nie mają nawet czym oświetlić swoich miast. Jedną z waszych charakterystycznych cech jest silne zróżnicowanie poziomu życia i majątkości. Gdzie indziej też to się zdarza, ale dopiero po zaspokojeniu podstawowych potrzeb wszystkich członków społeczeństwa. Uważamy, że ta aberracja ma w waszym przypadku coś wspólnego z przemożną wolą walki. Nie przydaje wam to popularności, wielu moich kolegów nie uważa was wcale za cywilizowanych.

– Wiem. Nie jestem ślepy.

– Wygląda na to, że najważniejszą cechą waszej społeczności jest plemienność. Cecha widoczna nawet w waszych codziennych rozmowach, tańcach godowych, rytuałach spożywania posiłków i wychowaniu młodych. Już dawno powinniście z tego wyrosnąć. I jeszcze ta technologia. Do opisu waszego gatunku trzeba było opracować zupełnie nowy słownik terminów naukowych.

– Ale chyba przesadzacie z tą wojowniczością. Jeśli zabierze się ludziom broń, przestają walczyć.

– Pewien jesteś? Bo ja tak nie sędzę. Widziałem waszą broń. Ręczna ma wbudowane coś, co nazywa się „bezpiecznikiem”, który zapobiega przypadkowemu użyciu. Bardzo chcielibyśmy znaleźć taki „bezpiecznik” w samym człowieku. Moi koledzy sądzą, że on istnieje, ja w to powątpiewam.

– Mówisz tylko o swoich kolegach. A Kaldaq?

Trzeci spojrział jednym okiem na lagunę, drugim na Willa.

– Kaldaq jest dowódcą, kapitanem statku. Jak na Massuda, potrafi snuć wyjątkowo wnikliwe analizy, ale podejrzewam, że też jest rozdarty wewnętrznie i wolałby wykonywać proste rozkazy. Nie lekceważy cudzego zdania, ale nie jest też filozofem. Musisz wiedzieć, że nigdy dotąd nie powierzano Massudom zadań badawczych, podobne ekspedycje prowadzili zwykle Hivistahmowie, S’vanowie lub Waisowie.

– Jak sądzisz, ile to jeszcze potrwa? Wprawdzie mało kto tu zagląda, a przy każdej wizycie prace

zamierają, to jednak ktoś to kiedyś odkryje.

– Dobrze maskujemy statki, kanały łączności są w pełni bezpieczne. Ci, którzy w trakcie badań zmieniają zdanie i chcą odejść, zapominają wszystko po prostym i nieszkodliwym zabiegu.

– Wcześniej czy później zdarzy się kilku, którzy porównają swoje fragmentaryczne wiadomości i odgadną prawdę.

– Do tego czasu zapadnie już decyzja, co robić. Albo odejdziemy, albo ujawnimy naszą obecność przed wszystkimi Ziemianami. Ja liczę na to pierwsze.

– Miło, że zmierzamy do tego samego – mruknął Will. – Swoją drogą, będzie mi was brakowało.

– I nawzajem – skłamał Trzeci z wprawą S’vana.

Rozdział 18

Will zaprzyjaźniał się właśnie z O'o'yanem, który gwizdał mu melodie popularne wśród przedstawicieli swego gatunku i pozwalał nagrywać je na dyktafonie, gdy nagle Kaldaq i Jaruselka przerwali tę sesję. Stanowili parę, ale rzadko widywało się ich razem w czasie pracy; mieli różne specjalności.

Dulac wyłączył magnetofon, zaś O'o'yan odmeldował się i ulotnił na korytarz.

– Co się stało? – spytał zaciekawiony Will.

Kaldaq usiadł w fotelu naprzeciwko. Kolanami prawie dotykał brody, uszy mu chodziły.

– Gdzieś się zapodziały trzy egzemplarze broni.

Will odłożył dyktafon.

– Co to znaczy „zapodziały się”?

– Co pewien czas rutynowo przeglądamy całe uzbrojenie – wyjaśniła Jaruselka. – Will odnotował po raz kolejny, że nie można poznać płci Massuda po głosie. – Każdy egzemplarz ma elektroniczny symbol, który można odczytać na odległość i sprawdzić, na przykład, stan załadowania broni. To pomaga w szybkiej wymianie ładunku. Gdy wyznaczony do tego Lepar przejrzał magazyn, ujawnił brak trzech sztuk. Dokładniejsze śledztwo pozwoliło ustalić, że odbieramy słabe sygnały. Ale słabe nie dlatego, że broń była rozładowana, tylko dlatego, że jest daleko od nas, aż na kontynencie.

Will zastanowił się.

– A technicy pracujący nocą na brzegu?

– Nie noszą broni, a kody sygnalizatorów wyposażenia są zupełnie inne. Żaden Massud też niczego nie wynosił, zresztą przepytaliśmy całą nasz personel.

– Zostają więc tylko ludzie – wtrącił Kaldaq.

– Zapewne. Czy powinienem się zdziwić?

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł kapitan. – Trzeba odzyskać tę broń. Szkolimy ludzi tylko do walki z Ampliturami, inne cele nie wchodzą w grę. – Kaldaq przymknął szare oczy. – Pójdiesz z nami, aby pomóc uporać się z tą sprawą.

– Z wami? – Will spojrzął na milczącą Jaruselkę i znów na Kaldaqą. – Chyba nie chcecie płynąć na kontynent? Nie pamiętasz, że nawet S’vanowie ledwo mogą pokazać się między ludźmi?

– Skoro chodzi o broń, to zadanie dla Massudów. Znam ludzi lepiej niż inni, zatem wypada na mnie. Chętnie zabrałbym też jakiegoś Czirinaldo.

– Już łatwiej byłoby przemycić słonia...

– Byłbym wdzięczny za wszystkie sugestie.

Will pomyślał chwilę. Widziany z tyłu Massud mógł od biedy ujść za człowieka, szczególnie w nocy. Pojedynczy Massud, ale nie cały ich oddział, który wyróżniałby się niczym drużyna koszykówki na ulicach Bangkoku. Twarzy też nie da się ukryć. Trudno, będą musieli przemykać się chyłkiem, i przy pomocy Willa. Poza tym Kaldaq musiał być chyba zdeterminowany, skoro nawet nie spytał o zgodę.

Lądowisko nie przyziemił w pobliżu Belize City, tylko skierował się w głąb lądu. Broń musiała być gdzieś w pobliżu Belmopan, stolicy kraju. Lot nie trwał długo, ale ostatecznie całe Belize można w jeden dzień objechać samochodem.

Postarali się wylądować tuż obok wskazanego na ekranie miejsca, ale jednak z dala od ludzi. Złomowisko starych samochodów na przedmieściu wydawało się idealną kryjówką.

Zaraz też sześciu Massudów wyskoczyło na ziemię i zajęło pozycje obronne za wypalonym wrakiem ciężarówki. W Stanach takie miejsca zawsze były pełne psów i strażników, ale w Belize wystarczały przerdzewiały drut kolczasty.

Will znalazł fragment ogrodzenia, gdzie konar drzewa przegiął górę siatki. Sprawdziwszy, czy drut nie jest pod napięciem, wspiął się na szczyt i wyciągnął rękę do pozostałych.

Massudzi zaszemrali. Will rozejrzał się trwożnie.

– Dalej, co jest? – wyszeptał.

– Nie damy rady – odparła Jaruselka.

– Z czym?

– Nie wleziemy za tobą.

Will spojrzął ze zdumieniem na dół. Ogrodzenie mogło mieć niespełna trzy metry, siatka dawała pewny uchwyt dłoniom.

– Mamy za słabe palce, aby się na nich podciągnąć.

– Kurwa... – wyrwało się Willowi. Wkoło wciąż panował spokój. Jeśli złomowisko miało strażnika, to musiał on chyba leżeć gdzieś pijany. – No to wypalcie dziurę w ogrodzeniu. – Dulac

wiedział, że ich broń może tego dokonać. Byle tylko nikt nie zauważył zniszczeń przed porankiem.

Z tym akurat uporano się szybko i cicho. Siatka nie stawiała oporu i wszyscy przecisnęli się przez nieduży otwór. Jaruselka zaczęła namierzać broń w terenie, Will zaś układał pod nosem stosowny do chwili akompaniament muzyczny.

Na mrocznych uliczkach spotkali tylko kilku przechodniów, którzy zresztą zmykali błyskawicznie na widok włóczących się po nocy gigantów. Nawet nie podnosili krzyku.

Jaruselka przystanęła wreszcie przy żywopłocie i wskazała na drewniany dom z pięterkiem.

– To tutaj.

Budynek stał na niewielkiej podmurówce, z dachu ściekały krople schłodzonej mgły.

Kilka drewnianych schodków prowadziło na mały, kryty ganek z drzwiami z drobnej siatki, przez którą widać było obskurne wnętrze.

– Pokaż wykrywacz – poprosił Will i Jaruselka dała mu niechętnie urządzenie. – W salonie pali się światło, jeśli ktoś się tu kręci, zaraz was zauważy. Pójdę pierwszy i sprawdzę piętro.

– Oni mają broń – przypomniała.

– Ale to nie znaczy jeszcze, że wiedzą, jak jej użyć. Idę o zakład, że chcą zarobić na sprzedaży nowej technologii.

– Idę z tobą – szepnął Kaldaq.

– Nie możesz. A jak ktoś cię zobaczy?

– To moja sprawa. Pamiętaj, kto tu dowodzi.

– Dobra, twój cyrk...

Kapitan wydał rozkazy podkomendnym. Jeden żołnierz dołączył do niego, reszta przycupnęła za żywopłotem.

Siatkowe drzwi nie były zamknięte. No tak, to Belize, a nie Chicago, pomyślał Will. Sprawdzili ślad i weszli na schody.

– I co im powiesz? – spytał Kaldaq. – Jak ich przekonasz?

– Zależy, jak zareagują. Nie jestem Waisem.

Korytarz na piętrze tonął w wątpliwym blasku słabej żarówki, ze ścian odłaziła brunatna tapeta.

Czytnik wskazał na ostatni pokój. Skłoniwszy Massudów do schowania się w cieniu, Will

zastukał dość mocno, aby obudzić mieszkańców, ale bez przesady. Nie chciał wywoływać paniki. Żadnej odpowiedzi. Spróbował silniej.

– Wiesz, która godzina? – warknął ktoś ze środka. – Zapłaciliśmy z góry za ten pokój.

– Nazywam się Will Dulac. Nie jestem z hotelu, tylko z bazy.

Chwila ciszy.

– Jakiej bazy?

– Za późno na struganie głupka.

Drzwi zaskrzypiały. Will cofnął się, ale zwalisty i nie ogolony gość zmierzył go spojrzeniem i nie zainteresował się korytarzem.

– Jak nas znalazłeś?

Will wyczuł, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Rozmówcy nie poznawał, na pewno nie widział go wśród rekrutów. Z jakiegoś powodu podniosło go to trochę na duchu.

– Macie broń z bazy. Nie wiecie, że nie wolno wywozić technologii Gromady na brzeg?

– Coś o tym słyszałem. – Otworzył szerzej drzwi. – Słuchaj, *mes amis*, może wejdiesz i pogadamy? – Uśmiechnął się. – Sam jesteś?

– Nie. – Will obejrzał się.

Dwójka Massudów wyszła z cienia. Ich widok zrobił na mężczyźnie należyte wrażenie.

– Powinienem tego oczekiwać. Hans ostrzegał, że możecie nas znaleźć. Dobra, *entrez*, wszyscy.

Massudzi musieli schylić się w drzwiach. Pokój był ciasny: umywalka, pęknięte lustro, dwa zrujnowane łóżka.

– To Hans. – Mężczyzna pokazał na kogoś zakopanego w pościeli. – Miyoshi siedzi w kiblu. Ja jestem Jean-Pierre. Siadajcie, wyjaśnię.

Will skorzystał z krzesła, Massudzi woleli stać.

– Raz jeszcze pytam. Jak nas znaleźliście?

– Wszystkie egzemplarze broni mają wbudowane identyfikatory. Szczegółów nie musisz znać.

– Nie ufasz mi, co? Nawet trudno ci się dziwić. Zahuczała spłuczka i w drzwiach łazienki stanęła niska, nad wyraz atrakcyjna kobieta. Typ orientalny. W każdej z dłoni trzymała pistolet. Kaldaq sięgnął odruchowo po własną broń, ale zamarł widząc, że kobieta w niego celuje.

Mniejszy mężczyzna smyrnął ku drzwiom i wyciągnął spod łóżka dwa karabiny obcych. Jeden rzucił kompanowi.

– Nie możemy zabić ich tutaj – powiedziała kobieta. – Gdyby ktoś znalazł ciała, byłoby za wiele szumu.

– Dogadamy się – stwierdził Jean-Pierre zezując na obcych. – Nie chcecie ujawniać swojej obecności, my też tego nie chcemy.

– Nie rozumiem – odparł Kaldaq. – Czemu chcecie nas zabić? Nie zamierzamy was skrzywdzić. Oddajcie tylko broń.

– Ale my nie możemy wam jej oddać – powiedział duży. – Wzięliśmy ją, bo jest nam potrzebna, *ne c'est pas?* – Spojrzał na kobietę. – Jak długo będziemy mieli broń, zawsze nas znajdą.

– A niech spróbują. W Nowym Jorku czy Nagoi... – wskazała na drzwi.

Will odruchowo uniósł ręce i skierował się do wyjścia.

– Nie chwytam. Co zamierzacie?

Jean-Pierre sprawdził korytarz i ruszył na dół. Reszta szła z tyłu, by trójka przybyszów była cały czas na muszce.

– Słyszeliśmy o tobie. Ty jesteś ten muzyk, który pomaga szczurom i legwanom od samego początku. Niby jesteś bystry, a tak wolno kumasz. Nigdy nie pomyślałeś, jaki fajny użytek można zrobić z karabinów energetycznych i kombinezonu maskującego? Każdy wóz pancerny jest twój.

O to im chodziło! Bardzo prymitywne podejście. I bardzo ludzkie.

– Ci ludzie to zwykli złodzieje – powiedział po massudzku. – Wzięli broń, aby rabować za jej pomocą pieniądze.

– Znów ta wasza obsesja. – Kaldaq zaczął schodzić na parter. – A może by tak dać im złota?

– Nie rozumiesz. Tacy ludzie nigdy nie mają dosyć. Poza tym i tak ci nie uwierzą.

– Dlaczego? Z ich punktu widzenia to powinna być korzystna wymiana.

– Nie uwierzą w żadne twoje słowo. Ani moje czy czyjekolwiek. Boją się, że zostaną oszukani i potraktowani tak samo jak ci, którzy odeszli z kursu. Teraz są górą i nie poddadzą się w zamian za żadne obietnice.

– Ale ja zawsze dotrzymuję obietnic.

– Nie pojmą tego. Oni nie myślą w ten sposób.

Jean-Pierre przystanął na dole schodów.

– Weźcie ich na tyły. Przyprawdzą wóz, wyrzucimy ich gdzieś na bagnach i po krzyku. – Spojrzał na Willa. – Fajnie, że przyszlście tylko pogadać. Obejdzie się bez strzelaniny. Jeszcze by ktoś zobaczył.

– Czemu po prostu nie oddacie broni? – Will starał się opanować. Siatkowe drzwi były coraz bliżej. – Oddajcie broń i wracajcie do grupy. Massudzi zapomną wam wszystko. Nie zrobią krzywdy.

– *Non*. Chyba jednak zostaniemy przy naszym planie.

– No to nas puść. Nie będziemy was śledzić. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Tyle chyba sam rozumiesz.

– Słyszeliśmy coś o jakiejś wojnie – powiedziała kobieta. – My mamy własne rachunki do wyrównania.

Jedno tylko dziwiło Willa – że coś takiego nie zdarzyło się wcześniej. Nie wszyscy rekruci byli altruistami, nie wszyscy też byli chciwi. Trafiali się malkontenci, ludzie z przeszłością, indywidua nie mogące przystosować się do społeczeństwa. Typy różne i różniste. Jak dotąd wszyscy znajdowali nowe życie, oddawali się w służbę Gromadzie. Ci troje pasowaliby do reszty, jednak postanowili zaryzykować. Wypowiedzieli własną wojnę, można powiedzieć. Tym razem Dulac w pełni rozumiał zagubienie Kaldaqa.

Jean-Pierre otworzył drzwi, wyszedł na ganek i sprawdził alejkę. Will wstrzymał oddech; za wszelką cenę starał się nie patrzeć na żywopłot. Mężczyzna skinął na resztę.

– Zastrzelcie ich tutaj – powiedziała nagle kobieta. – Zrzucę ich potem do rowu odpływowego i przykryję śmieciami, a ty i Hans rozejrzycie się za jakąś ciężarówką.

Jean-Pierre przytaknął i poprowadził trójkę w stronę krzaków.

– Nic do was nie mam, *mes amis*, ale to jedyne wyjście.

– Będą nas szukać – powiedział Will. – To Kaldaq, dowódca bazy.

Jean-Pierre spojrzał ostro na Massuda.

– Dowódca, co? A to pech.

– Niedługo zaczną nas szukać – ciągnął Will. – A was znajdą, cokolwiek zrobicie.

– To niech lepiej zaczną jak najszybciej. Rano łapiemy rejs TACA do Mexico City. Nie sądzę, żeby mogli wyczuć te zabawki na drugim końcu świata. To by nie miało sensu.

– Myślisz, że przemycisz broń na pokład?

– A czemu nie? Wcale nie wyglądają na karabiny. Powiemy, że to rekwizyty do filmu. Gwarantuję ci, że się nie połapią. – Byli już prawie przy żywopłocie. – Zresztą powiemy, że nie mamy nic do oclenia, i nie będą nawet chcieli otwierać naszych...

Tego zdania już nie dokończył. Massudzi wyrośli wkoło jak spod ziemi, coś huknęło sucho niczym gigantyczne wyładowanie elektryczne i wilgotne powietrze wypełnił odór spalonego ciała.

Will nie przeszedł nigdy żadnego szkolenia wojskowego, zrobił zatem to, co uznał za najważniejsze: padł plackiem na ziemię. Broń wypadła walczącym z rąk i całe towarzystwo zaczęło się kotłować w błocie. Jakiś żołnierz wyleciał w powietrze, inny jęczał ze złamaną nogą.

Ku swemu przerażeniu Will ujrzał, jak grupa renegatów wygrywa walkę. Massudzi nigdy jeszcze nie bili się ze swymi sojusznikami, a teraz okazało się, że w bezpośrednim starciu przegrywają z kretelem. Niżsi, mocno zbudowani Ziemianie byli nie tylko silniejsi, ale i zwinniejsi.

Kaldaq z dwoma żołnierzami obezwładnili Jean-Pierra i nałożyli mu pęta. Reszta zmagala się z kobietą. Oprócz tego ze złamaną nogą, drugi jeszcze Massud legł nieprzytomny w rowie odwadniającym. W ten sposób Hans był wolny. Will ujrzał, jak mężczyzna sięga po karabin.

Dulac spojrzął w panice wokoło. Ujrzał wytrącone kobiecie z dłoni pistolety. Odruchowo podniósł jeden i wymierzył w wysokiego Niemca. Broń była lekka jak zabawka.

– Nie rób tego! – krzyknął. – Zabawa skończona!

Młodzieniec jednak albo nie słyszał, albo nie chciał słyszeć. Uniósł karabin.

Później, po wszystkim, Will zupełnie nie potrafił odtworzyć kolejności zdarzeń. Pamiętał widok mężczyzny celującego do trzech Massudów skupionych wokół przeklinającego Jean-Pierre'a. Palec trzymał na zgrubieniu z boku broni. Will wiedział, że to odpowiednik spustu, i nie musiał domyślać się, co za chwilę nastąpi.

Strzelił pierwszy. Chłopak Kajunów wcześniej uczy się posługiwać bronią.

Pistolet też należał do obcych. Cienka purpurowa nitka dosięgła celującego Hansa. Huknęło głucho, jakby grubasowi pękły szelki.

Hans zadrzał i padł na kolana. Lufa karabinu wryła się w ziemię i podtrzymała go przez chwilę. W końcu upadł na bok, kolana przyciągnął do piersi i znieruchomiał.

Will stał oszołomiony i wpatrywał się w bezwładny kształt. Miał wrażenie, że Kaldaq krzyczy coś do niego. Potem wysoki Massud znalazł się tuż obok, zaleciało piźmem.

– Dziękuję, Will – powiedział, patrząc uważnie na Dulaca wielkimi, kocimi oczami. Nos i uszy dopowiedziały swoje. – Nic ci nie jest, przyjacielu?

Will usiłował zrozumieć cokolwiek z jego słów.

– Nie. Masz, weź to. – Podał kapitanowi pistolet.

Pojmani wylewali nieustanny potok przekleństw w co najmniej trzech językach. Oboje byli już związani. Kaldaq poleciał dwóm żołnierzom wziąć ciało zastrzelonego. Wprawdzie nie należało oczekiwać, by stanowisko koronera w Belmopan obsadzał ktoś nazbyt lotny, ale nawet byle konowała mógłby zastanowić widok tak nietypowej rany postrzałowej.

W drodze na złomowisko kobieta próbowała uciec. Chciała kopnąć żołnierza przed sobą i zbić z nóg tego z tyłu, ale długie ręce Massudów też się czasem na coś przydawały. Przeklinała potem jeszcze barwniej po japońsku. Dla uderzonego żołnierza trzeba było szybko znaleźć jakieś kule. Od tej chwili Massudzi byli bardziej ostrożni.

Zmęczeni i poobijani załadowali się w końcu do maszyny. Pilot czekał na nich niecierpliwie i zaraz wystartował. W świetle dnia maskowanie nie sprawdzało się najlepiej.

Massudzi byli solidnie wyczerpani, zarówno fizycznie, jak psychicznie. Wiedzieli dobrze, że gdyby nie interwencja Willa, cała wyprawa mogłaby skończyć się tragicznie. Do dzisiejszej nocy uważali się za znakomitych żołnierzy z doborowej jednostki liniowej. O połowę mniej liczni ludzie omal nie wybili ich do nogi. Ziemianie, ledwo po wstępnym treningu, bez doświadczenia w boju. A gdyby ci bandyci byli weteranami z Vasarih? Przykre, wręcz upokarzające doświadczenie.

Ale zginęła tylko jedna osoba: Ziemianin. Zabity z ręki innego Ziemianina. Nikt nie przeoczył znaczenia tego faktu.

Will siedział ponury przez całą drogę. Jako dziecko polował na zalewiskach, patrzył jak jego ojciec oprawiał zwierzynę. Teraz zabił dla ratowania przyjaciół. Również aby ratować siebie. Uczynił to bez zastanowienia, instynktownie.

I to martwiło go najbardziej.

Wśród czekających na powrót maszyny było kilku uzbrojonych Massudów. Zaraz zajęli się bandytami. Kilku zdrowych Massudów poszło za nimi. Pewność i sprężystość zniknęła z ich kroków. To było doświadczenie, które kosztowało ich więcej, niż tylko jedna zarwana noc.

Nie trzeba tego nagłaśniać, myślał Will. Nie chodziło o podsuwanie głupiego pomysłu innym, broń była już teraz o wiele lepiej strzeżona, ale o morale Massudów.

Opadł na ławę, która zaszumiała i dopasowała się do jego wagi i sylwetki. Przestał łapać powietrze i zaczął normalnie oddychać, ale wciąż czuł mdłości. Ten padający mężczyzna... przyjmujący pozycję embrionalną... nieruchomiejący... Fatalne obrazy wracały raz za razem.

– Nie miałeś wyboru. – Kaldaq stał nad nim. – Gdyby uciekli do dużego miasta, moglibyśmy nigdy ich nie znaleźć. Cała nasza praca tutaj byłaby zagrożona.

– Wiem – wykrztusił Will.

Wyszedł z tego ledwie szept. Kapitan usiadł obok. Ława znów zaszumiała z cicha.

– Gdzie nauczyłeś się strzelać? Zawsze mówiłeś mi, że gardzisz przemocą. – Pomasaował odruchowo siniec na prawym udzie, gdzie został uderzony.

Will westchnął ciężko.

– Tam, gdzie się wychowałem, dzieciak uczy się strzelać zaraz po tym, jak zacznie chodzić:

– Rozumiem. – Kaldaq spojrział w dal korytarza. Więźniowie z eskortą znikali za rogiem. – Gdybyś go nie zabił, źle byśmy skończyli. Trzech przeciwko ośmiu, a przegrywaliśmy. Zrobiłeś co trzeba. – Zamilkł na chwilę, – Żaden z moich ludzi nie był na Vasarih, nigdy nie widzieli Ziemian w walce. Nie byli przygotowani na... – szukał właściwego słowa... na tak zaciekły opór. Mam nadzieję, że któregoś dnia będzie mi dane ujrzeć, co potrafi w pełni wyszkolony ziemski żołnierz. Ziemianin, który uczynił z walki swój zawód. Po to, by walczyć ze współbraćmi... Dziwne i przerażające. – Skrzywił pysk. Humor chyba mu wracał. – Ampliturowie wykorzystują do walki głównie Krygolitów. Ha, sądzę, że czeka ich nie lada niespodzianka. Nawet na Molitara bym nie stawiał, gdyby przyszło mu w pojedynkę potykać się z Ziemianinem. – Spojrzął na Willa. – To mogło się zdarzyć już na początku. Powinieneś nas ostrzec.

– Nie chciałem o tym myśleć. Sądziłem, że ludziom wystarczy złoto. Nie wszyscy jesteśmy tacy jak tych troje.

– No tak, przez cały czas to powtarzałeś.

– To niewielki procent. Zawsze jest jakiś margines, skrajności, pewien odsetek wyrzutków.

– Wśród innych ras tego nie ma.

Wiele miesięcy przekonywania Kaldaqą o pokojowym usposobieniu człowieka diabli wzięli. Wszystko przez jedną, głupią w sumie tragedię. Will nie mógł tego przeboleć.

– Musieli chyba oszaleć, jeśli sądzili, że zdołają z tym uciec.

– Ich zachowanie nie sugerowało szaleństwa – mruknął Kaldaq. – Mam wrażenie, że działali całkiem racjonalnie.

Będę musiał bardziej się przyłożyć, pomyślał Will. Jedna przegrana bitwa jeszcze wszystkiego nie przekreśla. Może da się zatrzeć paskudne wrażenie. Nie po raz pierwszy pożałował, że studiował muzykę a nie psychologię.

Zastanowił się, co Kaldaq naprawdę o tym myśli. Spytał.

– Byłem kształcony na kapitana statku. Chciałbym do tego wrócić.

– A ja marzę o spokojnym komponowaniu. Okoliczności zmusiły nas obu do zmiany zawodu.

Kaldaq zamilkł na chwilę.

– Ciekawie jest obserwować zmiany w mentalności prymitywnych ludów, gdy pojmą wreszcie bogactwo Galaktyki i kryteria cywilizacyjne – powiedział nagle. – Może sam chciałbyś zobaczyć to wszystko na własne oczy?

– O czym myślisz?

– Co byś powiedział na wycieczkę na Vasarih?

Opuścić Ziemię? Patrząc, jak znajomy świat znika w dali? Setki rekrutów już przez to przeszło. Ja chyba też mogę? pomyślał. To oznacza też rozstanie z muzyką. Tymczasowe, ale zawsze. Jednak jaka inspiracja...

– Ciekawy pomysł.

– Polecisz z następną grupą rekrutów – powiedział Kaldaq. Wyglądał na zadowolonego.

Rozdział 19

Dulac zamknął katamaran jak mógł najlepiej, odłączył akumulatory od baterii słonecznych, zwinął ciasno żagle, sprawdził obie kotwice, a dla ciekawskich zostawił karteczkę „Popłynąłem na brzeg. Wracam za kilka dni”. Lepiej, żeby nikt nie uznał jachtu za opuszczony, chociaż w lagunie był i tak bezpieczniejszy niż, w Cancun czy BVI.

Vatoloi obiecał zresztą, że będzie osobiście miał łódź na oku.

Lot wahadłowcem trudno było uznać za interesujący. Ledwie wyczuwalny przyrost szybkości, nieco wstrząsów wywołanych prądami powietrznymi mocno kontrastowały z podróżą przez podprzestrzeń. Ta była po prostu nudna: żadnego przyspieszenia, statek jakby stał w miejscu.

Na pokładzie było też kilkuset rekrutów, a wszyscy gadali jak najęci. Widzieli już i przeszli w bazie dość, by uznać lot kosmiczny za zjawisko naturalne. Chociaż pochodzili z kilkudziesięciu różnych krajów, dogadywali się bez kłopotu. Translatory rodziły sobie z hiszpańskim czy angielskim równie dobrze, jak hivistahmskim i massudzkiem.

Między ludźmi krążył Wais – wyjaśniał to i owo, pocieszał strapionych, przyłączał się do dyskusji. Chłopi z Gwatemali, nauczyciele i studenci, europejscy turyści, wszyscy chętnie rozprawiali o przyszłości, która jeszcze kilka miesięcy temu zdałaby im się osobliwą bajką.

Treningi i spotkania integracyjne odbywały się regularnie i Will wziął udział w kilku z nich. Szybko się jednak zniechęcił, nazbyt wiele było tam militarizmu, uzasadnionego wprawdzie, ale zawsze.

Najpierw zatrzymali się na orbicie planety zwanej Motar. Przyznany Willowi w charakterze przewodnika J'hai chętnie odpowiadał na wszystkie pytania. Był to S'van, co świadczyło o szacunku wobec Dulaca, normalnie bowiem taką rolę pełniłby Hivistahm lub O'o'yan.

– Tutaj właśnie twoi pobratymcy przechodzą wstępny trening bojowy. Motarianie są wyjątkowo inteligentni, ale mnożą się powoli. Dziwne, że w ogóle istnieją jako osobny gatunek. To ssaki, ale przypominają raczej S'vanów niż Ziemiaków. Tyle tylko, że są dość korpulentni i bezwłosi – zachichotał J'hai. – Chociaż nieliczni, okazali się bardzo pomocni. Udostępnili swój świat. Mają masę pustych obszarów, gdzie można urządzać poligony. – Zerknął w iluminator. – Wyładunek nie potrwa długo.

Potem olbrzymi statek znów zanurkował w podprzestrzeń. Podróż na Vasarih trwała znacznie krócej. Dopiero teraz do Willa dotarło, jak daleko jest z Ziemi do zamieszkanego centrum Galaktyki.

Wejście na orbitę Vasarih było o wiele trudniejsze niż w przypadku Motaru.

– Słyszałem, że taktyka nie jest ci całkiem obca? – spytał J’hai, a Will potwierdził. – No to zrozumiesz przyczyny naszej ostrożności. Musimy działać w ten sposób, aby nie wejść w parady statkom Ampliturów. Kapitan wybiera sektor przestrzeni z rzadka nawiedzany przez ich statki. Oczywiście, w znacznej mierze to wciąż loteria, chociaż te same kłopoty mają obie strony. Podróże w podprzestrzeni nie są takie proste, trzeba wielu obliczeń i przygotowań.

– Już mi to wyjaśniano – odparł Will. – Chociaż wciąż nie pojmuję, czemu statki nie atakują celów naziemnych.

– Wszystkie ważniejsze bazy na powierzchni są umocnione. Ładunek nuklearny, owszem, dałby im radę, ale obie strony chcą przecież uniknąć zniszczeń. Naziemne środki rażenia potrafią na dodatek zniszczyć dowolnie duży statek, a statki kosmiczne są zbyt cenne, by marnować je do zadań szturmowych. Służą do transportu oddziałów i materiałów wojennych między światami. Nawet dla bardzo rozwiniętej cywilizacji budowa czegoś takiego nie jest przedsięwzięciem łatwym. Statki są kosztowne. Zbyt kosztowne, by nimi szastać. Pamiętaj poza tym, że Ampliturowie pragną odmieniać podbitych, a nie gubić ich. Świat pokonany z użyciem broni termonuklearnej byłby światem nie wartym fatygi. Lepiej pokonać wroga bez hekatomby ofiar.

– Udało się to kiedykolwiek? – spytał Will. – Znaczy, wyparliście kiedyś Ampliturów z jakiejś planety?

– Zdarzało się. Dwieście lat temu nawet z kilku. Will pamiętał, jak wiekowy jest ten konflikt i nawet się nie zdumiał.

– Potem Ampliturowie przegrupowali i zreorganizowali swoje siły. Od tamtego czasu nie zdarzyło się nic wyjątkowego. Obie strony zyskują co parę lat nowych sojuszników, rozwijają nowe systemy broni, ale nic nie narusza w istotny sposób równowagi sił. – J’hai spojrział na Willa. – Mamy nadzieję, że wy to zmienicie.

Przykro mi będzie cię rozczarować, pomyślał Dulac siadając w fotelu wahadłowca. J’hai zajął miejsce naprzeciwko.

– Po czyjej stronie są mieszkańcy Vasarih?

– Po naszej. Kilkunastu znalazło się po stronie Ampliturów, ale większość nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Ale tamci nie pytają o zdanie. Wiesz, że Ampliturowie mogą oddziaływać na umysł?

– Słyszałem. – Zimny dreszcz przeszedł Willowi po plecach. Jakie to uczucie, gdy ktoś grzebie ci w myślach? – Czy na Vasarih są jacyś Ampliturowie?

– Jak zawsze przy okazji większych konfliktów jest ich tu kilku. Garstka. Obserwują, doradzają, kierują. W zasadzie kontrolują po prostu poddanych, pilnują, by im się co w głowach nie lęgło.

– Tak jak Turlogowie pomagają Gromadzie?

– Fałszywa analogia. Turlogowie są sojusznikami, służą radą i analizą sytuacji. Niczego nie kontrolują. Nawet by nie chcieli.

Różne bywają sposoby sprawowania kontroli, – pomyślał Will.

– Kto tu walczy dla Ampliturów?

– Głównie Krygolici. Jest też kontyngent Molitarów. Spotkasz ich pewnie paru wśród więźniów. Rośli i groźni wojownicy, chociaż inteligencja raczej umiarkowana. Idealni słudzy swoich panów. Obie rasy są już od dawna związane sojuszem z Ampliturami, nie wiadomo, czy przyłączyli się dobrowolnie czy zostali zmanipulowani. Zresztą to nieważne. Jeśli raz się do nich przyłączysz, to przypało. Nie możesz już zmienić zdania. A, i są jeszcze Aszreganie, „gaciowi”, jak wy to mówicie. Administracja, logistyka i te rzeczy. – Wahadłowiec odłączył się od statku macierzystego. – Widziałeś kiedyś Aszregana?

– Nie. Czemu pytasz?

– Byłem tylko ciekaw. – Rozległy się brzęczyki ostrzegawcze. – Zaczynamy schodzenie. Albo polecimy po ciasnej orbicie, albo będziemy musieli wracać i umykać w podprzestrzeń. To zależy od tego, czy napotkamy wrogie statki. Sam zresztą będziesz wiedział, co się dzieje. Poczujesz ciąg silników.

Willowi zdawało się, że całą wieczność wiszą już pod olbrzymim kadłubem statku.

Nagle za oknami wahadłowca zrobiło się jasno. Stateczek jak kamień runął ku powierzchni planety. Chmury, morze i ląd zawirowały w barwnym kalejdoskopie.

Wahadłowiec zwolnił nad niewielkim skupiskiem chmur burzowych i zaczął spokojne schodzenie. Przez luki w obłokach Will zaczął poznawać szczegóły terenu. Morze i ląd. Nic nie sugerowało, że toczy się tu wielka wojna dwóch kosmicznych federacji.

– Vasarih są na niższym poziomie rozwoju technologicznego niż wy. Kontakty między ośrodkami miejskimi a prowincją są tu wciąż dość rzadkie. Większość miast leży nad morzem, dlatego walki toczą się głównie w okolicy znanej jako południowe równiny. Żadnej ze stron nie zależy na wyniszczeniu planety. Gromada odkryła ją na krótko przed wysłannikami Wspólnoty, i większość tubylców współpracuje z nami. Wiele nie potrafią, ale dostarczają przynajmniej żywność i różne drobiazgi. Wylądujemy na północno-zachodnim skraju spornego terenu, w górach. Miejscowi Vasarih wyprowadzili się już dawno z tych okolic. Mamy tam największą bazę, głęboko pod stokami gór. Tam też będziesz miał okazję porozmawiać ze swoimi.

– Świetnie – mruknął Will.

– Przez cały czas musimy przeczesywać przestrzeń wokoło. Nawet nie wiesz, jak łatwo jest zestrzelić wahadłowiec czy inny statek. Ten, który nas przywiózł, dawno już zanurkował w podprzestrzeń. Jednak wojna to sprawa wysiłku umysłowego, a nie fizycznego. Dobrze, że mamy Massudów. Ja się do tego nie nadaję. Cieszę się, że nie muszę walczyć osobiście.

– A czym się zajmujesz?

– Wywiad wojskowy, tak się to chyba po waszemu nazywa. Myślałem, że wiesz.

– Nie. Powiedzieli mi tylko, że dostanę przewodnika.

Przeszli nisko nad poszarpanymi graniami. Tak nisko, że Willowi aż dech zaparło. Wylądowali na wąskim pasku granitowej półki, która nagle rozsunęła się i wchłonęła stateczek.

Znaleźli się w głębi jaskini. Światła przygasły nieco i Will mógł wreszcie wstać. Gdzieś z oddali dobiegł go głuchy łomot.

– Rąbnęli – mruknął J’hai i spojrzał na sklepienie schronu. – Tak myślałem, musieliśmy mieć gościa na ognie. Ktoś spędzi miłe popołudnie sprzątając lawinę.

Will odetchnął kilka razy głęboko i ruszył za przewodnikiem. W podziemiach było całkiem rojno, co chwilę mijali ich obcy i załadowane czymś pojazdy, zwykle oznaczone kolorowymi paskami. Niektóre z tych istot Will już widział, jednak parę zaskoczyło go wyglądem. J’hai nazywał ich jakoś, ale translator wypluwał tylko bezładne charkoty i Will musiał go podregulować.

Przez cały czas wypatrywał znajomych sylwetek ludzi, ale nie spotkał żadnego człowieka.

– Tutaj nie ma ich wielu – wyjaśnił J’hai. – Większość jest w polu, tam przydają się najbardziej.

– Ale Massudów mamy tu bez liku. – Will wskazał na najbliższą trójkę.

– Bo ich w ogóle jest dużo. Zamieszkują dwanaście światów. Ziemią zaciągnęło się ledwie kilkuset.

– Ale mieli tu być.

– Niedługo. Powiedziałem, że są w terenie. Właśnie tam się udajemy.

– Na front?

– Nie tego chciałeś? Zobaczyć, jak radzą sobie w walce? Jeśli tak, to trzeba zaryzykować, że dostanie się kulkę. Na szczęście mam ze sobą specjalną terapię antyszokową i będę mógł ci towarzyszyć. Pomyśl o tym choć przez chwilę. Ja nie jestem ani Massudem, ani Ziemiąninem. Ale na pierwszą linię cię nie zaprowadzę. Tutaj już żaden trening nie pomaga, a na pranie mózgu nie mam ochoty. Gdybyś zmienił zdanie, możemy odlecieć następnym wahadłowcem.

– Nie. Też nie cierpię wojny, ale skoro już tu jestem, to chcę zobaczyć, jak radzą sobie rekruci. Nie odleczę bez tego.

– Niech będzie – mruknął S’van. Twoi rodacy działają na odcinku najbardziej wysuniętym na zachód, blokują szlak do największego miasta w okolicy.

– I jak sobie radzą?

– Tego jeszcze nie wiem. Posłaliśmy ich tam, aby to sprawdzić, ale potem wyjechałem i nie miałem jeszcze okazji się dowiedzieć. Zobaczymy. Było tylko trafić na chwilę przerwy w ostrzale.

Wyjechali opancerzonym wozem unoszącym się kilka metrów nad kamienistym terenem. Góry rychło zniknęły w tyle i wkoło rozciągnęła się pustynia. W wieżyczce na dachu czuwał masywny Czirinaldo, obok pasażerów piętrzyły się paki z medykamentami dla walczących oddziałów.

– Wąwóz pozwala uniknąć wykrycia przez dalekodystansowe detektory Krygolitów. Ten pojazd jest za mały, by udźwignąć zestaw maskujący, ale zwiad powietrzny nie jest niczyją mocną stroną. Satelity też bywają regularnie niszczone.

Parów zwięził się niebezpiecznie, gdy dotarli wreszcie do pomniejszonej wersji wielkiej bazy. Tutaj było jeszcze więcej broni i jeszcze więcej Massudów. I wciąż ani śladu ludzi.

W końcu Will dojrzał kogoś. Dziewczyna rozmawiała z Czirinaldo. Miała czekoladową skórę i czarne włosy, jej mundur przekreślały dwa srebrzyste paski. Była bardzo ładna; Dulac poczuł się tym zaskoczony.

– Powiedziano mi, że mam wyjść po jakiegoś ważnego gościa – powiedziała do S’vana i zmierzyła Willa spojrzeniem.

– To jest William Dulac.

Dziewczyna uniosła brwi.

– Legendarny Dulac – mruknęła.

Ładne kwiatki, legendarny, pomyślał Will. Cholera, jestem kompozytorem, a nie legendą.

Ignorując zdumienie gościa, dziewczyna uściśnęła mu mocno dłoń i pocałowała go soczyście i serdecznie w usta. Nie przypominało to powitania przez kompanię honorową, ale Will nie protestował.

– Kapitan Echevarria, Maria Echevarria. – Jej angielszczyzna była nieco chropawa, ale entuzjazmu starczało jej za dwóch. – Muy miło cię poznać, señor Dulac. Wszyscy tu znają twoje imię.

Will zapragnął nagle wleźć ponownie do transportera i czym prędzej ruszyć z powrotem na Ziemię. Nie tego oczekiwał, nie na to liczył. Nie wiedział nawet, czy ma ochotę poznawać bliżej tych „wszystkich”.

– Jesteś kapitanem? – spytał, nie mogąc oderwać oczu od dziewczyny.

– Si. Czy to nie dziwne?

– Skąd pochodzisz?

– Mexico City. Przyjechałam na wybrzeże, aby utworzyć jakąś dinero. Nieźle mówię po angielsku, verdad? – Zanim zdążył odpowiedzieć, parsknęła coś do S’vana, który podziękował uprzejmie i gdzieś się oddalił. Dziewczyna pociągnęła Willa za ramię w głąb bazy.

– Dobrze jest oderwać się na chwilę od rozkazów i reszty.

– Zatem jesteś kapitanem. – Nic lepszego nie przychodziło Willowi do głowy. Nie teraz, gdy czuł tuż obok jej ciepłe i sprężyste ciało.

– Tak jakby. Musieliśmy stworzyć własne stopnie. Oni wiele ich nie mają. Tylko normalni żołnierze i supra... spuer... superrewizorzy. Ja jestem właśnie superrewizorem-kapitanem. Dobrze sobie radzę, jak na babę.

Na korytarzu kręcili się Hivistahmowie, O’o’yanowie i Massudzi, a nawet Bir’rimorowie.

– A gdzie reszta? Nie widzę ludzi. Tylko proszę, nie opowiadaj mi bajek.

– Żartujesz? – Uwolniła ramię i wydłużyła krok. – To ty to wszystko zacząłeś. Ty dałeś nam tę szansę. Gdyby nie ty, nigdy byśmy tu nie trafili, gnilibyśmy wciąż tam, gdzie los nas rzucił. – Skręciła gwałtownie w boczny korytarz.

– Byłaś w meksykańskiej armii?

Roześmiała się serdecznie, aż echo poszło po podziemiu.

– Kto, ja? Żartujesz? Kobieta w meksykańskiej armii? Nie mów, że nigdy nie słyszałeś o machismo, stary. A ty skąd jesteś?

– Z Nowego Orleanu.

– Słyszałam, że to wielkie miasto. Może kiedyś je zobaczę. Ale na razie mam tu coś do zrobienia. To wcale nie takie złe, wiesz? Oni tu rzetelnie zapisują, ile złota ci się należy. Z początku wszyscy węszyli jakiś podstęp, ale oni naprawdę nie oszukują. Nie żeby byli tacy niewinni, po prostu inna moralność. Chyba lepsza niż nasza.

– Chcą, żebyście za nich walczyli. Nie wiem, czy to takie moralne.

– Może, ale niech każdy wierzy w co chce, dobra? Nie myśl o mnie źle. Nie walczymy tylko za pieniądze. Z tego, co wiem, ci Ampliturowie to banda pendejos grandes, kapujesz? Nie widziałam nigdy żadnego, żaden z nas nie widział. Tylko ci pieprzeni Krygolici. Nie są tacy twardzi. To znaczy, oni tak myśleli, zanim nas nie spotkali. Massudzi też są dobrzy, ale tam, gdzie ja wyrosłam, żaden z nich nie przeżyłby tygodnia. Zbyt się czają. Bo wiesz, gdy już tu jesteś i leżą na ciebie dwa robale z karabinami, to nie ma czasu na myślenie. Żadna strategia czy taktyka. Trzeba działać. Massudzi tak nie walczą. Czirinaldo, te duże chłopcy, są nieco lepsi, ale to łatwe cele. Dobrze sobie jednak radzą z ciężkim sprzętem, jak promienniki i ogłaszacze. Zresztą Krygolici też mają dobre giwery. Gdyby Pancho Villa miał kilka takich, Kalifornia byłaby znowu nasza.

– Sama tu jesteś? – przerwał jej w końcu Will.

– Prawie wszyscy poszli zabijać robale, ale paru się znajdzie. Mnie poprosili, abym po ciebie wyszła. Potem wypuścimy się na zewnątrz. Zajmiemy się tobą, kochany. Nie masz się czego bać. Wiemy, ile ci zawdzięczamy.

– Nie! – krzyknął, ale widząc reakcję dziewczyny spuścił z tonu. – Nie trzeba wdzięczności. Ja próbowałem utrzymać ludzi z dala od tej wojny. To nie nasza sprawa. Musimy wycofać się, zanim...

– Zanim co, kochany? O czym ty mówisz? Płacą nam świetnie. Może wyglądają trochę śmiesznie, ale są dla nas cholernie dobrzy. Oni nas kochają! Nikogo nie obchodzi, kim byłeś na Ziemi, co tam robiłeś. Można zacząć wszystko od początku. Tutaj jesteśmy po prostu Ziemianami. Walczymy dla nich i robimy to dobrze. Tylko to się liczy. – Wskazała w głąb korytarza. – Większość tych ludzi, przynajmniej ci, których mam pod swoimi rozkazami, zawsze klepała biedę. Gówno mieli, nie robotę. Cholera ich brała. Przyjechali tu, aby odnaleźć siebie i zdobyć dinero. – Zachichotała. – Mam pod sobą trzech poruczników. Jeden był agentem ubezpieczeniowym w Niemczech, drugi pracował dla IRS w Nowym Jorku. Jego kobiety tu nie ma, ale to była znudzona cipka. Teraz siedzi na innym odcinku. Szkoda, że nie widziałeś, jak rozwalala robale z takiego czegoś, co nazywamy kropidłem. Ten trzeci starzał się przedtem na plantacjach trzciny cukrowej w Dominikanie. A teraz wszyscy są szczęśliwi, że robią to, co robią. Hivistahmowie dają nam całkiem dobre żarcie. Czego jeszcze chcesz? – Czarne oczy spojrzały z wyrzutem na Willa. – Niby czemu mamy się stąd wynosić?

Dulac musiał zebrać myśli.

– Może niektórym to służy, ale nie można pozwolić, aby cała ludzkość uwikłała się w...

– W co? – nie pozwoliła mu dokończyć zdania. – Nikt ci nie powiedział, nada? Ci Ampliturowie się nie cofają. Dasz im palce, a połkną cię całego i wpakują ten swój Cel do łba. – Wykonała znaczący gest dłonią. Przy okazji Will zauważył, że dziewczyna ma pomalowane na czerwono paznokcie.

– Może to tylko propaganda. Nie wiemy, czy Ampliturowie nie zostawiliby nas...

– Ja wiem swoje. Widziałam tych, którzy walczą dla Ampliturów. Krygolitów i Molitarów. Nie wiem, jak to mądrze powiedzieć, ale oni są jakby wyskrobani. Przenicowani i złożeni z powrotem do kupy. Geny im przerobili. Ja nie chcę mieć przerobionych genów, comprende? Ale Amplitura chciałabym zobaczyć. Podobno mają śliczne oczka, cztery stopy i wielkie czułki wyrastające z buziek. Ciekawe, czy potrafiłabym przerobić takiego na abstrakcję. Taka sztuka, wiesz... Karku im skręcić nie można, bo nie mają karków. To są, tego... bezkręgło... bezkręgowce. Nie wiem nawet, jak to jest po hiszpańsku – roześmiała się.

– Ale czemu tak was tu mało? Wszyscy ludzie są na froncie?

– Nie, ale powiem ci coś. Chyba przerażamy trochę tych tutaj. Tylko Massudzi patrzą na nas inaczej. Czemuś nas się nie lubi, może nie odpowiadają im nasze charaktery. – Wzruszyła ramionami. – Mniejsza z tym. Kogo to obchodzi, że nie chcą z nami przestawać. Jedyne S'vanowie są nieco

milsi, ale nigdy nie wiesz, co taki S'van myśli. Raz spytałam jednego, ale odpowiedział, że inni członkowie Gromady są delikatniejsi. No bo my czasem hałasujemy, ale do diabła, jacy mamy być? To nie bał dobroczynny tylko wojna. Nie możesz winić nikogo za to, jakim się urodził.

– Ale my też nie urodziliśmy się wojownikami – warknął Will. – To atawizm.

– Mów za siebie, stary. Ja musiałam walczyć przez całe życie.

– Czyli jednak byłaś żołnierzem.

– To nie tak, chociaż wiele miałam do czynienia z żołnierzami. Byłam puta, stary, prostytutką, kurwą. Wyjechałam z Mexico City, bo mój alfons chciał mnie zabić. Słyszałam wiele o bogatych turystach w Cancun, więc pojechałam tam. Jednego dnia taki zabawny Anglik podszedł i zaczął zadawać dziwne pytania. Potem pokazał mi złoto. Więcej złota, niż widzi się u jubilera. Powiedział, że też mogę trochę dostać. Za taką forszę zrobiłabym numer nawet na żyrandolu, ale jemu nie o to chodziło. Gadał coraz dziwniej, ale pomyślałam, czemu nie spróbować? Chciałam odjechać jak najdalej od Mexico City, a Belize to dalej niż Cancun – zachichotała. – Hombre, teraz to nie mam nawet pojęcia, jak daleko zawędrowałam. – Klepnęła Willa w plecy. – I już. Znasz Marię. Teraz opowiedz o sobie.

– Jestem muzykiem. Kompozytorem – odparł bez entuzjazmu.

– Naprawdę? Śpiewam trochę. Chciałam być piosenkarką, wiesz? Masz pojęcie, ile biednych dziewczyn jest w Mexico City? Szesnaście milionów, stary. Chyba połowa z nich chce zostać piosenkarkami. No i tak, zamiast kiepską piosenkarką, zostałam dobrą kurwą. Teraz jest lepiej. Zrobili mnie kapitanem. Może dlatego, że celnie strzelam, gadam prosto z mostu i niczego się nie boję. Jak myślisz? Mamy jeszcze jednego pułkownika i kilku majorów, ale na razie tylko tyle. Może gdy przyjdzie więcej ludzi, zajdziemy wyżej. Major Echevarria, to mi się podoba. Co myślisz? A może chcesz zabić jakiegoś Krygolita? Zorganizujemy ci broń.

– Nie chcę żadnego zabijania – odparł słabo Will. – Chcę tylko zobaczyć, co tu się naprawdę dzieje.

– Dobrze się dzieje, stary, bardzo dobrze. – Zmarszczyła brwi. – Chcesz spotkać innych? Może ci się nie podobam?

– To nie to – spojrzał na Marię. – Tylko trochę...

– Rozumiem, za dużo na raz. Powiem ci coś, mamy tu jednych takich, zabijaki nie z tej ziemi, może już wrócili. Przedstawię cię im.

– A jak wam idzie? – spytał mimowolnie. Cholerna ciekawość. – To znaczy w walce.

– Powiem ci. Ampliturowie podchodzili już do takiego jednego wielkiego miasta, gdy rzucono nas razem z Massudami na front. Od tamtej pory pogoniliśmy ich chyba z tysiąc kilometrów. Niedługo wyrzucimy ich z tej planety. To nawet łatwe, wiesz? Oni nie mają tu ani Europy, ani Afryki. Tylko jeden wielki kawał lądu i morze dookoła. Okrążymy ich siły i rąbniemy w główną bazę od

tyłu, a jeśli spróbują się wycofać, to posiekamy ich na plasterki. Nie sądziliśmy przedtem, że tak będzie, to znaczy tak łatwo. Massudzi tak nie potrafią, to prosty ludek, za dużo gadają, za mało robią. Zanim oni skończą naradę, to my już wracamy po robocie i machamy do nich, by dołączyli. Może jesteśmy dla nich za szybcy, kto wie? Ale lubią nas, za to że im pomagamy i mniej Massudów ginie. Jest dość miejsca jeszcze na kilka ziemskich armii. A jak tam sprawy na Ziemi?

– Wciąż tak samo. – Will nie wiedział, o co dokładnie chodzi.

– Lepiej, żeby przysłali więcej prawdziwych żołnierzy. Tych nam brakuje. Mamy kilku, którzy zaciągnęli się podczas urlopów czy na przepustkach. Jest nawet jeden rosyjski major. Gdy tylko się o nas dowiedział, wziął żonę i dzieciaki, i wydał wszystko na bilet, żeby statkiem dopłynąć na Jamajkę. Świetny facet. Po massudzku mówi lepiej ode mnie.

– Znasz massudzki? – Will aż usta otworzył ze zdumienia.

– Jasne. – Dziewczyna wydała kilka gardłowych dźwięków. – Nie takie trudne, tylko mało przekleństw. Nauczyliśmy ich kilku.

Will pokiwał głową. Oto jak zaczyna się krzewienie ludzkiej kultury.

– Jesteśmy na miejscu. To coś w rodzaju kasyna. Weszli do wygiętego w kształt półksiężyca pomieszczenia. Willa najbardziej zdumiało w pierwszej chwili wielkie okno, ale Maria wyjaśniła, że to tworzywo spolaryzowane w ten sposób, żeby odbić energię wybuchu nawet taktycznej głowicy jądrowej. Meble były tu proste i praktyczne, podłoga wznosiła się tarasami na różnych poziomach, trochę jak w teatrze. Gdzieś widać było popijających coś i rozmawiających Massudów i Hivistahmów. Najniższy poziom pełen był foteli i leżanek. Tam właśnie zebrali się Ziemianie. Oglądali coś na małych ekranikach wielkości dłoni i śmiali się rozgłośnie. Maria poprowadziła Willa w kierunku gromadki.

– Zdarzyły się jakieś ofiary? – spytał po drodze.

– Kilku zabitych, nieco rannych. To wojna, stary. Gdy widzisz, że przyjaciel ginie, tym gwałtowniej atakujesz. Massudzi tego nie rozumieją. Oni wtedy zawsze się cofają. U nas, im więcej ofiar, tym jest goręcej. Może robimy wszystko na odwrót, kto wie? Hej, Joh, Chang! – krzyknęła. – Prowadzę wam kogoś. Prosto z Ziemi.

Gdy poznali jego imię i nazwisko, obkoczyli Dulaca, wyściskali i wycalowali. Nie tego oczekiwał, liczył raczej na tęsknotę za domem, rozczarowanie. Ale nic z tych rzeczy. Czuł, że w ich reakcji nie ma żadnego udawania, jak to zdarza się czasem podczas koncertu, kiedy kompletni ignoranci klaszczą demonstracyjnie po każdej części utworu i siedzą dalej na sali, nudząc się upiornie, bo to przecież wielka sztuka i nie wypada wyjść. Ta gromadka ludzi, których los rzucił lata świetlne od domów, dobrze wiedziała, co mówi. Davis makler giełdowy, miał za sobą już jedną werbunkową podróż na Ziemię. Namówił kilku swoich przyjaciół. Wszyscy oni zrezygnowali z roboty, która przynosiła im kilkaset tysięcy dolarów rocznie, i poszli walczyć dla Gromady.

– Robienie pieniędzy pociąga, ale tylko na początku, wyjaśnił Davis, wachając uparcie jakąś

buteleczkę. – Ale potem przychodzi taka chwila, gdy czujesz, że to nie jest życie. Nie żeby ci było źle, ale bezmyślna rutyna zabija wszystko inne. – Wskazał na okno. – A tutaj nie ma miejsca na nudę. Na Ziemi zarobisz swoje, kupisz bardziej szpanerski wóz, większą chatę, latasz pierwszą klasą, gapisz się w coraz większy telewizor z wodotryskiem i co z tego? Co to ma wspólnego z prawdziwym życiem? Możesz startować do Kongresu albo do Banku Rezerw Federalnych, myślisz, że zrobisz coś dobrego, ale ostatecznie i tak nikt nie widać w tłumie zwykłych biurokratów. Co to za życie? Ale wracając do rzeczy, naprawdę nie wiesz, co tu się dzieje? – spytał niegdysiejszy makler. Wyraźnie żał mu było zagubionego Willa. – Sam nas tu ściągnąłeś i nie wiesz? – spojrzał na Marię. – Czy Will widział już więźniów?

– Nie, dopiero przyleciał.

Davis pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Najpierw zobacz jakieś przesłuchanie. Wszyscy tutaj wierzymy w sens tej roboty, niezależnie od tego, z jakiego zakątka Ziemi pochodzimy czy co tam robiliśmy. Cieszymy się szacunkiem, jakiego dotąd nie znaleźliśmy, jakiego nie zaznał żaden człowiek w całej historii świata. Słyszałeś, co Ampliturowie robią ze swoimi poddanymi? – Słyszałem, że robią im pranie mózgu i potem kontrolują myśli. – Trudno nazwać to kontrolą. To coś bardziej subtelnego i gorszego zarazem. Nie widziałeś krygolicznych zombie, jak leżą na ciebie przy natarciu. Paskudny widok. Oni mają tak zmienione DNA, że to przechodzi na potomstwo. – Znowu spojrzał na Marię. – Musisz mu ich pokazać.

– Tak, właśnie – powiedziała rozparta na kanapie kobieta pochodząca najwyraźniej gdzieś z Dalekiego Wschodu. – Pokaż mu tych dwóch Aszreganów z kawalerii, których złapaliśmy w zeszłym tygodniu – dodał jakiś ciemnoskóry mężczyzna z tyłu.

– Kawalerii?

– Powietrznej. Mają coś w rodzaju latających skuterów – wyjaśnił Davis. – Nie pytaj mnie, jak to działa. Wiem tylko, że śmigają jakieś pół metra nad ziemią i mogą latać nad wszystkim, wodą, błotem, skałą. W każdym jest pilot i strzelec. Są naprawdę szybkie, ale trafione rozlatują się na kawałki. Rzadko zdarza się, by któryś miękko wylądował. Zwykle latają nimi Krygolici, ale czasem na pokładzie bywa i coś innej rasy. Pokaż mu wroga, Mario. – Makler klepnął Willa w ramię. – A potem zajrzyj tu jeszcze. Pogadamy. – Uśmiechnął się. – Wiesz, jesteś tu trochę jak postać z bajki, jakby legenda. Nie tylko wśród nas, Massudzi, S’vanowie i inni też o tobie słyszeli.

– Ale ja nie chcę, żeby tak było – jęknął Will.

– To nie tak. – Mniejsza z tym. Protestuj, ile chcesz, ale tego nie wyplenisz. Etykietka bohatera przyłgnęła do ciebie i koniec. – Powąchał buteleczkę. – Na razie ciesz się życiem. Tu nie ma powodu do nerwów. Żarcie mamy dobre, gospodarze wciąż wymyślają dla nas nowe rozrywki. Muszą przecież jakoś trzymać tych zwariowanych ludzi w formie.

Will przyjrzał się uważniej butelce. Nie było to szkło, brakło otworu, na dodatek Davis niczego nie przełykał. Mężczyzna zauważył ciekawe spojrzenie. – Takie perfumowane święństwo do inhalacji. Daje miły szmerek, ale nie uzależnia. Kaca też nie zostawia. Tak, jakbyś wachał lody truskawkowe.

– Zatyczka do nosa – rzucił ktoś i wszyscy się roześmiali.

Maria wzięła Willa za ramię.

– Zobaczymy się potem – rzuciła przez ramię do pozostałych.

– Właśnie, nie spiesz się, do zobaczenia, Mario. – Towarzystwo pożegnało ich w kilku językach.

Wyszli z kasyna. Dulac wciąż bił się z myślami. Naprawdę nie tego oczekiwał.

Rozdział 20

W miejscu, gdzie korytarz rozszerzał się i jego przekrój przybierał owalny kształt, stało kilka otwartych wagoników, każdy z dwiema przeciwległymi ławami i małym panelem kontrolnym. Maria dotknęła kilku przycisków i pojazd ruszył w głąb tunelu. Mimo sporej szybkości Will nie czuł podmuchu powietrza, chyba istniała tu jakaś niewidoczna osłona.

– Wyglądasz na zatroskanego – powiedziała dziewczyna, spoglądając na oblicze Dulaca.

– Bo wszyscy wydajecie się tacy szczęśliwi.

– Bo jesteśmy, compadre. Wszyscy tutaj mają za sobą różne zakręty życiowe, pochodzą z różnych krajów, wyrastali w różnych zwyczajach, ale teraz są równi. Teraz wszyscy jesteśmy obcokrajowcami. Mamy coś do zrobienia, coś dobrego, i jeszcze złoto mnoży nam się na kontach jak szalone. Kto by się nie cieszył?

– Ja. Jak myślisz, ilu walczy nie tylko dla złota?

– Nie wiem. Różnie to wygląda. Ale nieważne, bo złoto jest tak czy inaczej.

– Czy nie dociera do nikogo, że S’vanowie i Hivistahmowie stronią tak od was właśnie dlatego, że walczyacie za pieniądze?

– I co z tego? I tak są cudacznymi.

– Gdy ludzie zaczną stąd wracać na Ziemię, to niejedynemu spyta, skąd to złoto? Sprawa się wyda.

Wzruszyła ramionami.

– Nie przeszkadza mi to. Ale wiesz, niektórzy wzięli dzieciaki.

– Mówiłaś coś o Rosjaninie z rodziną.

– Kilko urodziło się już tutaj. Mamy własny żłobek.

– A nauka?

– Nauczycieli też mamy. Dzieciaki uczą się różnych rzeczy. Na przykład siostry Saki. Po massudzku mówią lepiej niż sami Massudzi.

– To nie w porządku, żeby pakować dzieci w coś takiego. Nie mają najmniejszego pojęcia, o co chodzi. Ile mają lat?

– Chyba dziewięć i dwanaście.

– Zapomną o Ziemi.

– Nie szkodzi. I tak są szczęśliwe. Któregoś dnia wyrosną na dobrych żołnierzy.

Will aż się wzdrygnął. Musi być jakiś sposób, aby przerwać ten koszmar.

Pojazd dowiózł ich do ruchomego chodnika głęboko w trzewiach góry. Obecni tu Massudzi byli uzbrojeni i od razu spojrzeli pytająco na Ziemian. Bez ceregieli wyjaśniono kto, skąd i dokąd. To już nie było kasyno.

Po drodze Maria zamieniła kilka zdań z jednym z żołnierzy, na zmianę używając tłumacza i łamanego massudzkiego. Czasem mijali też Hivistahmów i O'o'yanów, nawinął się nawet jeden Wais.

– A jak porozumiewacie się podczas walki?

– Po angielsku. Jakoś tak się przyjęło. To wygodniejsze niż korzystanie z tłumaczy.

– Nie próbowali przeforsować własnego języka?

– Do diabła, każdy tu mówi trochę po massudzku, znamy mowę S'vanów. Na tyłach jest łatwiej, zawsze znajdzie się jakiś Wais i przetłumaczy. Mili są. Lubię ich bardziej niż S'vanów. Bo ze S'vanem nigdy nie wiesz, czy śmieje się z ciebie czy do ciebie. Jak rozmawiasz z Waisem, to zawsze kojarzysz, o co chodzi.

Przystanęła przed drzwiami pilnowanymi przed dwójką uzbrojonych Hivistahmów. Widok ten mocno zdziwił Willa.

– Ta broń nie zabija, tylko paraliżuje – wyjaśniła dziewczyna. – Szkoda marnować Massudów do służby wartowniczej – uśmiechnęła się. – Nie mówiąc już o ludziach. Zresztą te jaszczury nie musiały jeszcze nigdy strzelać, stąd się nie ucieka.

Szepnęła coś do ściennego terminalu i poczekała, aż drzwi się otworzą. Za drugim punktem kontrolnym trafili do wysokiego pokoju ze skromnym umeblowaniem. Echevarria przytrzymała Willa za ramię i przesunęła dłoń po niewidzialnej barierze, za którą kręciło się dwoje więźniów. Mieli dość miejsca.

– To cela dla czterech. Nigdy nie pakują ich więcej do jednego pomieszczenia.

Will zamrugał. Więźniowie w prostych ubraniach spojrzeli na niego z nie mniejszym zainteresowaniem.

Niewielkie oczy wyglądały spod wydatnych brwi, kostna wypustka okalała cofnięte ku tyłowi uszy, nos był płaski, z dwoma otworami, usta małe, ale robiły wrażenie zdolnych do szerokiego rozwarcia, być może za sprawą elastycznego zawieszenia szczęk. Ręce długie, nogi dziwnie krótkie.

Pomijając te różnice, więźniowie bardzo przypominali ludzi.

– Aszreganie – skrzywiła się Maria. – Facjaty do śmiechu i ogólnie kancjaści, ale zbytnio się od nas różnią, co? Nie pomylisz ich z Massudami czy S’vanami, ale ciebie mogliby udawać. Mnie nie. Nie jestem aż tak szpetna.

Jeden z obcych podszedł do bariery i powiedział coś cicho.

– Chce wiedzieć, kim jesteś – powiedziała Echevarria.

– Rozumiesz go? – spytał Will, ale zaraz przypomniał sobie, że musi dostroić translator.

– Nienosisz munduru i to go zdumiało.

– To sojusznicy Ampliturów?

– Od jakichś sześciuset lat. Dość, żeby dostać kuku na muniu. Wszyscy od dawna nic tylko marzą o tym cholernym Celu.

– Rzeczywiście są bardzo podobni do nas.

– My też to zauważyliśmy – powiedział osobnik rodzaju męskiego. Głos miał chropawy, ale miły. – Jestem tylko prostym żołnierzem naszej sprawy, niewiele wiem o teorii równoległej ewolucji. Nie śmiem się wypowiadać na ten temat. – Uśmiechnął się.

Will zmusił się, żeby przemówić.

– Dlaczego Ampliturowie dążą do podbicia innych ludów? Czemu pozwalacie, by wami pomiatali?

Oboje Aszreganie wymienili zdumione spojrzenia.

– Wobec Celu nie ma panów ani sług. Każdy pomaga najlepiej, jak umie. Aszreganie walczą. Ampliturowie doradzają.

Maria przysunęła się bliżej. Pachniała naprawdę intensywnie.

– Señor Davis chyba nie przesadził, prawda? Ampliturowie nie wydają rozkazów, podsuwają tylko „sugestie”.

Aszreganie podsłuchali ostatnie słowa.

– Całymi latami moglibyśmy dyskutować o semantyce. Ale czy ludzie nie przyjmują rady od

S'vanów? A przecież to nie czyni jeszcze S'vanów niczymi panami.

– W walce robimy to, co sami uznamy za stosowne – wypaliła Maria.

– W ogniu każdy improwizuje – odparł Jeniec.

– Skoro chcecie żyć dla tego swojego Celu – wtrącił się pospiesznie Will – to niech wam będzie, ale skąd ten upór, by wszystkich w to wpakować?

– Sami wiemy, że łatwiej byłoby was zignorować. Mniej byłoby bólu i cierpienia. Ale ktoś, kto doświadczył światłości Celu, nie może z czystym sumieniem odmówić innym szansy do poznania tego piękna. Szansy na wyniesienie do miana istot prawdziwie cywilizowanych.

– Może i tak – naciskał Will – ale jeśli ktoś nie życzy sobie takiego wyniesienia, nie pragnie waszego „piękna”?

Aszreganie znów się uśmiechnęli.

– Spójrz wokół. Co widzisz? Massudów, Hivistahmów i S'vanów zjednoczonych w walce przeciwko prawdziwej jedności i pokojowi. Splot jest tworem z gruntu sztucznym, spajanym jedynie przez fałszywe przekonanie, że można odwrócić się od Celu. Gdyby nie walka ze Wspólnotą, dawno już zaczęlibyście wybijać się wzajemnie. W ten sposób nigdy nie osiągniecie prawdziwej harmonii. No i powiedz mi, Ziemianinie, po czyjej stronie widać światło prawdy, niewzruszoną logikę?

– Bo my, Aszreganie, jesteśmy w pełni zadowoleni – dodała partnerka więźnia.

– To dlatego, że macie pusto w głowach – warknęła Maria.

Jeniec spojrzał na nią.

– Frustracja przez ciebie przemawia – odezwał się głosem kaznodziei. – Wy, Ziemianie, jesteście wspaniałymi żołnierzami. Aszreganie nie spotkali jeszcze kogoś takiego. Czemu ginąć za Ślepotę Gromady, jeśli można cieszyć się światłem Celu? Odmawiacie sobie prawa do godnego życia, uwiedzeni kłamstwami S'vanów i reszty. S'vanowie potrafią uwodzić muzyką swych słów. Wykorzystują was do swoich celów. Pomyślcie i spróbujcie przekonać innych. Ampliturów nie można pokonać. Nie można odwrócić tysięcy lat biegu historii. Waszym przeznaczeniem jest uznać wielkość Celu, porzucić prymitywne sojusze Splotu. Ampliturowie przyjmą was na swe łono z radością, bowiem w ten sposób wyrwą was kulturze śmierci, ocalaą przed zagładą, która zawsze umniejsza blask Celu.

Will milczał przez dłuższą chwilę. Zastanawiała go elokwencja tego żołnierza. A może został on stosownie... „zaprogramowany”?

– O ile dobrze zrozumiałem, spełnienie Celu ma oznaczać skupienie wszystkich istot inteligentnych w jedną federację?

– Właśnie – przytaknął uradowany Aszregan.

– A potem?

– Ampliturowie przypuszczają, że po dopełnieniu się integracji wstąpimy na kolejny etap ewolucji. Czy będzie to stadium zbiorowej superświadomości, czy co innego, tego nikt jeszcze, nawet Ampliturowie, nie wie na pewno.

– A ile ras inteligentnych trzeba zgromadzić, aby federacja osiągnęła pożądaną wielkość?

– Tego nie wiadomo. Od tysięcy lat starają się powiększyć swoje szeregi.

– A jeśli nic z tego nie będzie? Żadnego wyższego stanu świadomości, żadnego stopienia się umysłów, nic, zero, nul? Jeśli okaże się, że wszystkie te podboje Ampliturów do niczego nie doprowadzą?

– Muszą. Przecież mamy Cel.

– A co wy o tym sądzicie? – spytała istota płci żeńskiej. – Czy macie lepszą teorię?

Willa aż zatkało. Przybył tu, by siać antywojenną propagandę. Nie zamierzał roztrząsać metafizycznych zawiłości.

– Nie. Uważamy jednak, że nie można sterować niczym losem w imię niepewnych ideałów, a szczególnie wskrzeszania instynktu stadnego.

Kobieta zamachała rękami. U każdej dłoni miała pięć palców, jednak bez paznokci.

– Ależ osiągnięcie Celu daje słodycz i uczucie spełnienia tak intensywne, że nie potrafisz sobie tego nawet wyobrazić.

– Niemniej niektórzy ludzie mogą preferować niezależność. Lubimy wolność myśli i wyboru.

– To nielogiczne. Niecywilizowane. Jak można stawiać pragnienia jednostki ponad dobro wszystkich istot?

– A może my chcemy pozostać niecywilizowani? To nasza sprawa.

– Mówicie tak, bo nie znacie lepszego życia. Nie znacie światła. Obawiam się, że was nie przekonam. Gdyby był tu jakiś Amplitur...

– ...to zaraz wszyscy zobaczylibyśmy Cel cały w kwiatkach i koronkach – wtrąciła oparta o ścianę Maria. Od paru minut tylko słuchała, ale teraz przeciągnęła się i spojrzała na Willa. – Objąłby nas miłośnie mackami, zajrzał głęboko w oczy, podobno mają piękne oczy. Potem czuje się takie łaskotanie, gdzieś tutaj – klepnęła się w bok głowy. – A potem widzi się to całe światło prawdy. Nagle rozumiesz wszystko. Robią to pechowym Massudom i S'vanom. Niektórych daje się wyleczyć, inni umierają w męczarniach. Ci tutaj to produkt sterowanej ewolucji. Choćbyś ich wkreślił w wyzmaczkę, nie zrobią niczego samodzielnie. Nie wiedzą, na czym polega wolna wola.

– Jesteśmy tylko prostymi żołnierzami i nie liczymy na sukces w przekonywaniu – odezwał się wciąż nie zrażony Aszregan. – Możemy opowiedzieć wam tylko uczciwie o sobie, o naszym własnym szczęściu. Słyszeliśmy już trochę o was. Aszreganie też walczyli kiedyś ze sobą, ale takie konflikty zostały już dawno za nami. Pracujemy razem dla Celu i jesteśmy szczęśliwi.

– Dobra, dobra – rzuciła Maria. – Trzymajcie tak dalej, bo jak nie, to przyjdzie Amplitur i was doszczęśliwi.

– Nie wiesz, jakie to szczęście stanąć przed Ampliturem – odparła kobieta. – Odmawiasz sobie prawa do godnego życia. Widać jeszcze nie dorośliście.

– Zależy do czego. Do szczęścia na pewno – mruknęła pani kapitan. – Chodźmy już stąd. Dość mam tych ofiar lobotomii. – Wzięła Willa za ramię i ruszyła do wyjścia.

– Pamiętajcie! – krzyknął za nimi Aszregan. – Dwie są niezależności. Jedna prawdziwa, która pozwala służyć Celowi, druga mroczna, co każe zabijać dla ułudy! – Głos nie umilkł, aż doszli do pierwszego posterunku. – To nie jest cywilizowane życie!

– I co o tym myślisz? – spytała Maria, gdy byli już na korytarzu.

– Sam nie wiem – odparł powoli Dulac. – Są bardziej rozumni niż oczekiwałem. I bardzo do nas podobni.

– A, owszem. Równoległa ewolucja. Tyle tylko, że w głowach im chlupocze.

– Nie przypominają robotów czy zombie.

– W zasadzie są równie niezależni jak ty czy ja, ale gdy przychodzi do rozmowy o Celu, to koniec. Klapki na oczach, zawór w mózgu. Trzeba dopiero zmienić temat. A właśnie. Pójdiesz z nami na pierwszą linię? Załatwię, żeby wydali ci broń. Zobaczysz, jak spychamy Aszreganów i Krygolitów przez cordillera do morza. Jak tylko przyleci następny kontyngent z Ziemi, zaczniemy porządną ofensywę – szepnęła konspiracyjnie. – Massudzi wciąż się wahają, ale my mamy dość siedzenia w miejscu. Major mówi, że czas skopać im dupy. Wiesz, jak to brzmi po rosyjsku? A jeśli jakiś Amplitur stanie nam na drodze, też dostanie w dupę. Chociaż oni chyba nie mają tyłków. – Uśmiechnęła się jak wilczyca. Teraz było widać, że nie jest beztroską nastolatką. – A jak skończymy tutaj, to polecimy na następną planetę, S’vanowie nie powiedzieli nam jeszcze, na jaką. Ale na pewno nie będziemy cackać się z robalami przez selki lat jak Massudzi. – Klepnęła Willa w siedzenie, aż ten podskoczył.

– Jak na kompozytora to z tyłu wyglądasz nawet nieźle. Może gdybyś poczuł się potem nieco znudzony i zapragnął towarzystwa... comprende? To całkiem fajna sprawa, gdy nie robi się tego za pieniądze.

– Pomyślę o tym – wykrztusił z siebie Will i na wszelki wypadek szybko zmienił temat. – Muszę to sobie przetrwać, a J’hai chce pokazać mi jeszcze resztę bazy i...

– Dobra. – Szturchnęła go po przyjacielsku. – Gdybyś mnie szukał, to spytaj kogokolwiek.

– Dobra.

– Chcesz zobaczyć coś ciekawego?

– Oczywiście – mruknął Will.

Podsunęła mu pod nos swoją dłoń. Smukłą, wybitnie kobiecą.

– Przyjrzyj się. – Wyprostowała palce.

– Niczego nie widzę – stwierdził nieco skołowany Dulac.

– Nie widzisz? Nie ma linii. – Rzeczywiście, jej dłoń była idealnie gładka. – S’vanowie są mądrzy, ale nie dorównują w zręczności Hivistahmom. Gdyby jeszcze te jaszczury chciały walczyć... Pocisk urwał mi rękę, o tutaj – przesunęła palcem po nadgarstku, około pięciu centymetrów powyżej dłoni. – Jaszczury znają się na regeneracji, ale linii nie potrafiły odtworzyć. Tych na palcach też nie mam. Podobno Ampliturowie umieją odtworzyć wszystko. – Pokazała gdzieś na wschód. – Ale i u nas, jak oberwiesz, to jeśli tylko zostanie dość kawałków, jaszczury poskładają cię do kupy, choćbyś miał potem łązić z plastikowymi flakami. Naprawdę o nas dbają. Może nas niezbyt lubią, ale starają się jak mogą. Wsiadli do pojazdu.

– A co ze S’vanami? Myślałem, że oni wszystkich lubią.

– Tak mówią. Sama nigdy nie widziałam, żeby byli napastliwi. Zawsze są przyjaźnie uśmiechnięci. Czasem myślę sobie, że robią żarty z konieczności. Tacy są mali i słabi... Jak złościć się na kogoś, kto ciągle żartuje? Nawet Lepar załatwiłby takiego miśka – uśmiechnęła się. – A wiesz, ilu Leparów trzeba do wymiany fotoogniw?

– Nie – mruknął Will.

– Trzech. Jeden trzyma oprawę, drugi ładuje nowe ogniwo a trzeci pilnuje tych dwóch, żeby niczego nie zjedli – zachichotała.

– Ja raczej lubię Leparów – stwierdził Will i sam zdumiał się swoim stanowczym tonem. Dziewczyna spoważniała.

– Nie bądź taki serio, chłopie. Ja też ich lubię. Wszyscy ich lubią. Te stwory urabiają sobie ogony, żeby tylko wszystkim pomóc. Są tak powolni i na oko naiwni, że trudno nawet wrzasnąć na któregoś. – Wózek zaczął zwalniać. – Zaprowadzę cię do J’haia. Na pewno nie chcesz broni?

– Nie – odparł Will. – I tak, gdzie nie spojrzę, tam widzę coś strzelającego.

Rozdział 21

Probus miał robotę do wykonania i dodatkowe obowiązki dość go irytowały. Spojrzał w górę, potem dookoła, prawym okiem zlustrował narośl wystającą w dwóch trzecich długości nakrapianego pomarańczowo korpusu.

– Obudź się, Testus – powiedział.

Miniaturowe słupki oczne wyłoniły się z fałdów ciała i załśniły wilgotnie. Potomek wyciągnął się, wykazując gotowość i posłuszeństwo.

Minie jeszcze trochę czasu, a będzie już w pełni uformowany i oddzieli się od ciała rodziciela. Od razu wykształcony i dojrzały. Udane pączkowanie to wielkie szczęście, ale niestety, wiązało się zawsze z szeregiem niedogodności.

Jednak Probus był na tyle zdolny i bystry, że dowództwo mimo to życzyło sobie jego obecności na najbliższej sesji.

Dziwne. Nedorostek powinien mieć spokój, dużo spokoju. Musi nauczyć się panować nad swoimi układami – oddechowym i krwionośnym.

Na razie mieli jeszcze trwać połączeni. Probus starał się patrzeć na sprawę optymistycznie. Może udział w spotkaniu da coś jego potomkowi, zawsze to więcej doświadczenia.

Malec odpowiedział, machając miniaturowymi czułkami, i poruszył mackami, które potrafiły objąć już co mniejsze przedmioty. Cztery nogi tkwiły jeszcze w ciele rodzica. One oddzielią się ostatnie.

Pokój był zatłoczony. Probus odnotował obecność całego dowództwa razem z sojuszniczą kadrą oficerską. Zajął miejsce z boku i przywitał się z pobratymcami. Komendant wystąpił przed wszystkich i Ampliturowie uspokoili swych zmutowanych przyjaciół, wydając w myślach stosowne polecenie.

Komendant przemówił głośno. Dla wygody ogółu przekładał lotne myśli na chropawy język dźwięków.

– Jak wszystkim wiadomo, straciliśmy Vasarih, istnieje poważna groźba, że stracimy też Aurun. Vasarih była zawsze niepewną placówką, ale Aurun uważaliśmy już za świat opanowany. Aurunianie porzucili zdegenerowaną Gromadę i otworzyli oczy na piękno Celu. Jednak ostatnie wydarzenia zawróciły ich z drogi szczęścia. – Krygolici zaszemrali. Najwidoczniej o tym ostatnim nie wiedzieli.

– Gromada zyskała nowego sojusznika, istoty wybitnie wojownicze, łączące w jedno prymitywną dzikość i zaawansowaną technologię. Najpierw pojawiły się one na Vasarih, w niewielkiej liczbie, dlatego gotowi byliśmy sądzić, że są rdzennymi mieszkańcami tego świata. Znamy już takie przypadki, że na jednej planecie rozwijają się dwie rasy inteligentne. Dalsze badania dowiodły jednak, że istoty te pochodzą z jakiejś własnej planety. Było ich mało, ale i tak zdestabilizowały sytuację na Vasarih. Zaobserwowano też pewne efekty uboczne.

– Na przykład? – spytał Probus, nakazując jednocześnie potomkowi zdwoić uwagę.

– Przy ich boku Massudzi walczą lepiej. Te istoty mają dar integrowania innych wokół siebie. Być może potrafią wpływać także na Hivistahmów i S’vanów, chociaż na razie to tylko nie potwierdzona hipoteza. Tak czy inaczej, stanowią poważne zagrożenie. Poddanie sekcji kilku ciał nie wyjaśniło wiele, wiemy tylko tyle, że ich systemy nerwowe i mięśniowe są rozwinięte w stopniu nie spotykanym u ssaków. Jak można oczekiwać, Gromada chroni ich jak może. Zdołaliśmy jednak zdobyć kilka żywych okazów. One dostarczyły nam najwięcej informacji. – Komendant skinął na Dalekowidzącego, który zajął miejsce mówcy.

– Okazy ujawniły zdumiewające zdolności motoryczne, ale nic ponadto. Wyposażone były w standardowe uzbrojenie Gromady. Żadnej superbroni, nic, czego byśmy już nie znali.

– Zwyciężaliśmy na Vasarih – odezwał się krygoliczki oficer – gdy nagle pojawiły się te istoty. Stosują nietypowe metody walki. Taktyka i strategia Massudów jest dla nas czytelna, ale z nimi jest inaczej. Ich działania pozbawione są logiki, a nawet elementarnej rozsądku. Można uznać ich za szalonych. Są gotowi do osobistych poświęceń i zupełnie nieobliczalni.

Dalekowidzący poczekał chwilę, aż umysł Krygolita odzyska równowagę.

– Nie udało się dotąd sformułować właściwych kryteriów oceny tych istot. Każdy ich oddział zdaje się zachowywać inaczej i jakby niezależnie od woli wspólnego dowództwa. W rezultacie nie można praktycznie wyprzeć ich z utraconego terenu. Silni fizycznie, w zdumiewającym tempie opanowują systemy broni Gromady, choć nie są zbyt odporni.

Głos zabrał następny Krygolit.

– Aurun możemy uznać za stracony. A już czuliśmy się tam bezpiecznie. Potrzebujemy rady, Najmędrsi. Pora na decyzje taktyczne.

– Decyzje zapadną – mruknęło jednocześnie kilku Ampliturów.

– Czas na Oświecenie – odezwał się Komendant. Tylne drzwi stanęły otworem, wszystkie oczy spojrzały na dwóch wyjątkowo olbrzymich Molitarów prowadzących między sobą nieco tylko niższą, lecz znacznie szczuplejszą Massudkę. Zatrzymała się równo z eskortą i omiotła spojrzeniem cały krąg obcych. Ze zdumieniem odnotowała obecność Ampliturów, z których jeden miał nawet niebawem rodzić. Pożałowała, że nie ma żadnej broni. Wiedziała, że jak jej użyć. Ręce krępowała jej szybko schnąca pianka.

– Po co mnie przyprowadziliście? – spytała, otrzymawszy translator. – Czego chcecie? Wątpię, byście chcieli narażać swe cenne skóry na szwank.

– Przecież wiesz, że nie cierpimy przemocy – upomniał ją Dalekowidzący.

– Chcesz powiedzieć, że wolicie wyręczać się innymi w walce?

– Służymy sprawie na miarę naszych możliwości. – Dalekowidzący podszedł do więźnia. – Wcale nie potrzebujemy strażników, by się z tobą spotykać.

Massudka odwróciła spojrzenie od pięknych, czarnych oczu Amplitura.

– Nie zamierzamy cię zabić – szepnął Komendant. – Chcemy tylko poznać prawdę. Mieliśmy ostatnio pewne kłopoty na Vasarih.

– Kłopoty! Straciliście Vasarih – odparła Massudka z pasją i złote błyski mignęły w jej szarych oczach.

– Do pewnego stopnia masz rację – przyznał Amplitur. – Ale to nie za waszą przyczyną, tylko tych nowych istot. Wy też znaleźliście kogoś, kto walczy za was, zatem nie feruj pochopnych ocen.

Dziewczyna szarpnęła się w pętach.

– Massudzi walczą razem z Ziemianami. To nasza wspólna wojna.

– Nie możemy na to pozwolić. – Komendant machnął wymownie czułkiem. – Te istoty działają nazbyt skutecznie. Owszem, podejmiemy do nich z naszą zwykłą cierpliwością, damy im szansę jak wszystkim, ale po co mamy się cofać, jeśli możemy uczynić krok do przodu. Chcemy, abyś powiedziała nam wszystko, co o nich wiesz.

– Jasne, że chcecie – odparła Massudka, jednak nie tak pewnie jak przedtem, i spojrzała na innego Amplitura, który stał nieruchomo za Komendantem.

Ten wycofał się i zrobił miejsce Probusowi. Massudka próbowała odsunąć się, ale trafiła plecami na zwalistego Molitara. Probus skoncentrował się. Na chwilę zapadła cisza. Potem pojmana jakby omdlała, oczy uciekły jej w głąb czaszki, nos, uszy i baczki znieruchomiały.

Umysł ma czysty jak biała karta, pomyślał Probus. Gotowy do nauki. Żadnych barier, uprzedzeń, zahamowań.

To było o wiele prostsze niż zwykle przesłuchanie. Nie marnowało się czasu na pertraktacje z więźniem, nie trzeba było wysłuchiwać przekleństw czy protestów. Umysł Massudki reagował jak każdy inny.

Gdy było już po wszystkim, Probus zwolnił uścisk. Massudka zadrżała i prawie upadła, ale Molitar ją podtrzymał. Probus wyjaśnił jeszcze sens zabiegu potomkowi i cofnął się między pozostałych pięciu Ampliturów, z którymi przez cały czas pozostawał w kontakcie myślowym.

– Weźcie ją teraz i dobrze traktujcie – powiedział Komendant. – To dobry umysł, któregoś dnia posłuży Celowi.

– Ziemia jest mniej niż myśleliśmy – odezwał się jeden z szóstki.

– Tym dziwniejszymi jawią się ich dokonania – zauważył Probus.

– Nie wolno nam lekceważyć tego niebezpieczeństwa. – Komendant wyraźnie lękał się czegoś. Niecierpliwił się, aby podjąć działanie. – Gromada będzie kryła położenie ich macierzystego świata. Ta Massudka wiedziała tylko, że Ziemia pochodzi z jakiejś nader odległej okolicy.

– Uzyskanie tej informacji będzie nas wiele kosztowało – stwierdził senior grupy.

– Owszem, ale sytuacja tego wymaga – powiedział Komendant. – Za wszelką cenę musimy powstrzymać rozprzestrzenianie się tej zarazy. Czekam na propozycje.

Krygolici, Aszreganie i Molitarowie stali cierpliwie i czekali, aż Ampliturowie zakończą naradę. Po ruchach czułek i szypułek ocznych można się było zorientować, że dyskusja ma burzliwy przebieg. Jednak co przyniosła, tego nikt poza samymi Ampliturami nie wiedział.

W końcu Komendant przemówił.

– Ta rasa nie zna technologii Gromady. Na świecie zwanym Motar założono bazę szkoleniową dla Ziemiań. Prawie nie nadzorowaliśmy dotąd tej planety, teraz wysiłki zostaną wzmożone. Trzeba dowiedzieć się jak najwięcej o tych istotach, skąd pochodzą i czemu walczą u boku obarczonych dewiacją Massudów.

– Wszystkie nasze niepowodzenia są przejściowe. Żadna przegrana nie jest ostateczna – dopowiedział Probus. – Poradzimy sobie z tym, jak ze wszystkim w naszej historii. Zdwoimy wysiłki, aby pokonać niebezpieczeństwo.

Ampliturowie przekazali podwładnym sygnał, że narada dobiegła końca. Tamci podziękowali i zaczęli wychodzić. Po drodze dyskutowali zawzięcie nad tym, co właśnie widzieli. Uprzednia niepewność zniknęła bez śladu, jej miejsce zajął świeży zapas entuzjazmu. Po części prawdziwego, po części sterowanego, ale przecież Ampliturowie nie mogli pozwolić, aby ich sojusznicy czuli się nieszczęśliwi.

Rozdział 22

Kantata wymagała już tylko drobnej kosmetyki i Will wiedział, że to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek skomponował. Lepsza nawet od „Arkadii”. Miał nadzieję, że gdy tylko wysłannicy Gromady opuszczą Ziemię, utwór doczeka się wykonania.

„Arkadią” zwrócił na siebie uwagę, kantata zapewni mu pozycję. Koniec z nauczaniem głuchych na dźwięki panienek z bogatych rodzin Południa. Potem już pójdzie. Następna będzie opera, dalej poemat symfoniczny.

Życie było piękne.

Odgłos kroków na pokładzie skłonił go do wyjrzenia na jasne, karaibskie słońce, gdzie Kaldaq czekał już na pozwolenie wejścia do kabiny. Za nim stał T’var. Zobaczywszy gości, Will wrócił do szafki z zamkiem cyfrowym, wybrał kombinację i wyciągnął otrzymany od obcych translator.

– Co za niespodzianka w samym środku dnia? – powitał dowódcę bazy.

– Nie ma czasu do stracenia – odparł z powagą Kaldaq i usiadł na podłodze. Plecy oparł o stół nawigacyjny. – Podejrzewamy, że Ampliturowie ustalili położenie Ziemi.

– Och.

Will opadł na kanapę naprzeciw Massuda. Wszelkie myśli o muzyce momentalnie uleciały mu z głowy. T’var gramolił się na fotel.

– W jaki sposób?

– Nie wiemy dokładnie, ale czy to takie istotne? Od pewnego czasu przejawiali wielką aktywność w rejonie Motaru, gdzie ziemscy rekruci przechodzą wstępny trening. Teraz grupują siły w pobliżu P’hoh. To prowincjonalny świat, niewart ani zdobywania, ani obrony. Nie mamy jeszcze pewności, co jest przyczyną tej koncentracji, ale P’hoh to najbliższa Ziemi planeta opanowana przez Ampliturów.

– Rozumiem – mruknął Will. – I co teraz?

– Rada Wojskowa spotkała się już z Radą Generalną. Postanowiono zawiadomić rządy Ziemi. Na nich będzie spoczywać odpowiedzialność za dalsze wasze działania. Gromada nie może decydować za was.

– Myślałem że poczekacie z tym, aż sprawa przydatności naszych żołnierzy stanie się jasna.

T'var pokręcił głową tak intensywnie, że było to widoczne mimo gęstego zarostu.

– Nie da się. Jeśli Ampliturowie tu przylecą, Gromada pomoże wam bronić Ziemi, ale musicie zdawać sobie sprawę z zagrożenia. Znacie się wystarczająco dobrze na prowadzeniu wojny, by wiedzieć, iż najpewniej nie powstrzymamy wszystkich lądowików wroga. Jak wszędzie indziej, decydujące bitwy trzeba będzie stoczyć na powierzchni planety.

Will milczał.

– Te kilka tysięcy Ziemiaków, którzy znają systemy walki i broń Gromady, szykuje się już do powrotu z Vasarih i Aurun, by wyszkolić następnych. Jesteśmy pewni, że wasze armie zrobią co w ich mocy, ale z pomocą weteranów pójdzie im o wiele łatwiej. – Wszystko zależy od tego, jak szybko uporacie się z przygotowaniem i ile czasu dadzą wam Ampliturowie.

– Ależ nie wiadomo jeszcze, czy tu przybędą – zaprotestował Will. – Może wciąż nie wiedzą o Ziemi.

– Spotkali was na Vasarih i Aurun – powiedział T'var. – Nie zbierają sił bez wyraźnej przyczyny. Bo na pewno nie chodzi im o jałowy P'hoh – zauważył od niechcenia T'var.

Kaldaq spojrzał uważnie na Dulaca.

– Jest jeszcze inna możliwość. Wszyscy, włącznie z Radą, przywiązują wielką wagę do twojej osobistej opinii. Jeśli zdecydujesz i zażadasz...

– Nie. – Do Willa dotarło, że sprawa przybiera poważny obrót. – Nie mogę sam podjąć tak ważkiej decyzji.

– Zatem musimy poinformować tych mieszkańców twojej planety, którzy tworzą wszystkie rządy. Nadal będziecie mieli wybór. Możecie szykować się do walki, możecie spróbować rozmów. A nuż uda wam się coś, czego nie osiągnął nikt przed wami.

Will zastanowił się. Napastnik był jeszcze daleko. Rozmawiać, czy sięgać po broń? Osobiście wolałby pertraktacje, chociaż Kaldaq nie rokował im szans na sukces.

T'var musiał czuć to samo.

– Ampliturowie poznali was, że tak powiem, z najlepszej strony. Wiedzą, jacy jesteście groźni. Nie sądzę, aby chcieli rozmawiać.

Will schował głowę w dłoniach. A co z muzyką? Co teraz?

– Dobra. Trzeba coś zrobić. Ale Bóg mi świadkiem, że tego nie chciałem.

– Ostrzegaliśmy. – Kocie oczy spojrzały chłodno na kompozytora. – Już kilka lat temu mówiłem,

że Ampliturowie i tak w końcu was znajdą. Opóźniliśmy oficjalny kontakt i twoje skrupuły nie były tu bez znaczenia. Muszę przyznać, że ostatecznie przekonałeś mnie o waszym pokojowym usposobieniu, chociaż dla Ampliturów nie ma to żadnego znaczenia, czego chyba wciąż nie rozumiesz. Jednakże w kwestii militarnej mnie nie przekonałeś. Mówiłeś o nieobliczalności Ziemi i nie myliłeś się. Pamiętasz wszakże incydent z zaginioną bronią. Na żadnym innym świecie nie mogło by się to zdarzyć. Może nawet twoje będzie na wierzchu. Nie moja to sprawa, oceniać takie rzeczy. Jestem zarządcą. Jednak każdy, komu grozi napaść Ampliturów, ma prawo wiedzieć o niebezpieczeństwie i przygotować się tak, jak sam uzna to za stosowne.

– Kiedy zaczniecie zawiadamiać rządy? – mruknął Will.

– Jak najszybciej. Mam nadzieję, że doradzisz nam, jak się do tego zabrać. Nie mamy żadnej praktyki w obcowaniu z tak osobliwą strukturą socjopolityczną.

– No i proszę. Ja jestem muzykiem, ty zarządcą. Nie wiem, jak rozmawiać z politykami. Daj mi chwilę do namysłu.

Kaldaq uniósł się miękko z podłogi i pochylił głowę, by nie wyróżnić ciemieniem w sufit.

– Pamiętaj, że każdy dzień przybliża nas do najazdu.

– Może jednak nie. Pomyślę.

Kaldaq i T'var zostawili Ziemiannina sam na sam z myślami.

Wróciwszy do bazy S'van podniósł głowę i popatrzył na o wiele wyższego Massuda.

– Byłoby dobrze, gdyby udało się go przekonać. Wiesz, jak będzie. Przylecą w dość dużej sile, aby zrobić wrażenie, ale nie zaatakują, tylko zaczną przekonywać. Sprzedadzą tę całą swoją filozofię Celu. Jeśli Will Dulac dobrze zna swoich, to wie, że znajdą się i tacy, którzy za nimi pójdą. Trzeba im przeszkodzić. Jeśli dotrą do ziemskich przywódców, ci szybko przyjmą bezkrytycznie każde słowo Ampliturów. Stary scenariusz. Na dodatek z naszych badań wynika, że Ziemianie oczekują od swoich przywódców, iż ci będą myśleć za całą resztę i rzadko wyrabiają sobie własne zdanie.

– Wiem. Tylko boję się, czy dzisiaj zasnę.

– Ja bym się tak nie przejmował. Robimy wszystko, co trzeba, aby uratować nasze gatunki. W dalszej perspektywie działamy też dla dobra Ziemi.

– To rozumiem. Ale wolałbym w pełni uczciwe postawienie sprawy.

– Nie skłamaliśmy – stwierdził T'var. – Prędzej czy później wojna zawitałaby i tutaj. Niezależnie od nas.

– Zapewne.

– I pomyśl jeszcze o tym, kapitanie: założmy, że Ampliturowie odkrywają ten świat przed nami.

Wyobraź sobie Ziemią walczących u boku Molitarów i w sojuszu z Ampliturami.

– Nikt nie zawiera sojuszy z Ampliturami, oni wszystkich tylko wykorzystują, ale masz rację, włochaty doradco. Niemiła wizja.

Rozeszli się, każdy do swoich zajęć.

– Obawiam się, że brak mi genialnych pomysłów. A wy do czego doszliście? – spytał Will i spojrzał na obecnych w pokoju Kaldaq, Soliwik, T'vara i Z'mama. Mało spał ostatniej nocy. – Pokaz siły, czy po jednym lądowniku na każdą ważniejszą stolicę, czy jeszcze inaczej?

– Wyniki badań sugerują, że nader łatwo wywołać u ludzi reakcję szokową, a my chcielibyśmy, aby pierwszy kontakt miał charakter osobistego spotkania. – Soliwik poruszyła uszami. – Wciąż nie możemy się oswoić z istnieniem na tej planecie wielu równorzędnych przedstawicielstw władzy.

– Aby nie naruszyć równowagi politycznej, chcielibyśmy ujawnić się jednocześnie przed reprezentantami wszystkich ważniejszych szczepów – dodał Kaldaq.

– Na Vasarih słyszałem o jakimś rosyjskim oficerze – podsunął Will. – Zapewne przyda się, bardziej niż ja. Że też nie ma tu stryjka Emila. Był radnym miejskim, znał się na politykach.

– Znasz nas dłużej niż ktokolwiek tutaj – pocieszył go Tvar. – Poradzisz sobie równie dobrze.

Will pochylił się do przodu, oparcie posłusznie podążyło za jego plecami.

– Ale jak mam przekonać wszystkich? Cokolwiek pokażę, i tak nie uwierzą w żadne filmy czy zdjęcia.

– Pojadę z tobą – powiedział niespodziewanie Kaldaq. – T'var też, weźmiemy jeszcze Hivistahma, żeby dokumentował spotkanie i Waisa, gdyby były trudności z konwersacją. Taka delegacja będzie chyba dość przekonująca?

– Nie od razu – mruknął trzeźwo Will. – Najpierw pomyślą, że zwialiście z planu zdjęciowego. Ale macie rację, ostatecznie będą musieli zaakceptować oczywistość. To nie znaczy, że od razu uznają wasze racje. Gdy dowiedzą się o wojnie, zażądają, byście odlecieli. – Tego akurat Will był więcej niż pewny. Samo zagrożenie nie przesądza jeszcze agresywnej reakcji. Biorąc pod uwagę, jak daleko sprawy zaszły, to może i lepiej. – Owszem, niektóre kraje mogą zmobilizować siły do obrony, ale nikt nie wyśle armii poza planetę. Zobaczycie.

Kaldaq już chciał odpowiedzieć, gdy Z'mam go uprzedził. Kapitan uznał, że niezwykle okoliczności w pełni uzasadniają pominięcie protokołu.

– Na razie to starczy – mruknął S'van.

Kaldaq zerknął na przysadzistego ludka, ale nic nie powiedział.

– Może gdyby dostać się jakoś do telewizji... – zastanawiał się Will.

– Nie – przerwała mu Soliwik. – To trzeba załatwić osobiście. Wasza telewizja jest na tyle prymitywna, że łatwo oszukać widza.

– Ale może być i tak, że wzbudzicie powszechne przerażenie. Ludzie mają sporą skłonność do zachowań paranoidalnych.

– Będziemy o tym pamiętać.

Will westchnął głęboko.

– Czy wasz pojazd atmosferyczny doleci do Waszyngtonu? Pokażę wam na globusie, gdzie to jest.

– Wiemy, gdzie leży Waszyngton – stwierdził S’van. – Gdy ty siedziałeś nad swoją muzyką, my też nie próżnowaliśmy. Osobiście mógłbym cię zaprowadzić pod pomnik Lincolna, do Smithsonian Institution, przed Biały Dom.

– No to znasz miasto lepiej niż ja. Jeśli okaże się, że ja się mylę, a wy macie rację, to koniec. Szlag trafi sztukę, muzykę, pokój i zjednoczony świat.

– Nisko się cenicie. Jeśli ktokolwiek ma do tego prawo, to my – powiedział S’van. – A jakoś się nie palimy...

Will uśmiechnął się krzywo.

– Wy potrafilibyście żartować sobie nawet z końca świata.

– Tacy już jesteśmy – mruknął T’var przeproszającym tonem. – I dobrze o tym wiesz.

Will zastanowił się raz jeszcze.

– Wiecie co, siadanie na trawniku przed Białym Domem to nie jest najlepszy pomysł. Lepiej nie wzbudzać paniki. Wybierzmy jakieś takie miejsce, gdzie rząd nie będzie miał wiele do powiedzenia, no, nie zablokuje informacji ani nie wykorzysta jej do własnych celów.

– Znaczą gdzie? – spytał T’var.

– Chyba już wiem.

Rozdział 23

– Mister Benjamin? Sir?

C.R. Benjamin spojrział znad biurka. W drzwiach stała młoda asystentka, na twarzy miała niezdrowy rumieniec, oczy wielkie, jakby ujrzała ducha. Starszy pan oparł się w fotelu obrotowym i założył dłonie za głowę.

– Niech zgadnę. Znow Kambodża? Co tym razem?

– To nie Kambodża, sir.

– Mam nadzieję, że jednak coś istotnego. Robię ostatnią korektę niedzielnego wydania i nie życzę sobie ciągłych wizyt geniuszy redakcyjnych, przekonanych, że właśnie trafili na temat swego życia. Niby jak mam to skończyć, hę? Ja nie łażę całymi dniami po bankietach i przyjęciach dobroczynnych, jak niektórzy. Może trudno to sobie wyobrazić, ale ja naprawdę wydaję gazetę.

– Wiem, sir – wyjąkała asystentka. – Ale na dachu jest latający talerz.

Starszy pan spojrział z rozpaczą w ekran komputera.

– Nieźle. Powiedz temu, kto to wymyślił, że obśmiałem się jak norka. Widzisz? – Ostentacyjnie uniósł kąciki ust. – Ale przekaż też, że to kawał na jeden raz. Jak ktoś znow zacznie mi zawracać głowę, to skończy w dziale nekrologów. Bo rozumiem, że to nie twój pomysł?

– Nie, panie Benjamin. Sir.

Wrócił do pracy ale zaraz znow spojrział na drzwi.

– Jeszcze tu jesteś?

– Sir? Ale na dachu naprawdę jest latający talerz. Z człowiekiem w środku. Mówi, że nazywa się William Dulac i że jest z Luizjany.

– I to wszystko wyjaśnia?

– Niezupełnie, sir. Razem z nim jest czterech obcych. On mówi, że na Karaibach czeka ich o wiele więcej.

– A co oni tam robią, skoro sezon zaczyna się dopiero w listopadzie?

W progu pojawił się rośli i łysy mężczyzna po pięćdziesiątce. Asystentka odetchnęła z ulgą i usunęła mu się z drogi. Benjamin spojrział pytająco na przybyłego.

– Marcus? Tylko nie mów, że też dałeś się w to zrobić.

– To dzieje się naprawdę – zahuczał niskim głosem szef działu miejskiego. – Naprawdę, C.R. Ten talerz nie jest duży, ale śmigłowcem byś go na dach nie wpakował.

– Co to wszystko ma znaczyć? – Benjamin zerwał się z fotela. – Czy tu już w ogóle nie można pracować? Tylko żarty wam w głowie. Proszę bardzo, ale w porze lunchu!

Szef działu miejskiego wsunął się do pokoju, zaś asystentka pisnęła dziwnie i schowała się w kącie.

Do środka weszło coś wysokiego, na tyle wysokiego, że musiało pochylić się przy pokonywaniu framugi. Z wierzchu było jakby trójkątne i porośnięte gęstym, szarym futrem. Ponadto miało na sobie dopasowany kombinezon z rękawami kończącymi się na łokciach i kolanach, i pas z przywieszonymi doń jakimiś przedmiotami. Długie ręce zwisały prawie do podłogi, zębata morda zaczęła intensywnie niuchać.

Zaraz potem przez próg wtoczyło się coś na kształt dinozaura bez ogona. To coś było ubrane inaczej i miało inne wyposażenie, a poruszało się jak nerwowy baletmistrz. Jako trzeci obiekt ukazał się muskularny i włochaty karzeł, dalej kroczył struś w modnym wdzianku, na końcu jakiś człowiek.

– Czy mam wezwać ochronę? – spytał rozplaszczony na boazerii szef działu miejskiego.

C.R. Benjamin spojrział w milczeniu na gości. Na korytarzu narastał harmider, ale tego redaktor zdawał się nie słyszeć. Ostatecznie spojrział na istotę ludzką.

– Powiedz mi, młody człowieku, czy na dachu mojego budynku faktycznie stoi latający talerz?

– To tylko pojazd atmosferyczny – odparł Will. – I nie jest wcale w kształcie talerza.

– Rozumiem. Bo wiesz, jacy są ludzie. Zawsze szukają podobieństw. To dlatego tak trudno dziś o naprawdę dobrych skrybów, wszyscy piszą tak samo. – Zerknął na szefa działu miejskiego. – Nikogo nie wzywaj, Marcus. Ale bądź łaskaw zamknąć drzwi.

Ten przytaknął i oczyściwszy framugę z gapiów, odciął gabinet od reszty świata.

C.R. Benjamin siadł powoli.

– Nie życzę tu sobie żadnego zamieszania, panie... jak się nazywasz, synu?

– Dulac. William Dulac.

– A gdybyś był teraz w Nawlings, co byś najpewniej wziął na lunch?

Will zmarszczył czoło, ale odpowiedział.

– Oyster po’boy.

Wydawca z aprobatą pokiwał głową.

– Zatem faktycznie pochodzisz z Luizjany. Jeśli jesteś blagierem, to jesteś blagierem z Południa, a to już coś. – Sądząc po hałasach, na korytarzu musiał zebrać się już całkiem spory tłum.

– Marcus, powiedz tym ludziom, by wracali do pracy, i że nie ma tu nic ciekawego do oglądania.

Szef działu miejskiego wymamrotał coś, być może słowa wdzięczności, i wyrwał na zewnątrz. Asystentka ulotniła się z własnej inicjatywy.

C.R. Benjamin zatarł ręce teatralnym gestem.

– Lubię, jak tematy same przychodzą do biura. To pozwala oszczędzić na korespondentach. A teraz, jeśli to jakiś kawał, to oświeć mnie, synu. Nie jesteście z sieci Foxa? Wiem, że nasi recenzenci skopali ich ostatnie kawałki.

– Nie, sir. Ani nie jesteśmy od Foxa, ani to nie jest kawał. Ci tutaj – wskazał na swych milczących towarzyszy – naprawdę przybyli z innych światów. Każdy reprezentuje osobną rasę zjednoczoną w federacji zwanej Splotem lub Gromadą.

Benjamin machnął ręką.

– Zakładam, że dasz mi czas i sposobność, bym to wszystko sprawdził? Na razie muszę polegać tylko na tym, co widzę i słyszę, a dla dziennikarza to za mało.

– Moi przyjaciele gotowi są poddać się badaniom lekarskim – zapewnił go Will. – Rozumieją pańskie niedowierzanie, zetknęli się już bowiem z tym na wielu innych światach. Benjamin chrząknął.

– Załóżmy na chwilę, że mówisz prawdę, tylko prawdę i całą prawdę. Ten Splot to coś w rodzaju Wspólnego Rynku?

– To federacja niezawisłych i samorządnych światów zawiązana dla ułatwienia handlu, wymiany myśli i wzajemnej obrony – odparł Wais, bezbłędnie posługując się angielskim.

Wydawcę zatkało.

Will musiał przyznać, że starszy pan wykazuje zdumiewające opanowanie. Chociaż z drugiej strony, gdyby tak nie było, nie zostałby redaktorem naczelnym jednej z najważniejszych gazet w Stanach.

– Oto mamy zatem z dawna oczekiwany pierwszy kontakt. – Benjamin wyłączył komputer i uruchomił dyktafon. – I to od razu z czterema obcymi rasami. Nie sądziłem, że są aż cztery.

– Sir, ich są setki – wtrącił Will.

– Setki – mruknął zmieszany Benjamin, – I wszystkie one nabrały nagle ochoty na oficjalne spotkanie w moim gabinecie. Ale ciebie znaleźli chyba już kilka dni temu, młody człowieku?

– To nie tak, sir. Oni są tutaj już od paru lat. Obserwują, badają, z niektórymi nawet współpracują w tajemnicy.

– Rozumiem. Zakładam, że dowiem się zaraz, skąd ta tajemniczość.

– Tak, sir.

Benjamin wskazał na Waisa.

– Ten z piórami lepiej mówi po angielsku niż cały mój dział sportowy.

– Lingwistyka to domena Waisów, sir. Niemniej wszyscy tu obecni władają do pewnego stopnia ziemskimi językami. Ja gadam trochę po ichniemu. Poza tym mamy tłumaczy. – Wskazał na urządzenie, które nosił na szyi.

– Dobra, nawet jeśli to nie jest pierwszy kontakt, to i tak bomba. Od paru tysięcy lat nikt nie miał lepszego tematu do wstępniaka. A wy przynosicie mi go na tacy. Dziękuję panu, panie Dulac. Jakim cudem młodzieniec z Luizjany trafił między...

– Zaraz wszystko wyjaśnię, sir – przerwał mu Will. – Najpierw najważniejsze. Muszę zaznaczyć, że nie ma pan monopolu na te informacje.

– Och. „New York Limes”?

– Nie, organ innego wielkiego szczepu – wyjaśnił Wais.

– Szczepu? – Benjamin aż uniósł brwi.

– „Izwiestia”, sir.

– Aha. Chyba nie wejdziemy sobie w paradę. Domyślam się, że mieliście swoje powody, aby postąpić właśnie w ten sposób. I pewien jestem, że szybko mi je wyjaśnicie.

– Tak, sir. Jesteśmy tutaj, bowiem trzeba opowiedzieć wszystkim ludziom o paru sprawach. Gdyby rzecz zależała ode mnie, chętnie dalej trzymałbym wszystko w sekrecie, ale to już, niestety, niemożliwe.

– I bardzo dobrze. Pomożemy wam więcej niż chętnie. Ale, jeśli mogę spytać, czemu właśnie w ten sposób? Nie żebym miał jakieś obiekcje...

– Wiadomość musi jak najszybciej pójść w świat. Nieocenzurowana i kanałami niezależnymi od rządu.

– No, to dobrze wybraliście. Jeśli to nie kawał, to nawet nie będziecie musieli wykręcać mi ręki, sam oddam wam pierwszą stronę jutrzejszego wydania. W ten sposób zdążymy napisać kilka słów, zrobimy trochę zdjęć, dorzucimy opinie ekspertów. Nie macie nic przeciwko fotografiom?

– W żadnym wypadku – odparł Wais.

– Współpraca z panem leży w naszym interesie – dodał Kaldaq nieco chropawą, ale w pełni zrozumiałą angielszczyzną.

– Wspaniale. Oczywiście, jeśli okaże się, że to jednak podpucha, to pożałujecie, żeście się kiedykolwiek urodzili.

– Już żałuję, że to nie żarty... – mruknął pod nosem Will.

– Powód naszej obecności... – powiedział Kaldaq do Willa.

– Jeszcze nie teraz, najpierw trzeba go upewnić – odparł po massudzku Dulac.

– Słucham? – Benjamin spojrzał po rozmówcach.

– Przepraszam.

– Wspomniałeś o setkach inteligentnych ras. To szokująca wiadomość, synu.

– Co gorsza, nie wszystkie z nich są przyjazne.

Benjamin przymrużył oczy. Mając nadzieję, że to pomoże w pertraktacjach, Will pozwolił Waisowi opowiedzieć całą historię konfliktu między Ampliturarni a Gromadą. Gdy ptakowaty skończył, redaktor zamilkł na dłuższą chwilę. Wyraźnie przetrawiał usłyszane sensacje. Zdecydowanym ruchem wyłączył wszystkie nachalnie mrugające światełka konsolki na biurku.

– Nie musimy się angażować – powiedział Will przerywając ciszę. – To nie nasza wojna. Nie jesteśmy członkami Gromady.

– Owszem.

Benjamin odnotował zdumione, wyczekujące spojrzenia całej czwórki obcych. Nie potrafił odczytać wyrazu ich dziwnych twarzy, ale to jedno rozumiał i bez tłumacza.

– Ptasi gość powiedział, że te wrogie istoty, Ampliturowie, przerabiają wszystkich na swoją modłę. Członkowie Gromady nie mają ochoty na pranie mózgu. Po cichu rekrutują ludzi, aby ci pomogli im w walce, i dlatego Ampliturowie pchają się do nas już teraz. Żeby zniechęcić ludzi do udziału w imprezie.

– Coś w tym rodzaju – przyznał Will. – Nie wiemy jednak, czy przybędą walczyć czy rozmawiać. Może w ogóle nie przylecą?

– Nie synu, to nie są dobre pytania. Pytanie brzmi: czy mamy tylko siedzieć na tyłkach i czekać, co z tego wyniknie? Może lepiej przygotować się najpierw na każdą ewentualność? Postaraj się dobrze mnie zrozumieć, jestem najbardziej pokojowo nastawionym do świata człowiekiem, jakiego dotąd spotkałeś. Jeśli czytasz naszą gazetę, to wiesz, że nie popieramy nawet tak zwanych „chirurgicznych interwencji” przeciwko baronom narkotykowym. Jednak z drugiej strony wcale mi się ci Ampliturowie nie podobają. Nie sądzę, abym życzył sobie takich wychowawców dla moich wnuków.

– Musicie się do nas przyłączyć – powiedział Kaldaq za pośrednictwem tłumacza. – Choćby dla własnej ochrony.

– Czyżbyśmy mieli tu do czynienia z niejaką różnicą poglądów? Mniejsza z tym. Cokolwiek zostanie postanowione, będę optował za podjęciem przygotowań do skutecznej obrony. Czy ma pan coś przeciwko temu, panie Dulac?

Will poczuł, że kilka minut rozmowy ze starszym panem obróciło wniwecz jego wieloletnie starania. Ale nie pojął jeszcze znaczenia tego faktu.

– To nie jest konieczne.

Zdumiony Will spojrzał na Kaldaq.

– Chwilę, sam powiedziałaś...

– Stwierdziliśmy tylko, że przybycie Ampliturów jest wysoce prawdopodobne i że na ten wypadek dobrze byłoby przygotować wasz świat do obrony. Nie powiedzieliśmy, że to wy musicie go bronić. To sugestia, nie żądanie. W razie konieczności Gromada podejmie wszystkie niezbędne działania.

– Nie należymy do waszej federacji – zauważył Benjamin. – Czemu mielibyście nadstawiać za nas karku? Znaczy ci z was, którzy mają karki.

– Od paru lat kilka tysięcy Ziemiaków walczy u naszego boku. Nie jest ich wielu, ale odgrywają znaczącą rolę. Niektórzy oddali życie w służbie Gromady, o ile nie za jej sprawę. Nie możemy rzucić ich rodzinnej planety na pastwę Ampliturów.

– To dość altruistyczne podejście.

– Tu nie ma żadnego altruizmu. – Kaldaq mówił powoli, aby tłumacz na pewno przełożył dobrze każde słowo. – Robimy to dlatego, że niektórzy z was oddali nam spore usługi i mamy nadzieję na jeszcze większą pomoc w przyszłości. Poza tym dostrzegamy niebezpieczeństwo związane z poddaniem was Ampliturom.

– A jeśli ten chłopak Kajunów ma rację? – Redaktor wskazał na Willa. – Przypuśćmy, że gdy ludzie dowiedzą się o konflikcie, postanowią jednak nie brać w nim udziału. Ze będą sobie życzyć, abyście się wszyscy wynieśli.

– A jak ty sądzisz? – spytał Hivistahm. – Jaka będzie opinia większości populacji?

– Nie wiem. Od tego są badania opinii publicznej. Na dodatek mogę sobie jakoś wyobrazić reakcję mieszkańców tego jednego kraju. Macie jakieś pojęcie, od czego ci Ampliturowie zaczną, gdy już tu przylecą?

– Najpierw spróbują rozmów – wyjaśnił Kaldaq. – Potem będą chcieli nawiązać bliski kontakt z waszymi przywódcami, aby wpłynąć na ich umysły. Jeśli im na to nie pozwolicie, postarają się narzucić wam swoją wolę siłą. W razie pełnego niepowodzenia uznają was za skrajnie niebezpiecznych i zdecydują się na eksterminację.

– Ptakowaty mówił, że większość walk toczy się na powierzchni planet i że praktycznie nie można powstrzymać sił inwazyjnych przed lądowaniem.

– Zgadza się – powiedział Wais. – Kapitan komandor Kaldaq może podać przykłady. Ja jestem tylko tłumaczem, nie znam się na militariach.

– Jak moglibyście nas bronić?

– Możemy sprowadzić z powrotem kilka tysięcy Ziemiaków, którzy znają już nasze systemy broni. Reszta obrońców składałaby się z Massudów wspieranych przez inne rasy. Siły Ampliturów nie wylądają na terenach zurbanizowanych, których mieszkańców będą starali się oszczędzać. Będą chcieli przejąć kontrolę nad instalacjami wojskowymi, źródłami energii i dystrybucją żywności, aby wymusić kapitulację – wyjaśnił Kaldaq.

– Nie chcą was wygubić, ale podporządkować sobie – dopowiedział T'var. – Będą walczyć na otwartym terenie tak długo, aż unicestwią wszystkie wysyłane przeciwko nim siły.

– Brzmi to cywilizowanie – mruknął Benjamin.

– No i proszę! – krzyknął Will. – Kto mówi, że nie uda nam się przekonać ich, aby zostawili nas w spokoju?

C.R. Benjamin podrapał się po czole.

– Jeśli wszystko, co słyszałem, jest prawdą, to raczej nie ma co liczyć na pozytywny wynik negocjacji z tymi stworami.

– Dokładnie. – Kaldaq zrobił kilka kroków. Nie potrafił tak długo stać nieruchomo w jednym miejscu. Ktoś mniej opanowany dawno już chodziłby po pokoju. – Albo popiera się ten ich Cel, albo jest się wrogiem.

– Ale przecież oni mają własną sztukę, poczucie piękna – odezwał się Will. – Czemu nie możemy podzielić się z nimi tym dziedzictwem, zamiast walczyć?

– Podejrzewam, że cała ich sztuka nastawiona jest na opiewanie wspaniałości Celu, mam rację? – spytał Benjamin. – Jak dla mnie, to zbyt restryktywne podejście. Nie lubię systemu nakazowego, lubię za to, gdy redaktorzy się ze mną nie zgadzają, To ożywia sprawy. Taki homogenizowany, jednorodny świat jakoś mnie nie kusi.

– Ależ nie możemy mieć pewności – zaprotestował Will. – Od iluś lat nasi goście wmawiają mi, że ludzkość jest czymś unikalnym, że nie ma w całym kosmosie równie niezwykłych istot. Przekonajmy o tym Ampliturów. Myślę, że mamy szansę na powodzenie.

– Może, może. Ale nie wiem, czy możemy wymagać od całej waszej gromadki – zwrócił się do obcych – żebyście dla nas walczyli. Przecież większość z was nawet nie zna Ziemi... O ile dojdzie do jakiejś walki, rzecz jasna – dodał, widząc protesty Willa. – Tak czy inaczej, decyzja nie należy ani do mnie, ani do ciebie, ani do nikogo w tym pokoju.

– Słyszał pan już wszystko. Co zamierza pan zrobić? – spytał T'var.

– Dopilnować, aby was wysłuchano. Na tym polega moja praca. – Włączył stojący na biurku interkom.

Po drugiej stronie zaraz odezwał się jakiś podniecony głos. Will słyszał nawet przytłumiony gwar w tle.

– Nic panu nie jest, panie Benjamin?

– Bez paniki, Mattie. Panuję nad sytuacją.

– Kim są ci...?

– Pytania później. Teraz musimy złożyć numer. Powiedz Elenie, że ma zwolnić dla mnie całą pierwszą stronę.

– Panie Benjamin, całą pierwszą stronę?

– Właśnie, tylko winieta zostaje. I jeszcze masę miejsca w środku. Chociaż nie, wróć. Zrobimy wydanie specjalne, tak będzie łatwiej. Gdy już załatwisz co trzeba, zadzwoń do Prestwicka z CBS, jestem mu to winien. Potem połącz mnie z sekretarzem prasowym prezydenta i postaraj się złapać generała Maxwella z Pentagonu – uśmiechnął się do gości. – Postaram się, aby zorganizował zebranie szefów Połączonych Sztabów. Zwykle nie wpuszczają tam gości, ale myślę, że tym razem zrobią wyjątek. – Pochylił się ponownie do interkomu. – Jak go złapiesz, to powiedz mu, że C.R. z „Washington Post” ma pilną sprawę, a na koniec zadzwoń jeszcze do mojej żony i przekaż, że dziś pracuję do późna.

– Tak, sir, ale...

– Tyle na razie, Mattie. Reszta później. – Wyłączył się, oparł wygodnie w fotelu i złożył ręce na brzuchu. – Mamy kilka minut. Może ustalmy teraz, co powiecie przedstawicielom władz. Pan wie, jak rozmawiać z obcymi, panie Dulac, ale ja potrafię gadać z politykami. To inny świat, a nie chcemy, żeby zrozumieli nas opacznie.

– Myśli pan, że nas wysłuchają? – spytał Will, nagle zmęczony całą sytuacją. – Sądzi pan, że uwierzą w choć jedno nasze słowo?

– Oczywiście. O ile na początek poznają wyniki badań, a ja za minutę wezwę kilku biologów. Naoglądał się pan starych filmów z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Niech pan zwróci uwagę co będzie, gdy powie pan politykom, że identyczne spotkanie odbywa się właśnie na Kremlu.

Starszy pan budził zaufanie, ale Will nie wiedział, czego naprawdę może oczekiwać. Zdumienie, debata i co? Opór?

Reakcja była o wiele bardziej złożona niż Will mógł przewidzieć. Ludzkość musiała przyjąć do wiadomości nie tylko rewelacje dotyczące pierwszego kontaktu, ale i to, że w Galaktyce są setki inteligentnych ras oraz że od tysięcy lat toczy się w niej okrutna wojna.

Kilka dni potem, gdy ludzkość dyskutowała wciąż w najlepsze, na Ziemię zaczęli wracać setkami weterani z Vasarih i Aurun. Nie byli ani politykami, ani zawodowymi żołnierzami, tylko prostymi ludźmi, którzy zaraz rozjeżdżali się w rodzinne strony. Każdy (i każda) z nich miał swoje pięć minut przed kamerami. Niezadowolone okazywali tylko nieliczni, pozostali chwalili sobie przygodę, chociaż powody po temu podawali rozmaite.

Pewien zbieracz trzciny cukrowej z Trynidadu powiedział: „To nie to samo jak wtedy, gdy strzela się do ludzi. Ci Krygolici są paskudni. I Molitarowie i Akarianie. Aszreganie mają okropnie śmieszne gęby. Całe to towarzystwo ma pusto we łbach. Amplitury ich przerobiły i was też przerobią, jak was dopadną. Wymażą wszystkie myśli, aż świata nie będziecie widzieć poza tym ich Celem. A w Gromadzie płacili mi dobrze, to o wiele lepsze niż ścinać trzcinę”.

Will i jemu podobni mogli tylko patrzeć bezradnie, jak początkowe zamieszanie przeradza się w gorączkę bitewną. Nie minęło wiele czasu, a świat zaczął się mobilizować do odparcia potencjalnego zagrożenia. Specjaliści Gromady cierpliwie tłumaczyli, czemu nie da się zastosować żadnego wczesnego ostrzegania i dlaczego nie można powstrzymać wroga zanim wyląduje. Równie dobrze mogło to nastąpić na Manhattanie, jak i w sercu Afryki. Nie było szansy, aby to przewidzieć.

Jedno było pewne: Ziemi nie groziło bombardowanie z orbity, które spotykało nierzadko mniej rozwinięte cywilizacje. W ciągu kilku miesięcy na wysokie orbity błękitnej planety weszło kilkadziesiąt jednostek wojennych Gromady. To oznaczało, że Ampliturowie będą musieli wywalczać sobie dojsście do Ziemi tak samo, jakby był to świat należący do federacji. Na dodatek przyjdzie im borykać się jeszcze z tutejszymi przedziwnymi warunkami geologicznymi.

Potrzeby frontów spowodowały, że Massudzi mogli jedynie pomagać w szkoleniu miejscowych sił, nie przysłali kontyngentu bojowego. Jednak Hivistahmowie i Yula dopilnowali, aby na Ziemię trafiło dość broni. Jeden za drugim olbrzymie transportowce materializowały się na orbicie.

Po raz pierwszy w wojowniczej historii ludzkości wszystkie armie świata zjednoczyły się przeciwko wspólnemu wrogowi. Massudzcy specjaliści pracowali wraz z ziemskimi strategami nad planami kontruderzeń. Tubylcy uczyli się szybko i organizacja globalnej obrony postępowała wielkimi krokami.

Will siedział w rozbudowanym centrum łączności bazy. Patrzył, jak technicy rejestrują do późniejszych badań kilkadziesiąt programów telewizyjnych jednocześnie.

– Ampliturów czeka spora niespodzianka – powiedział Kaldaq, opierając się obok o barierkę galeryjki. – Raz, że mają szmat drogi do pokonania, dwa, że prawie jeszcze nie wiedzą, jak wygląda wasz świat.

– Nie możemy liczyć tylko na to.

– Owszem, ale co innego słyszeć, że lądy jakiejś planety dzielą się na kontynenty, co innego ujrzeć to na własne oczy i walczyć w tych warunkach. Będą musieli uczyć się na błędach. Will, przyjacielu, mam wrażenie, jakbyś nie był zadowolony.

– Miałem nadzieję, że dysputy potrważą nieco dłużej, że więcej ludzi będzie protestować przeciwko zbrojeniom – roześmiał się gorzko. – Spodziewałem się, iż Rosjanie i Amerykanie powarczą trochę na siebie, a tymczasem padli sobie w ramiona. No tak, tyle lat wzajemnego szpiegowania musiało dać efekty: Świetnie wiedzieli, jak zintegrować obie armie. – Spojrzał na Kaldaq. – Słyszałem, że prezydent kręcił nosem na wasze statki.

– Nie on jeden. Wielu pomniejszych przywódców też miało żal, że nie przedyskutowaliśmy tego najpierw z nimi. Nam zaś nie polityka była w głowie, tylko wymogi taktyczne. Dowództwo nie chciało marnować czasu, – Zawahał się. – Czasem zaczynam myśleć, że przede wszystkim to was należy bronić przed waszą własną nieobliczalnością. Ampliturom nie będzie łatwo. Pomyśl tylko o próbie opanowania głównych źródeł energii. Będą próbowali, ale ich nie znajdą. Energię uzyskujecie z tysięcy mało wydajnych, rozrzuconych po całej planecie instalacji spalających kopaliny. – Skrzywił wargi. – Gdyby jakiś pisarz chciał opisać takie społeczeństwo, jak wasze, nikt by mu nie uwierzył. Zaawansowana technologia i spalanie związków węgla! I to tylko dla pozyskania energii! Żadnej w tym logiki. Ale Ampliturów zdziwi to nie mniej niż nas. Słyszałem, że nie macie na całej Ziemi ani jednej instalacji do zimnej syntezy.

– Mieliliśmy z tym trochę kłopotów – mruknął Will tonem usprawiedliwienia.

– Zdumiewające. Gdybyście dorastali normalnie, nie marnując czasu na konflikty, mielibyście to wszystko już dawno. Chociaż teraz zadziała to na waszą korzyść. Chciałbym zobaczyć minę ich dowódcy, gdy wyjdzie z podprzestrzeni i zrozumie, że musi rozproszyc siły na sześć kontynentów. I jeszcze ta nieprzewidywalna pogoda. Nie, nie będą mieli łatwego zadania. Co nie znaczy, że na pewno przegrają. Walki mogą trochę potrwać. Ale nie ma powodów do obaw. Gromada was nie zostawi. Zostaniemy, tak ja wy walczyliście przy nas.

Za złoto, pomyślał Will. Większość rekrutów nie zwracała uwagi na sprawy Gromady i wcale tego nie kryła, również przed kamerami. Dulac wiedział jednak, że nie ma sensu o tym wspominać. Przed walką zawsze milej słucho się dumnych haseł niż zimnej (i niewygodnej) prawdy.

– Nie da się ustalić, kiedy przybędą?

– Z Ziemi niestety nie. Statek poruszający się w podprzestrzeni nie zostawia żadnego czytelnego śladu. Dopiero gdy napotka jakieś silne pole magnetyczne, powoduje zakłócenia, które można wykryć. Coś jak obiekt płynący pod wodą. Na głębiny go nie dostrzeżesz, ale na płyciźnie pojawiają się nad nim charakterystyczne zafalowania. Cała flota zbliżająca się do magnetosfery waszego Słońca

da wystarczająco silny sygnał. Przy odrobinie szczęścia dojrzymy ich z dwutygodniowym wyprzedzeniem.

- Dwa tygodnie – mruknął Will. – Trochę mało czasu, by przygotować się psychicznie do walki.
- Większości Ziemiaków przychodzi to chyba z łatwością.

Will wzruszył ramionami.

- Pewnie. Tyle lat już czekamy na wyłupiastookie, krwiożercze potwory z kosmosu...

Kaldaq nie zrozumiał żartu i zdziwił się bardzo.

– Ampliturowie nie mają wyłupiastych oczu. Nie piją krwi. Jak na bezkręgowce są nawet całkiem ładni. To ich filozofia jest odstręczająca. Ale chyba cię rozumiem – dodał po chwili namysłu. – Słyszałem, że niektórzy z was od wielu pokoleń przygotowują się do starcia z armiami niejakiego „Diabła”.

Will znów wzruszył ramionami.

– Ludzie uwielbiają metafory, szczególnie takie, które porządkują im obraz świata. Potrzebują jakiegoś obiektu nienawiści, z braku wojny wymyślają różne rzeczy.

– Ale my nie czujemy nienawiści do Ampliturów. To niepotrzebne. Atawizm emocjonalny. Niezgoda – owszem, złość – tak, nawet niechęć, ale nie nienawiść. To marnowanie protein. Nawet prymitywne drapieżniki nie czują nienawiści do ofiary, na którą polują. Nienawiść to cecha... niedorozwoju.

– A czego od nas oczekiwałaś? Nie jesteśmy dojrzałymi, twoi specjaliści powtarzają nam to bez końca. A skoro już o tym mowa, to chciałbym cię o coś zapytać. Zdaje się, że mimo wszystko będziemy jednak walczyć w obronie interesów Gromady. Gromada zdecydowała się nam pomóc. Jednak nikt nie zająknął się jak dotąd na temat naszego członkostwa w federacji. Właściwie dlaczego?

– Rada Generalna sądzi, że przede wszystkim należy ocalić wasz świat, inne kwestie muszą poczekać – odparł gładko Kaldaq.

– Tak też myślałem – przyznał Will, ale nadal coś mu się nie podobało. Może ta łatwość, z jaką kapitan znalazł odpowiedź...

Zerknął na dół. Hivistahmowie i O'o'yanowie krążyli między stanowiskami, wpadali na grupki S'vanów. Lepar przykucnął w kącie, widocznie nie miał akurat żadnej wiadomości do doręczenia. Samotny Wais przepłynął wdzięcznie przez próg i przygładził pachnące piórka.

- Sądzisz, że zaatakują bazę? Przecież to centrum operacyjne Gromady na Ziemi.
- Chyba jesteśmy tu dość bezpieczni. Żeby myśleć o walce w wodzie, muszą najpierw opanować

lądy. Planeta stwarza dość szumu elektronicznego, żeby różne szczegóły im umknęły. Ale nie mogę niczego obiecać. Mają całkiem dobre detektory. Byłbym spokojniejszy, gdybyś zgodził się jednak nosić broń.

– Powiem ci to samo, co powiedziałem pewnej kobiecie na Vasarih: to nie dla mnie. Nie lubię broni. Podobnie jak wielu Ziemiaków. Nie szkodzi, że przez ostatnie miesiące telewizja nadaje prawie same defilady i reportaże z poligonów. Odparcie inwazji to jedno, ale kiedy będzie już po wszystkim, zdziwisz się, jak szybko armie powędrują do domów, a broń wyląduje w arsenałach. Po każdej wojnie jest tak samo. Najpierw całe narody ruszają z ochotą do walki, potem na samą myśl o tym doznają obrzydzenia. Może nie zawsze było dokładnie tak, ale przez ostatnie pół wieku sporo się nauczyliśmy. Jeśli jednak sądzisz, że z tego chaosu wytworzy się ogólnoplanetarny rząd dla koordynowania dalszych działań przeciwko Ampliturom, to się mylisz.

– Jesteś dziwnie pewien swego. Czyżbyś zapomniał już, że nie tak dawno sam użyłeś broni i to przeciwko innemu Ziemiakowi? Zabiłeś.

Will wzdrygnął się.

– Bo chciałem ocalić życie przyjaciół. Zrobiłbym to samo, gdybym musiał chronić moją rodzinę. Gdybym ją miał. To zupełnie co innego – mierzyć w kogoś tylko dlatego, że myśli inaczej niż ja.

– Właściwa Ampliturom fiksacja na tle Celu jest groźniejsza od najstraszniejszej broni.

Will skierował się ku drzwiom.

– Nie zaczynamy wszystkiego od początku. Nie chcę broni i już!

Kaldaq nie uśmiechnął się, tylko górna warga zadrżała mu nerwowo.

– Nie chcę się kłócić.

– Nie kłócę się. Czasem myślę tylko, że jesteście równie przebiegli jak S’vanowie, tylko lepiej to ukrywacie.

– Nikt nie przeliczytuje S’vanów – zauważył Kaldaq. – Chodzi mi tylko o rzeczy oczywiste.

– Nie widzę sensu w zabijaniu. Zabicie w samoobronie to co innego, niż wyladowanie frustracji na niewinnej istocie.

– Naprawdę?

– Nie mam ochoty rozprawiać na ten temat.

– Oczywiście. Odkąd się spotkaliśmy, wychwalasz swój gatunek, ale obawiam się, że to wszystko to tylko twoje pragnienia, a nie opis rzeczywistości.

– Zobaczymy. – Will otworzył drzwi. – Poczekaj, aż będzie po wszystkim. Może nawet nie

będziesz musiał czekać tak długo.

Rozdział 24

Czuwające na rubieżach Układu Słonecznego okręty Gromady odnotowały zbliżanie się floty Ampliturów niecałe dwa tygodnie przed ich planowanym lądowaniem. Chociaż wszyscy szykowali się na taki bieg zdarzeń, wiadomość i tak wstrząsnęła planetą. Na pokładach jednostek Gromady ogłoszono stan pogotowia, tubylcom pozostało działać dalej i czujnie spoglądać w niebo.

Gdy w końcu wroga armada pojawiła się nad centralnym Atlantykiem, miast propozycji rozmów sypnęła od razu lądownikami. Doszło do zażartej i zadziwiająco krótkiej wymiany ognia. Działo się to dokładnie nad Azorami, na skutek czego tamtejsi rolnicy mogli podziwiać na niebie zjawisko nader rzadkie w tych stronach: wywołaną eksplozjami zorzę polarną.

Pociski i wiązki skoncentrowanej energii wyrządziły stosunkowo niewiele zniszczeń. Jeden okręt obrońców został uszkodzony, jeden statek napastników zmienił się w bezwładny wrak.

Siły naziemne zestrzeliły kilkanaście lądowników, reszta przyziemiła na czterech z sześciu zamieszkałych kontynentów. Ampliturowie oczekiwali, że kilka najbliższych godzin zdecyduje o zwycięstwie.

Mimo mianowania w ostatnich dniach na wysokie stanowisko naczelnego oficera łącznikowego, Will nie był szczególnie zaangażowany w przygotowania. Niewiele też miał do roboty. Czasem odpowiadał na pytania dziennikarzy, którzy odwiedzali bazę w poszukiwaniu jakiegoś nowego tematu. Nie znał się ani na walce, ani na łączności, o stosunkach międzynarodowych nie wspominając, popyt na kompozytorów zaś zmalował chwilowo do zera.

Włączył się bez celu po bazie, która i tak przestała już spełniać wiele z dawnych funkcji. Powstały nowe ośrodki w Waszyngtonie, Moskwie, Brukseli, Tokio, Rio, Nairobi i Sydney, i to za ich pomocą ludzkość próbowała zorganizować obronę swego świata. Wszelako łączność między poszczególnymi centrami urwała się rychło i główne dowództwo straciło kontrolę nad poczynaniami większości podkomendnych.

W żadnej jednak mierze nie spowodowało to tak oczekiwanej przez Ampliturów paniki.

Dowodząca jednostką Krygolitka przyhamowała ślizgacz i poczekała, aż dołączy do niej reszta oddziału. Wszyscy zatrzymywali się kolejno, aby zlustrować teren. Skanery pokazywały jedynie żółtawe, piaszczyste wzgórza pozbawione nawet śladów jakiegokolwiek wegetacji. Nieciekawe miejsce do walki, jednak niezbyt daleko stąd leżała ważna strategicznie instalacja hydroelektryczna.

Cała ta planeta w ogóle nie nadaje się do prowadzenia wojny, pomyślała dowodząca. Brak

wielkiego ładu, brak centralnych źródeł energii, setki osobnych szczepów zamiast jednego, globalnego rządu, który Ampliturowie mogliby bezkrywawo sobie podporządkować. Trudno nawet uznać te istoty za prawdziwych wrogów, skoro mówią setkami różnych języków. To nie cywilizowany świat, ale dom wariatów.

Inne oddziały miały podejść do elektrowni wodnej od północy i odciąć drogę ewentualnej odsieczy. Oczywiście ostrzał z dalekiego dystansu mógłby obrócić wszystkie urządzenia w perzynę, ale przecież potem trzeba by je i tak któregoś dnia odbudować. Lepiej zatem przechwycić wszystko w nietkniętym stanie.

Jak dotąd nie napotkali oporu. Istniała nadzieja, że w tych rejonach obrońcy nie ulokowali żadnych większych sił. Okoliczni farmerzy schowali się na sam widok Krygolitów i tylko jakieś niedorostki obrzuciły pojazdy kamieniami i patykami, chybiając zresztą całkowicie. Ampliturowie zmieniają nastawienie tubylców, w to akurat Krygolitka nie wątpiła.

O wiele prościej byłoby dotrzeć do elektrowni drogą powietrzną, ale miejscowa technologia, chociaż ogólnie raczej prymitywna, była osobliwie zaawansowana w dziedzinie wymyślania i produkcji wszelkiej broni ze szczególnym uwzględnieniem rozmaitych systemów pocisków ziemia-powietrze. Lądujące oddziały na własnej skórze przekonały się już, że tutejsze uzbrojenie nie ustępowało prawie importowanym środkom bojowym Gromady.

Nikt jednak nie potrafił racjonalnie wyjaśnić, skąd wzięło się tu tyle różnego sprzętu. Planeta nie nosiła śladów konfliktu i można by sądzić, że tubylcy czerpią jakąś szczególną przyjemność z konstruowania narzędzi zagłady. W tym jednym (i tylko w tym) doszli prawie do perfekcji. Może to sprawa jakiejś zdeformowanej estetyki? Ich architektura była prymitywna, podobnie rolnictwo i wszelkie sztuki. Zdumiewająca aberracja, która na dodatek znacznie utrudniała pacyfikację.

Krygolitka przesunęła skaner nad głowę, tuż pod podstawę antenki. Taktyka walki takich istot może być równie dziwna, jak cała ich cywilizacja, pomyślała. Nigdy nie wiadomo, co im jeszcze przyjdzie do głowy. Oddział musi być gotowy na wszystko.

Właśnie wydała rozkaz, aby ruszać dalej, gdy Tuaregowie wyskoczyli z borsuczych nor i w kilka chwil unicestwili dziewięćdziesiąt procent napastników. Reszta została dobita podczas próby odwrotu.

Klimatyzowane kryjówki typu „borsucza nora”, wszystkie wyposażone w nowoczesny system maskowania, zaczęto rozprowadzać kilka tygodni wcześniej. Produkowało je pewne japońsko-amerykańskie konsorcjum. Były to urządzenia lekkie, przenośne i niewykrywalne dla skanerów przeciwnika. Tuaregowie zwinęli je sprawnie i wezwali przez radio transport, zaś wkoło na wydmach płonęły i eksplodowały ślizgacze Krygolitów. Kilku wojowników obdzierało trupy z wszelakiego dobra, zupełnie tak samo, jak czynili to przez setki lat ich rabujący karawany przodkowie.

Pora wracać do bazy, pomyślała wojownicza Wspólnota, i mniejsza o to, co gada ten przeklęty dowódca grupy. Nie da się posuwać po podmokłym terenie, który w każdej chwili może wciągnąć ciężkie pojazdy i żołnierzy w polowym oporządzeniu. Tu trzeba transportu powietrznego. Drzewa

wkoło rosły tak gęsto, że ślizgacze nie miały dość miejsca na manewrowanie.

Być może krajowcy potrafią chodzić po błocie, ale jej podkomendnym ta sztuka była obca. Powiedziano im, że to będzie idealne miejsce na wysuniętą placówkę strzegącą podejścia do pobliskiego dużego miasta, spokojna okolica, w której na dodatek można się dobrze zamaskować. Okoliczna obrona była słaba i kiepsko zorganizowana.

Wylądowali bez przeszkód. Nie spotkali żadnego z tych upiornie zwrotnych i hałaśliwych samolotów, które zdziesiątkowały inne grupy desantowe. Los oszczędził im widoku ciężko opancerzonych pojazdów naziemnych z wielkokalibrowymi działami i bronią maszynową. Kto by oczekiwał, że prowincjonalny świat, nie mający wiele wspólnego z cywilizowanym obszarem kosmosu, będzie pękał w szwach od militariów? To zaprzeczało doświadczeniu, zaprzeczało zdrowemu rozsądkowi.

Postępujący za oddziałem zwiadowczym inżynierowie zaczęli prace przy stawianiu zabudowań bazy. Kopanie szło im niesporo, trafili na twardy grunt. Ale to wszystko tylko początkowe trudności, uznała wojowniczką, baza zapobiegnie atakom od strony leżących na wschodzie miast. Potem opanuje się przynajmniej ten jeden kawał lądu.

Ostry sygnał wezwał ją na czoło oddziału. Powoli i ostrożnie przedarła się między olbrzymimi drzewami i ich splątanymi korzeniami.

Drogę tarasowały powalone pnie leśnych gigantów. Prościej będzie je obejść, pocięcie tego na kawałki zajęłoby zbyt wiele czasu. Opuściła wizjer helmu i zlustrowała skanerem otoczenie. W dżungli mógł się przecież czaić jakiś snajper lub szpica wroga.

Coś plasnęło mokro o naramiennik wojowniczką. Spojrzała na plamę rozpełzającą się wkoło kleistej, czepiającej się pancerza kulki. Sięgnęła po broń, a jej oddział przykucnął w zaroślach.

Typowa próba obrazy przeciwnika podjęta wobec braku możliwości skutecznej obrony, pomyślała. Normalne zachowanie co prymitywniejszych społeczności.

Nagle rzuciła broń i zaczęła tańczyć na wszystkich czterech nogach. Przezroczysty płyn przepalił jej pancerz i z sykiem przenikał coraz głębiej. Szarpała za złącza, by jak najszybciej zrzucić palące odzienie.

Jej podwładni rzucili się do najbliższego transportera opancerzonego. Żaden nawet nie spróbował jej pomóc. Dołączyła jednak do nich. Tutaj byli bezpieczni, ten wóz mógł wytrzymać nawet taktyczne uderzenie jądrowe. Wojowniczką przeszła do stanowiska operacyjnego.

– Ilu ich jest? – spytała technika.

– Nie wiem. Okolice roi się od wszelkiego rodzaju życia, wiele zwierząt ma rozmiary tubylców, odczyty są mylące. Kilku jest na pewno. Ja... – urwał nagle.

– Co się dzieje?

– Ustał dostęp powietrza! – jęknął inny technik. – Są nad nami. Zatkali system wentylacyjny.

Niesamowite, przecież ten jeden transporter mógłby samodzielnie zrównać z ziemią małe miasto. W najbliższej okolicy nie było żadnego miasta, żadnej koncentracji sił wroga, żadnych nisko krążących samolotów. Tylko kilku krajowców. Posyukując z rozdrażnienia, wojowniczka kazała uaktywnić systemy broni.

Ale broń była bezużyteczna, skoro jej operatorzy nie mieli czym oddychać. System filtrów pozwalał przetrwać nawet w przypadku silnego skażenia radioaktywnego, biologicznego czy chemicznego, ale zewnętrzne urządzenia zapewniające dopływ powietrza musiały być drożne. Kaszląc i krztusząc się, wydała stosowne rozkazy.

– Użyć manipulatorów! – Mechaniczne ramiona były właśnie po to, by usuwać podobne przeszkody. Ale manipulatory też coś blokowało. Trzeba było wyjść na zewnątrz i ręcznie oczyścić otwory.

Gdy włązy odskoczyły i Krygolici zaczęli wyłaniać się z transportera, wojownicy Bantu już na nich czekali.

Głównodowodzący Aszregan nie cierpiał walki w górach, podobnie zresztą jak jego podkomendni. Było zimno i chociaż kombinezony chroniły przed chłodem, to klimat i nierówny teren bardzo utrudniały posuwanie się do przodu. Niektóre wąwozy były tak ciasne, że nawet najlepsi piloci ślizgaczy ledwo dawali sobie radę.

Wiodący pojazd dał znać, że widzi przeciwnika, i uaktywnił działko.

– Ledwie paru – zameldował. – Dwadzieścia stopni na prawo.

– Przyjrzyjmy się im – powiedział oficer i skierował swój ślizgacz w stronę tubylców.

Tych było czworo. Mieszkali w czymś zupełnie prowizorycznym, małej konstrukcji wzniesionej z metalowych rurek i cienkiego, lekkiego materiału. Całość tkwiła pośrodku łączki. Wprawdzie na zewnątrz stał tylko jeden krajowiec, ale skanery bez trudności wyczuły trójkę schowaną wewnątrz.

Gdy ślizgacze pojawiły się w polu widzenia, młodociany osobnik pisnął cienko i zanurkował do środka.

Tylko oficer miał translator zaprogramowany na miejscowe języki. Począł, aż reszta oddziału wylądował w pobliżu, włączył urządzenie i spojrzał na wyłaniających się ze schronienia tubylców. Dwoje dorosłych i dwoje dzieci. Zbili się w ciasną gromadkę. Oficer wziął dwóch przybocznych i podszedł bliżej. Pozostali nieustannie przeczesywali skanerami okolicę.

Dorośli przerastali Aszregan i Krygolitów. Byli wyżsi niż jakakolwiek rasa inteligentna, z wyjątkiem Molitarów, oczywiście. Ale takie drobiazgi nie zbijały doświadczonego oficera z tropu. Osobnik rodzaju męskiego opiekuńczo objął samicę ramieniem.

– Co jest? – spytał niespokojnie. – Czego od nas chcecie?

– Wiemy, że w tej okolicy ulokowana została ważna instalacja wojskowa – powiedział oficer. – Jest schowana pod którąś z tych gór. Zagłuszacze nie pozwoliły nam namierzyć jej dokładnie. – Młodociany samiec zaczął robić miny do Aszreganów. Oficer go zignorował. – Wiesz, gdzie to jest?

– Jestem tylko strażakiem – odparł tubylec. – Obozujemy tu sobie. Dostałem trzy dni urlopu. Trzeba czasem oderwać się na chwilę od roboty. I od tej całej inwazji. – Spojrzał ponad ramieniem oficera na czekające ślizgacze. – A wy skąd się wzięliście? Miało was tu nie być.

– Dlaczego nie wróćcie, skąd przyszliście? – spytała samica, zanim partner zdążył ją uciszyć. – Czemu nie zostawicie nas w spokoju?

Oficer uznał, że to nie czas i miejsce na wyjaśnianie piękna i istoty Celu. Ampliturowie są w tym lepsi. Jak przylecą, to przekonają tubylców.

Niemniej i tak powiedział im kilka słów. Ostatecznie były to istoty inteligentne, nawet jeśli tworzyły beznadziejnie prymitywne społeczeństwo. Ale ich organizacje militarne nie były prymitywne. Oto świat pełen zadziwiających kontrastów, pomyślał oficer.

– Nie wiem, o czym pan mówi – mruknął Ziemianin. – Jestem strażakiem. Obozujemy tu sobie.

Aszregan uniósł broń i wycelował w młodocianego osobnika rodzaju żeńskiego, który wczepił się w nogę rodzicielki.

– Jeśli nie powiesz mi wszystkiego, co wiesz o tej instalacji, to zastrzelę waszego najmłodszego potomka.

Ampliturowie nie pochwaliliby tej metody, ale ich tu nie było.

Dorośla samica pisnęła i objęła dziecko, które zaczęło zawodzić jękliwie i sączyć jakiś płyn z oczu. Typowa reakcja lękowa, uznał oficer. Dorosły samiec postąpił krok, ale zatrzymał się, gdy przyboczni wzięli go na cel.

– Słuchajcie, nie mam wam nic do powiedzenia. Wiecie, co robi strażak? Jak coś się pali, to on gasi. Nie jestem wojskowym. Nie włączyli mnie nawet do rezerwy. Nic nie wiem.

– Kłamiesz. Wszyscy zawsze wiecie, gdzie są najbliższe urządzenia wojskowe. Całe wasze społeczeństwo zaangażowało się w walkę.

– Nie my – upierał się tubylec. – Czy ktoś tu walczy? Widzieliście jakąś broń? Jak chcecie, to możecie przeszukać nasz namiot.

– Chcemy informacji, reszta nas nie interesuje. – Oficer skinął na jednego z przybocznych, aby sprawdził schronienie. Ten wrócił po minucie.

– Nie mają ani broni, ani urządzeń łączności. Oficer podziękował ruchem głowy i znów spojrzał na tubylców.

– Widzę, że przybyliście tu pieszo, a to znaczy, że mieszkacie w okolicy. Trudno uwierzyć, abyście naprawdę nic nie wiedzieli o wielkiej bazie wojskowej.

– Niby dlaczego? Armia nie trąbi głośno, gdzie co buduje. Skąd mam to wiedzieć?

Oficer wypalił cienką linię na ziemi tuż u stóp młodocianej. Starsza krzyknęła.

– Powiedz im, Jeff! I tak to znajdą. To nie nasza sprawa. To oni mają broń. Niech sobie idą walczyć.

– Nie mogę tego zrobić. Tracy. – Ziemianin wyraźnie bił się z myślami.

Oficer wycelował w czoło młodocianej. Dorosła zaczęła jeszcze intensywniej przekonywać partnera. Ten zawahał się, w końcu skapitulował.

– To na południowym zboczu Mt. Harrison – podniósł płonące nienawiścią oczy. – Nic nie wskóracie. Mają solidną obronę. Tam siedzą też Massudzi. Kilka dni temu dowieźli nowe uzbrojenie, którego wy, żeby was piekło pochłonęło, jeszcze nie znacie.

– Góra Harrison – mruknął oficer, sprawdzając teren na wyświetlaczu wizjera. – Która to? Gadaj zaraz.

– Ta o dwa kilometry na zachód od rozwidlenia kanionów. Trzeba wybrać północny i jechać nim do końca, aż ujrzy się kilka szczytów. Harrison jest najwyższy.

Oficer zastanowił się, czy by nie zastrzelić całej czwórki, ale trening Ampliturów wziął górę. Cel był najważniejszy. Ci tutaj nie stanowili zagrożenia, nie mieli nawet radia, aby ostrzec innych, pieszo zaś musieliby iść kilka dni do najbliższej osady. Do tego czasu ciężka broń zniszczy instalacje wroga.

Wkrótce dotarli do rozwidlenia i skręcili na północ. Ściany były strome, ale nie pionowe, zatem ślizgacze mogły poruszać się całkiem sprawnie. Skanery znajdowały wszędzie tylko nagie skały.

Mieli szczęście, że spotkali tę rodzinę. Oficer w pełni rozumiał ich chęć ucieczki przed wojną, gdyby nie Cel, sam zachowałby się podobnie. Młodocieni staną się pewnego dnia rzecznikami Celu, będą tak inni od barbarzyńskich rodziców...

Omijając w pędzie łagodny zakręt wąwozu nie mieli szansy dojrzeć rozpiętej między zboczami sieci. Była utkana z nowych supercienkich włókien, których skanery nie wyczuwały. Przy pełnej szybkości jedynie ostatni w kolumnie mieli dość czasu, by przyhamować nieco przed nieuniknionym zderzeniem z poprzednikami.

Zresztą i tak zaraz runęły masywne bloki skalne przymocowane w rogach sieci. Piloci ślizgaczy próbowali uwolnić pojazdy, ale przegrzane silniki stawały w płomieniach. Strzały wypalały tylko małe otwory w wytrzymałej pajęczynie. Po chwili całość runęła na odległe o ponad trzysta metrów dno kanionu.

Jakiś operator broni trafił w sąsiedni pojazd. Ten eksplodował, podpalając jeszcze dwa. Na skały

opadła już tylko jedna wielka masa ognistego złomu i krzyczących żołnierzy.

Nad krawędzią wąwozu pojawili się ludzie. Wyszli z kryjówek i spojrzeli na piekło w dole. Ci z zachodniego brzegu pomachali tym ze wschodniego. Pułapka się udała.

Jeden ze stojących na wschodnim urwisku mężczyzn odsunął czapkę z czoła, a potem wcisnął poły czarno-czerwonej flanelowej koszuli z powrotem w spodnie. Następnie sięgnął po mały komunikator.

– Lucas, przekaż do Denver, że mamy następnych. – Coś huknęło głucho na dnie kanionu. – Nikt nie ocalał. Nie, nie sądzę, aby zdołali nadać ostrzeżenie. – Zamaskowany mikrotalerz anteny przekazywał jego słowa ponad górami w sposób niewykrywalny dla skanerów orbitalnych. – I jeszcze jedno. Skoczcie do rodziny Sorrellów na Clover Ridge i poproście ich, aby zostali tam jeszcze na trochę z namiotem. Świetnie nakręcają nam interes.

Rozdział 25

Tripedus nie przejmował się swoim imieniem. Nogę stracił podczas wypadku jeszcze w młodości, ale ponieważ została w pełni zregenerowana, obecnie nie odczuwał potrzeby zmiany swojego losu.

Obok stał Wgapiacz. Patrzył uważnie na sprawdzaną po raz ostatni komorę z jednostronnym monitorowaniem. Obaj Ampliturowie pracowali ciężko, ale byli niespokojni. Przecież po raz pierwszy ich gatunek miał spotkać się osobiście z nowym wrogiem.

Personel Tripedusa odniósł się ze zrozumieniem do decyzji Komendanta, aby w spotkaniu wzięło udział tylko dwóch Ampliturów i żeby wszystkiego należycie dopilnowali. Statek mknął bezpiecznie w podprzestrzeni, ale zadanie i tam mogło być ryzykowne. Niemniej i Tripedus i jego towarzysze czekali niecierpliwie na chwilę konfrontacji.

Dwaj Molitarowie wprowadzili pojmanego do specjalnego pomieszczenia, którego wnętrze było doskonale widoczne. Był to samiec ubrany w podarty mundur jednej z wielu ziemskich armii. Kulał nieco na jedną nogę i Tripedus poczuł z miejsca przyływ współczucia dla rannego. Jeniec nie wyglądał na onieśmiałego otoczeniem ani roslymi strażnikami.

Wgapiacz przesłał Molitarom myślowe polecenie odejścia. Ci skłonili się i zniknęli. Tubylec zdumiał się trochę ich odejściem, a jego zaskoczenie wzrosło jeszcze, gdy z podłogi wyrosło przed nim krzesło i stolik ze stojącą na nim miską czystej, chłodnej wody i próbkami zdobytych w walce racji żywnościowych.

– Usiądź, proszę – powiedział Tripedus.

Translator przekazał szept do izolatki Ziemianina.

Ten rozejrzał się gwałtownie, aż w końcu dostrzegł pobłyskujący ekran, który oddzielał go od przesłuchujących.

– Niby dlaczego miałbym to zrobić?

Typowa, opryskliwa odpowiedź. Ale czego innego można się spodziewać?

– Bo nie ma powodu, abyś stał. Musisz być zmęczony.

– Nie jestem zmęczony – warknął tubylec, w końcu jednak usiadł.

Z wyraźną ulgą odciążył ranną nogę.

– Teraz nas zobaczysz. Nie przeraż się.

Na milczące polecenie Tripedusa Wgapiacz zmienił polaryzację ekranu.

Tubylec zareagował spokojnie. Chyba dobrze panował nad emocjami.

– Wiesz, kim jesteśmy? – spytał Komendant.

Krajowiec skinął głową i przymrużył oczy. Pewnie reakcja obronna, pomyślał Tripedus.

– Jesteście Ampliturami. Nasi przyjaciele pokazali nam wasze zdjęcia.

– I pewnie niejedno jeszcze kłamliwie opowiedzieli.

– Powinieneś czuć się zaszczycony. Jesteś pierwszym Ziemianinem, którego spotykamy osobiście.

– Naprawdę? No to popatrzcie sobie. – Tubylec rozpostarł ramiona i wyprostował się na krześle.

– Wiemy już wszystko o twojej fizjologii.

– Nie boisz się? – spytał Wgapiacz.

– Nie.

Obaj Ampliturowie czuli, że kłamię. Ale tego też należało oczekiwać. Takie zachowanie pasowało do bitewnych talentów tych istot.

– Nie wyglądacie imponująco – stwierdził tubylec, mierząc gospodarzy spojrzeniem. – Sądząc po waszej reputacji, można by oczekiwać kogoś większego.

– Wielkość organizmu niczego nie determinuje – stwierdził Wgapiacz.

– Może, ale wolałbym bić się z którymś z was, niż z Molitarem. To chyba najtwardsze towarzystwo, jakie dla was pracuje.

– Molitarowie nie pracują dla nas – zaprotestował Tripedus, zmieniając na chwilę barwę i stając wygodniej. – Oni...

– Tak, tak, wiem. Są częścią Wspólnoty. Wszystko jest częścią tego waszego Celu. – Tubylec odsłonił białe zęby. – Prócz Massudów, S’vanów i ich przyjaciół. No i nas.

– Możecie stać się istotnym elementem Wspólnoty. – Tripedus przysunął się bliżej do ekranu. – Możecie dostąpić oświecenia, poznać piękno...

– Dzięki, ale mamy dość własnego. Wasze nie jest nam potrzebne. Czemu nie weźmiecie dup w troki i nie wróćcie, skąd was przyniosło?

– Podajemy za naszym przeznaczeniem – odparł Komendant, ignorując obraźliwy ton. – Jeśli S’vanowie przekazali wam choć trochę prawdy, to wiesz, że nie możemy czynić inaczej.

– Tak właśnie was opisali. Ale to nasz świat. Jeśli będziecie dalej pchać się tu nieproszeni, będziemy musieli was wyrzucić.

Tripedus uznał, że tubylec próbuje w ten prymitywny sposób dodać sobie odwagi. Przecież musi wiedzieć, że jest jeńcem na pokładzie statku, który leci w podprzestrzeni, musi też wiedzieć, że zapewne już nigdy nie ujrzy swoich. Takie żarty świadczą o braku poczucia rzeczywistości i skłonności do przyjmowania irracjonalnych postaw. W walce to przydatne, ale nigdzie poza nią. Gdy już przyłączy się te istoty do Wspólnoty Celu, przyjdzie pora na wyleczenie ich umysłów. Zaznąją spokoju, o jakim dotąd nie śniły.

Obaj Ampliturowie porozumieli się krótko. Probus wybrałby wprawdzie inny egzemplarz, ale od kogoś i tak trzeba było zacząć. Na razie mieli tylko tego jednego samca.

Wgapiacz sięgnął myślami do mózgu obcego. Działał ostrożnie, z wprawą. Komendant tylko przyglądał się jego wysiłkom i dzięki temu nie ucierpiał tak bardzo, jak towarzysz. Gdy próbował później odtworzyć przebieg zdarzeń, udało mu się to tylko częściowo, przy czym był to bolesny proces.

W umyśle tubylca wrzały pod olbrzymim ciśnieniem ślepe emocje, wśród których najsilniejszą była nienawiść. Gdy Wgapiacz nacisnął powłokę mentalną, cały ten ładunek eksplodował, zalewając eksperymentatora falą niewypowiedzianego bólu i strachu, zwierzęcych instynktów skrytych pod pozorami inteligencji.

Oczy tubylca rozszerzyły się. Spojrzał na leżącego na boku Wgapiacza. Amplitur wpadł w stan śpiączki. Macki zwinął ciasno przy ustach, oczy schował całkowicie w fałdach ciała. Stojący obok Tripedus jeszcze trząsł się cały, mało co widział i dopiero zaczynał pojmować, że nawałnica negatywnych emocji ledwie go musnęła.

Komendant stał jak sparaliżowany i czekał, aż ból złagodnieje. Sądząc po reakcji tubylca, był on równie zaskoczony swoimi zdolnościami obrony mentalnej. Tym straszniejsze było to, co się stało. Tubylcy okazali się ze wszech miar niebezpieczni. Nie dość, że nieobliczalni, to jeszcze nie poddający się kontroli.

Ziemianin zerknął ze zdumieniem na Tripedusa, aż Komendant zadrżał pod jego spojrzeniem. Po chwili dotarło do niego, że przecież ta istota nie potrafi wpływać na cudze umysły jak Ampliturowie.

Nieszczęsny Wgapiacz musiał trafić nieoczekiwanie na wrażliwy element systemu nerwowego Ziemianina, jakiś ośrodek służący obronie mentalnej. Okaz zareagował instynktownie. Nie mógł tego przewidzieć, bo nigdy nie spotkał się z podobnym zagrożeniem.

Tubylec wyciągnął rękę w kierunku nieprzytomnego Wgapiacza.

– Ten sukinsyn próbował dobrać mi się do głowy. Poczulem. – Spojrzał na Tripedusa. – Tak to

robicie, prawda? Mieszacie innym myśli i przerabiacie po swojemu, by uwierzyli bez reszty w ten wasz Cel. On próbował mnie przekabacić. Ale nie mógł. Coś go poraziło. – Uśmiechnął się nagle. – Ja go załatwiłem.

Jeniec poweselał raptownie.

– To znaczy, że nie możecie nas dostać. A jeśli próbujecie, to coś w nas daje wam takiego łupnia, aż nogami się nakrywacie.

Podszedł do ekranu i załomotał weń obiema dłońmi. Tripedus wiedział, że ekranu nic nie przebije, ale i tak cofnął się odruchowo od tego bezwłosego i wykrzywionego oblicza. Drzwi celi otworzyły się i wbiegło do niej dwóch uzbrojonych Molitarów.

Tubylec splunął w ich kierunku a potem, całkiem nieoczekiwanie, zaniósł się śmiechem tak gwałtownym, aż łzy popłynęły mu po policzkach.

– Wy biedne, szmaciane skurwysyny, nie możecie nam tego zrobić! Nie możecie załatwić nas tak samo, jak wszystkich innych! Poczekajcie tylko, aż się ludzie dowiedzą!

Bez ostrzeżenia runął na Molitarów. Przez jedną straszną chwilę Tripodus myślał, że obcy odczytał jego myśli, ale przecież to było niemożliwe. Ziemianie nie znali telepatii.

Bliższy Molitar strzelił, ale tubylec uchylił się i ładunek trafił w ekran dokładnie na wprost Komendanta. Ten drgnął odruchowo i schował słupki oczne. Nie ucierpiał jednak, ekran potrafił wchłonąć nie takie dawki energii.

Ziemianin kopnął strażnika w kolano. Molitar wrzasnął i runął na podłogę. Jego kompan próbował złapać tubylca prawą ręką i zdzielić lewą, jednak ten w nieprawdopodobny sposób złożył się prawie w pół, potem wyprostował i niczym błyskawica dźgnął Molitara w oko. Trysnęła krew i strażnik zwolnił uchwyt.

Na wezwanie Komendanta do pokoju wbiegli uzbrojeni Krygolici i Aszreganie.

– Zabić go! – wrzasnął w myślach Tripedus. – Zabić zaraz!

Niecywilizowane, niegodne i wstydlive pragnienie. Ale ku zadowoleniu Komendanta istota padła w końcu, nie potrafiła gołymi dłońmi odbijać wiązek energii. Gdy rozszedł się dym, na podłodze leżało tylko trochę niegroźnej, martwej protoplazmy i kilka kości.

Tripedus jak mógł najszybciej uciekł z pokoju przesłuchań. Skierował się do centrali, rozmyślając po drodze nad stosownymi środkami zaradczymi.

Można zmobilizować wszystkich żołnierzy i każdy statek i spróbować podbić ten świat, zanim obrońcy urosną jeszcze bardziej w siłę. Jednak to wystawiłoby światy Wspólnoty na ataki wroga. Co gorsza, zorganizowana naprędce druga fala desantu mogłaby ponieść klęskę. Ampliturowie osiągnęli aż tyle wyłącznie dzięki cierpliwości i starannemu planowaniu.

Nie. Najpierw trzeba w pełni zrozumieć nieprzyjaciela. Bezwzględnie konieczne będą dalsze badania systemu nerwowego tych istot. Inaczej nie da się z nimi walczyć. Należy zdobyć więcej żywych okazów.

Reszta to już zadanie dla bioinżynierów. Ustali się, jak działa mechanizm obronny i unieszkodliwi się go lub zneutralizuje. Dopiero wtedy będzie można otworzyć Ziemiąom oczy na prawdę Celu i wyrwać to plemię z barbarzyństwa. Potem będą już szczęśliwi.

Pozostali Ampliturowie z początku nie dowierzali Tripedusowi, ale nagrania z sesji mówiły same za siebie. No i był nieprzytomny Wgapiacz, którego lekarze wciąż nie mogli docucić.

Jeden z dowódców floty przejrzał uważnie wykres funkcji myślowych obcego.

– Widzicie ten szczyt aktywności korowej? Co to jest?

– Nie wiem – odparł inny czując, że w tym przypadku jego wiedza w zakresie biologii jest dalece nie wystarczająca.

Starszy specjalista w dziedzinie neurologii też niewiele z tego rozumiał.

– Jak zaznaczył Tripedus, tubylec był zdumiony i nie podejrzewał, że posiada tak skuteczny mechanizm obronny. Przejrzałem odczyty i trudno z nimi dyskutować. Wszyscy obecni byli równie zaskoczeni.

– Ale skąd ta zdolność chronienia własnego umysłu, skoro na macierzystej planecie tych istot nie występuje żadne zagrożenie tego typu? – spytał któryś z wysokich oficerów.

– Ewolucja bywa kapryśna i rozrzutna, ale nie kształtuje cech całkiem niepotrzebnych. Nie znamy w pełni środowiska tych istot. Biorąc pod uwagę osobliwość tego świata, nie powinno nas to dziwić aż tak bardzo. Widać wyraźnie, jak wiele ryzykowaliśmy, podejmując atak bez uprzedniego rozpoznania przeciwnika. Czy to takie niezwykle, że płacimy teraz za nadmiar pewności siebie?

– Sytuacja na Ziemi zdaje się obecnie stabilna. Ale długi zastój oznacza wzrost sił nieprzyjaciela. Czas działa na jego korzyść – powiedział specjalista od taktyki. – To bezprecedensowa sytuacja i trzeba postępować nietypowo. Próba zniszczenia całej planety raczej się obecnie nie powiedzie. Niemniej te istoty mogą w niespotykanym stopniu zagrozić Celowi. Sugeruję wycofać się z ich świata i dać sobie czas na skuteczne rozwiązanie trudności. Powiem wprost: zabierzmy stamtąd resztki naszych oddziałów, póki jeszcze możemy je w większości ocalić.

– Ależ to będzie wspaniały prezent dla Gromady – zaprotestował ktoś. – Ich morale wzrośnie niepomiarne.

– Morale to rzecz zmienna – odparł Tripedus. – Nie traćmy poczucia rzeczywistości. Działajmy zgodnie z tym, co wiemy. Nie spotkaliśmy się jeszcze z niczym podobnym, ale to nie znaczy jeszcze, że nie będziemy umieli sobie poradzić. Potrzeba tylko dość czasu i badań. Każdy problem rozwiązuje się tak samo. – Tripedus zwrócił się w myślach do naczelnego specjalisty od neurologii obcych. – Czy na podstawie odczytów możesz stwierdzić z całą pewnością, że tubylec nie zrozumiał, co

właściwie się stało, gdy Wgapiacz dotknął jego umysłu?

– Nic nie wskazuje na świadomą reakcję. Jak sam widziałeś, obcy wiedział, co Wgapiacz zamierza, ale reakcja była czysto instynktowna. Tubylec sam nie znał jej mechanizmu. To było coś skrytego głęboko pod pokładami jego jaźni. Najpierw skok aktywności kory mózgowej, potem reszta. Trzeba będzie wyizolować geny odpowiedzialne za tę reakcję i odpowiednio je przekształcić. Zwykła chemiczna zagadka. Rozwiązywalna, oczywiście.

– Ale jeśli Gromada dowie się o odporności Ziemiaków na naszą łagodną perswazję, to sprawy mocno się skomplikują – zauważył taktyk.

– Jeśli w ogóle do tego dojdzie. Nawet gdyby tak się stało, i tak damy sobie radę – zapewnił go Tripedus.

– Nie jestem pewien, czy „odporność” jest tu właściwym określeniem – zastanawiał się głośno neurospecjalista. – To raczej gwałtowna reakcja. Inkryminowana zdolność ujawniła się dopiero przy próbie sondowania, przedtem trwała uśpiona. Tak zatem nie ma powodów do paniki. Mając dość czasu rozwiążemy ten problem. Trzeba będzie zatrudnić nasze najbystrzejsze umysły...

– Ale póki co, nie możemy z nimi skutecznie walczyć – zaznaczył ktoś.

Cisnące się wszystkim na czuлки pytanie nie zostało głośno wypowiedziane, ale decyzja i tak zapadła. Przez aklamację.

– Wycofamy się z tego systemu – powiedział z napięciem Tripedus. – Najpierw spróbujemy pozyskać dość okazów do badań. Jeśli się nie uda, poszukamy ich gdzie indziej lub kiedy indziej. Ponieważ odwrót zostanie przeprowadzony teraz, kiedy jeszcze nie stoimy w obliczu przegranej, straty, tak militarne jak i moralne, nie powinny być duże. – To zdanie miało trochę uspokoić coraz bardziej wzburzonego taktyka. – Gdy Wgapiacz wyzdrowieje, zapewne dostarczy nam dalszych informacji i pomoże w przyszłych badaniach.

– O ile jego umysł nie został trwale uszkodzony – zauważył neurolog i wszystkim zrobiło się dziwnie nieswojo.

– Muszę też wyrazić żal z powodu śmierci jedyne go okazu – pomyślał Komendant.

– To była reakcja obronna – zaprotestował jeden z naukowców. – Nie mogłeś przecież od razu wiedzieć, co właściwie się stało ani co może jeszcze nastąpić. W takich okolicznościach mamy raczej do czynienia z przypadkiem obrony koniecznej. Dopiero teraz wiemy, że to była instynktowna reakcja. Gdyby obcy potrafił nią sterować, zaatakowałby cię tak samo jak Wgapiacza.

– Dokładnie tak – przyznał Komendant i zakończył spotkanie. Jednak mimo wielu obowiązków, które już na niego czekały, Tripedus nie przestawał myśleć o owym przykrym incydencie. Nie potrafił zapomnieć tej jednej chwili przerażenia.

Rozdział 26

Już po wszystkim. Will uniósł głowę znad biurka. Na lagunę nawet nie spojrzął. Atol u wybrzeży Belize nie stanowił już centrum aktywności Gromady na Ziemi, pozostał jednak istotnym ośrodkiem badawczym. O miano siedziby delegacji obcych rywalizowało kilka najważniejszych stolic świata, tutaj zaś, skoro nie było potrzeby dłużej się kryć, podwodny kompleks wyrósł ponad wodę. Kilka smukłych, eleganckich wież mierzyło wysoko w tropikalne niebo.

– Po czym niby?

– Po bitwie o wasz świat. – Możliwe, że T'var uśmiechnął się nawet pod gęstą brodą. – Wygraliśmy.

Will wiedział, że w zasadzie powinien krzyczeć i skakać z radości, jak czyniło to zapewne w tej chwili parę miliardów ludzi, ale jakoś dziwnie nie miał na to ochoty.

– Kiedy podano tę wiadomość?

– Kilka minut temu. Przyszła ekranowanym łączem z miasta zwanego Londyn. – Angielski T'vara był już całkiem dobry. – Wycofują się. Wszyscy: Krygolici, Aszreganie, Molitarowie, Akariowie i sami Ampliturowie. I z zewsząd naraz. Z Gobi, Wielkich Równin, Ukrainy i Matto Grosso. Zostawiają nawet te bazy, które chwilowo były jeszcze bezpieczne. Wahadłowce krążyły przez cały ranek, zestrzeliliśmy kilkanaście z nich, przynajmniej jeden wielki okręt wojenny też nie zdołał umknąć w podprzestrzeń.

– Nie rozumiem – powiedział cicho Will. – Słyszałem, że ich wypieramy, ale nic nie sugerowało tak szybkiego zwycięstwa. Czemu to robią?

– Tego nie wiemy. – T'var znalazł wreszcie ławę przystosowaną do jego wzrostu. – Ale podobno w tym tempie do wieczora wyniosą się całkiem z systemu. Hivistahmowie podejrzewają jakiś podstęp, ale oni martwiliby się nawet wtedy, gdyby Ampliturowie jutro poprosili o pokój. Massudzi powszechnie skłaniają się ku stwierdzeniu, że to prawdziwy odwrót.

– No to teraz zacznie się szaleństwo.

– Już się zaczęło. I tutaj, w bazie, i na całym świecie. To wielka chwila dla was, wielka chwila dla Gromady. Nie dość, że udało się wyrzucić Ampliturów z tego świata, ale jeszcze poszło szybciej niż kiedykolwiek.

– Musiało im się tu nie spodobać – mruknął Will w zamyśleniu.

– Potraktowano tak samo, jak przedtem na Vasarih i Aurun, tyle że bez porównania goręcej – zapalił się T’var. – Będziemy podgrzewać ich tak, aż zepchniemy ich na macierzystą planetę i nieważne, jak długo to potrwa.

– Może – przyznał powoli Will.

T’var spojrział na niego zawiadaczko.

– Niezbyt rozumiem twoje uwagi.

– Nie oczekujcie zbyt wiele po Ziemiach. Teraz, gdy znikła bezpośrednia groźba, rodzaj ludzki może nie zareagować po waszej myśli. Ludzie zjednoczyli się w obliczu wspólnego wroga, ale skoro wróg ucieka, zapragną zapewne wrócić do dawnych zajęć. Już kiedyś ostrzegałem was przed taką możliwością.

– Ależ to nieprawdopodobne. Nie można cofnąć się w rozwoju.

– Nie zapominaj, że ten świat pełen jest egoistycznych głupców.

Mimo wyczerpanych wysiłków wroga członkowie i sojusznicy Gromady dowiedzieli się wkrótce o ludzkiej odporności na manipulacje Ampliturów. Zdarzyło się to przypadkiem, gdy grupa ziemskich żołnierzy chciała pojmać oficera Ampliturów. Ten zaatakował ich mentalnie, ale zamiast uniknąć w ten sposób niewoli, sam wpadł w konwulsje. Zdumieni Massudzi, którzy pojawili się na scenie wydarzeń kilka chwil później, wypyтали szczegółowo swych towarzyszy broni o przebieg zdarzeń i niedługo potem przeprowadzono całą serię ostrożnych eksperymentów. Te z kolei dowiodły, że Ampliturowie wiedzą już o tej szczególnej właściwości ludzi, obawiają się jej i nie zbadali jeszcze, jaki jest mechanizm owej odporności.

Dla oddziałów liniowych to ostatnie nie mało znaczenia. Massudzi ucieszyli się niepomiarnie i zaczęli darzyć swych pozbawionych futra towarzyszy broni jeszcze większym szacunkiem. Ani myśleli, żeby zacząć się ich lękać.

Dlatego też z niedowierzaniem przyjęto wiadomość, że ludzkość nie włączy się masowo w walkę z rzeźnikami Celu. Stało się dokładnie tak, jak przewidywał Dulac.

Przedstawiciele Gromady nie mogli tego pojąć. Nie dość, że ludzie okazali się wspaniałymi żołnierzami, ale byli jeszcze odporni (jako jedyni) na mentalne manipulacje wroga. Zatem to nie strach skłonił ich do podjęcia takiej a nie innej decyzji.

S’vanowie i Massudzi próbowali negocjacji, ale i ich zatkało w końcu ze zdziwienia. Zagrożenie zniknęło i globalny system obrony ponownie rozpadł się na wiele armii. Każdy kraj miał własne priorytety, przy czym niezależnie od systemów politycznych, zawsze były one odmienne. Pojawiły się spory o przebieg granic i pokrzykiwania rozmaitych grup wpływów.

Cóż, Waisowie czerpali przyjemność z kultywowania manieryzmu, Massudzi z biegania. Ziemianie zaś uwielbiali się kłócić.

Will odetchnął nieco, gdy rodzaj ludzki wrócił do dawnego bałaganiarstwa. Kompozytor nie omieszkał, oczywiście, podzielić się radością z przyjaciółmi.

– Ostrzegałem was – powiedział do Kaldaqa. – Przewidywałem, że nie można liczyć na nasz udział w wojnie na dalekich światach. Wola walki odeszła wraz z najeźdźcami. Pewnie zgłosi się do was jeszcze parę tysięcy rekrutów, ale nie pozyskacie rządów do współpracy.

– Tak czy inaczej musimy próbować – odparł Massud.

Wszystkie media pełne były rozważań i opinii rozmaitych ekspertów, którzy tylko bardziej gmatwali sprawę, jak zwykle zresztą. Wszystkie rządy uznały za stosowne wypowiedzieć się raz, drugi (czasem i trzeci), ale żadnego nie było stać na szczególną oryginalność.

Przedstawiciele Gromady prosili i przekonywali, wyjaśniali i schlebiali, wszystko na próżno. Owszem, to prawda, mówili, że Ampliturowie zostali odparci, ale nie gwarantuje to jeszcze ostatecznego zwycięstwa. Pewnego dnia mogą powrócić silniejsi i lepiej przygotowani. Jeśli ludzkość zdecydowała się wydać im wojnę, to będzie musiała walczyć z nimi jeszcze nie raz. Mimo tych i podobnych ostrzeżeń rządy świata nie chciały wesprzeć zbrojnie odległego i dla wielu niezrozumiałego konfliktu.

Planeta rozkwitła. Konflikty między państwami same jakoś zniknęły. Głupio i bez sensu byłoby podnosić rękę na sąsiada, skoro być może i tak trzeba będzie pewnego dnia się z nim zjednoczyć, aby dać wrogom ludzkości kolejną nauczkę. Z tego samego powodu nie zlikwidowano armii, jednak żołnierze nie uczyli się już zwalczać nawzajem. W praktyce była to jedna, globalna armia. Korporacje zbrojeniowe nadal miały co robić. Jak zwykle opracowywały nowe systemy broni na wypadek wojny, która mogła w ogóle nie nadejść.

– Nigdy nie postawicie na swoim – stwierdził Will. – W sytuacjach ekstremalnych ludzie współpracują zgodnie, ale poza tym nie potrafią się dogadać. Winnicie cieszyć się z tych rekrutów, którzy przybywają. Niezależnie od tego, jakich argumentów użyjecie, większość opowie się za pokojem i izolacjonizmem.

– Wyglądasz na zadowolonego.

– Ja? Jestem zachwycony. Ziemia jest teraz znacznie miłszym miejscem. Mamy wreszcie pokój, ludzie o wojowniczych skłonnościach mogą udać się do waszego punktu werbunkowego. Podobnie malkontenci. Wyładowują swoje frustracje setki lat świetlnych od pobratymców i wracają spokojni jak baranki. Reszta tymczasem może zaznawać spokoju i pracować w imię postępu kulturowego i ochrony środowiska.

– Czy możesz pójść ze mną? – spytał T'var, zsuwając się z ławy. – Ktoś chciałby się z tobą spotkać.

– Dobra, za chwilę, niech tylko to wyłączę. – Sprawdził, czy zapisał wszystko na dysku, po czym wygasił aparaturę.

T'var zaprowadził go do nowej części kompleksu badawczego. W odróżnieniu od pozostałych pomieszczeń, te kryły się głęboko we wnętrzu rafy.

Wielkie okrągłe drzwi prowadziły do wnętrza, jakiego Will jeszcze nie widział. Zamrugał oczami, przyzwyczajając źrenice do panującego tu półmroku.

Przeciwległą ścianę, tworzyła gigantyczna przezroczysta obłóść wychodząca na morze. Właśnie przepływały za nią roje kolorowego narybku. Widok obramowywały olbrzymie gąbki.

W cieniu obok okna poruszyło się coś dużego i zwalistego. Dopiero w blasku sączącym się z zewnątrz Will poznał, z kim ma do czynienia, Turlog.

Wstrzymał oddech. Analitycy Turlogów przyczynili się walnie do zwycięstw na Vasarih i Aurun. Nawet S'vanowie przyznawali, że bez pomocy tej jednej rasy Gromada dawno uległaby Ampliturom. Will wiedział, że jest zapewne pierwszym człowiekiem, któremu dane jest ujrzyć nieśmiałego mizantropa, jakim był Turlog.

Znaczenie Turlogów było odwrotnie proporcjonalne do ich liczebności. Na co dzień nie cierpieli niczyjego towarzystwa, nawet przedstawicieli własnego gatunku.

Will słyszał, że na statku Kaldaqa był Turlog, ale nie miał pojęcia, że ta istota wzięła udział w obronie planety. Nie mógł powstrzymać ciekawego spojrzenia.

Chitynowy stwór podszedł do kręgu światła. Miał sześć krótkich, sztywnych nóg i był wielki jak dobrze wyrosnięty wół. Zdawał się należeć raczej do świata za szybą, niż do pełnego elektroniki wnętrza bazy.

Twór ten posiadał dwa szkielety, zewnętrzny i wewnętrzny, skutkiem czego poruszał się bardzo wolno i był ogólnie niezdatny. Dwoje srebrzystobladych oczu patrzyło beznamiętnie. Każda ze sztywnych kończyn błyskała poczwórnymi szczypcami. Wyglądały na ostre, ale mało ruchliwe.

– To Pasiiakilion – szepnął T'var.

Może tutaj należało mówić cicho?

Will wyciągnął odruchowo rękę, potem zawahał się. Nie ze strachu, tak nieruchawa istota nie mogła być groźna, ale wyczuł, że to nie miejsce na próżne gesty. Zostali zauważeni i to powinno wystarczyć za całe powitanie.

Blade oczy i nieruchoma maska twarzy nie wyrażały niczego, gdy przez dłuższą chwilę Turlog i Ziemianin mierzyli się spojrzeniem. Willowi przyszło do głowy, że ten stwór mógłby zapewne poświęcić życie dowolnej sprawie i nie robiłoby mu żadnej różnicy, czy rozmyśla o cząstkach elementarnych, galaktycznej wojnie czy kwiatowych płatkach.

Ciszę przerwało chrapliwe szeleszczenie. Gdzieś w pobliżu musiał być translator, bowiem zaraz popłynął tekst po angielsku.

– Will Dulac. Znam cię.

– A ja chyba o tobie słyszałem. Czy nie przybyłeś tu razem z Kaldaqiem?

Znów rozległo się coś, niby szmer fal mieszających żwir na pustej plaży.

– Tu jest cicho. Lubię twój świat. Interesuje mnie.

Will rozejrzył się, ale pomieszczenie pełne było nic nie mówiących mu, obcych przedmiotów i rozmaitych, czasem groteskowych kształtów. W odległym kącie jaśniał mdło kapelusz świecącego grzyba. Will spróbował zrobić krok w tym kierunku.

– Proszę, nie podchodź bliżej – zaszeleścił beznamiętny głos. – To kokon mego jaja. Jak może wiesz, jesteśmy hermafrodytami.

Jak Ampliturowie, pomyślał Will.

– Nie, nie wiedziałem.

– Często zastanawiamy się nad fenomenem płciowości – mruknął Pasiiakilion. – Tyle energii i wysiłku dla samej reprodukcji. Ale nie mamy o tym jednoznacznej opinii.

– Czemu mnie tu przyprowadziłeś? – szepnął Will do dziwnie małomównego T’vara.

– Myślę, że wy, Ziemianie, powinniście wiedzieć o czymś – odparł spokojnie S’van. – Być może spotka mnie za ten czyn reprimenda, ale Pasiiakilion wyłoży ci to lepiej niż ja.

Dziwnie poważne podejście do sprawy, zupełnie nietypowe dla S’vana, – pomyślał Dulac.

– Jesteście swarliwi i dziwni – powiedział Turlog – ale walczyście wspaniale. Nie znaleźliśmy dotąd nikogo równie dobrego.

– Też tak słyszałem. – Na razie bez rewelacji.

– Ponieważ wasz rozwój społeczny zostaje daleko w tyle za technologicznym, nie stworzyliście dotąd globalnego rządu. Ukształtowanie powierzchni waszej planety też wam nie sprzyja. W ten sposób nie spełniacie wymogów formalnych, koniecznych, aby wstąpić do Gromady.

– Wcale nie chcemy wstępować – odparł Will. – Zgodzono się powszechnie, że należy pozwolić na walkę w szeregach Gromady wszystkim chętnym, ale na zasadzie indywidualnego wyboru. Nie będzie oficjalnego wsparcia ani żadnych sojuszy.

– Wiem. To dobrze.

Willa zamurowało. Pewien był, że źle coś zrozumiał.

– Myślałem, że chcecie naszej obecności w Gromadzie. Na ile znam stanowisko przynajmniej

części członków federacji, to w każdej chwili gotowi są przeszkolić i postać do walki nawet całą ludzkość.

– Chcemy was w roli żołnierzy, bo w tym jesteście najlepsi – powiedział Turlog.

– Nie, to nie jest akurat to, co potrafimy robić najlepiej. Nie zaprzeczam, że dobrze sobie radzimy, ale...

– Pozwól mi dokończyć – przerwał mu Pasiiakilion. – Rzadko się odzywam i w mowie jestem kiepski. – Will zasznurował usta. – Mówię prawdę. Jesteście najlepszymi wojownikami. A może nawet kimś więcej: języczkiem u wagi. Chociaż za wcześnie jeszcze na szczegółowe prognozy. Mimo to, chociaż sporo myśleliśmy o tak ważkiej sprawie, nie chcemy was przyjąć do Gromady.

– Kaldaq mówił co innego.

– Jak wielu. Ale w najlepiej pojmowanym interesie Gromady to nie leży. Wam chyba także nie jest potrzebne.

Zamiast ucieszyć się, że oto wreszcie udało mu się spotkać między obcymi drugą, podobnie refleksyjnie nastawioną do życia istotę, Will odczuł lekki niepokój.

– Od lat mówię to samo. Zatem też uważacie, że powinniśmy powstrzymać się przed zawieraniem oficjalnych sojuszy? To wspaniale. Może zostawieni samym sobie wykształcimy społeczeństwo równie pokojowe, jak O’o’yanowie czy Waisowie.

– To nie nastąpi. Chcemy, abyście walczyli, nie chcemy tylko waszego członkostwa w Gromadzie. Pragniemy waszej pomocy, ale nie partnerstwa. Jesteście niebezpieczni. Nie tylko dla Ampliturów, ale dla każdego cywilizowanego gatunku, nawet dla samych siebie. Z czasem to może się zmienić. Niezależnie od waszego wysiłku, Ampliturowie nie zostaną pokonani jutro, ani w żadnej przewidywalnej przyszłości. Są cierpliwi i mają surowców pod dostatkiem, są też oddani sprawie, inna rzecz, że złej. Wam brakuje cierpliwości. Dziś cieszyacie się zwycięstwem, ale to się zmienia, chyba że nie doceniamy Ampliturów. My was nie chcemy. Waisowie, Hivistahmowie, O’o’yanowie i Leparowie was nie chcą. Nawet S’vanowie was nie chcą.

Will spojrzał ostro na T’vara. Napotkał spojrzenie małych czarnych oczu.

– Rozumiem. Najemnicy, ale nie przyjaciele.

– Nie dorośliście jeszcze, żeby zostać przyjaciółmi – stwierdził bezlitośnie Pasiiakilion. – Uważa się, że przy odpowiedniej pomocy i nauczaniu możecie dojrzeć. Jeśli jednak was odmienimy, nie będziecie chcieli już walczyć. Obecnie Gromada nie potrzebuje nowych przyjaciół, ale nowych żołnierzy. – Will milczał. Za oknem słońce migotało na drobnych falach. – Gdybyście potrafili jakoś stworzyć choćby zaczątki globalnego rządu, gdyby te wasze Narody Zjednoczone stały się prawdziwą reprezentacją całej ludzkości, to i tak byłoby za mało. Sama wasza obecność sprawiałaby kłopoty, których i bez was mamy dosyć. Wprowadzenie do Gromady istot tak niecywilizowanych mogłoby ją zniszczyć.

– Tęgo nie możesz wiedzieć na pewno. Chyba mylicie się co do nas i to od samego początku.

– Naprawdę chciałbym w to uwierzyć. Może. Jednak na razie zachowamy ostrożność. – Turlog poruszył widocznymi na tle okna szczypcami. – Po prostu chcę, abyś wiedział, dlaczego cieszy nas wasza decyzja, że nie będziecie się ubiegać o członkostwo w Gromadzie. Nie musimy wam odmawiać. To byłoby niezręczne i kłopotliwe. W ten sposób obie strony mają to, czego chciały.

– Możesz to rozwinąć? – spytał Will.

– Moim zadaniem było prowadzenie wnikliwych badań waszej psychiki. Nie można oczekiwać po was racjonalnego działania dla osiągnięcia jakiegoś celu. Nie znacie granic własnej słabości. Zawsze reagujecie odwrotnie od oczekiwań i zawsze gwałtownie. W Gromadzie jest wielu artystów i filozofów, muzyków i inżynierów. Brakuje wojowników. Nawet Massudzi przestaliby walczyć, gdyby mieli wybór. A teraz znaleźliśmy was. Jesteście nam potrzebni.

– A co się stanie, gdy już pokonamy Ampliturów i zniknie ten ich Cel? – spytał Will po dłuższej chwili. – Co wtedy?

– Mówisz o dalekiej przyszłości – wtrącił pospiesznie T'var. – Najpierw trzeba ich pokonać.

Srebrzyste oczy wciąż wpatrywały się w twarz Willa.

– Osobiście najbardziej interesuje mnie ten mechanizm, który osłania ludzki umysł przed manipulacjami Ampliturów. Nikt inny tego nie potrafi.

– Nawet Turlogowie?

– Nawet Turlogowie.

– Boicie się nas?

– Nie was. Tajemnicy, która w was tkwi.

– Boimy się kłopotów – dodał T'var. – Tych nam nie trzeba. Od dnia powstania Gromada chwiała się, groziła rozpadem. Pokonanie Ampliturów może nastąpić za sto lat, może tysiąc. Tak czy inaczej, nikt z nas tego nie dożyje. Co mamy przekazać naszym odległym potomkom? Poza tym – zaczął tonem tak gniewnym, jak nigdy jeszcze – czy nie tego właśnie chciałeś? Aby zostawić was w spokoju?

– Tak, owszem. Chcemy żyć w spokoju. Ale nie w pogardzie.

– Nie ma mowy o pogardzie – odezwał się Pasiiakilion. – Jesteście podziwiani na wszystkich światach Gromady.

– Jasne. Bo dzięki nam inni nie muszą walczyć. To żaden szacunek. Możesz podziwiać kobrę, ale to nie znaczy, żebyś chciał ją od razu przytulić.

– Wy nazywacie to „cienką linią między miłością a nienawiścią” – wtrącił T’var, któremu najwyraźniej wracało poczucie humoru.

– Czy to ważne zatem – spytał Turlog – jak udało wam się ostatecznie osiągnąć to, na co z dawna nalegałeś?

– Nie wiem – mruknął Will. – Sądziłem, że to może być istotne, ale teraz sam nie wiem.

– Naprawdę tak bardzo zależy wam na tym, żebyście byli lubiani? Szacunek nie starczy?

– Jeśli byłby to szacunek dla zalet, to owszem. Podziw wobec osiągnięć kultury, cywilizacji. Ale pochwały wyłącznie za sprawne zabijanie Krygolitów...

Turlog obrócił się i spojrzał na okno.

– Przykro mi. Myśleliśmy jednak razem ze S’vanami, że powinieneś znać prawdę. Tak to dzisiaj wygląda.

– Czas iść. – T’var pociągnął Willa za rękaw. – Usłyszałeś już wszystko.

– Jeszcze chwila, mam pytania...

– Innym razem – zaszemrał Turlog. – Muszę zająć się jajkami.

– Powinieneś czuć się zaszczycony – powiedział T’var, gdy byli już na korytarzu. – Pasiiakilion poświęcił ci więcej czasu, niż komukolwiek za mojej pamięci. Nawet Kaldaqowi. To raz, a po drugie, odpowiadał na twoje pytania, zamiast poprzestać na wygłoszeniu informacji. Bardzo chce was zrozumieć.

Will zwolnił kroku, aby niższy S’van mógł za nim nadążyć.

– Miałem wrażenie, że nas nie lubi.

– Turlogowie nie „lubią” nikogo. Nawet innych Turlogów. – T’var skreślił do windy na powierzchnię. – Pomagają, bo nie chcą paść ofiarą Ampliturów. Wybrali mniejsze zło, czyli współpracę z Gromadą.

– To wszystko była prawda?

– Nie słyszałem, żeby jakiś Turlog kłamał.

– Nikt nie chce nas w Gromadzie?

Dotarli na poziom morza. Will poczuł się jakoś pewniej w pełnym blasku dnia, z dala od jaskini obcego.

– Pomyśl o Turlogach. Ich nikt nie lubi, ale są podziwiani za znaczny wkład we wspólny wysiłek.

A my? Zwykle budzimy zawiść. Kto mówi o powszechnym uwielbieniu dla S'vanów? A Leparowie to już w ogóle mają prze... jak wy to mówicie... przechlapane. Czemu zatem Ziemianom miałyby tak zależeć na sympatii ze strony innych ras? I tak jesteście w dobrym towarzystwie.

– To co innego – stwierdził Dulac. – Wy jesteście wszyscy istotami cywilizowanymi. My nie. Aż do chwili, gdy Gromada nas zaprosi, nie zostaniemy powszechnie zaakceptowani.

– Kiedyś do tego dojdzie.

– Kiedy?

– Z czasem. Gdy nie będziecie już takimi, jak teraz.

– To znaczy bezrozumnymi maszynami do zabijania. Tak, tak, w waszych materiałach propagandowych zetknąłem się i z czymś takim. Też trochę poczytałem przez ostatnie lata.

– Nie za naszego życia, ale w końcu do tego dojdzie.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. To najbardziej niewątpliwa rzecz pod słońcem. – S'van uśmiechnął się niewinnie.

Rozdział 27

W okresie po inwazji rekrutacja ziemskich żołnierzy stała się o wiele łatwiejsza. Wielu spośród tych, którzy jej unikali, paliło się teraz, aby czym prędzej wyruszyć na Motar. Inni jeszcze, nawet ci, którym nie dane było wziąć udziału w obronie Ziemi, chcieli spełnić marzenia o dalekich podróżach czy ziszczyć sny o chwale. Lub po prostu mieli nadzieję się odegrać.

Ze wszystkich armii świata nadciągnęło sporo żołnierzy i oficerów, sfrustrowanych perspektywą permanentnego pokoju i brakiem napięć między mocarstwami. Wiedzieli, że tutaj ich wyszkolenie pójdzie na marne. Druga fala rekrutowała się spomiędzy biedoty wielu krajów. W tym przypadku rolę werbowników odegrali po części rekruci z pierwszych zaciągów. Niektórych Will pamiętał jeszcze z Belize.

Medycyna Gromady stała o wiele wyżej od ziemskiej, potrafiła leczyć nawet bardzo poważne obrażenia. O ile żołnierz nie został ze szczętem uśmiercony na polu walki, miał wszelkie szansę po temu, aby wrócić do domu zdrowym i bogatym. Gromada była szczodra dla przyjaciół.

Wielu jednak myślało podobnie jak Will. Teraz nie była to już kwestia patriotyzmu, ale wolny

wybór. Kto szedł na wojnę, czynił to z własnej woli. Kto zostawał w domu, temu nikt złego słowa nie powiedział.

Ziemska nauka ustępowała dokonaniom Gromady, z jednym wszakże wyjątkiem. Obecnie, po tylu doświadczeniach, nie wywoływało to zdumienia obcych socjologów, chociaż nadal wszyscy przyznawali, że żaden inny gatunek nie wkłada tyle wysiłku w rozwój militariów.

Gdy tylko naukowcy i inżynierowie uzyskali dostęp do technologii Gromady, z miejsca wzięli się do udoskonalania standardowych typów uzbrojenia, zaś skutek tych starań zdumiał nawet S'vanów. Ludzie nie wykazywali przy tym żadnych oporów czy zahamowań moralnych, które dręczyły zwykle naukowców Gromady. Różne koncerny zbrojeniowe współzawodniczyły radośnie w tym nowym wyścigu, licytując się, czyja „zabawka” jest bardziej śmiertelna.

Skrupułów rzeczywiście nie mieli żadnych. Wiedzieli przecież, że ich wytwory nie zostaną użyte przeciwko współbraciom. Oto wreszcie trafiła się okazja, o jakiej ludzkość marzyła od wieków. Dość bratobójczych walk, dość mordowania się z powodu koloru skóry czy religii. Oto ludzie i ich sojusznicy stawali przeciwko strasznym głowonogom i ich niewolnikom. Sytuacja prosta i jednoznaczna. My i oni. Nie trzeba myśleć, wszystko jasne.

Głosy wzywające do skrajnego izolacjonizmu były teraz nieliczne i nie wywoływały żadnego oddźwięku. Co bardziej upartym osobnikom przypominano relacje Ziemiaków, którzy wrócili z planet frontowych. Ci akurat nie mieli żadnych kłopotów z wytyczeniem granicy między dobrem a złem. Ampliturowie łapczywie zagarniają wszystko dla większej chwały Celu i nie znają pojęcia „neutralności”, mówili. Wybór jest prosty: albo walczysz razem z nimi, pod ich światłym przewodnictwem, rzecz jasna, albo giniesz. Przewodnictwo Ampliturów zaś oznacza utratę indywidualności, wolnej woli i wszystkiego, co ludzie tak kochają.

Nikt nie musiał nawet rozpętywać na Ziemi prowojennej hysterii. Militarystyczna propaganda, której Will się tak obawiał, zniknęła zanim zdążyła zaistnieć. Ampliturowie ze swoim Celem działali na przeciętnego Ziemiaka jak czerwona płachta na byka i punkty werbunkowe nigdy nie świeciły pustkami.

I tak ludzie pociągnęli na wojnę razem z Massudami, S'ranami, Hivistahmami i innym rasami Gromady. Wracali potem otoczeni podziwem, zadowoleni i bogaci, i zachęcali następnych do tego samego. Jednak w skali całej populacji nie była to grupa aż tak znacząca. Ludzkość została w domu. Dulac nie miał powodów do zmartwień.

Kaldaq szedł przez górne poziomy bazy wznoszącej się obecnie wysoko ponad palmy i koralowe wysepki. W dole nieustannie lądowały i startowały wahadłowce dowożące rekrutów i zaopatrzenie dla statków, które kilka godzin temu wychynęły z podprzestrzeni.

Na granicach słonecznej sfery magnetycznej rozmieszczono już system ostrzegawczy równie sprawny i nowoczesny, jak ten chroniący macierzystą planetę, kapitana. Jednostki bojowe Gromady patrolowały niskie orbity Ziemi. Ludzie mogli się czuć bezpieczni, chociaż nadal nie mieli zamiaru występować o formalne włączenie do federacji, co nikogo nie martwiło, a wręcz przeciwnie. Tylko Will Dulac wiedział, jak bardzo zależy Gromadzie na utrzymaniu obecnego status quo.

Korytarzem nadchodziła grupa odznaczonych ziemskich żołnierzy. Nosili mundury zaprojektowane jeszcze przez pierwszych rekrutów i z ożywieniem o czymś rozprawiali. Dojrawszy Kaldaq wykonali szczególny gest. Kapitan wiedział, że nazywają to salutowaniem i wyrażają w ten sposób szacunek wobec przełożonego. W armiach Gromady nie było podobnego zwyczaju.

Czemu po prostu się nie przywitać? – pomyślał Kaldaq. Żeby mundur zmieniał aż tak wiele? Jeszcze jeden przykład militarystycznych ciągot ziemskiej kultury.

Pomachał żołnierzom. Wiedział dobrze, że jego pozdrowienie jest znacznie mniej dynamiczne. Tamci salutowali siarczyście, nie przerywając nawet rozmowy. Czyżby czynili to odruchowo?

Spojrzał za nimi. Dwóch Hivistahmów pogadywało z O'o'yanem. Gdy ujrzeli ludzi, jeden z techników szepnął coś do pozostałych i grupka zeszła Ziemianom z drogi. Dyskutujący wciąż głośno żołnierze niczego nie zauważyli.

Jednak Kaldaq przyjrzał się jaszczurom uważnie. Cała trójka przymrużyła oczy, O'o'yan schował się za większymi Hivistahmami. Oni bali się ludzi. Niestety, była to dość częsta reakcja.

Wszyscy wiedzieli, co Ziemianie potrafią. Walczyli wspaniale i mało kto nie był im za to wdzięczny, jednak z tego samego powodu również mało kto ich lubił.

Nawet wśród Massudów wielu nie kryło niechęci wobec ludzi i to niezależnie od faktycznie istniejącego braterstwa broni. W walce, owszem, nie było lepszych towarzyszy niż Ziemianie, ale po służbie Massudzi woleli zwykle ich unikać. W ludziach było coś nieokrzesanego, szorstkiego i odpychającego. Jakiś szczególny brak taktu i opanowania. Po służbie okazywało się z reguły, jak mecząca może być kompania istot niecywilizowanych.

Kaldaq usłyszał wołanie Jaruselki i przyspieszył kroku. Obecność partnerki pozwalała mu ukoić rozbiegane myśli.

Mieli spotkać się dopiero w jadalni, ale teraz będą mogli przejść resztę drogi razem. W dobrym tempie, rzecz jasna, ludzie musieliby biec, aby za nimi nadążyć. Ciekawe, pomyślał Kaldaq, że potrafią bez trudu prześcignąć nas na krótkich dystansach, ale na dłuższą metę żaden nie dorówna Kaldaqowi. Taka dziwna fizjologia.

Przywitali się serdecznie, niuchając po karkach i szepecząc czułe słówka. Dopiero po chwili Jaruselka spojrzała uważniej na Kaldaq.

– Wyglądasz, jakbyś się czymś martwił.

– Nie, zamyśliłem się tylko.

– Ciągle czymś się gryziesz – zbeształa go. – Zupełnie jak Hivistahm.

– Nie mów tak. Zjemy razem?

– Tak. Mam dobre nowiny.

– O walkach na Kantarii?

– Nie – odparła. – Dostałeś awans.

Zwolnił i spojrzał w jej lśniące oczy. Przez ostatnie lata pracy zupełnie zapomniał o porządku promowania. Massudzi zwykle nie przywiązywali do tego takiej wagi, jak Ziemianie. Awanse zdarzały się i już. Normalna kolej rzeczy, jak upływ lat.

– Mnie też awansowano.

– To rzeczywiście dobre wiadomości.

– Może. Poza tym dostajesz przydział bojowy.

Zdumiony i zaniepokojony przymknął oczy.

– A co z moją pracą tutaj?

– Dowództwo uważa, że nie jesteś tu teraz niezbędny. Inni przejęli już brzemię. S’vanowie dogadują się z Ziemianami o wiele lepiej niż my. Szkoda Massudów do zadań administracyjnych, skoro tak bardzo potrzebni są gdzie indziej. Na przykład na Kantarii.

Co za ironia. Zamierzał wykorzystać nagrania przedstawiające walki o ten świat, aby przyciągnąć rekrutów. Teraz sam sprawdzi, co tam słychać.

Kantarię zamieszkiwała rasa niedojrzała, wspinająca się dopiero na wyższe stopnie ewolucji społecznej. Były to ssaki, niskie i smukłe jak O’o’yanowie, ale pozbawione talentów tych ostatnich. Zostały prawie całkowicie podbite przez Ampliturów, na szczęście Gromada odkryła ich planetę i zainterweniowała niemal w ostatniej chwili. Teraz Kaldaq miał ruszyć do walki za tę sprawę. Nie wiedział wiele o Kantarii, tyle tylko, że Wspólnota usadowiła się tam dość mocno, opanowała większość terytorium, i trzeba będzie odbijać je skrawek po skrawku.

– I co powiesz, kochana? – spytał Jaruselkę.

– Chętnie opuszczę Ziemię. Za długo już tu siedzę. Teraz dostaniemy krótki urlop, zajrzemy do domu i potem przejmujemy nowy przydział. Twój przodkowie byliby dumni. To wielki zaszczyt dostać skierowanie na tak trudną placówkę.

– Kto tam walczy?

– Głównie Krygolici i jeszcze paru innych, pod nadzorem garstki Ampliturów. Są też Mazvekowie, nowi we Wspólnocie. Ampliturowie dopiero testują ich w walce. Widać uważają Kantarię za bezpieczny poligon. Nie jest to raczej szczególna zdobycz. Prymitywny świat, tacyż mieszkańcy. Ale gdyby odebrać ją Ampliturom, to sporo da się z nimi zrobić.

– Mięso armatnie dla Celu – mruknął ponuro Kaldaq.

– Właśnie. – Spojrzała w głąb jasnego korytarza. Tutaj było tak inaczej, niż w dawnej części bazy. – Polubiłam niektórych Ziemian, ale muszę wyznać, że jako gatunek nie budzą mojej sympatii. Gdy są w grupie, dzieje się z nimi coś dziwnego. Zmieniają się.

– Badania trwają – powiedział Kaldaq. – Są sugestie, że to skutek działania feromonów, słyszałem też kilka innych, wysoce ryzykownych hipotez. Ale to już nie nasze zmartwienie. Teraz mamy nowy przydział i jasno określone zadanie.

– Ale niektórych będzie ci chyba brakowało – zauważyła. – Na przykład Dulaca.

– Ani trochę.

– Przecież zaprzyjaźniłeś się z nim. – Jaruselka nie kryła zaskoczenia.

– I owszem, to był pierwszy Ziemianin, jakiego poznałem. Pod wieloma względami wciąż uważam go za godnego szacunku, nawet cywilizowanego, podobnie jak kilku wyjątkowych zgoła przywódców tutejszych szczepów. Ale jest człowiekiem, a ja już dość mam ludzi.

Minęli panoramiczne okno. Na horyzoncie majaczyły sylwetki zielonych gór kontynentu. Dalej, bardziej na północ, leżały ziemskie miasta pełne potencjalnych rekrutów. Chętnych było znacznie mniej, niż obojętnych wobec sprawy. Jedni i drudzy uznawali się, wszyscy razem i każdy z osobna, za pępek wszechświata. Dla żołnierza to zaleta, dla istoty potencjalnie cywilizowanej kula u nogi.

– Tak, bez żalu się stąd wyniosę.

Rozdział 28

Kaldaq popadał w coraz głębsze zgorzknienie. Walka nigdzie nie była łatwa, ale na Kantarii wszystko jakby sprzysięgło się przeciwko niemu.

Łądy planety przecinały skaliste góry poznaczone głębokimi dolinami i wartkimi strumieniami. Na dodatek nieustannie padał lodowaty deszcz. Dopiero co skończyła się tutaj epoka lodowcowa i nie pozostało to bez wpływu zarówno na topografię, jak i na klimat, który łagodniał tylko w wąskim pasie wokół równika.

Najgorsze zaś, że Massudzi nie mieli na Kantarii dość miejsca na bieganie.

Deszcz działał na te uwielbiające blask słońca istoty demoralizująco. Podobnie widok śniegu okrywającego górskie szczyty. Chłód był do wytrzymania, ale te opady... Wszystko pleśniało od wilgoci, wystarczyło małe zaniedbanie higieny, a liszaje okrywały nawet stopy.

Tubylcy, niewielkie, szczupłe dwunogi, pierzchali na widok każdej obcej istoty i kryli się w kamiennych chatach, gdzie pełni lęku zbijali się w grupki wokół paleniska. W rzadko rozrzuconych miastach widywało się większe budowle ze spojonych surowym cementem otoczków.

Po niespełna roku Kaldaq pojął, że na Kantarii żadnej ze stron zwycięstwo nie przyjdzie łatwo. Ukształtowanie terenu utrudniało walkę, tubylcy władali wprawdzie wszyscy tym samym językiem, który różnił się tylko dialektami, ale nie mieli centralnych instytucji władzy. Doszli zaledwie do szczybla plemion i klanów. Wymiana handlowa dopiero raczkowała, co zresztą nie dziwiło.

Wojska Gromady wyzwoliły sporą część łądy, ale co z tego, kiedy oddziały wroga i tak przenikały bez przerwy dolinami i wzdłuż łańcuchów górskich. Zdarzało się w ciągu tego roku, że jakiś odcinek kilka razy przechodził z rąk do rąk. Nieprzyjaciel umacniał opanowane miasta, zaś satelity komunikacyjne nigdy nie zagrzewały zbyt długo miejsca na orbicie i łączność szwankowała cały czas.

Wojna wlokła się niemiłosiernie, obie strony urządzały czasem wypadki na umocnione pozycje. Ostatnia próba opanowania pewnego większego miasta skończyła się totalną klęską. Ładujący transportowiec dostał się pod ostrzał oddziałów walczących na otwartej przestrzeni oraz tych okopanych na stokach gór. Nieliczni, którzy ocaleli, porównywali potem desant do penetracji pieca hutniczego.

W odróżnieniu od walk na innych światach, tutaj ofiary wśród tubylców były znaczne. Walki toczyły się praktycznie na podwórkach ich chat i chowanie się na widok uzbrojonych oddziałów nie

mogło w żaden sposób pomóc.

Jedyną pociechą pozostawał fakt, że wrogowi było równie ciężko. Ale wróg siedział na Kantarii już od dawna, kontrolował większość planety i powoli ale nieustannie spychał wojska Gromady w stronę morza.

Nie działało się to za sprawą lepszego uzbrojenia czy wyszkolenia Krygolitów. Zdolności Mazveków (którzy faktycznie całkiem dobrze radzili sobie w tych warunkach) też nie miały wiele do rzeczy. Kaldaq wiedział, że za sukcesami przeciwnika stoi jego fanatyzm, ślepotą na wszystko poza Celem i skłonność do bezgranicznych poświęceń w jego imię.

Co gorsza, Massudzi rzadko potrafili obronić zdobyte doliny. Byli po prostu zbyt osłabieni wilgocią, wyczerpani deszczem. Zdrowie im szwankowało, poczucie obowiązku słabło, bezczynność demoralizowała.

Tymczasem nieszczęśni Kantarianie wysłuchiwali peror obu stron i coraz mniej wiedzieli, komu właściwie mają wierzyć. Nie byli dość rozwinięci, by pojąć istotę sporu, nie wspominając o koncepcji Celu.

Ampliturowie mieli jeszcze jedną przewagę. Wystarczyło poprosić jakiegoś wodza czy kacyka o chwilę rozmowy, przestać mu odpowiedni przekaz myślowy, a on już mówił swoim ludziom, co trzeba.

Z początkiem drugiego roku walk na Kantarii Kaldaq stracił Jaruselkę.

Rozdział 29

Nadzorował atak na obsadzoną przez Mazveków grań, która blokowała dostęp do jednego z ważniejszych miast. Siedział w patrolowcu, jedynym sensownym na tej planecie środku transportu powietrznego, gdy drużyna Krygolitów na śligaczach zaleciała walczące oddziały od tyłu. Bezpośrednia osłona toczyła akurat walkę z samolotami wroga i niczego nie dostrzegła.

Nie był to nawet planowy atak. Jaruselka była w tym momencie w drugim patrolowcu, który koordynował celność ostrzału i krążył poza zasięgiem ognia. Jej pojazd zawisł natychmiast u stóp skalnego urwiska, które dawało pewną osłonę przed pociskami. Krygolicci byli równie zdumieni, jak wszyscy. Wystrzelili tylko kilka razy, by osłonić odwrót, i pognali w kierunku wylotu tego samego wąwozu, z którego się wyłonili.

Jeden z wystrzelonych na oślep pocisków trafił w granitową ścianę bezpośrednio nad patrolowcem Jaruselki. Pilot nie miał najpewniej nawet szansy, by dojrzeć, co go zabija, a ekrany ochronne były niczym wobec tysięcy ton sypiącego się na pojazd skalnego gruzu. Całość runęła ciężko na dno doliny.

Kaldaq miał to ciągle przed oczami: pękające poszycie, miażdżone stabilizatory, deszcz plastikowych odłamków spadający wraz z kamieniami. Z pojazdu i jego pasażerów mało co zostało. Może to i dobrze, myślał. Wolał pamiętać ją taką, jaka była za życia.

Od tamtej pory wykonywał wszystkie obowiązki jakby w otępieniu, walczył i patrzył na śmierć innych, znośił z cierpieniem paskudny klimat świata, którego mieszkańcy nie mieli nawet pojęcia, czemu te obce potęgi ich masakrują.

Przy każdej okazji składał wniosek o przeniesienie na jakąś inną planetę, jednak przełożeni odrzucali niezmiennie wszystkie prośby Kaldaqa. Jako weteran był potrzebny tutaj. Z czasem stawanie do raportu zmieniło się w cykliczny rytuał przypominający boleśnie o osobistej tragedii.

Kaldaq wiedział, że na tej straconej planecie nie było nic wartego śmierci Jaruselki. Nic uzasadniającego cierpienia żołnierzy. Gromada traciła kolejne góry i kolejne doliny, aż trzeba było opuścić i tę, w której zginęła Jaruselka. Pozostał im już tylko wąski skrawek lądu na zachodzie, same fiordy i urwiska spadające wprost do lodowatego oceanu Kantarii.

Przegrana przychodziła powoli, bowiem co pewien czas udawało się odnieść jakieś zwycięstwo, ale obrót spraw był jasny i wcale nie podnosił Kaldaqa na duchu. Gorzej nawet, skłaniał do zaniebywania obowiązków. Planeta była stracona.

Tę wojnę obie strony toczyły ze zmiennym szczęściem, tak było już od setek lat. Zwycięstwa i klęski. Oddadzą Kantarię, za to zwyciężą gdzie indziej.

Kaldaq wiedział też, że tutaj o klęsce decydowała w pierwszym rzędzie sama planeta. Wcześniej czy później ktoś zarządzi całkowitą ewakuację niedobitków i pechowi Kantarianie staną się mięsem armatnim dla Celu. Ampliturowie zmienią ich genotypy i żegnaj spokojny ludu Kantarii. Nigdy nawet nie zrozumiesz, co się z tobą stało.

Żołnierze nie powinni myśleć za dużo o takich sprawach. Zresztą jego nie będzie już wtedy wśród żywych i nie ujrzy ostatecznej klęski Kantarii.

Kiedyś, w przyszłości, kiedy wyrzuci się już Ampliturów z tej części Galaktyki, Gromada zawita tu znowu i oswobodzi mieszkańców planety. Bo przecież tak właśnie będzie. Ale na razie w zyciorysie Kaldaqa przybędzie czarna karta opisująca odwrót, porażkę. Nie szkodzi, że będzie to klęska przez niego niezawiniona.

Może wytrzymają tu jeszcze wiele lat, nawet sto, jeśli okopią się i ukryją, ale czy warto marnować siły, które gdzie indziej mogą zadecydować o zwycięstwie? Lepiej uznać się za pokonanego na drugorzędnej planecie, ale zdobyć inną, ważniejszą. Z tym Kaldaq mógłby się pogodzić, podobnie jak ze śmiercią Jaruselki.

Jednak to drugie nie było takie proste.

Minęło dość czasu, aby mógł znaleźć nową partnerkę, ale nic go w tym kierunku nie ciągnęło, chociaż wiedział przecież, że Jaruselka nie pragnęłaby wcale widzieć go osamotnionym. Tak samo byłoby, gdyby zdarzyło się odwrotnie... Kaldaq coraz częściej żałował, że to nie jego los zabrał. Ale co się stało, to już się nie odstanie. Był przecież dowódcą, i wyglądało na to, że nigdy w życiu nie będzie już nikim innym.

Od szeregu dni padał wciąż ten sam, ulewny deszcz. Jak zwykle, bardziej dokuczał jego podkomendnym niż wrogowi. Latające stanowisko dowodzenia unosiło się nad wschodnim wejściem do doliny. Widział z góry, że zarządzony chwilę wcześniej odwrót jest już w pełnym toku, a artyleria Krygolitów położyła ciężki ogień, pustosząc przy tej okazji pobliską wioskę i otaczające ją pola.

Massudzi próbowali stawiać opór, zdołali nawet opanować część wschodniego wylotu doliny, ale wszystko to na nic. Horda Mazveków zalała obrońców i wybiła niemal wszystkich. Ocalały podoficer kazał wycofywać się z zachowaniem możliwie jak największej dyscypliny.

Jeszcze jeden splachetek ziemi w rękach wroga. Będą musieli opuścić tę dolinę, te góry. Zostawić Kantarian Ampliturom. Kaldaq nie po raz pierwszy musiał być świadkiem krwawego odwrotu i zobojętniały wypełniał już tylko swoje obowiązki. Nic ponadto.

Nie było żadnych widoków na posiłki. To wiedział z góry. Gdzie indziej było jeszcze gorzej.

Pora ruszać. Pora wynosić się z tego świata. Następny rok walki o te skały nie wskrzesi Jaruselki, nie zmieni losów tej wojny. Kaldaq spojrział na projekcję terenu. Kolejna dolina w rękach wroga.

Przyjdzie okopać się na następnej grani i zacząć wszystko od nowa. Ale po co? W końcu i tak morze zaszumi im za plecami. I tak załadują się w końcu do wahadłowców w nadziei, że zdołają uciec żywi z orbity. Skok w podprzestrzeń może się uda, ale nie wiadomo, czy Ampliturowie nie polecą ich śladem... Cóż, dobrze chociaż, że pod rządami nowych panów zdziśiatkowani tubylcy nie będą już cierpieć.

Przygotowania do odwrotu były na ukończeniu, gdy do centrum dowodzenia przybiegł zdyszany podoficer. Jego pancerz był w kilku miejscach ponadpalany, zaś żołnierzowi brakowało lewego ucha. Szpitale polowe na Kantarii nie dysponowały sprzętem do regeneracji tkanek.

– Komandorze!

– Co, żołnierzu? – Kaldaq opuścił dłoń z komunikatorem.

– Nie możemy uciec.

– Dlaczego? – Kaldaq był spokojny, w najgorszym razie podzieli tylko los ukochanej.

Jaruselko, Jaruselko, jestem zmęczony i tęsknię za tobą.

– Skanery wychwyciły niespodziewaną szpicę Krygolitów w wąwozie tuż za nami. Mają pociski ziemia-powietrze i system naprowadzania. W obecnej sytuacji...

– Znam nasze położenie. Zażądać od jednostek wsparcia uderzenia na ich pozycje.

– Nie da się inaczej, komandorze? Wróg jest bardzo blisko, przy ogniu z dużego dystansu też możemy oberwać.

– Skoro jest tak jak mówisz, to nie mamy wyboru – rzucił obojętnie Kaldaq. – Inaczej postracają nas kolejno. Z przodu blokują drogę duże siły nieprzyjaciela, zaś nasze pojazdy nie wzniosą się na pułap szczytów, które otaczają tę dolinę. Możemy wycofywać się tylko w jednym kierunku. Uda się czy nie, trzeba spróbować. Przynajmniej zabierzemy ich paru ze sobą. Swoją drogą, chciałbym wiedzieć, jak przedostali się przez naszą sieć czujników.

– Podejrzewamy, że podkopywali się od dawna i czekali z zasadzką na chwilę, aż zaczniemy się wycofywać. Albo dopiero co przybyli do tego sektora. Mają ślizgacze nowego typu, o wiele szybsze i zdolne do lotu tak blisko podłoża, że prawie nie można ich wykryć tradycyjnymi metodami.

– Słyszałem o nich – mruknął Kaldaq.

Podoficer spojrzał z niepokojem na wyraźnie wyczerpanego dowódcę i pomyślał, że należy pomóc starszemu wiekiem i stopniem Massudowi.

– Zatem prosimy o ostrzał?

– Tak. Niech nie szcędzą siły ognia. Mniejsza o precyzję. – Kaldaq sprawdził, czy ma broń przy pasie. Przez całe lata nosił ją jakby to był brelok. Teraz mogła się przydać. Sprawdził ją. Była w

pełni naładowana. Od kiedy Ampliturowie zaczęli rozsiewać mikroustroje pożerające zawartość baterii, takie rzeczy należało kontrolować nieustannie.

– Ostrzec oddziały i przekazać, aby trzymali się jak długo będą mogli. Spróbujemy zgrać to wszystko w czasie. Poproszę o dziesięć minut przerwy na wycofanie naszych sił z doliny. Jeśli będziemy mieli szczęście, Krygolici nie zdążą wyjść z ukrycia, aby nas dopaść.

Dowództwo wsparcia taktycznego miało obiekcje. Osłona odwrotu nie należała do łatwych zadań. Kaldaq musiał wyjaśnić dokładnie, że im wcześniej dostaną ogień na podaną strefę, tym większa szansa, że wyjdą z tego żywi.

Powodzenie nieprzyjacielskiej taktyki nie martwiło go ani trochę. W takim terenie trudno było połapać się, gdzie zaległy własne wojska, a co dopiero mówić o wrogu. Ktoś musiał popełnić błąd i nie pora, by to rozpamiętywać. Teraz trzeba walczyć.

Pojazd dowodzenia był wolniejszy od zwykłych patrolowców, ale posiadał grubszy pancerz. Kaldaq nie myślał o sobie, ale o ocaleniu tych, którymi przyszło mu dowodzić. Starszyzna rodu pochwaliłaby taką postawę.

Tak duży pojazd był kuszącym celem. Normalnie nie ruszał się bez osłony, ale po nieudanym szturmie doliny Kaldaqowi zostało za mało żołnierzy, aby wyznaczyć eskortę.

Próba zamaskowania byłaby i tak daremna, nawet najprymitywniejsze czujniki wykryją coś tak dużego. Postanowił, że usunie z pokładu wszystkie zbędne osoby, co pozwoli podwoić obsadę ślizgaczy szturmowych i transportowców. Jeśli pojazd dowodzenia ruszy pierwszy i skieruje się wprost na pozycje Krygolitów, może uda się zmylić przeciwnika lub przynajmniej ściągnąć ogień na siebie. Opancerzony kadłub nie podda się od razu i otworzy drogę ucieczki reszcie oddziału.

Może być i tak, że wróg przejrzy podstęp. Setki lat walki pozwoliły obu stronom poznać całkiem dobrze taktykę przeciwnika.

Kaldaq nie wahał się. Wiedział, na czym polega dowodzenie i uważał, że jeśli ta akcja dywersyjna pozwoli ocalić chociaż kilku żołnierzy więcej, to warto próbować.

Już niedługo spotka się w zaświatach z Jaruselką. O ile owe zaświaty istnieją. Śmierć na stanowisku to nie jest najgorszy z możliwych sposobów, żeby odejść. Lepsze to, niż rozpuścić się w deszczu.

Zawołał, że potrzebuje ochotników do załogi pojazdu dowodzenia. Chętnych zgłosiło się aż nadto. Ostatnie przygotowania zajęły tylko chwilę, ale czasu było już bardzo mało. Pożegnali się pospiesznie, połowy system łączności, który uchronił się jeszcze po części przed bakteriami Ampliturów, nadał ostatnie rozkazy.

Nieprzyjacielskie pozycje z tyłu i przed Massudami skryły się w fontannach wybuchów. W pojeździe dowodzenia panowała cisza. Komandor odliczał sekundy.

Ciężki pojazd uniósł się ponad osłonę drzew i skręcił na zachód. W wąwozie było ciemno od

dymu, granitowego kurzu i opadających wciąż szczątków roślinności, ale to nie starczało, by zmylić skanery. Tym lepiej: skuteczniej ściągną na siebie ogień i dadzą tym samym szansę pozostałym.

– I jak? – spytał Kaldaq.

– Na razie nic. – Samotny podoficer uzbrojenia robił co mógł, aby ogarnąć wzrokiem jednocześnie trzy stanowiska. Jeszcze nie zostali wykryci.

Kaldaq nie był zdziwiony. Według meldunków Krygolici byli dobrze okopani. Nie oczekiwał, aby wychynęli zbyt szybko, w końcu nie mogli wiedzieć, czy ostrzał ustał na dobre.

Nikt nie pokładzie nie zauważył nawet wystrzelenia pierwszego pocisku. Nadleciał z tyłu i uderzył w lewy stabilizator rufowy, niszcząc główny silnik i obniżając zdolność manewrową o blisko jedną trzecią. Buchnął dym i pojazd przechylił się, sunąc łukiem w poprzek doliny.

Kaldaq złapał się kurczowo fotela.

– Korygować kurs dyszami manewrowymi!

– Ale wtedy stracimy szybkość! – zaprotestował podoficer.

– Nawet na pełnym ciągu ledwie się wlekliśmy. Wykonać!

Podoficer kiwnął głową i nic już nie powiedział.

Przeciwnik musi teraz zachodzić w głowę, co my tu właściwie robimy, pomyślał Kaldaq. Może ten dodatkowy manewr stworzy im jakiś problem. Rzeczywiście, przez dłuższą chwilę nikt do nich nie strzelał, dopiero potem pojedynczy, wyjątkowo celnie ulokowany pocisk trafił w centrum kadłuba.

Spośród wszystkich najważniejszych urządzeń cały pozostał tylko jeden silnik pomocniczy. Coraz bardziej bezwładny pojazd zaczął opadać. Mimo wypełniającego kabinę dymu Kaldaq zdążył ustalić, że wylądują zapewne dość twardo, ale raczej w jednym kawałku. Chyba że znowu oberwą. Z przyzwyczajenia sprawdził pasy. Zbliżał się moment przyziemienia.

Prawdopodobnie wśród nacierających sił był jakiś Amplitur. Sami Krygolici czy Mazvekwie zniszczyliby obezwładniony pojazd, ale ich władcy starali się zawsze wziąć przeciwnika żywcem, aby wywieźć kogoś takiego z planety i poddać „reedukacji”.

Kaldaq musnął broń palcami. Nie zapisze się do tej ich szkółki. Wiedział, co się tam dzieje. Obrabiają umysł tak długo, aż nie wiesz, kim jesteś ani o co walczysz. Tylko Cel masz w głowie. Komandor nie łudził się, że mógłby stawić jakikolwiek opór manipulacjom Ampliturów. Pod tym względem był równie słaby jak inni.

„Skorygowany” tą metodą Massud był odsyłany na rodzimą planetę, gdzie siał dywersję ideologiczną i zamieszanie. Jeden osobnik mógł uczynić więcej szkód, niż najpotężniejsza nawet bomba.

Ledwie usłyszał, że pilot krzyczy coś do niego przez ryk wiatru i syk płomieni.

– Niech mój ród mi wybaczy, komandorze! Robiłem, co w mojej mocy...

Sekundę później jego głos zginął w łoskocie i zapadła ciemność.

Kaldaq odzyskał przytomność. W głowie mu huczało. Przewrotny los zostawił go przy życiu. Poobijał, ale nie unicestwił.

Kaszłąc i łapiąc ciężko powietrze szarpnął raz, drugi i trzeci zapięcie pasów. W końcu puściły i Kaldaq runął na podłogę. Dał sobie minutę na odpoczynek i spróbował wstać.

Dym przesłaniał wszystko i komandor musiał poszukać drogi do luku po omacku. Najpierw trzeba stąd wyjść na światło, pomyślał, potem spróbuję pomóc reszcie.

Elektronika wysiadła. Nic dziwnego. Musiał otworzyć zamek ręcznie. Wypadł przez otwór na zewnątrz i złapał w płuca tęgi łyk wilgotnego, chłodnego powietrza.

Nikt na niego nie czekał. Widocznie pilot przyziemił pojazd w bardzo niedostępnym terenie i wróg dopiero przedziera się do wraku.

Powlókł się w stronę największej gęstwiny drzew. Po drodze omal nie przewrócił się o dymiące ciało podoficera. Żołnierz żył jeszcze, oddychał płytko. Kaldaq zgarnął kępy mchu i ugasił nimi płonący mundur, potem zarzucił sobie podwładnego na ramię i zabrał ze sobą.

Docierał właśnie do drzew, gdy jakiś głos mówiący płynnie po massudzku nakazał mu stanąć w miejscu.

Las był gęsty, mroczny i pełen potencjalnych kryjówek. I był tak blisko. Kaldaq nie mógł wyciągnąć broni, bo musiałby rzucić podoficera na ziemię. Zrobił następny krok i coś zablokowało go w boku. Zerknął w dół: w mundurze czerniał niewielki otwór. Trafili go dokładnie pod żebro. Wiedział, że drugi, identyczny ślad ma na plecach.

Runął do przodu. Przez głowę przeniknęło mu pytanie, jakie ważne dla życia organy mogły zostać uszkodzone? Ile jeszcze pociągnie? To przecież i tak nie ma znaczenia, zrozumiał po chwili.

Rana nie była chyba zbyt groźna, ale po paru krokach ból zbił Kaldaqa z nóg. Raczej ujrzał niż poczuł, że pada razem z towarzyszem.

Jeśli spróbuję teraz wstać, to zemdleję, pomyślał, leżąc w bezruchu na zmacerowanym poszyciu. Miał wrażenie, że rana nie krwawi, widocznie promień przypalił tkankę. Może i szkoda. Będzie przez to wolniej umierał.

Palce były sprawne, ale niezbyt chciały go słuchać. Całą wieczność trwało, zanim wydobył broń. Chłodna plastikowa kolba dodała mu odrobinę pewności siebie. Niestety, pistolet był za ciężki. Kaldaq za nic nie mógł go unieść wyżej bioder.

Zza kurtyny ulewnego deszczu dobiegły go jakieś głosy. Ostre, klaskające. Krygolici. Zawtórowały im cichsze, nosowe pohukiwania. To pewnie Mazvekwowie. Gdyby tylko mógł dźwignąć tę armatę, to powiedziałby swoje ostateczne i zdecydowane „nie” Celowi. Ale wciąż tylko czuł kolbę pod palcami, nawet jej nie widział.

Głosy rozlegały się coraz bliżej. Krygolici bywali nieokrzesani. Jeśli szczęście mu dopisze, to mimo wyraźnych rozkazów otrzymywanych od Ampliturów zastrzelą go na miejscu.

Nagle zaczęli krzyżeć. Dojrzeli mnie, pomyślał z rezygnacją. W końcu zdołał obrócić trochę broń i wycelować ją z grubsza w swoją pierś. Jeśli nie mogę wygrać, pozbawię was chociaż jednego owocu zwycięstwa. Ale palce go zdradziły. Nie zacisnęły się. Przeklął je i znowu zemdłał.

Gdy obudził się powtórnie, na niebie pobłyskiwały z rzadka wyglądające zza chmur gwiazdy. Padał ponury kapuśniaczek. Kaldaq był cały mokry pod pancerzem.

Obok siedział oprzytomniały już podoficer.

– Dzięki niech bada Kręgowi Rodzinnemu. Żyje pan. Nie, proszę nie wstawać.

Siedzieli pod zamaskowanym gałęziami nawisem wielkiego głazu w bocznej odnodze wąwozu. Środkiem rozpadliny rwał niewielki strumień.

– Gdy oprzytomniałem, leżał pan obok mnie. Z początku myślałem, że to już koniec, ale serce biło. Przyciągnąłem pana tutaj.

– A inni? – spytał Kaldaq żałując, że Massudzi niewiele widzą w nocy.

– Nie wiem. Gdy zawróciłem, żeby się rozejrzeć, usłyszałem kanonadę gdzieś na zachodzie. Błyskało i huczało, może zlokalizowali naszą kolumnę. Nie mam pojęcia, czy ktoś zdołał ujść cało, ale pewnie dlatego przestali nas szukać.

– Ktoś musiał się uratować – mruknął Kaldaq. Rana pulsowała boleśnie, jakby wbito mu tam ostry nóż i zapomniano go potem wyjąć.

Nie zastanawiał się, jak poważne mogą być jego obrażenia. Nawet bliskie spotkanie ze śmiercią nie odmieniło jego ambiwaletnego stosunku do życia.

Podoficer nie doznawał podobnych rozterek.

– Bitwa o dolinę już się skończyła. Gdy Krygolici znikną z pola, będziemy mogli ruszać do swoich, do głównej bazy. Mamy szansę.

– Oczywiście. – Kaldaq nie chciał zarażać kompana pesymizmem. Nawet zdrowy Massud miałby kłopoty z przejściem przez góry, ale trzeba będzie spróbować zmierzyć się z tymi graniami, pokonać jakoś wezbrane deszczem rzeki.

– Ciągle nie rozumiem, jak mogli tak nas podejść po cichu, komandorze. Pewnie jakiś czujnik

wysiadł.

Lepiej winić sprzęt niż żołnierzy, pomyślał Kaldaq i nagle ujrzał w dali jakiś ruch. Jeszcze chwila, a podoficer będzie mógł przestać marzyć o powrocie do bazy.

– Nadchodzą – szepnął.

Obok leżał jego pas z bronią. Obaj sięgnęli po pistolety i zastygli w bezruchu pod przemakającym szafasem. Gałęzie trochę ich jednak zasłaniały. Żaden nie pomyślał nawet o ucieczce. Kaldaq miałby akurat tyle siły, aby wstać.

W mroku zamajaczyły wysokie sylwetki. Za duże na Krygolitów, za małe na Molitarów. Zapewne Mazvekwowie. Podchodzili lekkim krokiem, deszcz spływał po ich pancerzach i przezroczystych wizjerach hełmów. Mieli jakieś dziwne wyposażenie. Kaldaq nie widział jeszcze nigdy takiego uzbrojenia.

Jeden zerknął w kierunku szafasu. Kaldaq uniósł broń i mimo drżenia dłoni spróbował wycelować. Nadal miał kłopoty z oczami.

Postać skręciła i krzyknęła coś przez zewnętrzny głośnik. Jeśli nie użyła radia, to znaczy że w pobliżu musi być ich więcej. Odgłos przedarł się przez szum deszczu. Mimo częściowego zamroczenia Kaldaq od razu poznał ten język.

– Tyro, Ephraim, ruszcie no tyłki! Szczury mokną na deszczu!

Kaldaq z ulgą opuścił rękę i sam też padł na skałę. Nie był pewien, co właściwie usłyszał, ale wiedział skąd pochodzi mówiący.

Nowo przybyły przeskoczył zwaloną kłodę i pochylił się nad Massudami. Z cichym trzaskiem odblokował i uniósł wizjer hełmu. Kaldaq zmrużył oczy, gdy strumień światła omiótł jego twarz.

– Miło mi pana widzieć, komandorze – powiedział w łamanym massudzkiem. W tych okolicznościach fatalny akcent nie miał znaczenia. Latarka omiotła postać podoficera. – Jest was tylko dwóch?

– Wykorzystaliśmy nasz pojazd dowodzenia jako wabik. Krygolici byli uprzejmi skorzystać – wyjaśnił podoficer.

– No tak. Robale uwielbiają powolne cele.

Chwilę potem przy szafasie stało półkolem wiele sylwetek.

Kaldaq przyglądał się ich płaskim obliczom wyglądającym spod uniesionych wizjerów.

Obok przyklęła sanitariuszka w mundurze oznaczonym czerwonymi pasami i rozłożyła polowy zastaw diagnostyczny. Hivistahm uporałby się z tym zadaniem szybciej, ale żaden jaszczur nie potrafił działać w warunkach frontowych. Kaldaq poczuł, że coś ukuło go w bok i ból zaczął gasnąć.

Wielka ulga, chociaż tymczasowa. Z wolna wracały mu siły.

– Przepraszam, że przyszedliśmy dopiero teraz – powiedział żołnierz, który znalazł ich pierwszy. Był to młody chłopak z jasną skórą i złocistymi włosami.

– A inni... – spytał cicho Kaldaq. – Reszta kolumny...

– Myśli pan o tych pańskich ludziach, którzy próbowali się wycofać? Gdy się pokazaliśmy, byli w połowie drogi. Ampliturowie i Krygolici już na nich czekali. – Serce Kaldaq zamarło. – Ale się nas nie spodziewali. – W mroku błysnęły białe zęby Ziemianina. – Spadliśmy na nich jak trolle i posłaliśmy całą bandę do diabła. Cholernie fajnie wyszło!

Kaldaq wyczuł radość w głosie Ziemianina. Wiedział, że spośród wszystkich ras oni jedni potrafią cieszyć się walką, ale teraz nie mógł już tego krytykować. Te osobliwe skłonności znowu uratowały mu życie. Jemu i wielu innym Massudom.

– Możecie nas stąd zabrać?

– Jasne. To teraz nasza dolina.

Kaldaq nie zrozumiał od razu.

– Krygolici są przed nami... okopali się i przejęli kontrolę nad wszystkimi kluczowymi pozycjami...

– To już czas przeszły, sir. Od chwili gdy rozbiliśmy ich zasadzkę, nie ustajemy w natarciu. Zmykają jak zające. Też straciłem kilku ludzi – dodał ponurym głosem. – Ci Krygolici są nawet twardzi, ale za dużo myślą. Wie pan o co chodzi. Nie otrząsnęli się jeszcze z zaskoczenia. – Spojrzał w ciemność. – Miła noc. Pada zupełnie jak w moich stronach.

Sanitariuszka dalej zajmowała się raną i pomrukiwała to i owo pod nosem.

– Małokalibrowy promiennik – spojrzała Kaldaqowi w twarz. – Miał pan szczęście, sir. Trochę w lewo a poszłoby w kręgosłup. – Uśmiechnęła się do niego ciepło i Kaldaq po raz kolejny zdumiał się, że ludzie potrafią na polu bitwy okazać innym nawet serdeczność.

– Żadnych trwałych uszkodzeń, zagoi się – powiedziała. – Założę się, że boli jak diabli, ale lepiej niech zajmą się tym Hivi. Chciałabym mieć tyle, co oni. Nigdy im nie dorównam.

Podoficer wyciągnął długą rękę i jeden z ziemskich żołnierzy ścisnął mu najpierw dłoń, potem ujął za łokieć. Powitanie na dwa sposoby. Pozostali rozmawiali beztrąsko.

– Dałam panu coś na sen, sir – oznajmiła sanitariuszka. – Proszę raczej nie próbować chodzić. Zabierzemy pana za kilka minut. Wiem, że to nieprzyjemnie tak leżeć na deszczu.

Kaldaq poczuł nadchodzące ośpienie. Tym razem był to skutek działania leków. Dziwny spokój rozlewał się po całym ciele.

Rozległ się nowy głos, w mroku zabielała kolejna twarz. Kaldaq kątem oka odnotował skrzyżowane paski na prawym ramieniu. Oficer.

– Co my tu mamy?

– Dwa przytopione szczury, sir – zameldował żołnierz. – Jeden to komandor.

– Przepraszam – wymamrotał Kaldaq. Zły był na siebie, że ledwo może złożyć kilka słów. – Ale niejasny jest dla mnie kontekst słowa „szczur”.

– Bez obrazy, sir – powiedział oficer. – Chodzi o wasze oblicza. Ludzie, a szczególnie żołnierze uwielbiają nadawać wszystkiemu przezwiska. Zapewniam, że to żadna ujma. Wręcz przeciwnie.

– Skoro i tak nie pamiętam, jak wygląda szczur, trudno byłoby mi uznać to za dyshonor.

Oficer zerknął na Kaldaqą.

– Niewiele brakowało, naprawdę niewiele. Gdy pierwsze raporty dotarły do bazy, mój oddział zgłosił się na ochotnika do pomocy. Teraz to Krygolici i Ampliturowie zwiewają w panice. Moi ludzie poganiają ich jak mogą i odławiają w ciemności. Oprzyrządowanie tamtych wysiada przy nocnej ulewie. – Przerwał i pochylił się niżej. Prawie całkiem uśpiony Kaldaq nie zareagował. – Ejże, czy my się czasem nie znamy?

– Nie sędzę – mruknął Massud.

Ziemianin zagwizdał z cicha. W tym byli dobrzy. Kaldaq poznał tę melodię, chociaż ostatni raz słyszał ją wiele lat temu i w zupełnie innym miejscu.

– Jak teraz? – spytał cicho człowiek. – Lepiej brzmi?

– Miło mi słyszeć, że wciąż komponujesz swoją muzykę, Williamie Dulac – szepnął Kaldaq i odpłynął w sen. Ostatnią rzeczą jaką odczuł było zdumienie. Skąd wziął się tu jego dawny przyjaciel? Czyżby Ziemianie werbowali teraz kompozytorów?

Rozdział 30

Kaldaqowi śniło się, że sanitarka dwakroć musiała odpierać ataki wroga, nim dotarła na wybrzeże, gdzie mieściło się okręgowe dowództwo Gromady. W majakach widział walczącego Williama Dulaca. Aparatura medyczna migotała światłkami i sączyła w głąb ciała komendanta kolejne życiodajne lekarstwa.

Jak przez mgłę usłyszał w pewnej chwili swój własny głos.

– Myślałem, że odrzucasz to wszystko. Myślałem, że idea walki z Ampliturami jest ci z gruntu obca. Zawsze mówiłeś, że chcecie być równie cywilizowani jak inne rasy w Gromadzie, że pragniesz powstrzymać swych pobratymców od boju.

– Owszem. Tak było. Ale w końcu poddałem się. A raczej włączyłem – uśmiechnął się Will. – Męczyło mnie to, aż nie mogłem spokojnie pracować. Cały czas o tym wszystkim myślałem.

– Jak to się stało?

– S’vanowie poprosili mnie o skomponowanie muzyki do filmu o walkach na Vasarih. Najpierw nie chciałem, potem powiedziałem, że spróbuję. – Zamilkł na chwilę. – Poszło jak po maśle. Muzyka sama rodziła się w głowie, od razu z orkiestracją. Nie było nawet co poprawiać. Posłałem ją mojemu agentowi i wyszedł z tego prawdziwy przebój. Ludzie do dziś nucą sobie główny temat. Potem na jednym oddechu skończyłem sześcioczęściową symfonię, ponad godzina muzyki. Miałem nawet dostać Grammę, ale przestało mnie to obchodzić.

Chciałem komponować dalej, jednak brakowało mi inspirującego doświadczenia. Filmy to nie to samo. Prawdziwe arcydzieło wymaga osobistych doznań. No i zapisałem się. A oni z miejsca mianowali mnie oficerem. Nie prosiłem o to, ale wiesz co? Dobry jestem. Gdy byłem mały, dziadek zabierał mnie na polowania i wiele pamiętam. Tutaj jest inaczej, ale nie aż tak bardzo. Poza tym jest łatwiej. Nie poluję na ludzi, a przygotowywanie ataku to jak budowanie napięcia w symfonii. Komponowanie nie różni się wiele od taktyki wojennej. Zresztą myślę, że robię coś dobrego. Nawet walcząc czuję spokój. Nie ma już we mnie rozterki. Może na tym polega bycie człowiekiem. Sam wiesz, że ciągle słyszy się masę opinii.

– Nie wiem – szepnął słabo Kaldaq.

– No tak, przecież ty siedziałeś od lat na Kantarii. Ale ja już się odnalazłem, przyjacielu. Walczę i wymyślam muzykę. To teraz jedno. Wielu artystów robi tak samo. Coraz więcej. W boju czujesz, że żyjesz, to dopiero jest inspiracja. Pewnie to chemia ciała. Gdybyś jeszcze powiedział mi, gdzie

stacjonuje Jaruselka...

– Nie żyje. Od ponad roku.

Will umilkł na długą chwilę.

– Przepraszam. Przykro mi. Nie wiedziałem.

– Zginęła na tej planecie – mruknął Kaldaq. – A ja nie mogłem jej pomóc, tylko patrzyłem.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, skomponowałbym coś na jej cześć. Wykorzystam tonacje z muzyki Massudów, aby i wam się spodobało.

Ludzie potrafili mówić o zmarłych z takim entuzjazmem... Inne rasy czciły tylko żywych. A ludzie malowali, pisali, komponowali i rzeźbili dla utrwalenia śmierci. Czemu tak ich fascynowała?

Ale uratowali mu życie.

Sen rozmył doznania. Oto znów Will. Pocieszający.

– Już nic nam nie grozi. Minęliśmy południowo-zachodni masyw. Niedługo będziemy w bazie. Łóżko czeka już na ciebie w szpitalu.

Kaldaq ujrzał, że dookoła jego przyjaciela tłoczą się jakieś małe postacie. Szczebotały coś po swojemu. Człowiek spojrzał na Kaldaqa i przełączył translator na massudzki.

– To Kantarianie. Ocaliliśmy ich wioskę i niektórzy chcieli potem pójść z nami. Chcieli pomóc. Słyszałem, że to jakby przełom w stosunkach z tubylcami. Wiesz, Kaldaq, gdyby nie ty, dalej walczylibyśmy między sobą zamiast ratować takich biedaków, jak ci tutaj.

Kaldaq zdołał obrócić głowę i przyjrzeć się smukłym Kantarianom skupionym wkoło wysokiego Ziemianina. Byli prawie tego samego wzrostu, co Hivistahmowie czy Leparowie.

Dziwny widok. Will uśmiechał się do nich. Czy rozumieli znaczenie uśmiechu? Wpatrywali się w człowieka prawie z nabożeństwem.

To nie w porządku, pomyślał Kaldaq. Wszystkie istoty inteligentne są sobie równe.

– Miły ludek, ci Kantarianie. – Will przeprosił tubylców, zamknął drzwi i podszedł do koi Kaldaqa.

Sanitarka zakołysała się lekko i komandor spojrzał niespokojnie.

– To tylko prądy powietrzne. Ta paskudna tutejsza pogoda.

– Straszna. Nic tylko deszcz i wilgoć.

– Naszym ludziom to nie przeszkadza. S'vanowie mówią, że to za sprawą niestabilnego klimatu Ziemi. Wiesz, przyzwyczajenie. Podobno na większości światów jest pod tym względem aż za nudno. Tutaj czujemy się jak w domu.

– Jak ktokolwiek cywilizowany może uważać tę planetę za dom?

– Kantarianie tu mieszkają.

– Ale oni nie są cywilizowani.

– My też nie, zapomniałeś? Może dlatego tak dobrze się z nimi dogadujemy.

Kaldaq pomyślał znów o tym, gdy obudził się w wygodnym łóżku szpitala w Bazie Centralnej. Prawie go nie bolało. Hivistahm przy aparaturze zakłapał zębami widząc, że pacjent otwiera oczy.

– Jak długo tu leżę? – spytał Kaldaq.

– Prawie dziesięć dni, komandorze – odparł technik znad monitorów.

Łóżko zmieniło konfigurację, nadając Kaldaqowi pozycję siedzącą. Izolatka była dość skromnie wyposażona, jak na rangę pacjenta.

– Czy jest w bazie pewien oficer z Ziemi? Nazywa się Will Dulac. Pewnie go nie znasz, ale może spytałbyś w administracji?

– Nie ma takiej potrzeby, komandorze. – Hivistahm podał pacjentowi jakąś pigułkę, którą ten posłusznie połknął. – Wszyscy znają Williama Dulaca.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Jest nowym dowódcą okręgu.

– Dowódcą okręgu – powtórzył skrajnie zdumiony Kaldaq.

– Właśnie. Od chwili przybycia na Kantarię Ziemianie wygrali już mnóstwo bitew. Spychają Krygolitów coraz dalej. Słyszałem, że podobno przenikają też za linie wroga i niszczą jego bazy, przecinają szlaki zaopatrzenia u stóp południowego łańcucha.

– A co z moimi żołnierzami? Drugi i trzeci batalion, sektor południe.

– Ci, co przetrwali bitwę bez szwanku, są teraz z Ziemianami. Z tego co wiem, poszli wszyscy na ochotnika. – Hivistahm gwizdnął. – Dziwnie układają się losy wojowników. Czy to prawda, że w towarzystwie Ziemian Massudzi walczą lepiej?

– Nie miałem okazji się przekonać.

Technik prawie go nie słuchał.

– Pozostaje czekać. Niektórzy powiadają, że Ziemianie usuną wroga z Kantarii jeszcze przed końcem roku.

– To niemożliwe – mruknął Kaldaq. – Tamci okopali się, umocnili, ich linie zaopatrzenia są silnie bronione...

– Dla Ziemian to żadna przeszkoda – przerwał mu technik. Dziwny brak manier. – To zrozumiałe, bo oni nie są cywilizowani. Widziałem filmy. To najdziksze bestie lądowe, w dodatku inteligentne. Oto prawdziwi Ziemianie. Chociaż – dodał po niejakiem wahaniu – ich muzyka bywa całkiem miła. – Podwójne powieki mrugnęły, oznaki specjalności na skafandrze błysnęły jasno w blasku szpitalnych lamp.

– Powiedz mi coś.

– Jeśli tylko to wiem. – Technik zerknął na chronometr.

Hivistahm miał wyjątkowo długie paznokcie. Pewnie służyły mu do czegoś konkretnego.

– Co sądzisz o Ziemianach?

– Osobiście?

– Właśnie.

Technik zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Hivistahmowie preferowali grupowe wyrażanie opinii. W końcu jednak się namyślił.

– Sam niewiele korzystam z ich obecności. Hołdują prymitywizmowi, pod każdym niemal względem, chociaż sami upierają się przy tym, że ich kultura jest na wysokim poziomie. Podziwiam ich umiejętności bojowe, bo sam takich nie posiadam, i cieszę się, że walczą za mnie. – Wzdrygnął się wyraźnie. – Ziemianie walczą i umierają za Hivistahmów i za ich światy.

– Co innego pcha ich do walki – skorygował Kaldaq.

– Ich osobliwa skłonność do gromadzenia dóbr jest powszechnie znana. To tylko potwierdza ich status istot niecywilizowanych. Ale mnie to nie martwi. Ważne że walczą i bronią wszystkich innych.

– Ale co myślisz o nich zupełnie prywatnie?

– Mało ich dotąd spotkałem – odparł technik z namysłem. – Tych paru okazywało zawsze wdzięczność za każdą, nawet drobną przysługę. Zupełnie jakbym czynił im wyjątkową uprzejmość, a przecież to moja praca. Ich otoczka cywilizacyjna jest na tyle słaba, że sprawy tak normalne, jak udzielenie pomocy innej istocie, jawią im się niezwykłymi. A prywatnie? Nie pragnę ich bliżej poznawać. Gdyby zamknąć mnie w jednym pokoju z Ziemianinem, to chyba rychło zacząłbym kopać w drzwi. Ale tutaj – wskazał na szpitalne otoczenie – spędzam większość czasu ze swoimi. S’vanowie i O’o’yanowie nam pomagają. Podobnie Yula i Massudzi. Nie przebywam wiele z Ziemianami.

– Zatem nie budzą twego niepokoju?

– A czemu by miało tak być?

– Bo walczą zajadle i ciągle zwyciężają. Bo tylko walczyć potrafią naprawdę dobrze.

Wyłupiaste oczy spojrzały ze zdumieniem na Kaldąq.

– Ależ ja się z tego cieszę, podobnie jak wszyscy Hivistahmowie.

Drzwi odsunęły się, wpuszczając O'o'yana. Różnił się od Hivistahma kolorem skóry i kształtem czaszki oraz wielkością i postawą, ale poza tym podobieństwo było uderzające.

– Praca na mnie czeka, komandorze. Niech pan odpoczywa. Jak dobrze pójdzie, to za parę dni wyjdzie pan stąd na własnych nogach.

– Dziękuję – powiedział Kaldąq dość poprawnie po hivistahmsku. Technik znał massudzki, ale to nic dziwnego, skoro ciągle miał do czynienia z pacjentami Massudami. Kaldąq nigdy jednak nie słyszał jeszcze Hivistahma mówiącego po angielsku. Ciekawe, czy nie opanowali nowego języka, czy nie chcieli się go uczyć? Użycie translatorów pozwalało na zachowanie pewnego dystansu wobec rannych ludzi.

Ten tutaj stwierdził, że podziwia ludzi, ale ich nie uwielbia. O'o'yanowie mają zapewne podobne zdanie. Wyglądało na to, że tylko Massudzi potrafią dzielić niektóre emocje z Ziemią. Bo S'vanowie tylko udawali, bystry obserwator wychwytywał to całkiem szybko. W gruncie rzeczy podzielali zdanie Hivistahmów.

Kaldąq wracał do zdrowia i rozmyślał. Wciąż o tym samym. Wszystkim odwiedzającym zadawał identyczne pytania. A zaglądali do niego uradowani ocaleniem dowódcy oficerowie, i liczni Hivistahmowie, i jeszcze inni. Pewnego razu zagadnął nawet sprzątającego izolatkę Lepara.

Tylko Will Dulac nie odwiedził go ani razu. Kierował natarciem na główne pozycje Krygolitów w górach na wschodzie. Kaldąq zadowalał się tymi gośćmi, których miał.

Zbeształ dwoje wyższych oficerów, którzy przybyli pogratulować bohaterowi z doliny Takicohn. To oni przekazali mu wiadomość o przyznanej wyróżnieniu. Kaldąq zaprotestował, przecież nie zasłużył, przegrał bitwę. Udany odwrót nie był niczym szczególnym. Goście obrócili wszystko w żart. Stwierdzili, że pacjent jest zbyt słaby, aby stawić skuteczny opór, i odczytali mu tekst pochwały, która miała zostać włączona do kronik rodu. Nieco sfrustrowany Kaldąq tym bardziej zapragnął dać wyraz dręczącym go ostatnio obawom.

– Musimy zrezygnować z pomocy ziemskich żołnierzy – powiedział i spróbował przekonać do tej idei oboje oficerów.

Ale bez skutku. Goście wymienili zdumione spojrzenia a jeden, imieniem Huswemak, przyjrzał się uważnie pacjentowi.

– Dlaczego? – spytał. – Nigdy jeszcze nie mieliśmy tak wspaniałych towarzyszy broni. Już wygrali wiele bitew. Tutaj uratowali nas przed pewną klęską. Sam widziałem, jak rzucili się na pilnie strzeżone umocnienia Krygolitów po to jedynie, by uratować oddział Massudów.

– Ale oni nie walczą z tych samych powodów, co my. Nie są altruistami. – Kaldaq poprawił się na łóżku. – Nie od razu to pojąłem. Pewna Hivistahmka próbowała mnie kiedyś ostrzec, ale wtedy myślałem tylko o pozyskaniu Ziemian i byłem ślepy na wszystko inne.

– Czyli na co? – spytała druga odwiedzająca, próbując zachować normalny ton głosu. Najwyraźniej komandor nie wyszedł jeszcze z szoku pourazowego, pomyślała.

– Że Ziemianie są dla nas potencjalnie równie groźni, jak dla Ampliturów.

– Musisz być bardzo zmęczony – mruknął uspokajająco Huswemak i już zaczął się podnosić.

– Wiem, co mówię – odparł szorstko Kaldaq i oficerowi nie pozostało nic innego, jak usiąść znowu.

– Ludzie uderzyli na naszych wrogów z całą siłą. Jeśli spytać ich o zdanie, odpowiedzą że nie cierpią Ampliturów i ich metod. Nie dostrzegam żadnego zagrożenia. – Huswemak zastanawiał się, czy pacjent przeszedł już wszelkie testy psychofizyczne. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo cierpiał po stracie partnerki. To mogło się na nim odbić.

– Ziemianie są niebezpieczni – upierał się Kaldaq.

– Dla Ampliturów i Krygolitów – rzuciła Arenont, – Sama widziałam, jak ranny człowiek zaatakował Molitara w walce wręcz i pokonał go. Gdyby mi ktoś o tym opowiedział, nigdy bym nie uwierzyła. Ale widziałam. – Spojrzała na kolegę. – Może powinniśmy poprosić lekarza?

– Mówię wam, że nic mi się w głowie nie mąci! – Kaldaq poruszył gniewnie baczkami.

– Ale przeszedłeś ciężkie chwile. – Huswemak wstał. – Z takiego wstrząsu nie wychodzi się w kilka dni.

Kaldaq zmienił konfigurację łóżka. Teraz mógł siedzieć prosto.

– Słuchajcie! Kiedyś myślałem tak samo jak wy.

– Słynny jesteś wśród Massudów z niezwykłego opanowania i zdolności analitycznych. Ale może ostatnio za wiele myślałeś? S’vanowie czasem cierpią z tego powodu.

Oficerowie stali już przy drzwiach, które otworzyły się bezszelestnie.

– Z całym respektem przekazemy twoje słowa dalej.

– Lekarzom? – spytał ironicznie Kaldaq.

Nie przekonał ich, to pewne.

– Odpowiednim osobom – powiedział cicho Huswemak.

Gdy wyszli, Kaldaq opuścił łóżko i wpatrzył się w błękit sufitu. Nie ma co przekonywać. Nie wierzą. Nie chcą wierzyć.

Przypomniawszy sobie słowa Arenont. Może S'vanowie, którzy nigdy nie widzieli z bliska walki, zdobędą się na odmienne spojrzenie. Oni nie są tak wpatrzeni w Ziemiaków. Owszem, bywają sceptycy, ale potrafią słuchać. Gdyby mógł skłonić ich do zastanowienia...

W dniu, kiedy miał już opuścić szpital, odwiedziła go jeszcze pewna Hivistahmka. Samo w sobie nie było to dziwne, bo medycy zaglądali doń często, ale tej osoby się nie spodziewał.

Była to ta sama asystentka, która niegdyś ucierpiała podczas pierwszego testu sondującego na pokładzie statku. Mimowolna ofiara Willa Dulaca.

Mało się na tym znając, Kaldaq zauważył jednak, że minione trzy lata nie obeszły się z nią łagodnie. Straciła wiele łusek na głowie i karku, w ich miejscu widniały protetyczne wszczepy. Powieki jej pogrubiły i pociemniały.

Była w bladozielonym mundurze dyplomowanego lekarza, na ramieniu nosiła oznakę stopnia. Jak wszystkie jaszczury, wchodząc poniuchała powietrze w pokoju.

– Pamiętasz mnie, komandorze Kaldaq?

– Tak. – Stał obok tego samego łóżka, w którym tak długo wracał do zdrowia. – Nie wiedziałem, że jesteś na Kantarii.

– Od niedawna. I od razu usłyszałam o twoich czynach.

– Nagrodzono mnie za porażkę. Wcale się nie cieszę – mruknął Kaldaq. – I co? Chcą wiedzieć czy zwariowałem, czy tylko udaję, i wysłali ciebie?

– Taki sarkazm bardziej przystoi S'vanom – stwierdziła. – Dowiedziałam się, jakie poglądy głosisz ostatnio. Wiem, że nie zwariowałeś.

– Kto jak kto, ale ty powinnaś to wiedzieć. I Trzeci, jeśli go pamiętasz.

– Pamiętam go dobrze. Gdy on działał, ja jeszcze milczałam. Musiałam przyjść do siebie. – Podeszła blisko i spojrzała w twarz oficerowi. – Dobrze wiem, ile prawdy jest w twoich słowach.

– Masz na myśli to, co stało się na statku?

– To i nie tylko. Miałam dość czasu na badania i obserwacje.

– Może zatem we dwoje przekonamy innych. Chciałbym dojść tak wysoko, jak tylko będzie to

możliwe. Nawet do Rady Wojskowej. Wsparcie przedstawiciela innej rasy i lekarza zarazem bardzo mi się przyda. Pomożesz?

– Nie.

– Ale przecież zgadzasz się ze mną – powiedział zaskoczony Kaldaq. – To ty chciałaś, aby zabić Dulaca i uciekać z tamtego systemu. Zapomniałaś?

– Nie zapomniałam. Ale nie pomogę ci. Zresztą, to by i tak nic nie dało.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie. Jesteś żołnierzem. Już za późno, by zmienić bieg rzeczy. Może wtedy, na samym początku, kiedy odkryliśmy świat Ziemian, dałoby się ich odizolować. Ale teraz są już wszędzie i nikt nie wyobraża sobie walki bez nich. Sami Massudzi to powtarzają. Inni też, nawet jeśli nie chcą mieć z Ziemianami nic wspólnego, to cenią ich za walkę dla Gromady.

– Nastawienie można zmienić. Dlaczego mi nie pomożesz?

– Bo niezależnie od moich, naszych, obaw nie da się ukryć faktu, że Ziemianie odmienili oblicze tej wojny. To już nie te same zmagania, które ciągnęły się przez setki lat.

– Ale bez ludzi też dobrze nam szło. Możemy do tego wrócić.

– Wysuwałam już podobne propozycje. Spokojnie, jak to my mamy we zwyczaju. Nawiązałam stosowne kontakty i dotarłam do osób związanych z członkami Rady. Zaprezentowałam im nagrania o moim wypadku, chociaż wiele zdrowia mnie to kosztowało. Byłam uparta. Ale wtedy też dowiedziałam się czegoś, co nie było powszechnie znane. Zapewne nawet Rada o tym nie słyszała.

– Rada wie o wszystkim – zaprotestował Kaldaq.

– Jesteś dobrym żołnierzem, Kaldaq Massudzie. Wśród swoich uchodzisz za myśliciela. Ale nie możesz równać się z Hivistahmami i S’vanami – zauważyła z humorem. – Niech wojownicy pozostaną niewinni. A prawda była taka, że przegrywaliśmy tę wojnę.

– Nie. Obie strony po równo traciły i zyskiwały.

– Pozornie. Rada Wojskowa nie miała wątpliwości, że Ampliturowie wygrywają. Powoli, ale jednak. Od dłuższego czasu nagłaśniano nasze drobne zwycięstwa i pomniejszano wagę porażek, przez co ogół nie dostrzegał, jak się rzeczy mają. Był to dla mnie szok nie mniejszy, niż zapewne dla ciebie. Powiedziano mi o tym dopiero wtedy, gdy zaczęłam żywo protestować przeciwko wykorzystaniu Ziemian w walce. Przedstawiono dowody. To prawda. Prawie sto lat temu Gromada znalazła się w odwrocie. Zaczęła przegrywać. Upór i fanatyzm wroga stawiał go w lepszej pozycji. Nie mówiąc już o mentalnych umiejętnościach Ampliturów. Nie mieliśmy im czego przeciwstawić i to ostatecznie zaważyło.

I wtedy pojawili się Ziemianie. Odmienni od wszystkich innych ras. Niecywilizowani, ale zdolni

w kwestiach technicznych. Ampliturowie nie spotkali jeszcze takich wrogów, którzy łączyliby minimum inteligencji z wielką gwałtownością. I jeszcze ta ich nie wyjaśniona wciąż zdolność do obrony swoich umysłów przed manipulacjami Ampliturów. Nie tylko oddalili widmo klęski, ale nasze siły przeszły już do ofensywy. Nie chcę umniejszać niebezpieczeństwa, jakie te istoty stanowią dla naszej cywilizacji, ale prawda jest taka, że bez nich cywilizacji tej nie będzie. Najpierw musimy przeżyć, potem przyjdzie pora na teoretyzowanie. Jak sam widzisz, Rada Wojskowa nie miała wyboru. Musiała sięgnąć po ziemskich ochotników. Gdyby ktoś na kluczowym stanowisku próbował podjąć inną decyzję, zostałyby z miejsca usunięty i zastąpiony kimś skłonny do współpracy.

Kaldaq długo się nie odzywał.

– Ale rozumiesz, o co chodzi? – spytał. – Nie o to, że dobrze walczą. Nie o ich niezwykle mózgi. Oni lubią walczyć, pławią się w tym. Przez tysiące lat odrzucali tę skłonność, bo musieli zabijać siebie nawzajem, ale teraz mają innego wroga i mogą dać upust swoim instyktom. Sam widziałem, co stało się z moim przyjacielem. Tym, którego tak pamiętasz.

– To też nieważne. Żadne z nas nie dożyje końca wojny, kiedy przyjdzie Gromadzie ułożyć się jakoś z Ziemianami. Historia nas osądzi. A ja przyszedłem po to, żeby ci to uświadomić. Nic nie wskóramy.

– Ale możemy próbować.

– Po co? Ziemianie wiedzą o nas. Z każdym dniem coraz lepiej przyswajają sobie osiągnięcia naszej technologii. Poznają naszą taktykę, strategię. Naszą cywilizację. Nie zmusimy ich wszystkich do powrotu na macierzysty świat. Nie cofniemy czasu. Powiedzmy zresztą, że przekonaliśmy Radę. I co mielibyśmy uczynić? Wyrzucić ludzi z armii? Ampliturowie o niczym innym nie marzą.

– Nie myślę o niczym tak drastycznym. Starczyłoby zawiesić wszelkie połączenia z Ziemią.

– Tak myślisz? Ty tylko żyłeś między nimi, znasz ich jako żołnierzy, ale ja widziałam więcej. Zapomniałeś o ich uzdolnieniach technicznych. Dotąd marnowali wiele sił na konstruowanie militariów i spory międzyplemienne, ale to już się zmieniło. Rozwijają się jak nigdy w całej ich historii. Opanowują błyskawicznie każdą nowinkę, a niejedno nawet udoskonalają. Dysponują olbrzymim potencjałem, który wreszcie mogą w pełni wykorzystać.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że mogą budować własne statki. Przejęli od nas tyle, że już to potrafią. Nie da się ich odizolować.

Kaldaq aż usiadł.

– No to wszystko stracone.

– Nic nie jest stracone. Naprawdę. Nie my jedni dostrzegamy potencjalne niebezpieczeństwo, chociaż ja poznałam je, że tak powiem, na własnej skórze. Inni doszli do podobnych wniosków. Różnymi drogami. Na razie nie godzi się podejmować głośnej dyskusji na ten temat, ale mogę cię

zapewnić, że pewne grupy po cichu już się tym zajmują.

Gdy sytuacja na frontach się zmieni, członkowie niewojowniczych ras zostaną w pełni poinformowani. Sami zdecydują, jak postąpić z Ziemią. Tak jak oni uczą się od Gromady, tak i my uczymy się od nich. Badamy ich i może nawet poznamy kiedyś mechanizm ich obrony mentalnej. Już tylko z tego jednego powodu dobrze jest mieć ich wśród sojuszników. Ostatecznie rozgryziemy ich kiedyś i zintegrujemy z cywilizacją Gromady.

– Rozgryziemy? – spytał Kaldaq. – Brzmi to podejrzenie. Przypomina manipulacje Ampliturów.

– Nie ma mowy o zmienianiu Ziemi w ten sposób – odparła nie zrażona Hivistahmka. – Nie planujemy zamachu na ich niezależność. Wtedy rzeczywiście niczym nie różnilibyśmy się od Ampliturów. – Zakłapała zębami. – Kto wie, jak by wtedy zareagowali? Nie, chodzi nam o skierowanie ich energii na bardziej twórcze tory.

– Jeśli naprawdę wierzycie, że to się może udać, to jesteście niepoprawnymi optymistami.

– A co nam zostało poza optymizmem? Boisz się Ziemi. Ja też, mam nawet po temu więcej powodów niż ty, ale zdołałam pogodzić się z ich obecnością. Wiem, że są potencjalnym źródłem kłopotów, ale szukam sposobów, aby jakoś się jednak z nimi ułożyć.

Kaldaq znów zatęsknił za uspokajającą obecnością Jaruselki. Za jej radami. Samotność ciążyła mu coraz bardziej.

– Nigdy ich nie zrozumiemy – powiedział cicho. – Wszystkie istoty dojrzewają dzięki współpracy. Oni jedni dorastają w atmosferze rywalizacji. Skażone geny, anormalne więzi społeczne.

– To wszystko można zmienić – zauważyła lekarka. – Każdemu można pomóc.

– Jesteś pewna?

– S’vanowie manipulują nami tak biegle, że zwykle nawet tego nie zauważamy. Widziałam, jak robią to samo z Ziemią. A sugestia S’vana różni się zasadniczo od prania mózgu w wykonaniu Amplitura. Obecnie przeznaczeniem Ziemi jest walka, są do tego wręcz stworzeni. Nikt się z nimi nie brata, bo postrzega się ich jako genialnych i barbarzyńskich zarazem. Ale nie są bez szans. Z czasem się ucywilizują.

– Jeśli nie, to będzie nasza wina – zaznaczył Kaldaq. – Poprosiliśmy ich, aby spuścili swoje instynkty ze smyczy. Żeby zaprzeczyli wiekom starożytności.

– Samozagłada im już nie grozi. Mają zewnętrznego wroga. Zyskali poczucie jedności gatunkowej. Inaczej nigdy by tego nie osiągnęli. Wiesz, jak pustoszyli przedtem własną planetę? I mówili jeszcze bzdurnie, że to „walka o pokój”. Daliśmy im czas i metodę, a kiedyś uczynimy ich również cywilizowanymi. Ale jeszcze nie teraz. Teraz potrzebujemy ich dzikości.

– To straszna odpowiedzialność. – Kaldaq wbił oczy gdzieś w dal. – Miałem okazję obserwować

ludzi żyjących w pokoju, ludzi prawie cywilizowanych.

– To, co widziałeś, to była maska, a właściwie ich własny sposób na powstrzymanie szaleństwa.
– Lekarka machnęła ręką. – W środku są wszyscy identyczni. Nawet sami zaczynają to już zauważać, a jako lekarz wiem, że pierwszym krokiem do wyzdrowienia jest zawsze uświadomienie sobie przez pacjenta, że w ogóle potrzebuje leczenia. Na razie musimy jednak przekonywać ich, że nie jest tak źle. Czy teraz już rozumiesz?

Za oknem padało. Nad zachodnim oceanem ciągnęły ciężkie chmury.

– Tak, ale nadal się ich boję. Martwi mnie, że musimy czekać. Im dłużej będziemy korzystać z ich wojowniczych skłonności, tym trudniej będzie nam potem ich zmienić.

– Wiem, ale nie mamy wyboru. Musimy iść dalej tą samą drogą i mieć nadzieję, że gdy już zawierucha się skończy, Ziemianie podążą za nami.

Hivistahmka spojrzała na Massuda.

– Jeśli to cię pocieszy, to wiedz, że i tak mieliśmy szczęście – oznajmiła.

– W czym?

– Pomyśl, co by było, gdyby to Ampliturowie pierwsi trafili na Ziemię.

KONIEC tomu 1